

Nie chowaj tej książki przed sobą! I tak kupi sobie nową!

Fanny



MAGGIE OSBORNE

Maggie Osborne

Žony

Guliwer County, Kansas, 1880

Szeryf Gaine rzucił okiem na szubienice i szybkim mchem ręki zsunął kapelusz na tył głowy.

- To jest wasz szczęśliwy dzień, chłopcy.

Czterech mężczyzn stało pod szubienicami. Mieli ręce związane z tyłu i pętle zarzucone na szyje. O tej wczesnej porze roku Main Street była zasypana śniegiem, ale słońce grzało na tyle mocno, że twarze skazanych oraz obserwatorów egzekucji pokryte były potem.

- W Gulliver County mamy ustawę, która mówi, że jeśli któraś z tych dam - szeryf wykonał szeroki gest w stronę stojących za nim kobiet - zechce poślubić któregoś z was, dranie, to zachowacie wasze bezwartościowe życie i wyrok nie zostanie wykonany.

Czterej skazani popatrzyli na stojące przed nimi kobiety, które obserwowały ich uważnie.

Twarz szeryfa Gaine'a wyrażała nieklamane obrzydzenie człowieka, który musi czasem stosować się do nakazów sprzecznych z jego naturą.

- Jeśli jedna z naszych pięknych dam wybierze sobie któregoś z was na męża -

powiedział - zostanie on natychmiast zaprowadzony do urzędu, gdzie odbędzie się ślub. Jeśli potem ucieknie i zerwie umowę, to złapiemy go i powiesimy. Kto nie zostanie wybrany na męża, będzie powieszony zaraz.

Mieszkańcy Gulliver County znali to przemówienie na pamięć. Szeryf wygłosił je jednak w całości, aby skazani mieli czas zastanowić się nad możliwością ułaskawienia, kiedy tłumaczył, w jaki sposób powstała ta szczególna ustawa.

Najpierw część mężczyzn z Gulliver County poszła na wojnę, potem pojawili się kawalerzyści, którzy zabrali prawie wszystkich do walki z Indianami. Na miejscu pozostało bardzo niewiele. W Passion Crossing, największym mieście okręgu, był otwarty tylko jeden bar i jeden dom publiczny z dwiema prostytutkami, które ledwie mogły zarobić na życie i miały zamiar przenieść się gdzie indziej. Nie było tu wystarczającej liczby mężczyzn, aby w sobotnią noc można było usłyszeć uliczną awanturę.

A co ważniejsze, nie było dość mężczyzn, aby obsiać pola i zebrać plony, postawić nową stodołę czy też naprawić budynki gospodarcze. W Passion Crossing nie było męskiej siły roboczej.

Szeryf Gaine zakończył swoją mowę, wypluł zwitek tytoniu do zucia i zwrócił się do kobiet, które miały brać udział w wyborze.

- Kto wylosował pierwszy numer?

- Ja - powiedziała Rosie Mulvehey, występując do przodu. Ktoś zachichotał szyderczo, ale Rosie nie zwróciła na to

uwagi. Niech się śmieją. Nikt w Passion Crossing nie mógł być bardziej zdziwiony faktem, że Rosie Mulvehey bierze sobie męża, niż ona sama.

- Nie spiesz się, Rosie. Dobrze im się przyjrzyj. Możesz im zadać parę pytań, jeśli chcesz.

Rosie przesunęła na tył głowy męski kapelusz i wytarła z czoła brudny ślad. Była trochę podenerwowana, wyjęła więc z kieszeni cienkie cygaro, zapaliła je, wydychając z przyjemnością smugę dymu. Bogobojne niewiasty patrzyły na nią ze zgrozą, ale Rosie wytrzymała ich oburzone spojrzenia.

Niegdyś czułaby się dotknięta i zawstydzona, ale to było dawno temu, w czasach, kiedy chciała być kobietą godną szacunku. Te wspomnienia były żenujące i wprawiały ją w gniew. Nosiła wtedy spódnice i zgrabne buciczki zapinane z boku na guziki. Sprowadzała nawet z Kansas City lub z Denver papiloty, aby zakręcać włosy. Wtedy jeszcze nie paliła i nie знаła smaku alkoholu.

To wszystko na niewiele się zdało. Nie zyskała aprobaty szacownych dam z Passion Crossing, które traktowały ją wtedy równie pogardliwie jak teraz, kiedy stała się czarną owcą tej bogobojnej społeczności. Chociaż wówczas Rosie nie piła, nie paliła, nie wszczyniała awantur i wszyscy doskonale wiedzieli, dlaczego chodziła poturbowana, mieszkanki Passion Crossing odwracały z niesmakiem oczy. widząc jej obrażenia - siniaki na twarzy i ciele, złamaną rękę czy też podbite oko. Chyba uważały, że ona sama zadaje sobie ból tylko po to, aby swoim widokiem urazić ich wrażliwe serca.

Teraz miały prawo obrzucać ją lodowatymi spojrzeniami i robić pogardliwe miny na jej widok. Czasami Rosie zjawiała się w mieście, upijała się i urządzała strzelaninę w barze albo paliła cygaro i wydmuchiwała dym w kierunku tych bogobojnych dam. Do diabła z nimi! Rosie Mulvehey już nigdy nie będzie kobietą godną szacunku, więc czemu nie miałyby sobie pozwalać na wszystko.

- Rosie? Rozmyślałaś się?

- Chciałam tylko zapalić - powiedziała.

Włożyła palec za pas z nabojami i przesunęła się bardziej do przodu, aby przyjrzeć się z bliska kandydatom.

Nie było w czym wybierać. Żaden ze skazanych nie wyglądał na silnego mężczyznę. W

gruncie rzeczy wszyscy przedstawiali sobą żalosny obraz. Jeden był za stary, aby podołać pracy, i Rosie natychmiast odrzuciła tę kandydaturę. Następny miał wielki, tłusty brzuch. Trzeci mógłby być brany pod uwagę, ale był zaledwie dorastającym chłopcem.

Rosie przyjrzała się uważniej ostatniemu, czwartemu mężczyźnie. Był wystarczająco wysoki, nie za

stary i nie za młody. Nie był też gruby. Był wręcz chudy. Ubrany był w szarą flanelową koszulę i luźne dżinsy. Miał ręce związane z tyłu, więc nie mogła zobaczyć, czy jego dłonie świadczyły o tym, że miał już do czynienia z pracą fizyczną. Widziała tylko jego białą skórę w wycięciu koszuli. Musiał długo nie oglądać słońca. Jego skóra była skórą więźnia. I na pewno nie był przystojny.

Co prawda uroda nie miała żadnego znaczenia. Rosie też nie mogła się nią pochwalić.

Jednak poprzedniego wieczoru, kiedy postanowiła umieścić swoje nazwisko na liście do losowania, była na tyle pijana, żeby mieć cichą nadzieję, iż jej nowy mąż będzie choć trochę przystojny. Nie miała jednak zamiaru interesować się nim bliżej, żadne romanse nie wchodziły w grę.

Ale wyczyny ubiegłego wieczoru dawały się jej teraz we znaki - nie była w stanie właściwie ocenić kandydatów. Rosie przetarła oczy, raziło ją ostre zimowe słońce, a chciała dokładniej przyjrzeć się temu mężczyźnie. Nie było to jednak proste. Połowę twarzy zasłaniał

mu ogromny siniak, ciemne włosy zwisały z czoła, a resztę przykrywały wąsy i broda.

Rosie nigdy nie widziała jeża, ale wyobrażała sobie, że twarz tego mężczyzny przypomina jego mordkę: wystający nos i ledwie widoczne oczka w gęstwinie włosów.

Dokładniejsza ocena jego wyglądu nie była właściwie możliwa.

Do tego wszystkiego cierpiała potwornie z powodu kaca, co nie pozwalało jej na niczym się skoncentrować. Nawet gdyby nie przeszkadzało jej w tym słońce, nie mogłaby się dokładnie przypatrzeć temu, podobnemu do jeża, mężczyźnie. Ile razy odchyłała do tyłu głowę, aby go lepiej obejrzeć, miała uczucie, jakby w jej mózg wbijał się nóż.

Rosie skrzywiła się z bólu, rzucając szybkie spojrzenie w kierunku baru. Oddałaby teraz połowę swojego ziarna na zasiew, żeby móc wpaść do Harolda na szybkiego drinka.

- Rosie? - zadudnił nagle głos szeryfa w jej obolałej głowie. - Kiedy powiedziałem, żebyś się nie spieszyła, nie miałem na myśli całego dnia.

- Zastanawiam się - mruknęła z niezadowoleniem. Tak poważna sprawa nie znosiła pośpiechu.

Kiedy ponownie spojrzała na skazańców, zauważyła, że ten podobny do jeża również uważnie się jej przygląda. Z powodu spuchniętej połowy twarzy patrzył na nią jednym okiem.

- Czy znasz się na pracy na farmie? - spytała wreszcie.

Jej głos zabrzmiał ochryple po tak wielu wypitych szklankach whisky. Przez chwilę poczuła się zażenowana, ale w końcu przez całe życie musiała się czegoś wstydić.

- Nigdy nie pracowałem na farmie.

Mężczyzna podobny do jeża również miał ochrypy głos. Pewnie dostał silny cios w gardło. Szeryf Gaine nie rozpieszczał skazanych.

Ta odpowiedź zdumiała ją. Rosie nigdy jeszcze nie słyszała, aby skazany odpowiedział

przecząco na tego typu pytanie. Jeśli to miało oznaczać wybór między życiem a śmiercią, każdy z nich przysięgłby nawet, że posiada skrzydła i potrafi zrobić z nich użytek, gdyby odniósł

wrażenie, że rozmawiającej z nim kobiecie może na tym zależeć.

Popatrzyła na mężczyznę z zainteresowaniem.

- Jesteś skazany za zabójstwo. Czy zabiłeś tego człowieka?

- Tak.

Ta odpowiedź zaszokowała ją. Ledwie wierzyła własnym uszom. I nie tylko ona. W

zgrupowanym tłumie dał się słyszeć cichy pomruk.

- Czy strzelałeś mu w plecy?

Jedynie widoczne oko skazanego zwęziło się, poruszył szczęką, jakby oburzony tym pytaniem.

- Był odwrócony przodem.

To było w porządku. Rosie nie przeszkadzało to, że jej ewentualny mąż zabił jakiegoś mężczyznę; niektórych koniecznie trzeba było zabić. Sama najlepiej o tym wiedziała.

Rosie założyła obie dłonie za pas z nabojami, wyprostowała się, starając się skoncentrować, ale przed oczami latały jej czarne płatki, a stojący pod szubienicą mężczyzna miał zamazane kontury. Po raz tysięczny przysięgła sobie, że nie weźmie już do ust whisky.

Przynajmniej do najbliższego wieczoru.

- Czy chcesz się nauczyć pracy na roli?

Mężczyzna popatrzył na nią zdrowym okiem i nie odezwał się. Każdy na jego miejscu przytaknąłby gorliwie. Mogłoby się wydawać, że zupełnie nie zależy mu na życiu. Nie składał

żadnych obietnic.

- Rosie? - szeryf zaczynał już tracić cierpliwość.

- Wezmę tego - postanowiła, wskazując na skazanego podobnego do jeża. Wydawał się najlepszy z nich wszystkich, chociaż również niewiele wart.

Rosie wzruszyła ramiona i poszła w kierunku budynku sądowego, podczas gdy inne kobiety dokonywały wyboru. Zapaliła kolejne cygaro, nie zważając na szacowne niewiasty.

One jednak nie zwracały teraz uwagi na Rosie. Były rozczarowane, że w Passion Crossing nie będą

dzisiaj wieszać przestępców. Zbiorowy ślub nie interesował nikogo poza jego uczestnikami.

Rosie patrzyła zmrużonymi oczami, jak zastępca szeryfa, Sands, zdejmuje pętle z szyj skazanych i rozwiązuje im ręce. Wszyscy zostali wybrani, chociaż Rosie nie rozumiała, jaki pożytek można było mieć ze starego mężczyzny czy też tego z wielkim brzuchem. Wskazywało to tylko na desperację kobiet w Gulliver County. Każdy mężczyzna był lepszy niż brak mężczyzny - tak się wszystkim wydawało. Kto mógłby temu zaprzeczyć? Jak sama kobieta ma obsiać pole? Albo podołać żniwom? Jak może utrzymać w porządku dom, budynki gospodarcze i ciągnące się na wiele kilometrów ogrodzenia?

Rosie potrząsnęła głową - i natychmiast pożałowała tego ruchu - zdusiła butem niedopałek cygara i podeszła do swego wybranka, ponieważ szeryf wprowadzał już skazanych i ich przyszłe żony do gmachu sądu.

W budynku było chłodniej niż na słońcu, ale przynajmniej nie było wiatru. Sala była mroczna i niemiała, jak wszystkie sale sądowe.

Pastor Paulson już na nich czekał, stojąc obok ławki przeznaczonej dla sędziów. Spojrzał na Rosie znad swoich okularów.

- Zdejmij kapelusz, Rosie.

Popatrzył z niechęcią na jej męską koszulę roboczą, pas z nabojami i brudne bryczesy ze skóry jelenia, na jej pokryte kurzem włosy, które ukazały się spod kapelusza. Z westchnieniem zabrał się do wykonywania swoich obowiązków.

- Moi drodzy, zebraliśmy się tutaj...

Rosie stała obok swego wybranka w środku grupy przyszłych nowożeńców, myśląc, że powinna coś odczuwać. Nie był to jednak ślub, o jakim młoda panna mogłaby marzyć. Dawno temu, kiedy Rosie miała jeszcze marzenia, zanim pojawił się On, wyobrażała sobie dokładnie dzień swojego ślubu, wszystko, oprócz osoby pana młodego. On zawsze jawił się jej jakby za mgłą, wiedziała jednak, że jej przyszły mąż będzie przystojny i będzie mu bardzo na niej zależało. Takie miała głupie marzenia.

- Do diabła, okropnie śmierdzisz - powiedziała z obrzydzeniem, odsuwając się od niego.

Rosie bywała już w więzieniu, oskarżana o zakłócanie porządku po pijanemu i dobrze знаła ten szczególny zapach, ale teraz był on wyjątkowo silny.

- Bardzo mi przykro. Gdybym wiedział, że dzisiaj będę brał ślub, tobym pokropił się whisky - powiedział, nie patrząc na nią.

- Lepiej jest śmierdzieć whisky niż kryminałem - syknęła Rosie.

Do czego to doszło, żeby skazany na śmierć morderca mógł robić sarkastyczne uwagi, skierowane do kobiety, która go uratowała.

Pastor Paulson rzucił im surowe spojrzenie.

- Czy chcecie, panowie, wziąć te damy za żony?

Wszyscy, z wyjątkiem podobnego do jeża mężczyzny, wykrzyknęli ochoczo tak.

Wyglądało na to, że on musi jeszcze przemyśleć tę sprawę. Dopiero kiedy dostał od Rosie kuksańca, wymamrotał po dłuższej chwili.

- Niech mi Bóg przebaczy. Tak.

Był to policzek dla Rosie, żeby taki jeż musiał się zastanawiać, czy lepsze od stryczka jest wzięcie z nią ślubu.

- Czy panie chcą wziąć tych panów za mężów?

Rosie nie odpowiedziała. Chciała zemścić się na nim i przypomnieć mu o groźbie szubienicy.

Pastor Paulson uniósł brwi do góry i spojrzał na nią znad swoich okularów.

- Rosie?

Rosie kołysała się na obcasach, udając, że się zastanawia. Potrząsała głową, chociaż ten ruch sprawiał jej cierpienie. Wszyscy wpatrywali się w nią, kiedy spokojnie zaczęła oglądać swoje dłonie z miną wyrażającą brak zdecydowania.

- Rosie Mulvehey. Czy chcesz, czy też nie chcesz wziąć tego mężczyzny za męża?

Rosie nie odezwała się. Czekala na błagalne spojrzenie jeża albo inny dowód jego niepokoju. Zawiodła się jednak. Wreszcie, zirytowana, machnęła lekceważąco ręką.

- Chyba muszę. Tak.

- Stwierdzam więc, że jesteście poślubieni na mocy prawa. Panowie, możecie teraz pocałować panny młode.

Patrząc, jak wszyscy trzej mężczyźni rzucili się całować swoje kobiety, Rosie położyła dłoń na jednym ze swoich rewolwerów i rzuciła wymowne spojrzenia w kierunku jeża. Wzrok jej mówił wyraźnie, że wolałaby go zastrzelić, niż pocałować.

Zobaczyła jednak, że jej nowy mąż nie ma w ogóle takiego zamiaru. Stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

Chociaż Rosie nigdy nie uchylała się przed cudzym spojrzeniem, ta sytuacja z lekka ją peszyła. Po pierwsze, mężczyzna jeż był wyższy, niż jej się wydawało. Sięgała mu ledwie do ramienia. Kiedy podnosiła wzrok, jej skacowaną głowę przenikał ostry ból. Była jednak do tego przyzwyczajona. Zagryzła wargę i spojrzała mu w oczy, a raczej w jedno widoczne oko.

To oko wprawiało ją również w niepokój. Tak intensywnie niebieskiego oka nie widziała jeszcze u żadnego mężczyzny.

- Jeśli będziesz próbował mnie pocałować, to wpakuję ci kulę w krocze - powiedziała, pocierając piekące oczy.

- Ani mi to w głowie.

- To dobrze.

Nadal mierzyli się wzrokiem, kiedy pozostałe pary, trzymając się pod ręce, kierowały się już do drzwi. Rosie musiała przyznać, że jeź wykazywał dużą odporność w tym pojedynku. Jego jedyne widoczne oko było już zaczerwienione i zaczęło zasnuwać się łzami, ale nie mrugnął

ani nie odwrócił wzroku. Ona również nie odwracała wzroku, chociaż czuła już piasek pod powiekami.

- Policzę do trzech i wtedy oboje skierujemy się do drzwi -mruknęła przez zęby.

- Dobrze.

Rosie tak bardzo chciała wygrać w tym pojedynku, że nie dotrzymała słowa i nie odwróciła wzroku, kiedy doliczyła do trzech. On również nie ruszył się z miejsca. To ją tak zaskoczyło, że wybuchnęła śmiechem. Ale najpierw uderzyła go w brzuch na tyle mocno, że musiał mrugnąć okiem. To mrugnięcie dało jej zwycięstwo.

Skierowała się do wyjścia. Blask śniegu uderzył ją w oczy tak mocno, aż jęknęła, opuszczając rondo kapelusza na twarz. Szła zdecydowanie w kierunku sklepu, przed którym zostawiła swoją bryczkę. Ale z każdym krokiem jej głowa pulsowała coraz nieznośniej bólem.

- Czy to twój koń?

Mężczyzna jeź zbliżył się do Ivanhoe'a i poklepał go po szyi.

- To świetny koń. Za dobry na to, aby używać go do zaprzęgu.

- Ivanhoe jest jedynym koniem, jaki mi pozostał. Wojsko skonfiskowało wszystkie nasze zwierzęta.

Rosie z zachmurzoną twarzą wsiadła do bryczki i ujęła lejce,

- Wsiadaj!

Nie odezwała się więcej, dopóki nie minęli szubienic, które właśnie rozbierano.

- Nie mam pieniędzy na kupno konia pociągowego, nawet gdyby znalazł się jakiś na sprzedaż.

- Nie wolno takiego konia zaprzęgać do bryczki.

Rosie już teraz wiedziała, kim był ten mężczyzna. Jego postawa, sposób, w jaki dotykał

Ivanhoe'a, spłowiałe niebieskie spodnie, klamra u paska z otoczonym srebrnym wieńcem orłem mówiły same za siebie.

- Kawaleria - powiedziała. - Klamra u paska wskazuje na oficera.

Nie zaprzeczył.

- No więc? - spytała, ponieważ przejechali już kilometr, a on się nie odzywał. - Jeśli jesteś wojskowym, to dlaczego nie nosisz pełnego munduru? I dlaczego byłeś sądzony przez sąd cywilny?

Ten mężczyzna zachowywał się tak, jakby jej w ogóle nie słyszał. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami wpatrywał się w pokryte śniegiem pola. Zimny wiatr rozwiewał mu włosy, ukazując liczne sińce na czole. Rosie zrozumiała, że został niemiłosiernie pobity. Będzie wymagał

opieki, zanim zdoła się sam na coś przydać.

- Możesz mi opowiedzieć o sobie - powiedziała, starając się nie okazywać irytacji.

- Zostaliśmy poślubieni. Mam prawo wiedzieć, z kim się związałam.

- Wiesz, dlaczego ja zgodziłem się na to małżeństwo. A ty?

To, że unikał pytań, irytowało Rosie, uznała jednak, że jego ciekawość jest uzasadniona.

- Potrzebuję tanich rąk roboczych - powiedziała, wzruszając ramionami. - Tutaj nie ma nikogo do wynajęcia. Wyjście za mąż za skazańca wydawało się najlepszym sposobem, a właściwie jedynym, żeby mieć pomocnika na farmie.

Mężczyzna nie był rozmowny. Znowu milczał, patrząc na rozpościerającą się przed nim prerię, jakby tam rzeczywiście było coś do zobaczenia. Ale wokół było zupełnie pusto. Jedynie samotny krogulec unosił się nad bezkresną przestrzenią pokrytej śniegiem trawy. Nie było widać żadnego drzewa. Dopiero przy farmie Rosie będzie mógł zobaczyć drzewa rosnące wzdłuż strumienia Passion Creek.

- Kim był ten mężczyzna, którego zabiłeś? - spytała Rosie kiedy przejechali kolejny kilometr. Specjalnie jej to nie interesowało, ale uważała, że lepiej jest rozmawiać, niż patrzeć na opustoszałą prerię. Chciała również zapomnieć o swoim kacu, o którym jej przypominał

każdy wybój na drodze.

- Czy słyszałaś o masakrze w Stone Toes?

- Do Passion Crossing docierają wiadomości ze świata - powiedziała, wiedząc, że gruntownie mija się z prawdą. - Słyszeliśmy o Stone Toes. To wydarzyło się niedaleko Denver, prawda? - usiłowała sobie przypomnieć. - To była jakaś wielka bitwa.

Mówiono jeszcze o czymś, ale zbyt bolała ją głowa, żeby mogła to sobie przypomnieć.

- Wielka bitwa - powtórzył mężczyzna z goryczą w głosie. - Indianie nie oddali ani jednego wystrzału. Dwa oddziały kawalerii wjechały do Stone Toes Gulch i wyrzuciły wszystkie kobiety i dzieci w obozie. Nie było tam żadnego mężczyzny. Wszyscy wojownicy byli na polowaniu.

Rosie odwróciła się, aby popatrzeć na niego z bliska.

- Chyba słyszałam, że to, co się wydarzyło w Stone Toes, było oburzające. Potem mówiono, że to nieprawda i że to była bohaterska bitwa. Byłeś tam?

- Tak.

- No i co?

- Niektórzy nie mogą pogodzić się z tym, że wojna z Indianami już się skończyła. -

Przezesął ręką swoje zmierzwiłone włosy. - Szukają okazji do walki, nie zważając na to, czy jest ona usprawiedliwiona, czy też niesłuszna. - Jego niebieskie oko błyszczało z podniecenia. -

Indianie w Stone Toes Gulch mieli zezwolenie na założenie tam obozu.

Ta historia zainteresowała Rosie. Puściła wolno lejce, Ivanhoe potrafił sam znaleźć drogę do domu, i całą uwagę skierowała na towarzyszącego jej mężczyznę, który chwiał się na siedzeniu, jakby za chwilę miał spaść z bryczki.

- A więc najechałeś na wioskę nieuzbrojonych kobiet i dzieci? - spytała.

Mężczyzna wyprostował się na siedzeniu i objął dłońmi kolana tak silnie, aż zbieleły mu nadgarstki.

- Odmówiłem wykonania rozkazu. Odprowadziłem swój oddział do garnizonu.

Rosie mogła już domyślić się reszty. Nie traktowano pobłaźliwie oficerów, którzy odmawiali wykonania rozkazów.

- Oddano cię pod sąd wojenny. Zdegradowano.

Nie odpowiedział, wystawiając twarz na chłodne podmuchy wiatru.

- Co to wszystko ma wspólnego z mężczyzną, którego zabiłeś?

- Czy zawsze zadajesz tyle pytań?

- Zupełnie mnie nie obchodzi ta twoja historia. - Rosie zaczerwieniła się ze złości. - Ale możesz być pewien, że wszyscy w Gulliver County będą ją znali jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Więc ja też powinnam ją znać. Jeśli ktoś zrobi uwagę na ten temat, to muszę wiedzieć, czy mam mu wybić zęby, czy przełknąć to, co powie, i odejść. Nie dbam o to, kim jesteś i co zrobiłeś. Muszę tylko wiedzieć

to, co będą wiedzieć wszyscy, żebym przygotowała się na upokorzenia, które przyjdzie mi znieść. O to tylko mi chodzi.

Myślała, że jej nie odpowie, i zaczęła ogarniać ją wściekłość. Odezwał się po dłuższej chwili.

- Byłem kapitanem w Jedenastym Pułku Kawalerii. Odmówiłem wykonania rozkazu wydanego przez wyższego rangą oficera i zostałem karnie usunięty z wojska. - Uniósł wzrok w stronę zimowego nieba. - Gdyby mój przełożony nie doprowadził do postawienia mnie przed sądem wojskowym, prawda o Stone Toes nigdy nie wyszłaby na jaw i ci mężczyźni mogliby nadal udawać bohaterów. A w tej sytuacji „Rocky Mountain News” napisało sprawozdanie z procesu i wyjawilo prawdę. Spluwano na ulicy na widok tych samych mężczyzn, których przedtem noszono na rękach.

- I dobrze robiono, bo oni dopuścili się przestępstwa.

Popatrzył na nią, ale nie mogła odgadnąć, o czym myślał.

- Jeśli chce się zniszczyć stado wilków, to nie zabija się tylko samców. Zabija się również samice i szczenięta. W ten właśnie sposób większość żołnierzy potraktowała Stone Toes.

Większość ludzi w pułku obarczała mnie winą za to, że ci, którzy nie uznawali mordowania kobiet i dzieci, zwrócili się przeciwko nim. Jeden z żołnierzy przysiągł mi zemstę, uzyskał urlop i podążył za mną na Wschód. - Wzruszył ramionami. - Luther Radison przestrzelił mi nogę. Ja strzeliłem mu w pierś. Umarł.

- Więc dlaczego nie zostało to potraktowane jak samoobrona? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, dlaczego skazali cię za morderstwo? .

- Znasz Gulliver County lepiej niż ja.

Rosie zastanawiała się nad tym, potrząsając lejcami.

- Czytałam o tym procesie. W gazecie napisano, że człowiek kamie usunięty z wojska za hańbiący postępek zamordował bohatera wojennego, przy którym znaleziono wycinki z gazet świadczące o jego czynach. W taki właśnie sposób sędzia ocenił tę sytuację.

Mężczyzna nie odezwał się. Jechali w milczeniu, chowając głowy przed ostrym wiatrem. Siedzenie bryczki było wąskie i dotykali się biodrami, ale nie zwracali na to uwagi.

Było im w ten sposób trochę cieplej. Po dłuższym czasie mężczyzna odezwał się znowu.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- To powiedz.

Rosie była przemarznięta, a każdy obrót kół bryczki odczuwała jak uderzenie młota w głowie. Myślała z utęsknieniem o stojącej na półce w pokoju butelce whisky.

Mężczyzna odezwał się dopiero wtedy, kiedy widać było już farmę. Słowa z trudem wydostawały mu się z gardła.

- Jestem ci winien wdzięczność za ocalenie życia.

- Pewnie, że tak.

Patrzył na farmę i zaniedbane budynki gospodarcze, Ale przynajmniej rosło tam trochę topoli wzdłuż strumienia. Można było oprzeć na nich wzrok, kiedy widok płaskiej, bezkresnej prerii doprowadzał człowieka do rozpacz.

- Mówiłaś, że potrzebujesz pomocy na farmie.

- Gdybym mogła sama zrobić zasiewy i zebrać plony, to na pewno nie brałabym sobie męża. Próbowałam już i wiem, że nie jestem w stanie obrobić tyle ziemi, aby mieć z tego zysk.

- Pomogę ci obsiać pole i pomogę w zbiorach. Jestem ci to winien. Potem będę musiał odejść.

- Nie ma mowy o odejściu - powiedziała zaskoczona Rosie.

- Rosie - tak masz na imię, prawda? Mam zobowiązania na Wschodzie. - Jego zdrowe oko wyrażało coś w rodzaju bólu. -Będę tam musiał wrócić.

- Jesteśmy małżeństwem.

- To nie jest prawdziwe małżeństwo. Jest to rodzaj umowy handlowej. Potrzebujesz pomocnika, a ja chętnie nim zostanę, aby ci się odwdzińczyć za uratowanie mi życia.

Przynajmniej przez jakiś czas.

- Twoje zobowiązania na Wschodzie zostały anulowane w chwili, kiedy zastępca szeryfa Sands założył ci pętlę na szyję! Teraz masz jedynie zobowiązania w stosunku do mnie!

Jeśli spróbujesz uciec, zanim uda mi się zarobić na zniwach, to odnajdę cię i zabiję.

Przysięgam!

Rosie zacisnęła zęby, jej zmrużone oczy ciskały błyskawice.

- Ta farma musi osiągnąć dobre wyniki. Czy rozumiesz? Jeśli nie w tym sezonie, to w następnym. A jeśli nie w następnym, to w kolejnym. - Ścisnęła mocno rękę colta. - Kiedy nasze zbiory przyniosą dochód, to nie będzie mnie obchodzić, co się z tobą stanie. Jeśli będziesz chciał jechać na Wschód, sama odwiozę cię na pociąg. Ale jeśli mi uciekniesz, zanim ta farma zacznie przynosić zysk, przysięgam, że będę cię ścigać i posiekam na kawałki, nawet jeśli miałoby to zająć resztę mojego nieszczęsnego, nic niewartego życia!

Rosie zorientowała się, że poniósł ją gniew i ujawniła więcej, niż zamierzała. Zebrała lejce, zmuszając Ivanhoe'a do kłusa. Patrzyła teraz na swoją farmę, tak jak ją musiał widzieć ten obcy mężczyzna.

Jej gospodarstwo nie robiło dobrego wrażenia. Budynek mieszkalny był zbudowany z drewna, ale od trzech lat nie był malowany. Również stodoła i inne budynki były w widoczny sposób zaniedbane.

Wszystkie były w złym stanie, a niektóre dachy wygięte pod ciężarem śniegu. Nędzne resztki ogrodu leżały na ziemi, przewrócone przez wiatr i zbłąkane stada bydła. Pozbawione liści drzewa przy strumieniu również nie przedstawiały miłego widoku.

Rosie obrzuciła wzrokiem swoją posiadłość, westchnęła i natychmiast pomyślała o butelce whisky.

Kiedy zatrzymała bryczkę przed domem, zjawił się John Hawkins, patrząc z zainteresowaniem na obcego mężczyznę. Rosie zauważyła, że John Hawkins odświeżył swoją garderobę. Jego długie włosy okrywał kapelusz, marynarkę miał wyczyszczone. Na pewno Lodisha zajęła się jego bryczesami z jeleniej skóry, ponieważ wyglądały jak nowe. Twarz Rosie złagodniała na jego widok. Tak mało jasnych punktów było w jej życiu, jednym z nich był ten stary Indianin. Również Lodisha, niegdyś niewolnica, najlepsza kucharka w Kansas.

Kiedy Rosie okrążyła bryczkę, John Hawkins i przywieziony przez nią mężczyzna stali, patrząc na siebie.

- To jest John Hawkins - powiedziała. - John Hawkins był niegdyś Indianinem. Znam go od bardzo dawna.

Wiedząc, że John Hawkins przywiązuje wielką wagę do form towarzyskich, Rosie chciała uczynić zadość formalności.

- John Hawkins, to jest... - urwała nagle.

Była mężatką już od paru godzin, a nie знаła nazwiska swojego męża.

Bowie Stone,

- Kapitan Bowie Stone - poprawił go John Hawkins.

- Już nie.

- Skąd to wiesz? - zdumiona Rosie zwróciła się do Johna Hawkinsa.

- Gdybym był nadal Indianinem, uściskałbym cię jak brata - powiedział John Hawkins poważnym tonem. - Teraz mogę tylko prosić o zaszczyt uściśnięcia twojej dłoni.

Czując się niezręcznie, Bowie ujął dłoń starego człowieka. Twarz Johna Hawkinsa miała szczególny, znany mu już wyraz. Stary Indianin uważał, że przeżył swoją epokę. We własnej kulturze wybrałby odległe miejsce i położył się tam, w jasny słoneczny dzień, aby umrzeć.

- Skąd znasz Bowieego Stone'a? - Rosie wpatrywała się w Johna Hawkinsa.

John Hawkins ścisnął dłoń Stone'a, patrząc mu w oczy.

- To dobrze - powiedział tylko, zanim wypuścił jego rękę. I poprowadził Ivanhoe'a do stajni.

Wiejący od zaśnieżonych pól wiatr przewiewał Bowiego na wskroś. Dopiero teraz, kiedy opuściło go odrętwienie, zorientował się, że nie ma na sobie kurtki ani kapelusza. Włożył ręce do kieszeni i jeszcze raz obrzucił wzrokiem rozpadające się budynki i niekompletne ogrodzenie.

Kiedy Rosie Mulvehey mówiła, że potrzebuje pomocy, nie wyobrażał sobie, że może go czekać tak trudne zadanie. Doprowadzenie farmy do porządku i przekształcenie suchej prerii w żyzne pola uprawne wydawało się przedsięwzięciem zupełnie beznadziejnym.

Nie mógł uwierzyć, żeby można było tak kochać tę nędzną farmę i mało obiecującą ziemię, aby dla jej ratowania zdecydować się na ślub ze skazańcem.

Nie potrafił również rozgryźć samej Rosie Mulvehey. Od razu zwrócił na nią uwagę, tak się wyróżniała z tłumu kobiet z Passion Crossing. Widział trochę kobiet tego typu na odległych placówkach, należały jednak one do rzadkości w stałych osiedlach.

Zdziwił go fakt, że w ostatnich chwilach życia postać Rosie mogła przykuć jego uwagę.

To, że pozostał przy życiu, graniczyło z cudem. Jeszcze niezupełnie zdawał sobie z tego sprawę.

Pogodził się z myślą o śmierci, życie przestało go interesować od chwili, kiedy pozbawiono go godności i uniemożliwiono dalszą służbę w kawalerii. A teraz stał na podwórzu zaniedbanej farmy, którą miał doprowadzić do świetności.

Lista jego grzechów powiększyła się o zawarcie małżeństwa z tą dziwną kobietą. Było tego już

trochę za wiele.

- Ależ z ciebie obszarpana mizerota.

Bowie podniósł głowę w kierunku głosu dobiegającego z ganku. Pulchna czarnoskóra kobieta wycierała ręce nieposzlakowane białym fartuchem i mierzyła go surowym spojrzeniem.

- To jest Lodisha - powiedziała Rosie, uśmiechając się szeroko. - Kiedy Lodisha nie gotuje i nie sprząta, wtedy dyryguje nami i daje się dobrze we znaki.

Lodisha zeszła szybko ze schodków i podeszła do Stone'a, aby pomacać jego mięśnie.

- Boże, jaki ten skazaniec jest chudy - wymamrotała, z dezaprobatą potrząsając głową. -

Nie myśl, że przejdiesz w tych butach przez mój salon i że naniesiesz tam smrodu. Wejdiesz przez drzwi kuchenne i po drodze zabierzesz wannę z komórki. Przede wszystkim musisz się pozbyć tego więziennego fetoru.

- Zrób, jak ci mówi. - Rosie nie schodził uśmiech z twarzy. - Nie wygrasz z Lodishą.

- Ty się najpierw wykup - powiedział.

- Zrobię to, kiedy będę chciała - Rosie zmarszczyła brwi. - Nie będziesz wydawał mi rozkazów, rozumiano?

Sądząc po przekrwionych oczach swojej oblubienicy i trzęsących się rękach, Bowie mógłby przysiąc, że pogna ona natychmiast do schowka, gdzie trzyma butelkę. Najlepszym lekarstwem na kaca był łyk tej samej trucizny. Rosie nie ruszała się jednak z miejsca, patrząc na niego wyzywającym wzrokiem.

Bowie zacisnął zęby - w końcu kaca Rosie nic go nie obchodził. Obszedł dom i natrafił na komórkę, przy której stała beczka z wodą. Zatrzymał się na chwilę, aby złapać oddech.

Wydawało mu się, że słyszy głos Rosie. Zaciekawiony, przeszedł obok drzwi kuchennych i przystanął po drugiej stronie domu. Zobaczył, że Rosie stoi przy obłożonym kamieniami grobie.

W przyćmionym świetle rysy jej twarzy nabrały łagodnego wyrazu i Bowie doszedł do wniosku, że Rosie Mulvehey mogłaby być atrakcyjną kobietą, gdyby trochę o to zadbała. Po wyglądzie brudnych kosmyków opadających spod przepoconego kapelusza trudno było ocenić, jaki ma kolor włosów. Widać było tylko, że ma zgrabne nogi, ale ogromna męska koszula, na którą miała narzucone stare poncho, nie pozwalała ocenić kształtu jej piersi.

Jej piwne oczy były przyćmione, a rzęsy zlepione. Można się było tylko domyślać, że są gęste i długie.

Nie bił od niej również zapach czystości, tylko whisky, tytoniu i potu. Bowie nie dziwił

się, że jedyną szansą na znalezienie męża było dla niej wzięcie go spod szubienicy w Gulliver County. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego robiła wszystko, aby wyglądać jak najgorzej.

Nigdy nie spotkał kobiety, która chciała być brzydka.

Rosie przemawiała teraz do grobu, który znajdował się na podwórzu.

- Jestem teraz mężatką - powiedziała, kopiąc kamień obramowania. - Nigdy nie przypuszczałeś, że to się stanie, prawda? Ja też nie. Ale wyszłam za męża i ta farma zacznie przynosić zyski!

Bowie poczuł się niezręcznie i wycofał zza rogu. Wyciągnął z komórki blaszaną wannę.

Jej ciężar uświadomił mu, jak bardzo jest poraniony i słaby.

Dźwigał właśnie wannę, gdy w drzwiach kuchni ukazała się nagle brązowa ręka i wciągnęła go do środka.

Dwanaście lat spędzonych w wojsku pozbawiłoby każdego nadmiernej wstydlivosti, gdyby takie skłonności posiadał. Nie można było jednak przenosić obyczajów panujących w wojsku w bardziej cywilizowane środowiska. Bowie płonił się ze wstydu, kiedy Lodisha zaczęła go bezceremonialnie rozbierać, po czym popchnęła go w kierunku wanny, którą napełniła gorącą wodą.

- Same szmaty - powiedziała, obejrzawszy jego ubranie, zanim rzuciła je do pieca. - Nie nadają się nawet na łaty - dodała, obrzucając jego nagą postać uważnym spojrzeniem. - Wchodź do wanny, kapitanie.

John Hawkins wrócił ze stajni, kiedy Bowie zanurzał się w wodzie. Kierując się do pieca, na którym perkotało naczynie z kawą, dokładnie przyjrzał się nagiemu, posiniaczonemu ciału w wannie.

Bowie zaklął po nosem, czując, że się czerwieni. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezbronny. Dobrze, że chociaż Rosie nie było. Gdyby weszła do domu, miałyby również okazję oglądania go nagiego, ponieważ kuchnia i bawialnia stanowiły jedną całość. Lodisha, która kazała mu wejść od strony kuchni, uznawała widocznie za bawialnię obszar leżący najbliżej drzwi frontowych. Za kuchnię uważano przestrzeń przy bocznych drzwiach. Ten podział istniał jedynie w wyobraźni, na ile Bo wie mógł się zorientować.

Dopiero kiedy zanurzył się w wannie i jego zbolęła skóra odczuła błogosławione skutki ciepłej wody, zidentyfikował niewidzialną linię, która oddzielała kuchnię od bawialni.

Należąca do bawialni część pomieszczenia umeblowana była zniszczonymi krzesłami, przed którymi stały podnóżki. Podłoga z desek przykryta była plecionym z kawałków materiału dywanem. Był tam również stół, na którym stała lampa, a pod oknem półka na książki.

Podnóżki pokryte były spłowiałym kretonem w kwiatki. Zastłony w oknach były z tego samego materiału. Rosie, czy też Lodisha poprzyklejały na ścianach kolorowe okładki pism.

Obok stojącej na stole lampy Bowie zauważył dzbanek z zeschniętymi słonecznikami.

Zanim zdążył wszystko dokładnie obejrzeć, poczuł podmuch zimnego wiatru; to Rosie ukazała się w drzwiach bawialni. Powiesiła poncho i kapelusz na kołku, podeszła do półki i naląła dużą porcję whisky do blaszanego kubka. Wychyliła jego zawartość i westchnęła z ulgą.

Kiedy Bowie zorientował się, że Rosie zmierza w jego stronę, usiadł w wannie i zaczął się rozglądać za jakimś ręcznikiem. Woda już nie parowała i jego nagość była dokładnie widoczna.

- Chcesz drinka? - spytała Rosie, stając nad nim i wpatrując się w wodę.

Bowie szybko przykrył dłońmi genitalia, gdyż tam właśnie skierowany był wzrok Rosie.

- Och, na litość boską! Twoje podbrzusze zupełnie mnie nie interesuje - powiedziała lekceważąco. - Jeśli się to widziało u jednego mężczyzny, to widziało się u wszystkich. Jeśli chcesz znać moją opinię, to żaden z was nie ma czym się chwalić. Chcesz drinka czy nie?

Z trudnością pohamował gniew i odpowiedział twierdząco. Rosie wzięła kubek i naląła do niego dużą porcję whisky. Podała mu kubek z szerokim uśmiechem na twarzy - musiał

odkryć swoją nagość, aby po niego sięgnąć.

Bowie zaklął pod nosem. Ta sytuacja sprawiała jej przyjemność, po prostu drwiła z niego.

Tego ranka nie wiedział nawet o istnieniu tych ludzi, a teraz kąpał się przy dwóch kobietach i mężczyźnie, którzy dokładnie przyjrzeni się jego nagiej postaci, a potem wrócili do własnych spraw, jakby to było zupełnie naturalne zachowanie, Lodisha zajęła się stojącymi na piecu garnkami, John Hawkins siedział przy stole, pił kawę, trzymając w ręku pożółkłą gazetę.

Rosie Mulvehey stała nad wanną, z butelką w jednej ręce, a kubkiem w drugiej, i wyglądała tak, jakby obcy mężczyźni w kąpeli byli w jej kuchni codziennym zjawiskiem.

Bowie wyciągnął rękę z wody i wziął od niej kubek. Jednym haustem wychylił jego zawartość i podał go do powtórnego napełnienia. Rzadko pił, ale to był wyjątkowo ciężki dzień.

Rosie napełniła jego kubek, po czym, bez cienia wstydu, nachyliła się nad wanną i zaczęła przyglądać się uważnie jego nagiemu ciału.

- Co, u diabła, wyprawiasz?! - krzyknął Bowie, starając się osłonić przed jej wzrokiem.

Jego policzki pałały. Lodisha i John Hawkins spojrzeli na niego, ale zaraz wrócili do swoich zajęć.

Rosie usiadła okrakiem na stojącej przy stole ławce, popijając whisky ze swojego garnuszka.

- Ktoś cię nieźle urządził, chłopcze. Widać gołym okiem, że jesteś jedną wielką raną.

Czy to zrobił szeryf Gaine? Czy ta kanalia Sands?

- To nie twój interes - powiedział Bowie, wściekły na tak bezceremonialne traktowanie.

- Chcę wiedzieć, kiedy będziesz zdolny do pracy - wzruszyła ramionami Rosie. - Musimy zreperować ogrodzenie, zanim zacznie się orka.

Kapitan będzie mógł wykonywać lżejsze prace już w przyszłym tygodniu - powiedział

John Hawkins znad swojej gazety.

- Też mi się tak wydaje - zgodziła się Rosie, jakby Bowie nie miał tu nic do powiedzenia.

Przy wannie pojawiła się nagle Lodisha. Zanim Bowie zorientował się w jej zamiarach, namydliła jego pierś, ramiona i plecy kawałkiem ługowego mydła, które rozpuściło więzienny brud na jego skórze. Rosie i John Hawkins obserwowali z rozbawieniem tę scenę.

- Teraz wstań, kapitanie. Nie można zapominać o nogach.

Silne ręce poderwały go do góry i Lodisha zaczęła namydlać mu pośladki, uda i łydki przed audytorium złożonym z Johna Hawkinsa i Rosie Mulvehey. To upokarzające być traktowanym jak małe dziecko.

- Jest chudy jak szczapa - odezwała się Rosie.

Przez dłuższą chwilę przypatrywała się uważnie jego pośladkom i udom; nagle zaczerwieniła się i wstała od stołu.

- Wychodzę na dwór zapalić.

Drzwi kuchenne zamknęły się za nią z trzaskiem. Widać było wyraźnie, że Lodisha nie aprobuje jej nagłego odwrotu. Wepchnęła Bowiego z powrotem do wanny, aby go opłukać, umyć mu włosy i brodę. Z ledwością stłumił okrzyk bólu, kiedy mydło dostało się do podpuchniętego oka.

- Sam się wytrę - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Lodisha odepchnęła jego ręce i wytarła go sama. Potem podała mu koszulę i spodnie, o wiele na niego za duże. Kiedy ściągnął je paskiem, materiał pofałdował się na biodrach.

- Lepsze to niż te łąchy, w których się pojawiłeś - powiedziała.

- Jest tu jeszcze ktoś, komu przydałaby się kąpiel - zauważył kwaśnym tonem.

- Masz świętą rację, kapitanie. - Lodisha zmarszczyła brwi. - Ale ja mam specjalną umowę z Rosie. Ona godzi się na kąpiel po nocy spędzonej w więzieniu, więc kiedy indziej nie zmuszam jej do tego.

Bowie zobaczył, że Lodisha ostrzy brzytwę na skórzanym pasku.

- Sam się ogolę.

- Nie ogolisz się, chyba że potrafisz to robić z zamkniętymi oczami. W tym domu nie ma ani jednego lusterka.

Zdziwienie odebrało mu głos. Dwie kobiety w domu i żadnego lusterka? Z

westchnieniem poddał się zabiegom Lodishy.

- No proszę, co my tutaj mamy - powiedziała z zadowoleniem, kiedy zgolila mu brode i wasy i ostrzygła włosy. Jak sądzisz, John Hawkins? Bardzo przystojny facet ukrywał się pod tym owłosieniem. W każdym razie tak się wydaje. Trzeba jeszcze zaczekać, teraz jest za bardzo spuchnięty.

John Hawkins, który obserwował zabiegi Lodishy i udzielał jej rad, kiedy się do niego zwracała, skinął potakująco głową.

Bowie zdejmował właśnie ręcznik z szyi, kiedy Rosie wtargnęła do kuchni. Obrzuciła go ostrym spojrzeniem i zwróciła się ze złością do Lodishy.

- Skąd wzięłaś to ubranie?

- Sama wiesz skąd - odpowiedziała Lodisha, nic sobie nie robiąc z wściekłości malującej się na twarzy Rosie. - Nie można go było ubrać w te brudne szmaty, w których tu przyjechał.

-Wzruszyła ramionami. -Musi mieć jakieś ubranie. Nie może chodzić z gołym tyłkiem.

- John Hawkins...

- Nie. John Hawkins nie będzie oddawał swojego ubrania, kiedy mamy kufer pełen ubrań, których nikt nie używa. Dobrze wiesz, że mam rację.

Rosie zatrzęsa się ze złości. Podbiegła do półki, z której zdjęła blaszane pudełko.

Zerwała pokrywkę, przeliczyła monety i rzuciła je na stół przed Johnem Hawkinsem.

- Pojedziesz jutro do miasta i kupisz mu ubranie - powiedziała, po czym obróciła się do Lodishy. - Wypierzesz i wyprasujesz to, co on ma teraz na sobie, i włożysz z powrotem do kufra!

- Za te pieniądze mieliśmy kupić cukier, kawę i inne rzeczy.

- Obejdziemy się bez nich!

Rosie przemierzyła szybkim krokiem kuchnię, złapała butelkę whisky i wyszła do dalszej części domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- O co tu chodzi? - spytał Bowie, przerywając długą ciszę.

Lodisha i John Hawkins wymienili spojrzenia i z zaciśniętymi wargami powrócili do swoich zajęć.

Rosie nie pojawiła się na kolacji.

- Skończcie, co macie na talerzach - powiedziała Lodisha, nakładając do wyszczerbionych misek kolejną porcję gulaszu z jelenia. - Nie zostało już więcej mięsa.

- Rose Mary dała większość mięsa rodzinie Hodgsonów oraz Greenesów. Dobrze zrobiła. W tych rodzinach nie ma mężczyzny - powiedział John Hawkins, który siedział za stołem z serwetką wetkniętą za gors swojej wykrochmalonej koszuli.

Mężczyźni posilali się w milczeniu, a Lodisha zabawiała ich rozmową, zachęcając do brania następnych porcji, podsuwając im kawałki zeschniętego placka z jabłkami.

- To był najlepszy posiłek, jaki jadłem od bardzo długiego czasu. Dziękuję pani - powiedział z uśmiechem Bowie.

- Nie jestem panią - odparła, uśmiechając się z zadowoleniem, kiedy zbierała talerze. -

Po prostu Lodisha.

- Lodisha pozwala palić w domu tylko podczas zamieci śnieżnej. - John Hawkins podniósł się od stołu. - Wyjdziemy na zewnątrz.

Włożył kapelusz, gruby płaszcz i skinął na Bowiego.

Na dworze było zimno. Pokryte gwiazdami niebo wisiało nad prerią. Bowie odetchnął

głęboko i spojrzał na nadciągające chmury. Odczuł nagłą radość. Nie spodziewał się, że będzie mógł jeszcze patrzeć na wieczorne niebo.

John Hawkins zapalił dwa cygara i podał mu jedno z nich. Nie odezwał się, dopóki jego cygaro wystarczająco się nie rozżarzyło.

- Kiedy byłem Indianinem, znałem wszystkie obrzędy i rytuały. W swoim nowym życiu nie jestem już tego pewien. Szczególnie jeśli chodzi o obyczaje dotyczące małżeństwa. - Palił

przez chwilę w milczeniu. - Jeśli jest to zgodne z rytuałem, chciałbym być wysłannikiem rodziny panny młodej i wypowiedzieć się w jej imieniu.

Bowie odczuwał przenikliwe zimno, chociaż dawniej biwakował na gołej ziemi w temperaturach poniżej zera. Teraz wolałby zrezygnować z palenia i rozmowy i wrócić do ciepłego domu. Ale duma i ciekawość przemogły. Skinął w milczeniu głową.

- Najpierw opowiem o rodzinie panny młodej. Ojciec Rose Mary pisał do gazet. Był

uczciwym i odważnym człowiekiem. Te cechy odziedziczyła jego córka. Trzeba jednak dodać, że Oliver Mulvehey był uparty i bezkompromisowy. Te cechy również odziedziczyła jego córka.

Jej matka podobna była do mojej pierwszej żony. Była piękną kobietą, która lubiła wzbudzać podziw mężczyzn. Tych cech nie posiada Rose Mary. Sadie Mulvehey była słaba i niemądra.

Jej córka nie jest słaba i rzadko bywa niemądra. Sadie Mulvehey wybrała sobie niewłaściwego męża po śmierci Olivera Mulvehey. Był brutalnym mężczyzną, który ją bił. Czasem trzeba bić kobietę, ale rzadko się zdarza, żeby trzeba było ją zabić.

John Hawkins zamilkł na chwilę, obrzucając Bowiego uważnym wzrokiem.

- Rose Mary nie jest podobna do innych kobiet. Sam to widziałeś. Powinieneś również wiedzieć, że Rose Mary ma bardzo hojną naturę. Chętnie dzieli się zapasami żywności z tymi, którzy w mieście na jej widok odwracają oczy. Nie interesuje się plotkami. Jest zawsze lojalna w stosunku do tych, którzy sobie na to zasłużą. Jest inteligentna i ma silny charakter. Nie uchyla się od ciężkiej pracy. Rose Mary jest zdrowa i urodzi wiele silnych dzieci.

- Rose Mary Mulvehey jest pijaczką - skomentował to przemówienie Bowie.

- Rose Mary ma swoje wady - zgodził się John Hawkins. - Ale jest kobietą honoru. -

Popatrzył na przelatujące po niebie chmury. - Gdyby ktoś miał mówić o twojej rodzinie, co miałby do powiedzenia?

- Nie chcę mówić o swojej rodzinie - padła szorstka odpowiedź.

Przyjdzie czas, kiedy będzie musiał o tym pomyśleć i znaleźć wyjście z trudnej sytuacji, w którą się wpakował przez małżeństwo z Rosie. Ale jeszcze nie teraz.

- To niedobrze. - Na twarzy Johna Hawkinsa ukazał się grymas niezadowolenia, Bowie nie odzywał się jednak. - Spytałbym twojego wysłannika, czy kapitan Bowie Stone jest cierpliwym mężczyzną. Spytałbym, czy kapitan Bowie Stone jest zdolny do współczucia, o czym świadczą jego uczynki.

Przez kilka minut palili w milczeniu.

- Nie rób ze mnie bohatera - odezwał się wreszcie Bowie - ponieważ sprzeciwiłem się zabijaniu kobiet i dzieci. Nie jestem bohaterem. Zabiłem wielu Indian. Walczyłem przeciwko Apaczom na Południowym Zachodzie i przeciwko Siuksom w Dakocie. Poświęciłem dwanaście lat życia na to, aby Zachód stał się bezpiecznym miejscem, gdzie można zakładać farmy, takie jak ta. A to oznaczało zabijanie wrogich Indian. Przez większość czasu wierzyłem, że to, co robię, jest słuszne.

- Czy nadal uważasz, że zabijanie Indian jest słuszne?

- Nie wiem, w co mam wierzyć. Rząd oszukiwał, kłamał i łamał umowy. Wybijaliśmy całe plemiona albo zostawialiśmy je na jałowej ziemi, zabierając im wszystko, co potrzebne do życia, aby je całkowicie uzależnić. Jest również prawdą, że Indianie zrywali umowy, kradli konie i broń i

dopuszczali się potwornych czynów na bezbronnych osadnikach. Zło było po obu stronach. - Rzucił okiem na pozbawioną wyrazu twarz Johna Hawkinsa. - Jedno jest pewne. Nie da się zatrzymać fali osadników. Czy to jest słuszne, czy też nie, plemiona Indian będą musiały się z tym pogodzić.

- To nie daje ci spokoju.

Bowie przypominał sobie teraz Indian, z którymi się stykał podczas swojej służby w kawalerii. Byli to Szoszoni, zwiadowcy na usługach armii. Przez długie tygodnie przebywali i walczyli razem. Byli oni wszyscy ludźmi godnymi szacunku, ludźmi honoru. Ale plemiona indiańskie zetknęły się z przeważającą siłą militarną, z kulturą, której nie mogły zrozumieć.

Postęp skazał Indian na taki sam los jak bizona, które były już prawie zupełnie wytępione. To również wiedział.

- Wszystko to, w co wierzyłem, zostało unicestwione. W ostatnim czasie robiłem rzeczy, których przedtem nie mógłbym sobie wyobrazić. Zhańbiłem się i okryłem hańbą swój pułk. Zamordowałem człowieka. Nie powinienem był żenić się z Rosie Mulvehey. Nie wiem już, kim jest Bowie Stone.

- Znam to uczucie - powiedział John Hawkins. - Gdybyś miał wysłannika przemawiającego w twoim imieniu, to spytałbym go, czy ktoś, czyj płomyk życia ledwie się tli, będzie dobrym mężem dla Rose Mary?

- Teraz nie jestem nawet dobry dla siebie samego.

- Nie skrzywdź Rose Mary.

Rose Mary Mulvehey była najmniej podatną na skrzywdzenie kobietą, jaką Bowie kiedykolwiek widział. Wątpił, czy ktokolwiek mógłby ją zranić.

- Powiedziałem Rosie, że pomogę w zasiewach i przy zbiorach. Dla niej to jest ważne.

Wiem, co jej zawdzięczam, i spłacę swój dług. Ale mam też inne zobowiązania.

Bowie wiedział, że teraz nie powinien o tym myśleć. Nie myśleć o senatorze, Susan i Nate ani o swojej zrujnowanej karierze. Nie trzeba wybiegać myślą poza chwilę obecną.

Coraz więcej chmur pokrywało niebo, zerwał się wiatr i zrobiło się jeszcze zimniej.

Bowie skrzyżował ręce na piersi i potrząsnął głową.

- Jak ona może kochać tę ponurą farmę?

- Kochać? - John Hawkins był zdumiony. - Rose Mary nie kocha tej farmy, kapitanie Bowie Stone. Ona jej nienawidzi i ta nienawiść ją zatruwa.

Uścisnął dłoń Bowiego i poszedł w kierunku stodoły.

Rosie zbudziła się na odgłos otwieranych drzwi sypialni, przez które wpadła smuga światła. Na wpół przytomna usiadła na łóżku i sięgnęła po rewolwer, schowany pod poduszką.

- Wynoś się stąd!

Jakiś mężczyzna stał w drzwiach, ale nie mogła dojrzeć jego twarzy. Widziała tylko czarną sylwetkę. Przez chwilę jej umysł, otumaniony przez wypitą whisky, cofnął się w przeszłość. Myślała, że to On. Przebiegł ją dreszcz, dłoń trzymająca rewolwer zadrżała. Kiedy usłyszała głos Stone'a, zaczęła z wolna przychodzić do siebie.

- Gdzie mam spać?

- Jeśli zrobisz jeszcze jeden krok, zastrzelę cię! Trzymała teraz rewolwer pewną ręką, Stone powinien wiedzieć, że to nie były żarty.

- Nie mam zamiaru wpraszać się do twojego łóżka - powiedział z nieukrywanym obrzydzeniem. Pytam tylko, gdzie mam spać.

- Możesz spać w stodole z Johnem Hawkinsem. Bowie stał oparty o futrynę i rozważał tę myśl.

- Nie - powiedział po chwili.

Rosie wydawało się, że on przypatruje się jej opuchniętej twarzy i pustej butelce whisky na podłodze.

- Będę spał w domu. W sypialni obok.

Rosie zaczęło gwałtownie walić serce. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Skąd wiesz o sypialni obok?

- Zajrzałem do środka.

- Otwierałeś drzwi?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Mogłaby przysiąc, że nawet na wpół żywa usłyszałaby skrzypienie zawiasów tamtych drzwi. Uważała, że w całym Kansas nie znalazłoby się dość alkoholu, aby przytłumić to skrzypienie. Odrzuciła kołdrę, nie zwracając uwagi na zawrót głowy, jakiego doznała przy nagłym ruchu, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do drzwi.

- Zejdź mi z drogi, do diabła!

Przebiegła obok niego i dopadła drzwi drugiej sypialni. Były uchylone. Trzęsąc się ze zdenerwowania, otworzyła je na oścież, stanęła na progu, przepatrując pokój w świetle palącej się w bawialni lampy.

- Czy dotykałeś czegoś? Ruszałeś coś?

- Otworzyłem tylko drzwi.

Rosie oparła się bezsilnie o futrynę, zakrywając ręką oczy.

- Nie wchodź tam więcej! Słyszysz? Nie wchodź tam! Kiedy odsłoniła oczy, zauważyła, że Stone przygląda się jej

nocnej bieliźnie, kombinacji złożonej z długich, czerwonych kalesonów połączonych z podkoszulkiem. Była to bielizna, jaką nosili mężczyźni pracujący na dworze w niskich temperaturach. Nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy. Może malowała się na niej ciekawość, może zdziwienie.

- Przestań na mnie patrzeć!

- Jeszcze nigdy nie widziałem kobiety, która śpi w kalesonach.

- To teraz już widziałeś.

Starając się nie przekroczyć progu, Rosie wyciągnęła rękę i zamknęła drzwi tej sypialni.

Kiedy skrzypnęły zawiasy, miała ochotę krzyknąć. Chwiejnym krokiem udała się do kuchni, nie zwracając uwagi na to, czy Stone idzie z nią.

- Muszę się napić wody. Boże. Mam taki smak w ustach, jakby przeszło tam całe stado bydła.

- Jeśli tak się czujesz, co czemu tyle pijesz?

Stone patrzył, jak Rosie obijała się o meble kuchenne, zanim zdołała dojść do kubła z wodą.

Postawiła kubek przy stole i ciężko opadła na ławkę. Zanurzyła w nim chochlę, napiła się, potem pochłapała sobie twarz.

- Nie mogę uwierzyć, że nie usłyszałam, jak otwierałeś drzwi - wymamrotała, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. W kuchni było ciemno, żarzyło się tylko w piecu. Z

pokoju Lodishy słychać było chrapanie.

- Do kogo należy ta druga sypialnia?

Stone usiadł na ławce po przeciwnej stronie stołu i patrzył na nią krytycznym wzrokiem.

Teraz, kiedy był ogolony, Rosie mogła łatwo odczytać wyraz jego twarzy. Malował się na niej wstręt.

- Do nikogo.

- Na kołkach wisi ubranie, na stole są przyrządy do golenia.

- Niech to szlag trafi, zapomnij o tym pokoju. To nie twój interes!

Zdenerwowana Rosie ponownie napełniła chochlę wodą. Wiedziała już, że popełniła błąd, wstając z łóżka. Ściany kuchni i meble zaczęły wirować jej przed oczami. Mocno uchwyciła się stołu.

- Dlaczego to sobie robisz? - spytał Stone.

Pewnie mówił cicho, ale jego głos odbijał się głośnym echem w głowie Rosie. Skrzywiła się z bólu.

- Zostaw. Nie masz prawa wtrącać się w moje sprawy.

- Nie? - Rosie skurczyła się pod jego spojrzeniem. - Przeglądałem twoją półkę z książkami. Goethe, Schiller, Lessing, Shelley, Byron, sir Walter Scott. Przestań udawać. Nie jesteś prostą wiejską dziewczyną.

Nagle Rosie zaczęła widzieć siebie podwójnie. Jedna Rosie Mulvehey siedziała, trzymając się kuchennego stołu, pijana jak szewc. Druga Rosie Mulvehey unosiła się pod sufitem, patrząc ze wstrętem w dół. Ta Rosie Mulvehey zauważyła, że świeżo ogolony Bowie Stone może być bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Ta Rosie Mulvehey patrzyła również na siedzącą naprzeciwko niego pijaną kobietę w brudnej czerwonej męskiej bieliźnie, ze skołtunionymi, dawno niemytymi włosami i podpuchniętymi oczami. Ta Rosie Mulvehey myślała, że to jest cholernie nieudana noc poślubna.

Rosie zaczerwieniła się nagle, zachciało jej się płakać.

- Jeszcze nikomu nie zaszkodziło, jeśli czasem trochę się napił.

- Ci, co rzadko piją, nie opróżniają całej butelki za jednym posiedzeniem. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto pił tylko co pewien czas, żeby po całej butelce potrafił siedzieć prosto i rozmawiać. To potrafią tylko dobrze zaprzyjaźnieni z trunkiem.

Czerwony płomień ogarnął Rosie. Kiedy odzyskała przytomność, stała już na środku kuchni, naprzeciwko Stone'a i coś wykrzykiwała.

- Chcę, żeby to wszystko zniknęło! Te skrzypiące zawiasy, wiatr, preria, ta farma, żeby mnie też nie było! Chciałabym cofnąć zegar. Chciałabym odlecieć do jakiegoś jasnego miejsca!

- Rosie zakryła uszy. - Te myśli stale do mnie wracają! Nie mogę zapomnieć. Skrzypienia tych drzwi! Wszyscy o tym wiedzieli. Widać było po tym, jak na mnie patrzyli. Ale nic nie zrobili, a ja nie mogłam o to prosić. Potem wylał strumień. On nie żył, a ja już nic nie mogłam zrobić.

Oszukał mnie! -Ciałem Rosie wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

- Rosie? - Stone wyciągnął do niej rękę. ale odtrąciła je, żałując, że nie ma przy sobie rewolweru.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła, cofając się i krzyżując ręce na piersiach. - Jestem brudna! Jestem brzydka i brudna! Nie dotykaj mnie!

- Na litość boską. Pozwól, żebym..

Nie mogła powstrzymać łez i to ją upokarzało. Nie mogła również powstrzymać słów, które same się jej wyrwały z gardła.

- Żałuję, że to nie ja stałam pod szubienicą! To powinnam być ja.

Pokój wirował coraz szybciej przed jej oczami, wyciągnęła ręce, aby złapać równowagę.

Ale to nie pomogło. Wszystko obracało się coraz szybciej, dopóki nie pogrążyła się w ciemności. Posiniaczona twarz Stone'a, który patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami, ukazała się jej na moment, ogarnął ją wstyd, ale już po chwili była tylko ciemność.

Bowie złapał ją, kiedy padała na podłogę i przewiesił sobie przez ramię. Był zdziwiony, że jest taka lekka. Jej długie, brudne włosy opadały mu na plecy, guzik od podkoszulka potoczył się po podłodze i odsłonił się kawałek piersi. Bowie starał się na to nie patrzeć, nie wiedział, co ma z nią teraz zrobić.

- Zanieś ją do jej pokoju - powiedziała Lodisha, wchodząc do kuchni.

Narzuciła szal na nocną koszulę, na nogach miała kapcie. Potrząsała smutnie głową.

- Mieliśmy nadzieję, ja i John Hawkins, że nie będzie piła w swoją noc poślubną. Myślę, że to z powodu tych ubrań - westchnęła.

Bowie zaniósł Rosie na łóżko i ułożył ją na boku, żeby się nie zakrztusiła na śmierć, jeśli będzie miała torsje. W dochodzącym z bawialni świetle lampy rysy jej twarzy złagodniały i Bowie zobaczył ze zdziwieniem, że Rosie Mulvehey mogłaby być niezwykle atrakcyjną kobietą. Nie wiedział, skąd jej przyszło do głowy, że jest brzydka. Była bardzo zaniedbana, ale nie brzydka.

Rozejrzał się z ciekawością po małym pokoju, lecz nie zobaczył żadnych kobiecych drobiazgów. Jej pokój był nagi jak pokój żołnierza. Nikt by nie zgadł, że jest to sypialnia młodej kobiety.

Lodisha położyła rewolwer na stoliku przy łóżku, okryła Rosie i pogładziła po głowie, po czym zwróciła się do niego.

- Jak już nie śpimy, to możemy napić się ciepłej kawy i zjeść resztę placka.

Stone poszedł za nią do kuchni i usiadł przy stole,

- Czy ona co wieczór doprowadza się do takiego stanu?

- Prawie co wieczór.

Lodisha nalala kawę i podsunęła mu placek. Przerzuciła warkocz przez ramię i usiadła naprzeciwko niego.

- Ja i John Hawkins mieliśmy nadzieję, że mąż dobrze na nią wpłynie. Ale tymczasem nie zanosi się na to.

Zmarszczyła brwi, wpatrując się w zasypane śniegiem okno.

- Dlaczego ona tak pije?

- Niektórzy piją, aby zapomnieć, ale to nie moja sprawa.

Bowie zjadł placek, chociaż nie był głodny. Nie chciał urazić Lodishy.

- Czy Rose Mary była kiedyś mężatką?

- Nie, kapitanie. Rosie nie znosi mężczyzn. Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałem się nad tym. Ten grób na podwórku. Druga sypialnia. Męskie ubrania: Myślałem, że należą do jej poprzedniego męża. Czyje to rzeczy?

Lodisha wahala się przez chwilę, klepiąc się po ramieniu.

- Myślę, że mogę to powiedzieć. Te rzeczy, o których mówiłeś, należą do Franka Blevinsa, ojczyma Rosie.

Wesoła twarz Lodishy przybrała ponury wyraz. - Leży w ziemi i dobrze mu tak!

Bowie był zdumiony. Chciał jeszcze o coś spytać, ale Lodisha wstała od stołu, włożyła kubki i talerzyki do kubła z wodą i ziewnęła na znak, że rozmowa została zakończona.

- Gdzie mam spać? - spytał Stone.

Lodisha otworzyła szeroko oczy, a po chwili cicho się roześmiała.

- Że też nikt o tym nie pomyślał.

Był zadowolony, że nie przyszło jej do głowy, że mąż powinien spać razem z żoną. Nie mówiła też o nieużywanej sypialni, jakby ta możliwość również nie wchodziła w grę.

- Zaczekaj tu, kapitanie. Zaraz przyniosę kołdrę i poduszkę.

Stone spędził noc na dwóch zsuniętych razem krzesłach.

Przypomniawszy mu się ciężar stryczka na szyi, nie opuszczała go myśl, że nie powinien teraz być żywy, a do tego żonaty. Ta myśl nie pozwalała mu zasnąć, jak również ciągnący od okna chłód i ciężkie chrapanie jego pijanej oblubienicy.

O świcie Rosie obwiązała swoje kalesony chustą i powlokła się do kuchni, skąd dochodził

zapach świeżo zaparzonej kawy. Czowała się tak, jakby ją koń kopnął w głowę. Nalała sobie kubek kawy. do którego dodała dużą porcję whisky, i szybko wychyliła jego zawartość.

- Dzień dobry.

Zaskoczona Rosie omal nie wylała resztek kawy.

- Nie krzycz - powiedziała do Stonesa, który siedział przy stole, obserwując jej poczynania.

- Nie krzychałem. Masz kaca.

- No i co z tego?

Zirytował ją nie tylko jego krytyczny ton głosu, ale również fakt, że musi od rana prowadzić rozmowę. Dolała sobie kawy, stwierdzając ze złością, że drży jej ręka.

- Jeśli wykonuję swoją pracę, to kogo to może obchodzić?

- Na pewno nie mnie - powiedział Stone, patrząc, jak siada ciężko na ławce, zaciskając obie ręce na kubku.

Siedzieli w milczeniu, a Rosie usiłowała sobie przypomnieć wydarzenia ubiegłego wieczoru. Pamiętała, jakim szokiem były dla niej otwarte drzwi do Jego sypialni, wydawało jej się też, że Stone poszedł za nią do kuchni. Na pewno mówiła o rzeczach, których nie chciałyby wspominać.

- Gdzie spałeś? - spytała.

- Musimy o tym pomówić. Nie mam zamiaru spędzić kolejnej nocy pomiędzy dwoma krzesłami. - Gestem ręki uciszył jej propozycję, żeby spał w stodole. - Tutaj jest sypialnia, której nikt nie używa. Jeśli ma ona dla ciebie jakieś specjalne znaczenie, to ty się tam przenieś, a ja będę spał w twoim pokoju.

W oczach Rosie ukazał się wyraz przerażenia. Potrząsnęła przecząco głową, chociaż ruch ten sprawiał jej potworny ból. Z trudem powstrzymała żalostny jęk.

- Nie - szepnęła.

- Załatw to, jak chcesz, Rosie. Ale nie mam zamiaru spędzić następnej nocy na krzesłach.

- Lodisha...?

Lodisha odwróciła się od pieca. Oparła ręce na swoich szerokich biodrach.

- Nie, proszę państwa, nie oddam swojego łóżka! To nie ja pojechałam do miasta, aby wyjść tam za mąż. Nie próbuj mnie ugłaskać żalnym głosem. Nie oddam swojego łóżka i na tym koniec.

Obróciła się, stawiając zdecydowanym ruchem patelnię z plackami na piecu. Ten dźwięk odbił się głośnie echem w głowie Rosie.

- Zastanowię się nad tym - wymamrotała Rosie, która nie była w stanie zebrać myśli.

Na poprawę jej fatalnego samopoczucia nie wpłynął również fakt, że Bowie Stone wyglądał rześko, mimo swoich narzekań na niewygodnie spędzoną noc. Zauważyła również, że Jego koszula tak dobrze na nim leży. Kiedy Stone dojdzie do siebie, będzie postawnym, przystojnym mężczyzną. Ta myśl była jej dziwnie niemiła.

Jego oko nie było już tak bardzo opuchnięte, zniknęły również sińce z twarzy. Po zgoleniu brody i przycięciu włosów okazało się, że Stone ma wysokie czoło i silnie zarysowaną szczękę.

Rosie stwierdziła również, że ma on ładne usta i bardzo białe zęby. Musiał bardzo dobrze wyglądać w mundurze kawalerzysty. Na pewno miał wielkie powodzenie u kobiet.

Kiedy Rosie chciała odgarnąć spadające jej na twarz kosmyki włosów, stwierdziła, że śmierdzą one kurzem, potem i tytoniowym dymem.

Stone jadł śniadanie w milczeniu. Wstał, przeciągnął się i nie patrząc na Rosie, skierował się w stronę kuchennych drzwi.

- Idę się rozejrzeć. Zobaczę, czy nie trzeba w czymś pomóc Johnowi Hawkinsowi.

- Nie przemęczaj się, kapitanie - powiedziała Lodisha, pomagając mu przy wkładaniu ciepłej kurtki.
- Musisz najpierw dość do siebie, bo inaczej nie będzie z ciebie żadnego pożytku.

Możesz ukręcić łeb kurze, to będziemy mieli ją na kolację, chyba że John Hawkins dopadnie tego zajęcia, który się stale kręci koło domu. Powiedz mu, że dzisiaj widziałam go znowu, jeszcze przed świtem.

Drzwi kuchenne zamknęły się z trzaskiem. Rosie pozwoliła sobie teraz na żalny jęk; ten odgłos omal nie rozwalil jej czaszki.

- Powinnaś się wstydzić, Rose Mary Mulvehey - powiedziała Lodisha po wyjściu Stone'a.

- Teraz masz męża i możesz wszystko zacząć od początku. A co ty robisz? - Lodisha rzuciła kulę chlebowego ciasta na stół. - Upijasz się i rozrabiasz. O czym ty myślisz, dziewczyno? On wygląda na porządnego człowieka.

- Odmówił wykonania rozkazu i został oddany pod sąd wojenny. Zabił człowieka.

- Każdy ma swoją historię. Kapitan też ją ma. Może on też chciałby zacząć wszystko od początku.-

Lodisha zaczęła wyrabiać ciasto. - Pomyśl o sobie. Nie można na ciebie patrzeć.

- Przez całe życie słyszałam, że nie można na mnie patrzeć. -Rosie pochyliła głowę. - Ale wczoraj w nocy nie napastował mnie żaden obrzydliwy mężczyzna, prawda?

- Posłuchaj, złotko. - Twarz Lodishy złagodniała. -Zapomnij, co mówiła twoja matka i ten diabeł Blevins. Jesteś tak ładna, jak była twoja matka. Gdybyś się trochę postarała, byłabyś jeszcze ładniejsza.

- Ja nie chcę być ładna! - Nagły dreszcz wstrząsnął Rosie. - Uroda mamy zainteresowała Jego i zaprowadziła ją do grobu. - Rosie odepchnęła od siebie talerz z nietkniętym jedzeniem.

- Prędzej czy później będziesz musiała spełniać powinności żony, kochanie - dodała Lodisha, pochłonięta wyrabianiem ciasta.

- Jeśli Stone mnie dotknie, zabiję go.

Lodisha skinęła głową, a po chwili spróbowała przedstawić ten problem z innej perspektywy.

- Potrzebujesz pomocy kapitana, aby ta ziemia mogła przynosić dochody. Chyba nie chcesz, żeby stąd uciekł, co?

- Czy wspominał o ucieczce? - Rosie aż podskoczyła na ławce.

- Jeszcze nie. Ale czy długo tu zostanie, jeśli będzie musiał stale patrzeć na brudną żonę i co wieczór zanosić ją pijaną do sypialni?

- Czy chcesz powiedzieć, że dotrzyma obietnicy tylko wtedy, jeśli pójdę z nim do łóżka? Tego nie było w umowie! -Wzrok Rosie wyrażał panikę. - Poślubienie go było jedynym sposobem na ocalenie mu życia i uratowanie mojej farmy. Ten ślub nic nie znaczy i on dobrze o tym wie!

Lodisha skończyła już wyrabiać ciasto i formowała z niego bochenki.

- Przynajmniej mogłabyś trochę zadbać o siebie. Tylko o tym mówiłam.

- Ale wtedy on będzie chciał iść ze mną do łóżka! -krzyknęła Rosie. Ogarnęła ją panika.

- Zastanów się nad tym, kochanie.

Rosie pochyliła się nad stołem, pogrążona w myślach.

Bowie stał na kuchennych schodkach i wdychał głęboko czyste powietrze poranka. Śnieg przestał już padać, preria lśniła niepokalaną bielą. Nie wydawało mu się, żeby kiedykolwiek był

zdolny pokochać taką równinę, ale tego ranka zaczynał rozumieć ludzi, którzy oddali jej serce.

Światło poranka nie tylko nie poprawiło wyglądu farmy Rosie, lecz obnażyło całą jej nędzę.

Wszystkie budynki gospodarcze wyglądały tak, jakby za chwilę miały się zawalić.

Ogrodzenie było w gorszym stanie, niż przypuszczał. Wystarczyłoby pracy dla co najmniej dwunastu mężczyzn i to przez co najmniej dwa letnie sezony. Jeśli, jak twierdził John Hawkins, Rosie nienawidziła tej farmy, to dlaczego nie odeszła i nie zostawiła jej na pastwę losu? Nie mógł tego zrozumieć. Nie było tu nic, co warto byłoby ratować.

Zrobiło mu się zimno, ruszył w kierunku grobu, znajdującego się pomiędzy domem mieszkalnym a rzędem topoli. Mając do dyspozycji ogromne obszary prerii, wybrano miejsce na grób na podwórzu. Był on dobrze widoczny z okien domu.

Ku zdumieniu Bowiego, na kamieniu nagrobnym nie było nazwiska ani daty śmierci.

Grób był utrzymany w porządku, jakby ktoś stale o niego dbał.

Poszedł w stronę strumienia. Woda przy brzegach skuta była lodem. Strumień miał tylko kilka metrów szerokości i kamieniste dno. Na śniegu widać było liczne ślady zwierząt. Bowie pomyślał, że w lecie panuje tu na pewno chłód, można schronić się w cieniu topoli i wysokich wierzb. Było to jedyne miłe miejsce, na jakie udało mu się natrafić.

Po drodze do stodoły mijał rozsypujący się skład paszy, obdrapany kurnik, chlew i zapadnięte wejście do ziemnej piwnicy.

W stodole było ciepło. Pachniało siano, czuło się również zapach konia i stojących przy żłobie krów. John Hawkins, ubrany podobnie jak wczoraj, chociaż w o wiele bardziej zniszczone ubranie, zajęty był dojeniem.

- Dzień dobry, Johnie Hawkinsie.

- Dzień dobry, kapitanie Bowie Stone.

Bowie podszedł do boksu, gdzie stał Ivanhoe i podał mu garść ziarna.

- Dobry poranek na konną przejażdżkę - zauważył John Hawkins.

Na myśl o tym, że mógłby galopować na dobrym koniu przez zaśnieżoną prerię, ze świstem wiatru w uszach, Bowie odczuł przemożną tęsknotę za kawalerią. Tak bardzo tęsknił

za takim życiem, za dźwiękiem porannej trąbki i głosami budzących się żołnierzy. Tęsknił za końmi, za zapachem siodła. Przeszył go ból na wspomnienie przemarszu swojego oddziału w paradnym szyku i dumy, jaką wtedy odczuwał. Tak bardzo lubił swój mundur i uporządkowane wojskowe życie. Przepęłniło go rozpaczliwe poczucie straty.

- Może za kilka dni - powiedział, gładząc Ivanhoe' a po szyi.

Był jeszcze za słaby, zbyt ogłupiały na taką przejażdżkę, Ivanhoe zasługiwał na dobrego jeźdźca. Przycisnął czoło do szyi konia, aby poczuć jego ciepło i zapach. Po chwili podszedł do Johna

Hawkinsa i zapatrzył się na wpadający do kubła strumień mleka.

- Czy ten grób na podwórzu jest grobem matki Rosie?

- Nie, Franka Blevinsa. Ojczyzna Rosie.

- Opowiedz mi o nim.

- Kiedy umiera biały człowiek, jego życie staje się białą kartą. Mówienie o nieżyjącym białym człowieku jest mówieniem o tym, jaki on mógłby być. Myślałem o tym zwyczaju niemówienia źle o zmarłych białych ludziach. Jest to dziwny zwyczaj, ale myślę, że ma swoje dobre strony. Białych ludzi, którzy odeszli z tego świata, obsypuje się pochwałami albo pomija milczeniem. To nie jest takie złe,

- Nie możesz mi nic powiedzieć o Blevinsie?

- Był drugim mężem Sadie Mulvehey. Był farmerem. Ta farma należała do niego. - John Hawkins zamyślił się przez chwilę. - To wszystko, co mogę powiedzieć, żeby być w zgodzie z obyczajem.

- Wczoraj wieczór mówiłeś, że Frank Blevins bił Sadie Mulvehey.

- Proszę o wybaczenie, że źle mówiłem o zmarłym białym człowieku.

- Czy bił Rosie?

John Hawkins spojrzał na Bowiego, ale nie odezwał się.

- A więc odpowiedź brzmi - tak.

- Teraz muszę się zastanowić, czy moje milczenie nie było bardziej wymowne od głosu.

Czy nie złamałem obyczajów. Pod wieloma względami łatwiej było być Indianinem. Ale, jak sam powiedziałeś, nie ma przyszłości dla tych, którzy chcą pozostać Indianami.

Bowie zdjął wiszący na gwoździu stołek i usiadł przy drugiej krowie.

- Od dawna tego nie robiłem. - Oparł się o krowę. - Kiedy przestałeś być Indianinem?

- Od dawna nie jestem nikim innym, tylko człowiekiem. Czasem odwiedzam rezerwat albo wypalę fajkę z Indianinem, który mieszka w mieście. To jest dobre. Indianie rozmawiają o wielu rzeczach, które nie interesują białych ludzi. Wielka szkoda, że skończyło się prawdziwe życie Indian.

Mężczyźni doili krowy w milczeniu. Wreszcie John Hawkins poszedł do swojego pokoju, położonego obok boksu Ivanhoe'a, wziął kapelusz i wełniane poncho.

- Muszę być w mieście, aby kupić ubranie. Czy potrzeba ci jeszcze czegoś?

- Chciałbym mieć lusterko, żebym mógł się ogolić.

- Rose Mary nie pozwala trzymać lusterek w domu. -Twarz starego człowieka wyrażała niezdecydowanie.

- Nie myśl o tym. Sam kupię lusterko, jak będę w mieście.

Aby ukryć wyraz ulgi, John Hawkins obrócił się do ściany i zdjął winchester z półki.

Wręczył strzelbę Bowiemu.

- Jeśli czujesz się wystarczająco silny, aby zapolować, Lodisha ucieszy się z zająca.

Bowie włożył strzelbę w rękę, patrząc na błysk światła na lufie. Ostatni raz strzelał, chcąc zabić Luthera Radisona.

- Czy pojedziesz do miasta na Ivanhoe? - spytał, opuszczając strzelbę.

- Pójdę piechotą. Do Passion Crossing jest tylko osiem kilometrów.

Bowie wracał do domu z dwoma upolowanymi zającami, czując, że wraca do życia. Po raz pierwszy od czasu, kiedy wydał swojemu oddziałowi rozkaz odwrotu spod Stone Toes Gulch, czuł

się panem sytuacji. Lodisha będzie miała zające na kolację, a strzał, który zabił Luthera Radisona, nie był już jego ostatnim strzałem.

Kiedy zbliżał się do domu, zauważył Rosie i zatrzymał się, zdumiony. Rąbała topolowe polana z wprawą, której trudno byłoby się spodziewać u kobiety. Obserwował ją przez parę minut i, wbrew sobie, odczuł dla niej nieklamany podziw. Rosie wykonywała tę ciężką pracę bardzo sprawnie, ale biorąc pod uwagę, że cierpiała z powodu kaca, niewątpliwie zmuszała się do niej wbrew protestom całego swojego organizmu. Wbijanie siekiery w drewno musiało odbijać się z wielokrotną siłą w jej biednej głowie.

Zatrzymała się na chwilę, aby obetrzeć pot z czoła.

- Chcesz czegoś? - warknęła.

- Czy zdecydowałaś, gdzie będę dzisiaj spał'?

Po odniesieniu sukcesu na polowaniu Bowie postanowił zmusić ją do rozwiązania tej kwestii.

- Sam znajdź sobie miejsce. Mam za wiele pracy, żebym jeszcze miała zajmować się tobą.

- Rosie, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

- Zapomnij o tym. - Rosie zaczerwieniła się gwałtownie,

- Powinniśmy porozmawiać.

- Nie mamy o czym rozmawiać, Stone. - Rosie popatrzyła na niego twardym wzrokiem. -

Rozumiesz przecież... że to nie jest prawdziwe małżeństwo. Ja potrzebuję pomocnika, ty potrzebowałeś ratunku. Zawarliśmy umowę i to wszystko. Więc niech ci nic więcej nie przychodzi do głowy.

Rosie uniosła siekierę i wbiła ją w pień. Bowie obserwował ją przez chwilę, potem poszedł w stronę domu.

W momencie kiedy wszedł do środka, panujące tam ciepło natychmiast pozbawiło go energii. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, zaczynało mu się kręcić w głowie. Widać było, że wybierając się na polowanie, przeliczył się z siłami.

Lodisha zajęta była wyrabianiem masła. Wzięła od niego zajęcie i popatrzyła badawczym wzrokiem na jego bladą twarz.

- Na twoim miejscu, kapitanie, położyłabym się teraz. Nie jesteś jeszcze w najlepszej formie. - Zastanawiała się chwilę, przygryzając wargę.- Myślę, że mógłbyś na jakąś godzinkę skorzystać z mojego łóżka - rozwiązała wreszcie tę trudną kwestię.

Pytanie, gdzie będzie spał i z czyjego łóżka może skorzystać, wydało mu się zabawne. W tym domu było wolne łóżko, w którym nikt nie sypiał.

- Czy masz jakiś koszyk? - spytał, podejmując własną decyzję.

- Oczywiście - odparła ze zdziwieniem.

Lodisha wyjęła ze spiżarni duży kosz. Bowie wziął go i ruszył w stronę drugiej sypialni.

Kiedy Lodisha zorientowała się w sytuacji, wydała cichy okrzyk przerażenia.

- Kapitanie! - zawołała, starając się go dogonić. - Kapitanie, nie możesz tam wejść. Tego łóżka nie wolno używać. Kapitanie...

Bowie otworzył drzwi, które głośno zaskrzypiały.

- Przynieś mi trochę masła.

- Och Boże! - Lodisha patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, zaciskając dłonie na kieszeni fartucha.

Widząc, że nie jest w stanie się poruszyć, Bowie sam poszedł do kuchni po natłuszczoną szmatkę.

- Dobry Boże - szeptała Lodisha, patrząc, jak Bowie natłuszcza zawiasy. Pracował nad nimi tak

długo, dopóki drzwi całkowicie nie przestały skrzypieć.

Kiedy wszedł do pokoju, najpierw rozsunął firanki. Uniósł się z nich tuman kurzu.

Zobaczył Rosie, która nadał pracowała na podwórku. Podniosła głowę i oniemiała. Przez chwilę patrzyli na siebie, potem Rosie wydała jakiś okrzyk, rzuciła siekierę i pobiegła w kierunku domu.

Bowie jednym ruchem ręki zgarnął do kosza przybory do golenia Franka Blevinsa, potem zaczął kolejno otwierać i opróżniać szuflady.

Zdyszana, wściekła Rosie zatrzymała się na progu sypialni. W jej oczach ukazało się przerażenie, kiedy zobaczyła, co się tam dzieje.

- Zabieraj się stąd!

- Powiedziałaś, że sam mam rozwiązać problem spania, i właśnie to zrobiłem. Zajmuję ten pokój.

Ściągnął z kołka w ścianie ciepłą koszulę oraz robocze spodnie i włożył do szuflady.

Ubranie było zniszczone, ale nadawało się jeszcze do użycia.

- Przestań! Jeśli jeszcze czegoś dotkniesz, to przysięgam, że cię zabiję! - Rosie z wściekłości trzęsły się ręce, ledwie zdołała wyjąć rewolwer z kabury. - Mówię serio, Stone -

głos jej się łamał. - Liczę do trzech, jeśli zostaniesz w tym pokoju, to nie będziesz żył.

- Frank Blevins nie żyje. Od trzech lat. Najwyższy czas, żebyś przestała traktować ten pokój jak świątynię. Jego już nie ma, Rosie. Cokolwiek było między wami, należy już do przeszłości.

- Jeden... - Rosie z trudem łapała oddech, miała purpurowe wypieki na twarzy i obłęd w oczach.

Bowiemu nie podobał się ciemny obrazek na ścianie, więc zdjął go i włożył do kosza.

- Dwa... Wynoś się stąd, ty łajdaku!

Podniósł wieko kufra i sprawdzał jego zawartość. Były tam tanie powieści, skórzany woreczek na pieniądze, para roboczych butów, dość dużo skarpetek i chustek do nosa.

- Trzy!

Kule z rewolweru Rosie trafiły w ścianę. Huk wystrzałów dzwonił mu w uszach, kiedy wyjmował buty z kufra i oglądał je przy oknie. Nadawały się jeszcze do użytku, więc postanowił

je zatrzymać.

- Ty! Ty... cholerna świni! Ty sukinsynu! - krzyczała histerycznie Rosie, a łzy wściekłości spływały jej po policzkach. - Szkoda, że nie pozwoliłam cię powiesić! Nienawidzę cię!

- Teraz będzie inaczej, Rosie - powiedział spokojnym głosem.

Jej reakcja przekroczyła jego najśmielsze wyobrażenia. Nie wiedział, jak przemówić jej do rozsądku.

- Musiałaś wiedzieć, że będą zmiany, kiedy zdecydowałaś się na przywiezienie tu męża.

- Widział, że nic do niej nie dociera, ale próbował dalej. - Musisz przyznać, że to idiotyzm, żeby nie używać tego pokoju.

W odpowiedzi Rosie wycelowała, podtrzymując dłoń z rewolwerem na wyciągniętej ręce i strzeliła do niego. Kula przeszła mu tuż koło ucha i utkwiała w ścianie. Lodisha krzyknęła i zasłoniła twarz rękami.

- Jeśli możesz zabić człowieka za to, że chce zająć nieużywane łóżko... to przestali żartować i zrób to.

Patrzył w jej pełne szaleństwa oczy spokojnym wzrokiem. W pokoju unosił się dym.

Bowie sam się dziwił, że jeszcze stoi na nogach.

- No, zrób to.

Rosie zakryła ręką oczy, jej usta wykrzywił grymas.

- Chciałam, żeby ten pokój był mauzoleum, ty śmierdzący idioto! Chciałam, żeby pozostał

taki, jak on go zostawił, żebym za każdym razem, przechodząc koło tych cholernych drzwi, pamiętała, że muszę się z nim rozliczyć. Nie chcę zapomnieć o tym, co on zrobił mamie i mnie!

Strzeliła do niego ponownie. Tym razem kula drasnęła go. Bowie miał wrażenie, że pszczoła użądliła go w ucho. Lodisha oparła się o futrynę, gryząc róg fartucha, jej oczy żarzyły się jak węgle. Bowie dotknął krwawiącego ucha i doszedł do wniosku, że Rosie Mulvehey była albo najlepszym strzelcem w Gulliver County, albo najgorszym. Zobaczył, że jej oczy pałają nienawiścią.

- Cokolwiek się zdarzyło, czas o tym zapomnieć.

- Ty masz na wszystko odpowiedź, prawda?! - krzyczała, wymachując rewolwerem. -

Przychodzisz do miejsca, z którym nie masz nic wspólnego, i spokojnie mówisz o zmianach, jakbyś był Panem Bogiem! A nie wiesz, o czym, u diabła, mówisz. Wynoś się z tego pokoju.

Wynoś się! Wynoś się! Wynoś się!

- Nie.

Kule zaczęły znowu świstać w powietrzu, kawałki tynku odpadały ze ścian, szyby wypadły z okien,

odpadł kawałek sufitu. Magazynek był już pusty, ale Rosie nadal naciskała spust, mierząc mu prosto w pierś.

- Frank Blevins nie żyje. To będzie mój pokój, jak długo tu będę.

Rosie zaczęła przeciągle wyć. W tym przeraźliwym krzyku słysząc było morderczą furję, ale również cierpienie. Bowie nie sądził, by mógł kiedykolwiek o nim zapomnieć.

Wreszcie obróciła się, łkając, i wybiegła z domu. Po chwili przemknęła obok farmy na grzbiecie Ivanhoe'a. Bowie stał przy roztrzaskanym oknie i patrzył, dopóki nie stała się odległym punktem na ośnieżonej prerii.

- O Jezu! -jęknęła Lodisha, patrząc na zrujnowany pokój.

- Znajdź jakieś szmaty, żeby zasłonić okno, a ja załatam dziury w ścianach.

Kiedy Rosie zniknęła za horyzontem, Bowie zaczął doprowadzać swój nowy pokój do porządku. Zastanawiał się, co on, u diabła, takiego zrobił.

Wiatr osuszył łzy Rosie, zanim dotarła do miasta, nie miała już siły krzyczeć z rozpaczy, tak bolało ją gardło. Pozostała jej tylko bezsilna wściekłość na Stone'a, który ośmielił się sprofanować pokój, a ją zawiodły nerwy i nie zabiła go, na co sobie zasłużył. W

ostatniej chwili zawahała się przed zastrzeleniem nieuzbrojonego człowieka, chociaż zrobił jej tak straszną krzywdę.

Klnąc, na czym świat stoi, przeładowała broń i otworzyła kopniakiem drzwi do baru Harolda.

Ściany baru udekorowane były złotymi wstęgami na czerwonym tle. Wystrój z ciemnego drewna nie sprawiał ponurego wrażenia dzięki porozwieszonym lustrom i zwisającym z sufitu świecznikom. Ale nie było tu już tej atmosfery, która panowała jeszcze kilka lat przedtem, kiedy w Passion Crossing było o wiele więcej mężczyzn.

Opustoszały bar robił wrażenie reliktu innej epoki. Na nieużywanym od ponad roku pianinie leżała gruba warstwa kurzu. Dwie podstarzałe barmanki siedziały znudzone nad swoimi kieliszkami. Widać było, że już od dawna nie dbały o swoje niegdyś eleganckie, błyszczące stroje, teraz szare z brudu. W barze było tylko trzech gości.

Rosie podeszła do baru i stanęła przy pojemniku z cygarami. Było to jedno z nielicznych miejsc, z którego nie można było się przejrzeć w wiszących nad ladą lustrach.

- Daj mi butelkę i szklanę - warknęła do Harolda. Od razu nalała sobie podwójną porcję i wychyliła ją jednym haustem, mając cichą nadzieję, że poczuje się trochę lepiej.

- No i proszę. Przyszła panna młoda. - Lem Sorrenson, kowal, obrzucił ją ciekawym spojrzeniem. - Nie widać, żebyś się trochę odświeżyła na miodowy miesiąc. A może na tę okazję nałożyłaś nową warstwę brudu? - Roześmiał się głośno ze swojego dowcipu.

- Co się stało, Rosie? - spytał Shotshi Morrison. - Czy ten kryminalista, twój mąż, wykopał cię z łóżka?

- A może przekonał się, że ona w ogóle nie jest kobietą? Sam się nad tym zastanawiałem - zauważył z uśmiechem Acey James.

Rosie naląła sobie następną porcję, zapiekło ją w gardle, poczuła ogień w żołądku.

Wzięła cygaro z pojemnika, a Lem podrzucił jej zapalnik.

- Nic nam nie powiesz, Rosie? - spytał, puszczając oko do kolegów. - Jak się czujesz jako prawdziwa kobieta?

- Myślisz, że ona jest prawdziwą kobietą? - roześmiał się Shotshi. - Chyba Lem powinien sprawić sobie okulary.

Rosie, jak zwykle, roześmiała się z ich dowcipów, chociaż dzisiaj odczuwała je wyjątkowo boleśnie. Naląła sobie kolejnego drinka, patrząc na obniżający się poziom whisky w butelce. Chciała jak najszybciej doprowadzić się do utraty świadomości. Była to jedna z nielicznych rzeczy, która jej nigdy nie zawiodła. Picie osłabiało cierpienie.

- Szkoda, że nie ma już muzyki - powiedziała, chcąc odwrócić od siebie uwagę.

Ale tym razem nie udało się tego zrobić. Mężczyźni byli znudzeni, chcieli się zabawić, mieć co opowiadać przez następne dni. Dobrze wiedzieli, że jeśli doprowadzą ją do wściekłości, będą mieli kolejną historyjkę do opowiadania całemu miastu. Aby to przyspieszyć, zrzucili się na następną kolejną dla Rosie. Spodziewała się tego.

- Hej, Rosie - powiedział Shotshi, odsłaniając w szerokim uśmiechu braki w uzębieniu. - Może od razu rozwiążesz ten problem. Podnieś koszulę i pokaż nam, co tam masz.

- Zamknij się, Shotshi - powiedziała Rosie.

Poczuła się nagle śmiertelnie zmęczona. Zawsze wiedziała, że życie nie ma żadnego sensu, a obecność obcego mężczyzny w jej życiu do reszty wyprowadziła ją z równowagi. To małżeństwo było fatalnym błędem. Bowie Stone miał rację, kiedy mówił, że posiadanie męża oznacza zmiany. A ona nie chciała żadnych zmian.

Nie chciała mieć mężczyzny w swoim domu ani w swoim życiu. Nie chciała z nikim rozmawiać przy śniadaniu i musieć się wstydzić swojego stanu. Sama wiedziała, że jest niewiele warta. Nie chciała, aby ktokolwiek zakłócał jej ustalony tryb życia. A przede wszystkim nie chciała, aby ktoś spał w Jego łóżku. Do oczu napłynęły jej łzy bezsilnej wściekłości. Odwróciła głowę, żeby nikt tego nie zauważył.

Najgorsze było to, że wychodząc za mąż za Bowiego Stone'a nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji tego kroku. Jak mogła dać sobie radę z mężczyzną, który nic sobie nie robił z tego, że strzelano do niego z bliskiej odległości? Któremu było wszystko jedno, czy żyje, czy też umrze?

Ogarnęło ją uczucie całkowitej niemocy, dobrze znane z okresu, kiedy On jeszcze żył.

Mężczyzna, którego nienawidziła, miał władzę w swoim ręku, a ona nie mogła temu przeciwdziałać. A co gorsza, sama na siebie sprowadziła to nieszczęście. Ta myśl była nie do zniesienia.

Pogrążona w myślach Rosie dopiero po chwili zorientowała się, że stojący przy barze mężczyźni przestali mówić o mej, wyśmiewali się teraz z jej męża. Nawet zajęty wycieraniem szklanek Harold przyłączył się do ich grona.

- ...cholerny przyjaciel Indian. Ten tchórz uciekł natychmiast z pola walki.

- Zbyt bojaźliwy, aby oddać choćby jeden strzał. - Lem splunął z obrzydzeniem na pokrytą wiórami podłogę. - Według mnie, powinni byli powiesić go na miejscu, w Stone Toes.

- Wcale tak nie było - odezwała się nagle Rosie,

- Tak? - Skierowali na nią uważne spojrzenia. - To może sama nam powiesz, co się naprawdę wydarzyło.

- Stone nie uciekł z pola walki. On nie chciał mordować kobiet i dzieci. Wszyscy wojownicy ze Stone Toes byli na polowaniu. Jaka to mogła być bitwa? Atak na kobiety i dzieci?

Poza tym Indianie mieli zezwolenie na założenie obozu w tym miejscu. Nie sprawiali żadnych kłopotów.

- Myślisz, że kobiety indiańskie nie będą rodzić więcej Indian? - Shotshi wzruszył

ramionami. - Myślisz, że ich dzieci wyrosną na Chińczyków czy na kogoś jeszcze innego?

Znasz to powiedzenie: dobry Indianin to martwy Indianin.

Mężczyźni uśmiechnęli się z satysfakcją. Rozsądek nakazywał Rosie wycofać się z tej dyskusji. Oni celowo ją podburzali. Nie musiała być lojalną żoną Stone'a. Nienawidziła go.

Przez ostatnie piętnaście minut gorzko żałowała, że go nie zabiła.

- Bowie Stone nie jest tchórzem - powiedziała, sama nie wiedząc dlaczego.

Fakt, że została zmuszona do obrony Bowiego Stonesa, był dodatkowym powodem, aby go nie cierpieć.

- Zastrzelił nieuzbrojonego człowieka. To jest bezsporne. To opinia sędziego i ławników. Co na to powiesz, Rosie Mulvehey?

- Powiem, że to nieprawda. Ten mężczyzna, którego zabił Stone, szedł jego śladem, aby go zabić. Radison był uzbrojony i to on strzelił pierwszy. Gdyby sędzia pozwolił na wyjawienie prawdy, ławnicy orzekliby, że to była wyłącznie samoobrona.

- Taką historyjkę usłyszałaś od Stone'a? Ho, ho, miłość jest ślepa. Morderstwo nazywa się teraz samoobroną. - Roześmieli się, a jeden z nich dolał jej whisky. - To dlaczego sędzia skazał

twojego bojaźliwego męża na szubienicę, Rosie? Ponieważ zdobył się na samoobronę?

Rosie wiedziała już, że nie dadzą jej spokoju i że koniecznie chcą ją sprowokować. Wyjęła z kabury swoje dwa sześciopalcowe rewolwery, odsunęła się od baru i dała ognia z obu luf.

Kule dziurawiły podłogę wokół nóg Shotshiego, który został zmuszony do wykonania dziwnego tańca na pokrytej wiórami podłodze. Jego towarzysze śmiali się głośno i klepali z radości po udach.

- Do diabła, Rosie! - krzyknął Shotshi, podrygując. - Uważaj, dobra? Za blisko strzelasz!

Barmanki się uśmiechnęły i zaczęły klaskać, udając, że świetnie się bawią.

- Brak mi muzyki - szepnęła Rosie.

Była zmęczona i smutna. Taniec Shotshiego nie sprawiał jej żadnej radości. Tym razem whisky nie przyniosła ukojenia. Rosie miała ochotę się rozpłakać.

Wreszcie, nie bacząc na prośby Harolda, zestrzeliła wiszący nad pianinem obraz nagiej Wenus. Chciała go rozzłościć na tyle, by wezwał Gaine'a. On zabierze ją do więzienia, gdzie będzie miała wreszcie trochę spokoju.

Bowie spędził bezsenłą noc - czekał na powrót Rosie.

- Jeśli nie wraca do domu, to znaczy, że po pijaństwie spędza noc w więzieniu -

poinformowała go Lodisha przy śniadaniu. - To znaczy, że John Hawkins musi jechać do miasta, aby zapłacić karę za wyrządzone przez nią szkody. Inaczej szeryf nie będzie chciał jej zwolnić. Jedz, kapitanie, musisz trochę przytyć. I uważaj, żeby nie zabrudzić swojej nowej koszuli.

Bowie kończył kawę, a John Hawkins zdjął blaszane pudełko z półki i liczył znajdujące się w nim monety.

- To jest nasz bank - powiedziała Lodisha, wskazując na półkę, - Pierwsze pudełko jest na konieczne wydatki, jak ziarno na siew. Drugie na kary. Trzecie na książki i nagłe potrzeby.

Czwarte na luksusowe wydatki. Nie ma w nim nic. Od dawna nie ma tu żadnych luksusów.

- Pójdę z tobą - zdecydował Bowie, idąc za Johnem Hawkinsem do drzwi.

- Nie jesteś w takiej formie, żeby przejść osiem kilometrów w jedną i drugie osiem z powrotem - zaprotestowała Lodisha.

Napełniła jednak kawą trzy naczynia i zapakowała więcej żywności, niż było potrzeba dla starego Indianina i skacowanej kobiety.

Bowie podziękował jej za śniadanie i zapasy na drogę, włożył jeden z wiszących na kołkach płaszczy, wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł na dwór. Był piękny, chłodny poranek.

Zatrzymał się na chwilę, czerpiąc zadowolenie z faktu, że może go oglądać.

Dogonił Johna Hawkinsa, dostosowując swój długi krok do równego tempa Indianina. Po godzinie marszu zatrzymali się w miejscu osłoniętym od wiatru, aby napić się kawy. John Hawkins nie wykazywał żadnych oznak zmęczenia. Bowie podejrzewał, że ten postój został

zrobiony tylko ze względu na niego.

Droga minęła im w milczeniu. Wreszcie dotarli do Passion Crossing i do więzienia na końcu Main Street.

Zastępca szeryfa, Sands, stał oparty o słupek ganku, dłubiąc scyzorykiem w zębach.

- Nie możesz się bez nas obyć, co, Stone? Tęsknisz za tym gościnnym miejscem?

-Przyjrzał się ogolonej twarzy Bowiego, na której zostały tylko nikłe ślady siniaków, i jego czystemu ubraniu. - Wygląda na to, że ślub dobrze ci zrobił. Nie mogę jednak powiedzieć tego o pannie młodej.

- Czy ona tu jest?

- Gdyby to ode mnie zależało, to zatrzymałbym ją tu za to, że jest na tyle głupia, aby stawać w obronie tchórzliwego mordercy. - Uśmiech zniknął nagle z jego twarzy. - Uważaj na siebie, Stone.

Dużo ludzi sądzi, że powinieneś leżeć pod ziemią. Jeśli tylko się wychylisz, ja i moi chłopcy chętnie sprawimy przyjemność tym, którzy są przekonani, że powinieneś dostać to, na co zasługujesz.

- Mówisz, że ona mnie broniła? - spytał Stone, wchodząc w drzwi więzienia.

- Ta kretynka starała się wytłumaczyć Lemowi i Shotshiemu, że zostałeś skrzywdzony. -

Zastępca szeryfa splunął tuż koło buta Bowiego. - Podziurawiła kulami bar Harolda i zmusiła Shotshiego do dzikich podskoków na twoją cześć. Możesz łatwo otumanić taką głupią pijaczkę jak Rosie, ale ludzie w tym mieście wiedzą swoje. Radzę ci, uważaj na siebie.

- Jeśli jeszcze raz obrazisz moją żonę - Bowie obrzucił go twardym spojrzeniem -

szybko tego pożałujesz. Ona nazywa się pani Stone, Sands. Jeśli będziesz inaczej o niej mówił, to cię własnoręcznie rozerwę na kawałki.

- Przyszedłem tutaj - John Hawkins stanął pomiędzy nimi - aby zapłacić karę za panią Stone i pokryć koszty zniszczeń, szeryfie Carlu Sandsie. Jeśli nie sprawi to panu kłopotu, czy nie zechciałby pan przyprowadzić tu Ivanhoe'a?

Sands popatrzył na niego z udanym rozbawieniem i oparł się z powrotem o słupek ganku.

- Nie przyjmuję rozkazów od Indian, Johnie Hawkinsie, Dobrze o tym wiesz.

- Ja przyprowadzę Iyanhoe'a - powiedział Bowie przez zaciśnięte zęby.

Zostawił Johna Hawkinsa, aby załatwił wykup Rosie, i poszedł w kierunku stajni, mieszczących się za budynkiem sądu. Kiedy osiodłał Ivanhoe'a i przyprowadził go przed ganek, zastał Rosie i Johna Hawkinsa czekających na stopniach. Sands gdzieś zniknął.

Bowie nie widział jeszcze Rosie w takim stanie - tak była brudna i śmierdząca. Nikt by nie uwierzył, że ta osoba może być kobietą. Wzięto by ją raczej za włóczęgę, i to takiego, którego należy za wszelką cenę unikać.

Bez słowa podprowadził Ivanhoe'a i podał jej wodze, ale John Hawkins wtrącił się nagle.

- Jestem zmęczony - powiedział, nie patrząc na Bowiego ani na Rosie. - Wolałbym wrócić do domu konno.

- Ty? Zmęczony? - spytała zdumiona Rosie, natychmiast oddając mu wodze. - Weź go, Johnie Hawkinsie. Może jesteś chory?

Bowie nie mógł uwierzyć, że Rosie Mulvehey może na czymkolwiek lub kimkolwiek zależeć, poza jej farmą i własną osobą. Jej nieklamany niepokój był dla niego niespodzianką.

- Nie jestem chory - powiedział John Hawkins i dosiadł Ivanhoe'a. Bez dalszych wyjaśnień zniknął na końcu Main Street.

Bo wie nie widział oczu Rosie pod głęboko nasuniętym na czoło kapeluszem, zauważył

jednak, że jej wargi wygięły się w grymasie smutku.

- Niech mnie szlag - powiedziała, przygryzając wargę. - Nigdy nie widziałam, żeby John Hawkins jeździł w siodle. Zawsze mówił, że nigdy tego nie robi. Nigdy też nie słyszałam, żeby narzekał na zmęczenie.

- John Hawkins jest starym człowiekiem - zauważył Bowie.

Powiedział to, chociaż według niego wiek wydawał się nie mieć wpływu na zachowanie Johna Hawkinsa. Droga do miasta nie zmęczyła go wcale. Dotarł na miejsce równie rześki jak rano, kiedy wychodził z farmy. Zaczął podejrzewać, że John Hawkins chciał go zmusić do spędzenia kilku godzin w towarzystwie Rosie,

Na protest było już za późno. Bowie włożył ręce do kieszeni płaszcza i ruszył w powrotną drogę, nie zwracając uwagi na skacowaną Rosie. Szedł długimi krokami - jej rzeczą było go dogonić albo zostać w tyle, na co zresztą liczył.

Ale ona nie pozostała w tyle. Dogoniła go i szła równym krokiem, czasem z lekka podbiegając. Przeszli tak cały kilometr. Bowie spojrział na nią spod oka, z podziwem. Rosie Mulvehey potrafiła doprowadzić się do okropnego stanu, ale posiadała rzadko spotykaną siłę woli. Nie opóźniała się ani o krok. Nie narzekała na tempo, które narzucił, ani na skrzącą w słońcu biel śniegu. Nie wspominała o swoim potwornym bólu głowy.

Kiedy przeszli w tym samym szybkim tempie jeszcze kilometr, Bowie zlitował się nad nią.

- Lodisha dała kawę na drogę. Chcesz się napić?

- Och, tak.

Z westchnieniem ulgi Rosie usiadła na kamieniu i czekała, aż Bowie odczepi od pasa pojemnik z kawą. Trzymała przez chwilę twarz nad wydobywającą się z niego parą, potem piła chciwie.

Bowie patrzył na linię horyzontu i zastanawiał się, jak można wybrać na miejsce zamieszkania tak monotonne przestrzenie.

- Nie trzeba mnie było bronić. Nie rób tego więcej.

- Już na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Ale muszę cię bronić. Jesteś moim mężem. Od tego też robi mi się niedobrze, ale nic nie mogę na to poradzić. Czy nie masz przypadkiem butelki whisky?

- Nie. - Rosie pochyliła głowę, ale Bowie patrzył na nią bez współczucia. - Mówię poważnie, Rosie. Nie rób sobie kłopotów z mojego powodu. Nic mnie nie obchodzi, co ludzie o mnie mówią.

- Czy spałeś w tym pokoju? - spytała, odchylając głowę, żeby móc spojrzeć na niego spod głęboko nasuniętego na czoło kapelusza.

- To jest teraz mój pokój.

- Łajdak! - Zakryła twarz rękami. - Ty przekłeta łajzo! Jesteś kanalią! Nikczemnikiem!

Chciałabym, żebyś umarł!

Bowie zakręcił pojemnik z kawą i ruszył przed siebie, nie zwracając na nią uwagi. Po chwili usłyszał, że idzie za nim, klnąc i obrzucając go wyzwiskami, ale trzymając się z tyłu.

Dopiero po przejściu kolejnego kilometra zrównała się z nim.

- Słuchaj, nigdy nie zniżam się do próśb, ale błagam cię, abyś nie spał w tamtym pokoju.

Proszę cię, Stone, posłuchaj mnie. Błagam cię.

Bowie zatrzymał się, zniecierpliwiony. Rosie miała tak nisko opuszczone rondo kapelusza, że nie widziała wyrazu jego twarzy. Zaczął więc przemawiać do tego kapelusza.

- Będę spał w tym pokoju, ponieważ nie mam innego miejsca do spania. Nie będę spał

na krzesłach ani na podłodze, kiedy obok stoi wolne łóżko. Jeśli nie możesz się z tym pogodzić, to natychmiast odejdę z Passion Crossing. Czy tego chcesz?

Stali blisko siebie, dwa punkciki na zasypanej śniegiem prerii. Było zimno, wiał

lodowaty wiatr.

Rosie biła się pięściami po udach w bezsilnej złości i wykrzykiwała jakieś niezrozumiałe słowa.

- Nie możesz odejść - powiedziała wreszcie, - Musisz zostać. Ale zawsze będę cię nienawidzić za to, że zająłeś ten pokój.

Nie była to poważna groźba, z czego oboje zdawali sobie sprawę. Jej nienawiść nie mogła go zmusić do spania na krzesłach, a ona nic mu nie mogła zrobić. Patrzyli na siebie niechętnym wzrokiem.

- Dlaczego tyle pijesz?

- Dlaczego nie zależy ci na życiu?

Żadne z nich nie odpowiedziało na te pytania. Ruszyli do przodu w gniewnym milczeniu.

Farma była już widoczna, kiedy ponownie zatrzymali się, aby napić się kawy i zjeść kawałek placzka

Lodishy. Rosie utkwiała wzrok w dymie wydobywającym się z komina.

- Powinam coś o tobie wiedzieć - powiedziała niechętnie, akcentując konieczność, a nie własną chęć.

- Co chcesz wiedzieć?

- Ile masz lat? Skąd pochodzisz? Czy masz rodzinę?

Zobaczyli, jak Lodisha wychodzi z domu, niosąc jedzenie dla świń.

- Mam trzydzieści trzy lata. Wychowałem się w Waszyngtonie. - Bowie nie chciał

rozwijać tego tematu. - Miałem brata, który zmarł cztery lata temu. Czy jeszcze chciałabyś coś wiedzieć?

- Czy twoi rodzice żyją?

- Moja matka zmarła wiele lat temu.

- Ja mam dwadzieścia trzy lata - zaczęła Rosie niepytana. -Przez całe życie mieszkałam w Gulliver County. Jedyna rodzina, jaką posiadam, to John Hawkins i Lodisha. Jedyna rzecz, jakiej pragnę, to osiągnąć dobre zbiory na tej farmie.

- Masz tylko dwadzieścia trzy lata? - Bowie nie wierzył własnym uszom.

- A ile lat mi dawałeś?

- Myślałem, że jesteś w moim wieku.

- Do cholery! Myślałeś, że mam trzydzieści lat? Ty świnió! I ty byłeś dowódcą oddziału!

Nie masz o niczym pojęcia.

Rosie ruszyła w kierunku domu. Bowie był zdumiony -Rosie okazała się próżna. Nie dbała o swój wygląd, ale poczuła się obrażona, że uznał ją za starszą, niż była. Potrząsnął głową i wolno ruszył w jej ślady.

Dwadzieścia trzy lata, była w tym samym wieku co Susan. Te kobiety tak się różniły, aż trudno było uwierzyć, że należą do tego samego gatunku. Zwolnił kroku, przypominając sobie, jak wyglądała Susan.

Przed kilkoma tygodniami otrzymała jego ostatni list, w którym donosił, że został skazany na śmierć przez powieszenie. Przymknął na chwilę oczy. Gdyby nie Nate, pozwoliłby, aby Susan i jego ojciec uważali go za zmarłego. Tak byłoby najlepiej dla wszystkich. Ale był Nate i należało dotrzymać obietnicy. Kiedyś będzie musiał wrócić.

Lodisha czekała na nich na ganku z założonymi na piersi rękami, blokując drzwi swoimi obfitymi kształtami.

- O nie - powiedziała stanowczo, patrząc surowym wzrokiem na Rosie. - Nie wejdiesz do mojej bawialni z tym więziennym smrodem, w żaden sposób. Znasz zasady, panienko.

- Muszę się napić - nalegała Rosie. - Wpuść mnie na chwilkę.

- Nie. - Lodisha była stanowcza. - Nie będziesz sobie folgować, zanim nie wejdiesz do wanny. I nie ma o czym gadać.

Rosie zakłęła, zerwała z głowy kapelusz i rzuciła go na ziemię.

- Czy myślisz, że dam radę wyciągnąć wannę z komórki, kiedy tak się marnie czuję?! -

krzyknęła. - Daj mi się choć trochę napić, a wtedy poradzę sobie z tą cholerną wanną.

- Ja wyjmę wannę - uśmiechnął się Bowie, spoglądając na Lodishę. - Nie poddawaj się.

Ciekawe, co kryje się pod tym brudem.

- A ty nie wtrącaj się, do jasnej cholery!

- Nie mam zamiaru się poddać, kapitanie. - Lodisha nie spuszczała wzroku z Rosie. -

Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. Idź z kapitanem, złotko - zwróciła się do Rosie. - Kiedy kąpiel będzie przygotowana, wpuszczę cię do domu. Ale bez tych śmierdzących łachów, które masz na grzbiecie. Zostaw je na dworze.

Miotając przekleństwa, Rosie poszła w ślad za Bowiem do komórki, patrząc niechętnym wzrokiem, jak wyjmował wannę i wciągał ją po kuchennych schodkach.

W drzwiach kuchni pojawiła się Lodisha, z tym samym surowym wyrazem twarzy.

- Zdejmuj ubranie.

- Zdejmuję!

Rosie zrzuciła poncho, potem usiadła na schodkach i wyciągnęła nogi do przodu, patrząc znacząco na Bowiego.

- Z czego się śmiejesz? Możesz się na coś przydać i pomóc mi zdjąć buty.

Bowie ściągnął jej but razem ze skarpetką. Rozszedł się taki zapach, że musiał wstrzymać oddech, ściągając jej drugi but. Szybko odszedł na bok.

Rosie zdjęła męską koszulę i poplamione bryczesy i rzuciła to wszystko na śnieg. Kiedy została tylko

w swoich męskich kałesonach i podkoszulku, zatrząsa się z zimna.

- To też - powiedziała stanowczo Lodisha.

Bowie obrzucił wzrokiem jej obwisłe kałesony i chrząknął z zażenowaniem.

- Pójdę do stajni i sprawdzę, czy John Hawkins dobrze wytarł Ivanhoe'a, Rosie stała jak wmurowana. Nim Bowie obrócił się i ruszył w kierunku stajni, zobaczył, że jej policzki oblewa rumieniec. Był zdziwiony, że Rosie Mulvehey jest zdolna do tego, aby się zaczerwienić. Przypomniawsobie również, że specjalnie starała się go upokorzyć, kiedy on brał

kąpiel. Zawrócił i poszedł do domu.

Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył wzburzoną wodę, przelewającą się z wanny na podłogę.

- Wynoś się stąd! - krzyknęła Rosie. - Lodisha, na litość boską, daj mi ręcznik.

Na twarzy Bowiego ukazał się szeroki uśmiech. Poszedł do bawialni i wrócił z butelką whisky. Stał nad wanną i nalał whisky do kubka.

- Chcesz się napić?

Rosie siedziała skulona, przyciskając kolana do piersi. Rzuciła na niego mordercze spojrzenie, ale po chwili dojrzała, co trzymał w ręku.

- Daj - powiedziała, z trudem przełykając ślinę.

Stał w tym samym miejscu, gdzie ona, kiedy brał kąpiel. Tak samo jak ona starał się coś dojrzeć pod powierzchnią wody. Podejrzewał, że ona miała większe szanse zobaczenia czegoś.

Woda w wannie Rosie miała już szary kolor.

- Nie patrz na mnie!

- O co ci chodzi? Jak się widziało jedną kobietę, to widziało się je wszystkie - zacytował.

Uśmiechnął się, widząc jej reakcję, dał jej kubek do ręki, po czym podszedł do pieca. Nalał sobie kawy i usiadł przy stole.

Rosie wychyliła kubek jednym haustem. Sprawilo jej to widoczną ulgę. Przymknęła na chwilę oczy.

- Wynoś się stąd, Stone. Nie chcę, żebyś tu był.

- Jestem twoim mężem. Mam prawo tu być - powiedział z uśmiechem.

- To fakt - mruknęła Lodisha, podchodząc do Rosie z mydłem i szmatką w ręku. -

Zaczniemy od twojej brudnej szyi. Dobry Boże, w jakim ty jesteś stanie, dziewczyno! Bind odpada z ciebie całymi płatami!

Nie było żadnych wątpliwości, że Rosie Mulvehey rumieni się. Stone powoli pił kawę i patrzył na nią. Czerpał równe zadowolenie z jej zażenowania, jak ona podczas jego kąpieli.

Uśmiech zniknął mu z twarzy, kiedy Lodisha zmusiła Rosie, aby wstała i zaczęła myć jej uda i pośladki. Bowie nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Rosie Mulvehey była wspaniale zbudowana. Nigdy jeszcze nie widział tak pięknego kobiecego ciała. Ręka, w której trzymał kubek kawy, zastygła w połowie gestu. Nie mógł

oderwać od niej oczu.

Rosie miała zgrabne, długie nogi, kształtne pośladki i wąską talię, Kiedy Lodisha obróciła ją przodem, Bowie gwałtownie złapał oddech.

Zobaczył jej pełne, zgrabne piersi i płaski brzuch. Na widok ciemnego trójkąta między jej udami z trudnością przełknął ślinę.

Dobry Boże. Była doskonale zbudowana. Bowie Stone widział już wiele atrakcyjnych ciał kobiecych, ale żadne nie zrobiło na nim takiego wrażenia jak ciało Rosie Mulvehey.

Kiedy doszedł do siebie, Lodisha zanurzała już głowę Rosie w wannie i namydlała jej włosy.

Bowie spoglądał bezradnie na tę scenę. Chęć zawstydzienia Rosie obróciła się przeciwko niemu. Teraz on czuł się zażenowany. Chętnie opuściłby kuchnię, gdyby nie stan podniecenia, w jaki wprowadził go widok nagiej Rosie. Nie ruszał się więc z miejsca, nadal nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Lodisha wytarła włosy Rosie i przerzuciła je przez brzeg wanny, aby móc je uczesać.

Bowie zobaczył teraz, że jej włosy były długie i gęste. Nie miały brudnobrązowego koloru, jak początkowo myślał. Były złocistokasztanowate, a po wyschnięciu niewątpliwie nabiorą pięknego połysku.

Wreszcie Lodisha pomogła Rosie wyjść z wanny i owinęła ją starym ręcznikiem.

- Stań przy piecu - powiedziała. - Poszukam czystego ubrania.

Rosie stała ze spuszczoną głową, zaciskając kurczowo ręce na okrywającym ją ręczniku.

Zamknęła oczy, a jej długie rzęsy rzucały cień na policzki.

- Jesteś taka piękna - szepnął Bowie, nie spuszczaając z niej wzroku. - To zbrodnia, że doprowadzasz się do tak okropnego stanu.

Rosie obróciła się w jego stronę. Łzy spływały jej po twarzy.

- Zemściłeś się już na mnie - powiedziała zdławionym głosem. - Teraz odejdz. Proszę cię, odejdz.

- Rosie, ja tylko...

- Jeśli mnie dotkniesz, wydrapię ci oczy.

Bowie zrozumiał, że jego obecność sprawia jej cierpienie. Wyraz jej twarzy przypominał mu twarze przerażonych kobiet indiańskich w Stone Toes. Nie rozumiał jej stanu, ale wiedział, że przemawia przez nią nieudawany ból.

- Przepraszam cię za to wszystko - szepnął, kierując się do drzwi. Ogarnęło go nagłe uczucie wstydu.

Jedli kolację w milczeniu.

Rosie zmuszała się do jedzenia, aby zrobić przyjemność Lodishy, która przygotowała potrawkę z kurczaka. Często sięgała po stojącą przy jej talerzu butelkę whisky, przypominając sobie wzrok Stone'a, kiedy patrzył na jej nagie ciało.

- Nie rób tego. - Bowie złapał ją za rękę.

Kiedy jej dotknął, Rosie znieruchomiała. Dopiero po chwili zdołała wyrwać mu rękę.

- Nie będziesz mi dyktował, co mam robić. - Kiedy zauważyła, że John Hawkins uważnie obserwuje tę scenę, rzuciła mu twarde spojrzenie. - Potrzebuję tego.

- Czy nasza dziewczynka nie wygląda tak ślicznie jak jabłuszko? - wtrąciła Lodisha, gładząc Rosie po głowie. - Najładniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałam.

John Hawkins skinął głową w milczeniu. Stone nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Zamknijcie się! - krzyknęła Rosie. Brakowało jej powietrza, czuła, że zaczyna się dusić,

- Szkoda, że nie masz lusterka - powiedział Stone swoim spokojnym głosem, który przyprawiał ją o drżenie. - Nie możesz zobaczyć, jaka jesteś piękna.

- Przestań! - krzyknęła. Ogarnęła ją panika. Zerwała się od stołu. - Wiem, jak wyglądam, nie musicie kłamać!

- Nie sądzę, żebyś wiedziała. - Stone również się podniósł. - Nie zdajesz sobie sprawy, jak...

Przerażona Rosie zaczęła się cofać, jej dłoń szukała rewolweru, ale nie miała przy sobie broni.

- Nie zbliżaj się do mnie!

Miała ochotę krzyczeć, wyrywać sobie włosy, drapać policzki i wytarzać się w brudzie.

Hamując łkanie, rzuciła się do swojego pokoju, usiadła na łóżku, trzymając rewolwer wycelowany w stronę drzwi.

Przejdziemy wzdłuż ogrodzenia i zobaczymy, na ile jest zniszczone - powiedziała Rosie przy śniadaniu, nie odrywając wzroku od talerza.

Dziwnie się czuła od samego rana, ale nie mogła się zorientować dlaczego. Czuła się inaczej niż zwykle.

Dopiero przy drugim kubku wyjątkowo dziś smacznej kawy odgadła przyczynę. Nie miała kaca. Jej pierwszą reakcją było zdumienie. Nie przypominała sobie już takiego poranka, kiedy nie czułaby się okropnie.

Wspaniale było nie mieć bólu głowy, czuć smak jedzenia, a jednocześnie... dziwnie. A była to wina Bowiego Stone'a.

Wieczorem Rosie zamknęła się w sypialni, a butelka whisky została w kuchni. Bardziej bała się spotkania ze Stone'em, niż pragnęła alkoholu. Wstrząsały ją dreszcze, przykryła głowę poduszką, chcąc zasnąć, zanim usłyszy skrzypienie Jego drzwi.

Stone znów nie spuszczał z niej wzroku. Speszona, zaczęła poprawiać włosy, które zawiązała kawałkiem sznurka. Nienawidziła kąpieli, które pozbawiały ją warstwy ochronnej i pozostawiały bezbronną.

- Przestań na mnie patrzeć!

Rosie zerwała się od stołu, włożyła kapelusz i duży, ciężki płaszcz. Poczuła się lepiej.

- Idziesz, czy masz zamiar lenić się przez cały dzień?

Nie czekając, wyszła na próg i odetchnęła głęboko chłodnym powietrzem. Teraz lśniący w słońcu śnieg nie powodował bólu oczu. To było przyjemne, ale czuła się też zagubiona, jakby straciła coś, czego bardzo potrzebowała.

Kiedy usłyszała stuk zamykanych drzwi, ruszyła przed siebie, mówiąc przez ramię:

- Musimy podjąć decyzję, ile hektarów będziemy obsiewać. Nie ma sensu zabijać się i reperować ogrodzenia przy nieużytkach. Ogrodzimy tylko ziemię orną. Jak myślisz, ile hektarów zdołamy obrobić?

Stone zrównał się z nią, a ona szybko uskokczyła w bok i przyspieszyła kroku, nie podnosząc głowy.

- Ty zdecyduj - powiedział. - To twoja farma.

- Mógłbyś mi pomóc w podjęciu decyzji.

- Moje decyzje ostatnio nie były trafne. Chyba nie masz zamiaru zaprząć Ivanhoe'a do pługa?

Rosie rzuciła mu szybkie spojrzenie. Była zadowolona, że nie mogła widzieć jego oczu, schowanych pod rondem kapelusza.

- Mam zamiar zaprząć ciebie do pług.

- Ja mam być twoim koniem roboczym?

- Oboje zgadzamy się z tym, że nie można zmarnować Ivanhoe'a pracą przy orce, więc jakie jest inne wyjście? - Rosie wysunęła się naprzód, oglądając pole, na którym topniał już śnieg.

- Ty będziesz ciągnął pług, a ja będę go prowadzić. John Hawkins będzie szedł z tyłu i rozsiewał ziarno. Nie wiem, co innego można by wymyślić.

Szli w milczeniu wzdłuż ogrodzenia. W wielu miejscach ziemia była zmarznięta, w innych ich buty grzęzły w błocie.

Przez trzy godziny obeszli dwa i pół hektara, które Rosie postanowiła obsiać, sprawdzając stan ogrodzenia.

Zatrzymali się w miejscu, gdzie ogrodzenie leżało na ziemi, aby napić się kawy.

- Dzisiaj wyglądasz na dwadzieścia trzy lata - zauważył Stone, kiedy Rosie wystawiła twarz do słońca. - Dlaczego nie chcesz mieć żadnych lusterek w domu?

- Bo nie mam ochoty siebie oglądać - warknęła. - To nie twoja sprawa.

Dobrze im się ze sobą rozmawiało o sprawach farmy i o tym, co trzeba będzie zrobić z nadejściem wiosny. A teraz, kiedy Rosie się trochę rozluźniła, on wszystko zepsuł.

- Tylu rzeczy nie mogę zrozumieć. Skąd, u diabła, przyszło ci do głowy, że jesteś brzydka?

- Zamknij się!

Mężczyźni chcieliby wszystko wiedzieć. Uważają, że wszystko, co należy do kobiety, jest ich własnością. Rosie zacisnęła zęby i przeszła przez zaspę, aby się od niego oddalić. Stone przeszedł przez leżące ogrodzenie i ruszył za nią.

- Czy to Frank Blevins powiedział, że jesteś brzydka?

Rosie mimowolnie skierowała wzrok na kamień nagrobny pomiędzy domem a rzędem topoli. Nie widać go było wyraźnie z tej odległości, ale czuła, że On patrzy i słucha.

- Jeśli to powiedział, to był ślepy. Kłamał.

- Zamknij się. do cholery! Przestań o nim mówić! Serce Rosie zaczęło bić szybciej, poczuła, że poca jej się dłonie. Zdjęła rękawiczki i wytarła w nie ręce.

- Co on ci zrobił. Rosie?

Zabrakło jej tchu, poczuła ucisk w piersi. Sam dźwięk jego imienia powodował, że zasychało jej w gardle.

- Zapomnij o nim. To nie twój interes.

- A dlaczego ty nie możesz o nim zapomnieć?

- Nigdy nie zapomnę... - Od trzech lat nie wymieniała jego imienia. Teraz też nie mogła się na to zdobyć.

Ruszyli w stronę domu, z trudem wyciągając buty z błota. Nagle Rosie roześmiała się złośliwie.

- Ty i ja... tworzymy dobraną parę, prawda? Ty nie masz nic i ja nie mam nic.

Posiadamy tylko zabagnioną przeszłość, okropną reputację, nie mamy żadnych przyjaciół, rodziny, nie mamy przyszłości. Ty i ja. Stone. stoimy z boku i spoglądamy na świat przez okno. Ja jestem pijaczką, a ty duchem, który chodzi po ziemi. Żadne z nas nie ma powodu, aby żyć.

Kiedy stanął przed nią, zauważyła, że oczy mu nagle pociemniały.

- Ja nie mogę zmienić swojej sytuacji, ale ty możesz. Możesz przestać pić. Możesz odejść z tej farmy i opuścić Gulliver County. Możesz zacząć od nowa, w innym miejscu. Nie musisz pozostawać na marginesie życia.

- Sam nie wiesz, o czym mówisz. - Rosie zacisnęła pięści, jej twarz przybrała zacięty wyraz. - Pomyśl tylko. Wszyscy byliśmy kiedyś innymi ludźmi. John Hawkins był niegdyś Indianinem. Lodisha była niegdyś niewolnicą. Ty byłeś niegdyś oficerem kawalerii. Ja niegdyś byłam czysta i trzeźwa. Nie mamy przed sobą przyszłości. Zmiana miejsca nic nam nie pomoże.

Rosie obróciła się nagle, ale Bowie złapał ją za ramię. Patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

- Masz rację. Nie wiem, co się za tym wszystkim kryje. Powiedz mi.

Kiedy poczuła dotyk jego ręki, ogarnęła ją panika.

- Puść mnie!

- Czemu tak siebie nie lubisz, Rosie? Czy to wina Franka Blevinsa?

Rosie zdzieliła go pięścią w szczękę tak mocno, że aż się zachwiał. Kiedy szykowała się do następnego ciosu, chwycił ją za nadgarstki, starając się uniknąć uderzenia kolanem, ponieważ Rosie usiłowała kopnąć go w krocze. Rozgorzała walka. W rzeczywistości walczyła tylko Rosie, Stone usiłował się bronić.

Pragnąc go ukarać za to, że zjawił się w jej życiu, rzuciła się na niego z taką siłą, że oboje upadli na

ziemię, tarzając się w śniegu i błocie. Rosie starała się dosięgnąć paznokciami jego policzków i oczu.

Stone był już wyczerpany, oddychał ciężko. Wreszcie udało mu się przygnieść ją do ziemi ciężarem swojego ciała.

- Na litość boską, Rosie, uspokój się! Nie chcę ci zrobić krzywdy.

Rosie spojrzała na niego. Zobaczyła ślady zadrapań na jego policzkach. Czuła jego oddech na swoich wargach i ciężar jego ciepłego ciała, który właczał ją w zimne błoto.

Ciężar twardego, męskiego ciała.

Ogarnęła ją panika, zaczęła się gwałtownie rzucać, starając się uwolnić. Stone przytłaczał ją jednak nadal do ziemi. Rzucala się pod nim, przerażona. Po policzkach spływały jej łzy.

- Co zrobił...? - spytał, z trudnością łapiąc oddech.

- Gwałcił mnie! - krzyknęła histerycznie, będąc pewna, że on ma również ten zamiar. -

Trzy razy w tygodniu, przez cztery lata. Słyszałam, jak skrzypią jego drzwi, ciągnął mnie za włosy do swojej sypialni i gwałcił!

Och, dobry Boże...

- Bił mnie, łamał mi kości i gwałcił mnie! Czy to właśnie chciałeś wiedzieć? Jesteś zadowolony?

Stone zsunął się z niej i usiadł obok. Zakrył oczy ręką.

- Powinienem być się tego domyślić.

Nie miał zamiaru jej zgwałcić. Rosie odczuła ogromną ulgę, która pozbawiła ją resztek sił. Leżała w zimnym błocie i nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, nie mogła nawet podnieść ręki, aby otrzeć łzy, które jej nadal płynęły po twarzy.

- To zaczęło się po śmierci mamy - mówiła Rosie pozbawionym emocji głosem. - Tak ją pobił, że umarła. - Przymknęła oczy. - John Hawkins i Lodisha starali się mi pomóc, ale cóż oni mogli zrobić. Powiedział, że zabije ich, jeśli się będą wtrącać albo powiedzą komuś o tym. I zrobiłby to.

- Nie wiem, co powiedzieć.... przykro mi.

- Powiedział, że jestem brzydka i że żaden mężczyzna, poza nim, nie chciałby mnie, - Rosie odwróciła głowę, aby popatrzeć na Stone'a. - Ja chcę być brzydka. Nie chcę, aby jeszcze jakiś mężczyzna mi to kiedykolwiek zrobił. Nie chcę, aby jakiś mężczyzna tak na mnie patrzył albo tak mnie dotykał.

- Rosie...

- Planowałam, że go zabiję. Wszystko obmyślałam. Najpierw musiałam ukraść pieniądze, aby kupić broń. On swoją broń trzymał pod kluczem. Potem musiałam zdobyć naboje. To wszystko trzymało mnie przy życiu, nie pozwalało zwariować. Kiedy wciągał mnie do swojego pokoju, pogrążałam się w myślach. Obmyślałam, co mu powiem, zanim go zastrzelę. Miałam wszystko dokładnie opracowane.

Ale na tydzień przedtem, kiedy już miałam to zrobić, na jeden, jedyny tydzień, wylał potok. Poszedł, żeby ratować krowę, która się topiła. Krowa przeżyła, ale on się utopił.

Myślałam, że oszaleję. Ten sukinsyn oszukał mnie. Umarł, zanim zdążyłam mu powiedzieć, jak go nienawidzę. Zanim zdążyłam go zabić. Nie mogę znieść myśli, że on nie poniósł żadnej kary za to, co zrobił mnie i mamie. Bez przerwy o tym myślę, jeśli nie jestem pijana.

Rosie usiadła i wbiła pałający wzrok w Stonesa.

- On musi zapłacić za to, co zrobił mamie i mnie. Musi się dowiedzieć, że jestem lepsza od niego. Ja muszę zwyciężyć. Stone. a on musi cierpieć!

Kiedy spotkała wzrok Stone'a, dojrzała w nim litość, co było gorsze, niż gdyby ją uderzył. Odezwał się łagodnym głosem.

- Rosie, Frank Blevins nie żyje. Nie możesz zemścić się na umarłym.

- Nie masz racji. - Oczy Rosie lśniły w słońcu. - Mogę i wiem, jak to zrobić. A ty mi w tym pomożesz.

Waszyngton, D.C. 1880

Tłum ludzi przewijał się przez dom na Pennsylvania Avenue. Wszyscy zostawiali swoje karty wizytowe z zagiętym lewym rogiem dla wyrażenia kondolencji. Ponieważ nie należało robić tego osobiście, dopóki ciało znajdowało się w domu, składano karty w holu. Jedyne służący wiedzieli, jak bardzo załamana była Susan.

Susan Bonner Stone przemierzała szybkimi krokami salon, szarpiąc nerwowo koronkową chusteczkę z czarną obwódką. Zatrzymywała się czasami przed trumną senatora, patrząc na niego zapłakanymi oczami.

Nie mogła zrozumieć, jak mogło do tego dojść, dlaczego życie stało się nagle ponure, a przyszłość niepewna. Senator William Stone był opoką, silnym, żywotnym mężczyzną. Kiedy Bowie zostawiał ją pod opieką swojego ojca, wydawało się, że senator ma przed sobą bardzo długie życie. Teraz, kiedy już go nie było na świecie, zamiast bezpiecznej przyszłości Susan widziała przed sobą przerażającą pustkę.

Nie wiedziała, co teraz robi. Jak będzie mogła żyć bez opieki mężczyzny? Nie miała własnej rodziny, a teraz, zaraz po śmierci męża, zmarł jej teść. Po raz pierwszy w życiu została zupełnie sama i ta sytuacja napawała ją przerażeniem. Kto zaopiekuje się nią i Nate'em? Kto jej doradzi, co ma robić?

Nie chciała nawet o tym myśleć. Usiadła obok trumny, wygładzając drżącymi palcami fałdy czarnej sukni. Co teraz z nią będzie? To pytanie nie dawało jej spokoju. Nie znajdowała na nie odpowiedzi.

Nagle ogarnęła ją złość na Bowiego. To przez niego umarł senator i przez niego ona została sama, bez mężczyzny, który by się nią opiekował.

Najpierw przyszła ta okropna wiadomość o karnym usunięciu Bowiego Stone'a z kawalerii wyrokiem sądu wojskowego. Cały Waszyngton żył tym skandalem, szczególnie uradowani byli nieprzyjaciele senatora. Chociaż senator znosił z godnością drwiny i słowa potępienia, piętno hańby, które zaciążyło na rodzinie, odbiło się na jego zdrowiu. Obaj jego synowie byli wojskowymi i stracił obu. Jednego w głupim wypadku, przy zderzeniu powozów, a drugiego w niesławie wyroku sądu wojennego. Rozgoryczony, kazał usunąć z domu wszystkie rzeczy, które należały do Bowiego. Widać było, że z trudem znosi towarzystwo Susan i Nate'a. Ich obecność przypominała mu syna, któremu nie mógł wybaczyć.

Drugi cios dokonał dzieła. Kiedy senator otrzymał wiadomość, że Bowie został skazany za zamordowanie oficera ze swojego oddziału i zostanie powieszony w jakimś małym miasteczku w Kansas, doznał zbyt silnego wstrząsu. W tydzień po założeniu przez Susan wdowich szat senator umarł na serce w swojej bibliotece, czytając po raz kolejny zawiadomienie, że zgodnie z lokalnym prawem, sprawiedliwości stało się zadość.

Teraz Susan nie miała nikogo, kto by kierował jej życiem, dbał o nią i był za nią odpowiedzialny.

Została pogrążona w przerażającej próżni.

Nie mogła myśleć o Bowiem, który za swoje egoistyczne, bezmyślne postępowanie zapłacił własnym życiem i życiem swojego ojca, który obiecał, że zawsze będzie się opiekował

nią i Nate'em. Postanowiła zająć się teraz drobnymi sprawami, którym łatwo mogła sprostać.

Zatrzymała wskazówki zegara w salonie na godzinie śmierci senatora. Lustra zasłonięte były krepą, a na drzwiach frontowych wisiała czarna wstęga. Rozesłano już zaproszenia na pogrzeb. Kucharka zajmowała się przygotowaniem stypy. Susan musiała jeszcze tylko spotkać się z panem Dubage, prawnikiem senatora. To jedyne, co pozostało do zrobienia.

Nie były również rozwiązane o wiele poważniejsze sprawy. Jak ona da sobie radę? Jak zdoła wychować swojego trzyletniego syna bez wsparcia ze strony mężczyzny? Nie znała się na kwestiach finansowych, nic nie wiedziała o świecie, w którym żyją mężczyźni. Nie miała pojęcia, jak zaplanować przyszłość swojego syna i swoją własną.

Straciła tożsamość i pozycję w towarzystwie. Nie była już żoną kapitana Bowiego Stone'a ani synową senatora Williama Stone'a. Była istotą żalonną - samotną kobietą. W jakim charakterze wejdzie do towarzystwa, kiedy upłyną dwa lata żałoby?

Łzy popłynęły jej z oczu. Dom senatora, a obecnie jej dom, zamienił się w płynący w nieznanym kierunku statek, na którym zabrakło kapitana.

- Pani Stone? - Do salonu wszedł Johns, niosąc srebrną tacę, na której piętrzyły się karty wizytowe. Spojrzał na trumnę senatora i gwałtownie zamrugał. - Jeśli można... Przyszedł

znowu kamieniarz. Musi wiedzieć, co chce pani wyryć na grobowcu senatora. Trzeba też zdecydować, kto będzie niósł trumnę. - Odchrząknął z zażenowaniem. - Generał Morley odesłał książki i papiery kapitana Stonesa, które zostały w pułku. Pani Halstead chce wiedzieć, co ma z tym zrobić. Pudło z książkami stoi teraz w kuchni i przeszkadza kucharce.

Susan nie wiedziała, co powiedzieć. Nie umiała rozwiązywać takich problemów. Nikt jej nie nauczył podejmowania decyzji i wygłaszania własnej opinii.

- Pani Stone? Jaką mam dać odpowiedź kamieniarzowi i zakrystianowi?

- Nie wiem - szepnęła. Niemożność podjęcia decyzji sprawiała jej cierpienie. - Ja...

proszę powiedzieć zakrystianowi... powiedzieć mu, że ja.... muszę się namyślić. Ja nie wiem!

Do salonu wpadła pani Halstead, jej siwe włosy były w nieładzie.

- Szybko, pani Stone! Niańka mówi, że młody panicz Nate uciekł od niej, wybiegł na ulicę i dostał się pod kopyta konia, który ciągnął wóz z węglem. Jest cały podrapany i niańka mówi, że trzeba posłać po doktora Rickarta. Ale kucharka uważa, że nic się paniczowi nie stało, tylko płacze ze strachu. Woźnica bije się ze stangretem, podarł mu liberię. Nie zdąży się naprawić liberii, bo

niedługo stangret będzie musiał zawieźć trumnę do kościoła. Nikt nie wie, co robić! Niech pani powie, co mamy robić, pani Stone.

Susan z trudnością podniosła się na nogi.

- My... Ja przecież... Ja też nie wiem, co zrobić – szepnęła i osunęła się zemdłona na ziemię.

Dzisiaj, po raz pierwszy od pogrzebu. Susan czuła się na tyle dobrze, aby móc wstać z łóżka i kogoś przyjąć. Udało jej się jakoś przetrzymać pogrzeb i stypę. Grobowiec senatora znajdował się pomiędzy mogiłami jego dwóch synów, majora Nathana Abnera Stone'a i grobem przygotowanym na przyjęcie zwłok Bowiego. Na grobie senatora i Bowiego nie było żadnych napisów. Susan przeczytała słowa wyryte na płycie Nathana Stone'a i wybuchnęła łkaniem.

Pani Halstead zastukała do drzwi jej sypialni.

- Pan Dubage czeka w salonie, pani Stone.

- Dziękuję. Niech Johns poda sherry i krakersy.

Czy powinna się upudrować? Była wystarczająco blada w swoim czarnym stroju.

Susan westchnęła głęboko. Przez dwa lata będzie musiała się ubierać na czarno, dopuszczalny był jeszcze kolor szary i biały. A ona powinna ubierać się barwnie przy swoich jasnoniebieskich oczach i lekko kasztanowatych włosach.

Patrząc w lustro nie mogła uwierzyć, że jeszcze parę tygodni wcześniej uznawano ją za piękność. Była wtedy wesoła, miała wielkie powodzenie na balach.

Czy to ona jest tą kobietą, która tak beztrósco rzuciła się w ramiona kochanka, mężczyzny darzącego ją uwielbieniem? To wszystko było tak odległe, że nie wydawało się prawdziwe,

Susan wstała od toaletki i przeszła do sąsiedniego pokoju. Skinęła głową niańce Gassy i stanęła nad łóżeczkiem Nate'a, który jeszcze słodko spał.

Serce jej się ścisnęło, gdy po raz kolejny stwierdziła, jak bardzo jest podobny do swojego ojca. Miał jego wysokie czoło, zdecydowaną linię ust, jego ciemne loki. Nate odziedziczył po ojcu niebieskie oczy i, jak wszyscy Stone'owie, wykazywał awanturniczą żyłkę. Poza nim nic jej nie pozostało po mężczyźnie, którego tak namiętnie i niemądrze kochała. Uwielbiała swojego syna, ale nawet to słowo nie wyrażało ogromu jej miłości.

Chętnie posiedziałyby przy nim i zaczekała, aż się obudzi, ale czekał na nią pan Dubage, który będzie jej mówił o interesach, o których wcale nie chciała słyszeć i nigdy nie będzie mogła ich zrozumieć.

Kiedy weszła do salonu, pan Dubage wstał z krzesła i złożył jej sztywny ukłon. Prawnik był bardzo zasadniczym człowiekiem i Susan czuła się speszona w jego towarzystwie. Czarna marynarka i przetykana srebrem kamizelka mogły być zbyt formalnym strojem o tej porze dnia.

ale były doskonale uszyte, według ostatniej mody. Jego broda przypominała Susan prezydenta Hayesa, którego portret wisiał w bibliotece.

- Może wolałby pan napić się kawy albo herbaty? - Susan zauważyła, że nie tknął stojącej na tacy sherry.

- Nie, dziękuję. Zaraz mam następne spotkanie. Czy moglibyśmy od razu przejść do interesów?

- Oczywiście, - Susan usiadła naprzeciwko niego. - Jak już panu mówiłam, zupełnie nie znam się na interesach. Mam nadzieję, że zechce pan nadal reprezentować interesy naszej rodziny, w imieniu moim i mojego syna.

- Wydaje mi się, że sprawa, z którą przychodzę, jest na tyle prosta, że potrafi pani ją zrozumieć - powiedział sucho pan Dubage, wyciągając z aktówki jakieś papiery. - Zaczniemy od majątku pani męża. Ponieważ dostał on spadek po matce i po bracie, jego majątek przedstawia dużą wartość. Po załatwieniu spraw spadkowych będzie pani wraz z synem dobrze zabezpieczona na przyszłość, - Zmarszczył brwi. - Jednak zaistniał problem, który opóźnia poświadczenie nabycia praw spadkowych.

- Jestem pewna, że potrafi pan rozwiązać ten problem, panie Dubage.

- Moje biuro nie otrzymało świadectwa zgonu z Passion Crossing, Kansas. Odpowiedzią na nasze pierwsze pismo była odręczna notatka, mówiąca, że pan Bowie Stone został skazany na śmierć przez powieszenie i że wyrokowi stało się zadość. Następne prośby o świadectwo zgonu pozostały bez odpowiedzi. Nie było również odzewu na nasze ponaglenia o przysłanie zwłok.

- Czy musimy o tym mówić? - spytała słabym głosem Susan, podnosząc do nosa flakon soli trzeźwiących.

- Musi pani zrozumieć, że dopóki sąd nie otrzyma świadectwa zgonu, nie będzie mógł

przekazać pani pieniędzy męża ani innych walorów. Czy zdaje sobie pani z tego sprawę, pani Stone? Nie może pani korzystać z pieniędzy męża, dopóki nie zostanie poświadczona autentyczność testamentu, a sąd nie może tego zrobić bez świadectwa zgonu. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak długo to może potrwać, ponieważ urzędnik w Gulliver County kompletnie ignoruje nasze prośby.

Susan odwróciła głowę; wolałaby nie słyszeć tego wszystkiego.

- Gdyby były na to pieniądze, posłałbym człowieka do Kansas, aby sam odebrał te papiery i załatwił przesłanie zwłok pani męża. Ale, jak już mówiłem, nie posiada pani środków na opłacenie takiej podróży.

- Jestem pewna, że senator nas zabezpieczył. - Susan zmarszczyła brwi. - Czy nie można skorzystać z tamtych funduszy?

Pan Dubage nie odezwał się, zajęty przeglądaniem swoich papierów. Ku zdumieniu Susan zniknęły

nagle jego sztywne prawnicze maniery. Wydawał się niesłychanie zażenowany.

- Z przykrością muszę panią poinformować, że senator Stone zostawił dla pani i dla pani syna tylko czterdzieści dolarów. Polecił, aby pani wraz z synem opuściła ten dom w przeciągu tygodnia po otrzymaniu tego listu. Może pani zabrać ze sobą tylko te rzeczy, które należały do pani przed małżeństwem z kapitanem Stone.

- Słucham? - Zszokowana Susan siedziała nieruchomo, uprzejmy uśmiech zastygł jej na wargach. - Czy mógłby pan...?

Pan Dubage powtórzył to oświadczenie.

- Ale to na pewno jakaś pomyłka - szepnęła Susan, z trudem łapiąc oddech. - Kiedy Bowie odjechał na Zachód, zostawił nas pod opieką senatora. Senator obiecał, że zajmie się nami.

- Senator Stone mówił, że na pewno pani zrozumie, dlaczego uznał za stosowne tak postąpić.

- Ale ja niczego nie rozumiem!

Susan zacisnęła mocno dłonie i wpatrywała się w pana Dubage przerażonym wzrokiem. Wstrząsały nią dreszcze.

- Może ten list objaśni pani sytuację.

Susan patrzyła na kremową kopertę w ręku prawnika, nie zdając sobie sprawy, co może oznaczać. Jej umysł odmówił posłuszeństwa, nie mogła otrząsnąć się z szoku, wywołanego perspektywą, że może zostać wyrzucona na ulicę.

Od samego początku senator trzymał się od niej z daleka, chociaż próbowała go oczarować. Dotrzymał jednak danej Bowie obietnicy. Wziął ją razem z Nate'em do siebie, wyznaczył jej oficjalną rolę pani domu i hojnie łożył na ich utrzymanie. Zawsze zachowywał

się poprawnie. Uznała, że chłód, jaki jej okazuje, wynika z jego usposobienia. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że senator może jej nie lubić, nie mówiąc o tym, żeby chciał wyrzucić ją i swojego wnuka z domu, który ona uznała za własny.

A on jej nienawidził. Susan nie mogła zebrać myśli. Serce jej mocno biło. a ręce tak się trzęsły, że nie mogła utrzymać w nich koperty.

- Proszę. Ja nie mogę - szepnęła z wysiłkiem. - Proszę mi to przeczytać.

Pan Dubage popatrzył na nią uważnie, po czym złamał pieczęć na kopercie.

- Czy jest pani tego pewna, pani Stone? Tego typu listy są przeważnie natury bardzo osobistej.

Susan podniosła do nosa flakon soli trzeźwiących. W głowie jej się kręciło, chciała jak najszybciej zbudzić się z tego koszmarne snu.

- Proszę mi powiedzieć, co jest w liście.

Pan Dubage wyjął z koperty dwie kartki zapisane wyraźnym pismem senatora i włożył okulary.

Pani Stone!

Pragnąc wywiązać się z danej synowi obietnicy, pozwoliłem Pani i Pani bękartowi, chociaż z wielką niechęcią, korzystać z dobrodziejstw nazwiska i fortuny Stone'ów. Teraz, kiedy mój syn nie żyje, nie mogę pozwolić na to, aby nazwisko Stone było nadal hańbione przez bezczelną awanturnicę. Należy natychmiast położyć temu kres.

- Niemożliwe, żeby to było w liście. - Susan z trudnością łapała oddech. Krew odpłynęła jej z twarzy.

Wiem, że Bowie Stone nie jest ojcem Pani dziecka. Zleciłem śledztwo w tej sprawie i dowiedziałem się, że mój syn poznał Panią na tydzień przed wplątaniem go w to małżeństwo.

Siedem miesięcy później urodziło się dziecko, które Pani narzuciła siłą tej rodzinie. Uważam, że mój syn wyjechał na Zachód, ponieważ zorientował się., że Pani go oszukała. Dlatego też nie zabrał Pani ani Pani bękarta ze sobą. Wydaje mi się również możliwe, że odkrycie faktu, że poślubił kobietę upadłą, mogło spowodować tak silny szok, że w tym stanie zaczął

popępniać niegodne czyny, które w efekcie doprowadziły go do śmierci.

- O mój Boże! To przecież niemożliwe! Panie Dubage, przysięgam panu na wszystko, co mam najświętszego! Mój syn Natan jest rodzonym wnukiem senatora Stone'a!

Pan Dubage czytał dalej, nie patrząc na Susan.

Dopóki żył mój syn, czułem się zobowiązany do dotrzymania przyrzeczenia, o które się dopominał, chociaż, sprawiało mi to ból. Dziedziczenie przez, taką kobietę, jak Pani, majątku mojego syna kłóci się z zasadami zwykłej przyzwoitości. Z mojego majątku jednak Pani nie skorzysta. Schodzę do grobu z głębokim żalem, że przez łatwowierność mojego syna nasze szanowane nazwisko jest noszone przez bękarta i kobietę lekkich obyczajów. Ma Pani opuścić mój dom w przeciągu tygodnia. Może Pani zabrać ze sobą tylko to, co posiadała Pani, zanim Pani poślubiła mojego syna.

Susan upadła zemdlona na ziemię.

Waszyngton zawsze żył plotkami, więc wiadomość, że senator wykluczył Susan ze swojego testamentu i wyrzucił ją z domu, rozniosła się lotem strzały.

Bileciki, które Susan wysyłała z błaganiami o pomoc do swoich przyjaciół i znajomych, pozostawały bez odpowiedzi. Wreszcie zrozumiała, że za zamkniętymi dla niej drzwiami całe lokalne towarzystwo zajęte było omawianiem jej zszarganej reputacji.

Potwierdziły się jej najgorsze obawy - nikt nie wierzył, że jej ważący prawie cztery kilogramy syn urodził się przedwcześnie. Stało się jasne, że została zaakceptowana w towarzystwie jedynie dzięki temu, że senator roztoczył nad nią opiekę. Kiedy zmienił stanowisko, Susan stała się dla nich *persona non grata*.

Półprzytomna z niepokoju i niewyspania, Susan krążyła nerwowo po swojej sypialni, dopóki pani Halstead nie zawiadomiła jej, że przyszedł pan Dubage. Prawnik zjawił się w odpowiedzi na jej błagalne listy.

- Musi mi pan pomóc! - krzyknęła, wchodząc do salonu. - Nie wiem, co mam robić! Nie mam gdzie iść. Nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc! Błagam pana, panie Dubage. Niech mi pan pomoże!

- Johns poinformował mnie - powiedział prawnik z nieprzeniknionym wyrazem twarzy -

że nie czyni pani żadnych przygotowań w celu opuszczenia domu senatora. - Nie spuszczał

wzroku z Susan, która chodziła szybkim krokiem po salonie, załamując ręce, - Chociaż sprawia mi to ogromną przykrość, mam obowiązek poinformować panią, jako wykonawca testamentu senatora, że zostało jej tylko trzy dni na znalezienie sobie nowego miejsca zamieszkania.

Susan z płaczem opadła na krzesło.

- Nie utrzymam siebie i mojego syna za czterdzieści dolarów! Po tygodniu znajdziemy się na ulicy! Zginiemy! Na litość boską, panie Dubage, niech mi pan powie, co mam robić. Błagam pana!

- Ale... przecież... - wymamrotał bezradnie prawnik, nie wiedząc, jak uspokoić płaczącą kobietę.

- Nikt nie odpowiada na moje listy! Wszystkie drzwi zamknęły się przede mną! - Susan nerwowo szarpała chusteczkę. - Ja nie mam nikogo, panie Dubage. Ani męża, ani ojca, ani rodziny. Co mogę zrobić? Gdzie pójść? Niech mi pan powie, jak mogę uratować siebie i mojego syna. Niech mi pan powie, co robić, błagam pana!

- Niech pani jedzie na Zachód, pani Stone - powiedział, bo akurat ta myśl przyszła mu do głowy.

- Na Zachód? - Susan patrzyła na niego, zapłakana.

- Proszę mi wybaczyć tę nagłą sugestię - powiedział prawnik, obserwując z westchnieniem jej delikatną posturę. - Nie mogę podejmować za panią decyzji, pani Stone.

Mogę pani pomóc, przedłużając o tydzień termin opuszczenia domu senatora, ale nic więcej nie jestem w stanie zrobić. Bardzo niechętnie godzę się na to ustępstwo, ponieważ jest to działanie wbrew wyraźnemu życzeniu mojego klienta. - Pan Dubage kierował się już do wyjścia. - Przykro mi, ale nieodwołalnie musi pani wraz z synem opuścić dom do końca przyszłego tygodnia.

Przypomniał jej jeszcze, żeby zostawiła mu swój nowy adres. Musi wiedzieć, gdzie przesłać jej wiadomość, gdyby otrzymał świadectwo zgonu jej męża. Wyszedł, nie czekając na nowy atak płaczu.

Kiedy Susan wylała morze łez i nie miała już siły dłużej płakać, zaczęła zastanawiać się nad tym, co jej poradził pan Dubage. Była to jedyna wskazówka, jaką posiadała. Zmusiła się, aby zadzwonić na Johnsa, i poprosiła go o przyniesienie porannej gazety.

Jechać na Zachód. Susan niewiele wiedziała o terytoriach indiańskich, a te wiadomości, które posiadała, nie rozbudziły jej ciekawości. Pamiętała tylko, że oficerowie mówili, jak mało jest tam kobiet. Mogło tam nie być teatrów, opery i eleganckich restauracji, ale niewątpliwie było tam bardzo wielu mężczyzn. A ona rozpaczliwie potrzebowała mężczyzny, który by ją wyratował i zapewnił jej przyszłość.

Przesuwała drżącym palcem po ogłoszeniach. Wielu mężczyzn z pogranicza poszukiwało żon i pomocy domowych. Wszyscy byli gotowi pokryć koszty podróży.

Te ogłoszenia fascynowały ją i przerażały jednocześnie. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby na któreś z nich odpowiedzieć. Wreszcie uspokoiła się na tyle, aby móc je ponownie, uważnie przeczytać.

Wszystkie propozycje były do siebie podobne. Mężczyźni, którzy poszukiwali żony lub też pomocy domowej, podkreślali, że ma to być silna, odważna, samowystarczalna kobieta.

Niektórzy zaznaczali, że powinna mieć doświadczenie w hodowli zwierząt domowych. Susan nie mogła uwierzyć, że istnieje kobieta, która potrafiłaby sprostać tym wymaganiom. Niektórzy zwracali uwagę na umiejętność gotowania, co od razu wykluczało kandydaturę Susan. Jeszcze inni poszukiwali kobiety, która by chętnie zamieszkała na położonej w bezludnej okolicy farmie.

Sama myśl o tym przyprawiała Susan o dreszcz przerażenia.

Po dwóch dniach poszukiwania Susan zawęziły się do jednego ogłoszenia: Adwokat osadnik poszukuje wykształconej kobiety w celu zawarcia małżeństwa.

Preferowana panna, której nieobca jest ciężka praca, w wieku od dwudziestu do trzydziestu pięciu lat. Posiada mały dom w mieście i farmę w budowie. Opłaci koszty podróży. Odpowiedź

kierować do: Gresham Harte, Owls Butte, terytorium Wyoming.

Przez dwa dni Susan nosiła tę ofertę w kieszeni, wyjmując ją często, czytając i umierając z przerażenia. Propozycja pana Harte'a wyróżniała się wśród innych tym, że poszukiwał wykształconej kobiety. Wzmianka o ciężkiej pracy martwiła Susan, ponieważ była delikatnej budowy, a najcięższą pracą, jaką musiała wykonywać, było dysponowanie, co podać na stół.

Z drugiej strony adwokat jest niewątpliwie ważną osobą w mieście i posiada służbę do pracy w domu. Susan zaczęła sobie wmawiać, że wzmianka o ciężkiej pracy była omyłką w druku, powtórzeniem kwestii z ogłoszenia znajdującego się powyżej.

Przez cały dzień pogrążona we łzach Susan opłakiwała fakt, że zostaje zmuszona do poślubienia obcego mężczyzny w odległym, na wpół dzikim zakątku. Poświęciła dwie godziny na oskarżanie Bowiego Stone'a za to, że ją zostawił, odjechał i skazał na los, którego nawet nie mogła sobie wyobrazić. Gdyby nie Nate, wolałaby raczej zginąć z głodu na ulicach Waszyngtonu, niż zdecydować

się na to małżeństwo.

Nie miała jednak wyboru. To była jej jedyna szansa.

Następnego dnia Susan, wraz z panią Halstead, udały się powozem senatora do urzędu telegraficznego. Z pomocą pani Halstead i soli trzeźwiących udało się jej nadać wiadomość do pana Greshama Harte'a w Owls Butte, Wyoming. Czekwała na odpowiedź, modląc się, aby pan Harte odpowiedział pozytywnie, ponieważ był jej jedyną nadzieją. Z drugiej strony pragnęła, aby odrzucił jej kandydaturę.

Kiedy nadeszła, z trudem zmusiła się do jej przeczytania.

Do Panny Stone, Waszyngton D.C. stop proszę pojechać pociągiem do Denver, potem dyliżansem do Fortu Washakie stop w forcie trzeba się przesiąść do dyliżansu Eban Connors Wind River Coach stop bilety na przejazd otrzyma Pani od operatora telegrafu stop oczekuję Pani przyjazdu stop Gresham Harte, Owls Butte, terytorium Wyoming koniec wiadomości.

- O Boże - wyszeptała przerażona Susan, nie mogąc utrzymać telegramu w dłoni. -

Mam wyjść za mąż.

Pani Halstead spojrzała na nią z dezaprobatą. Gdy jednak zobaczyła na dostarczonych Susan biletach, kiedy ma nastąpić wyjazd, poradziła jej życzliwie, aby natychmiast zabrać się do pakowania.

- Ale pan Harte nie wysłał biletu dla Nate'a! - Susan nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym nowym problemem.

- Nate jest jeszcze mały, może siedzieć u pani na kolanach, pani Stone. Nie potrzebuje mieć biletu - powiedziała pani Halstead.

Po dwóch dniach, wyczerpana, przerażona i zdezorientowana Susan siedziała wraz z synem w pociągu zmierzającym na Zachód.

Trzytygodniowa podróż była jednym wielkim koszmarem. Ponieważ pan Harte nie pomyślał o kupieniu biletów na wagon sypialny, Susan i Nate musieli spać na twardej ławce, podskakując przy każdym gwałtownym mchu wagonu, i wdychać dym z lokomotywy. W nocy było tak zimno, że Susan obawiała się, że zamrzną. Natomiast w dzień trudno było oddychać w przesiąkniętym dymem cygar, zatłoczonym wagonie.

Pan Harte nie zatroszczył się również o przekazanie pieniędzy na nieprzewidziane wydatki, więc Susan musiała korzystać ze swoich skromnych zasobów, aby kupować jedzenie na postojach. Te maleńkie stacyjki na rozległych równinach były prawdziwymi jaskiniami wyzysku. Jedzenie, jakie oferowano zgłodniałym pasażerom, było wyjątkowo drogie, niedogotowane lub przegotowane i ledwie ciepłe. Nie można było dostać herbaty, a płyn, który nazywano kawą, miał smak błota. Mleko, które Susan kupowała dla Nate'a, było rozcieńczone wodą.

Susan marzyła, aby mieć w Denver czas na odpoczynek przed podjęciem dalszej podróży, ale okazało się, że ma tylko cztery godziny na przejazd ze stacji do postoju dyliżansów. Z trudnością hamując łzy, omal nie przewracając się ze zmęczenia, dotarła tam w ostatniej chwili.

Podróż w dziewięcioosobowym dyliżansie była koszmarem, przechodzącym wszelkie wyobrażenia. Pasażerowie śmierdzieli brudem, przeklinali i kłócili się o każdy centymetr wolnego miejsca. Pudła i worki z pocztą spadały Susan na głowę, a przy gwałtownych skrętach dyliżansu wszyscy wpadali na siebie nawzajem. Po godzinie jazdy Susan z trudnością mogła utrzymać Nate'a na kolanach. Była tak wyczerpana, że chociaż na postojach oferowano jedzenie, niczego nie mogła przełknąć. Kiedy dyliżans zatrzymywał się na noc, nie była w stanie skorzystać z brudnych, pełnych robactwa łóżek. Spędzała noce przy rozpalanym w placówce ognisku, trzymając Nate'a na kolanach.

Przy tym wszystkim musiała zajmować się dzieckiem. Susan nie miała pojęcia, ile trzyletni chłopiec może przysparzać kłopotów. Z utęsknieniem myślała o niańce Gassy. Czym mogła zająć znudzonego synka? W jaki sposób powstrzymać go, aby nie biegał po całym pociągu? Jak uspokoić, kiedy płacze w nocy? Dlaczego nikt jej nie powiedział, że trzylatek może nagle zniknąć matce z oczu? Albo że mali chłopcy nie chcą się myć? Stałe przebywanie z ukochanym synem kompletnie rozstroiło jej nerwy i pozbawiło cierpliwości. Słyszając jego bezustanny szczebiot, marzyła o chwili ciszy i spokoju.

Dyliżans zatrzymał się nagle i do uszu Susan dobiegł donośny głos woźnicy.

- O wis Butte! Ci, co jadą do Jackson, mają tu wrócić za dwadzieścia minut.

Susan zaczęło szybko bić serce. Przez chwilę siedziała jak sparaliżowana. Wreszcie poprawiła swój przekrzywiony kapelusz, obciągnęła pelerynę i otrzepała ubranko Nate'a.

- Stój spokojnie, kochanie. Pozwól, żeby mama przyglądziła ci włosy i wytarła buzię.

- Czy to już koniec jazdy? - spytał zniecierpliwiony Nate.

- Tak, kochanie - powiedziała Susan, patrząc na wysiadających pasażerów. - Pamiętaj, żebyś ładnie

się zachowywał. Musimy zrobić dobre wrażenie na panu Harte. Nie kręć się i nie patrz na niego ze zdziwieniem. Wszystko jedno, jak on wygląda i co nam powie. Nie odzywaj się, zanim cię nie zagadnie. Zrób to dla mamusi.

Pocałowała synka i wyszła na zewnątrz. Ulica pokryta była brudnym śniegiem, zanieczyszczona końskim łajnem.

Było tak zimno, że oddech zamieniał się natychmiast w parę, a policzki Susan poróżwiały. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, były pokryte śniegiem szczyty gór. Nie mogła uwierzyć, że są prawdziwe. Ten widok zaparł jej dech w piersiach.

Samo Owls Butte sprawiało okropne wrażenie. Jego główna, tonąca w błocie ulica obudowana była dwoma rzędami brzydkich, kwadratowych domów. Zauważyła stojące przed nimi wozy gospodarskie, bryczki, furmanki, ale nie było żadnego przyzwoitego ekwipażu.

Jedyna kobieta, jaką zobaczyła, miała na sobie stary, dawno niemodny płaszcz. Susan rzuciła jeszcze okiem na odrapane budynki i ogarnęło ją przygnębienie.

- To cały pani bagaż?

Susan obróciła się, żeby policzyć stojące koło jej kufra pudełka, i skinęła głową.

Wzięła Nate'a za rękę i brnąc w śniegu podeszła do swoich skromnych bagaży. Zastanawiała się z rozpaczą, czy wystarczy jej pieniędzy, żeby móc wrócić do Waszyngtonu.

Z pobliskiego hotelu wybiegł mężczyzna, wołając coś do woźnicy. Susan ścisnęła mocniej dłoń Nate'a. Domyśliła się, że to jej przyszły mąż.

Najpierw zauważyła, że Gresham Harte nie był tak wysoki jak Bowie. Nie miał chyba nawet metra siedemdziesięciu wzrostu. Mimo że nosił okulary w drucianej oprawie, nie wyglądał na więcej jak trzydzieści lat. Był młodszy, niż się spodziewała. Miał na sobie niemodny i dość zniszczony płaszcz i trochę przekrzywiony kapelusz. Gdyby nie grube rękawice i solidne buty, mógłby uchodzić za jednego z tych niezliczonych, niezauważalnych młodych ludzi, których było pełno w każdym większym mieście.

- Oczekuję młodej damy - zwrócił się do woźnicy, przesuwając wzrokiem po stojącej obok Susan. - Czy panna Stone spóźniła się na dyliżans? Czy gdzieś odeszła?

- Nic nie wiem o żadnej pannie Stone. - Woźnica wskazał mu Susan. - Tu jest pani Stone i jej chłopak.

Kiedy pan Harte obrócił się w jej stronę, Susan doszła do wniosku, że nie jest przystojnym mężczyzną. Nosił wąsy, miał krótkie ciemne włosy i czarne oczy, zbyt duży nos i zbyt kwadratową szczękę. Mimo to miał miły wygląd i, jak miała nadzieję, dobry charakter.

Patrzył na nią z wyrazem niedowierzania na twarzy, przesuwając wzrokiem po jej czarnym ubraniu i po otaczających ją bagażach. Przez chwilę zatrzymał wzrok na onieśmielonym chłopczyku.

- Pan Harte? - spytała Susan drżącym głosem. - Jestem Susan Stone, a to jest mój syn, Nathan Stone.

- Mamo, strasznie mocno ściskasz mi rękę - zaprotestował Nate.

- Musiała być pomyłka - odezwał się pan Harte. - Poszukiwałem panny, nie kobiety, która była zamężna. Nie szukałem kobiety z dzieckiem, a pani w swoim telegramie nie wspomniała o swoim synu.

- Jestem wdową, panie Harte.

- Domyślam się tego, pani Stone. - Przyklęknął i spojrzał w oczy Nate'a. - Masz tu pięć centów, synku. Możesz pójść do hotelu i poprosić panią Adler, aby dała ci kawałek pysznego placaka z owocami. Muszę spokojnie porozmawiać z twoją mamą.

Nate spojrzał na Susan, która skinęła przyzwalająco głową. Patrzyła, dopóki nie zniknął

w drzwiach hotelu. Dopiero wtedy skierowała wzrok na Greshama Harte'a.

- Wiem, że źle zrobiłam, nie wspominając o synu, ale bałam się, że mi pan wtedy odmówi.

- W miesiącach zimowych zajmuję się praktyką prawniczą, pani Stone. Jest to zawód, który wymaga skupienia i spokoju. W lecie mieszkam na przydzielonej mi działce, gdzie buduję dom. W moim życiu nie ma miejsca dla dziecka. Nie posiadam wystarczającej cierpliwości, aby mieszkać razem z ruchliwym małym chłopcem. Nie mam żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o dzieci, i nie mam również zamiaru nabywać go właśnie teraz. Susan zacierała nerwowo ręce, patrząc na niego błagalnym wzrokiem.

- Nate jest spokojny i dobrze wychowany. Będę pilnować, żeby nigdy panu nie przeszkadzał. On nie sprawi żadnego kłopotu.

Woźnica strzelił z bata i dyliżans ruszył w stronę odległych gór. Oboje patrzyli za nim przez chwilę.

- Czy mogę spytać, od jak dawna jest pani wdową?

- Mój mąż zmarł dziewięć tygodni temu.

- Dziewięć tygodni! - Pan Harte był zaszokowany tą wiadomością.

Susan zagryzła wargi: zaczerwieniła się gwałtownie.

- Wiem, że to jest nieprzyzwoite, aby tak szybko wychodzić ponownie za mąż, ale nie mam wyboru.

Przyglądał się teraz uważnie kapeluszowi i pelerynie Susan. Chociaż jej strój był

wygnieciony i poplamiony po podróży, widać było, że jest to eleganckie ubranie, uszyte z drogiego materiału.

- Można stwierdzić na pierwszy rzut oka, że pani zmarły mąż nie był biedakiem.

- Mój mąż był kapitanem w Jedenastym Pułku Kawalerii, ale on... - urwała nagle, uznając, że nie należy jeszcze wyjawiać mu prawdy. - Na skutek okoliczności, których nie jestem w stanie zrozumieć, zostałam z synem bez środków do życia. - Wstyd jej było się do tego przyznać, ale musiała to zrobić. Pokazała mu małą, modną torebkę i stojące na ziemi bagaże. - To, co pan tu widzi, jest wszystkim, co posiadam.

- Rozumiem. - Gresham Harte spoglądał w zamyśleniu na góry, których szczyty znikają za zwalami chmur. - Czy mogę zobaczyć pani dłonie, pani Stone?

- Słucham pana?

- Pani dłonie. Czy mogłaby pani zdjąć rękawiczki?

Zdumiona Susan zastosowała się do jego prośby, chociaż natychmiast odczuła przenikliwe zimno. Pan Harte przysunął się bliżej, aby móc dokładnie obejrzeć jej gładkie, białe ręce. a po chwili odsunął się, potrząsając głową.

- Proszę mi wybaczyć szczerą, ale te ręce nie wykonywały nigdy żadnej pracy. Nie sądzę, żeby pani kiedykolwiek szorowała podłogę lub robiła pranie. Wątpię, czy pani niosła kiedyś wiadro wody, wbijała gwoździe czy miała w ręku żelazko.

Susan zrozumiała już wszystko. Szybko włożyła rękawiczki.

- Umie grać na pianinie - powiedziała obronnym tonem. - Zajmowałam się po trosze malowaniem, dobrze haftuję. Mam duże doświadczenie jako pani domu oraz w prowadzeniu dużego gospodarstwa domowego.

- To są niewątpliwie duże osiągnięcia, ale my mieszkamy na pograniczu. Nie mam pianina i nie potrzebuję pani domu. Potrzebuję żony, która potrafi napalić w starym piecyku i ugotować na nim posiłek. Potrzebuję żony, która zajmie się moim domem i moim biurem podczas zimy, a w lecie pomoże mi zbudować dom do stałego zamieszkania. Potrzebuję żony, która jest przyzwyczajona do wykonywania ciężkiej pracy.

- Mogę się wszystkiego nauczyć - powiedziała z rozpaczą Susan. - Czego będzie pan sobie życzył, nauczę się.

- Przykro mi - potrząsnął przecząco głową. - Nie mogę poślubić żony mężczyzny, który dopiero od dwóch miesięcy leży w grobie, który zginął, służąc temu krajowi. A ostatnią rzeczą, jakiej bym potrzebował, to żona, która nie umie sprzątać, prać, prasować, która nie umie niczego pożytecznego. Obawiam się, że odbyła pani tę długą podróż na próżno, pani Stone. Radziłbym pani wrócić do swojej rodziny.

Uchylił kapelusza i ruszył w kierunku Main Street.

- Panie Harte! - Susan pobiegła za nim, wołając przerywanym głosem. - Błagam pana!

Nie mam rodziny ani pieniędzy, nie mam gdzie iść. Pan mnie tu sprowadził, nie może mnie pan tak porzucić. Proszę, musi mi pan pomóc!

- Pani przyjechała do Owls Butte pod fałszywym pozorem, pani Stone - zatrzymał się z zachmurzoną twarzą. - Nie jestem zobowiązany troszczyć się o pani przyszłość. Współczuję pani sytuacji, ale nie mam żadnych zobowiązań w stosunku do pani ani do pani syna. - Kiedy zobaczył łzy w oczach Susan, zacisnął z niechęcią wargi. - Mogę pani pomóc tylko w ten sposób, że nie będę żądał zwrotu pieniędzy za podróż. Ale to wszystko, pani Stone, i to jest koniec naszej znajomości. - Ponownie uchylił kapelusza i odszedł szybkim krokiem, nie reagując na jej rozpaczliwe wołanie,

Susan zakryła twarz rękami. Czowała, że ma mokrą spódnicę, przekrzywiony kapelusz, że włosy opadają jej na twarz. Ale nie zwracała na to uwagi. Ona i Nate byli zupełnie sami w tym obcym miejscu, z którego nie mieli możliwości ucieczki. Zaczął padać śnieg. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na spadające dokoła białe płatki, nie wiedząc, co ma zrobić.

- Hej, tam... pani Stone!

Susan obróciła się, zdumiona. W drzwiach hotelu stała wysoka kobieta w białym fartuchu.

- Niech pani tu przyjdzie, zanim się pani zaziębi na śmierć. Pani syn panią woła.

Nazywam się Adler, też jestem wdową - powiedziała, patrząc na czarny strój Susan. Potem zawołała kogoś z głębi hotelu. - Fred, przynieś tu rzeczy pani Stone. - Niechżeż pani tu przyjdzie, pani Stone.

Susan poczuła się upokorzona. Pani Adler musiała usłyszeć jakiś urywek rozmowy z panem Harte. Ale to nie była pora na unoszenie się dumą. Trzęsąc się z zimna i ze zdenerwowania, poszła w kierunku hotelu. Pani Adler pomogła jej wejść na schodki.

- Zanieś rzeczy pani Stone do pokoju numer trzy – poleciła wysokiemu chłopcu o pociągłych rysach twarzy i kasztanowatych włosach, bardzo do niej podobnemu. - Pani synek jest w kuchni - powiedziała, prowadząc Susan przez mały salonik. - Tam jest najcieplej. Właśnie zaparzyłam kawę i mam jeszcze placki z obiadu. Proszę mi dać kapelusz i pelerynę. Trzeba je powiesić, żeby dobrze wyschły.

Susan podążała w milczeniu za panią Adler.

Duża kuchnia hotelowa była pierwszym czystym pomieszczeniem, jakie Susan miała okazję oglądać od początku swojej podróży. Nad piecem wisiały żeliwne garnki, na półkach stały naczynia z kamionki, a powietrze przepełnione było zapachem pieczonego ciasta i świeżo parzonej kawy.

Nate leżał uspiiony na ławce. Obok niego stał pusty kubek po mleku i pokryty okruchami talerzyk. Pani Adler przykryła Nate'a grubym ręcznikiem i odgarnęła mu włosy z czoła.

- To bardzo grzeczny chłopczyk. Mówi proszę i dziękuję. Niech pani siada przy stole, pani Stone. Zaraz dam pani coś do zjedzenia.

- Ja... ja nie mogę jeść - szepnęła Susan, pamiętając, na jak długo muszą wystarczyć jej skromne

zasoby. - Ale chętnie napiję się kawy.

Odchyliła się na krzesło, przymykając oczy. Po chwili pani Adler postawiła przed nią gorącą kawę i usiadła ze swoim kubkiem po drugiej stronie stołu.

- Następny dyliżans przyjeżdża dopiero pojutrze, nie będzie dzisiaj wielu gości na kolacji, szczególnie przy takiej zamieci. Wystarczy czasu na wysłuchanie pani opowieści.

Pani Adler zabrała się do naszywania łąt na podarte spodnie i kurtki.

Panujące w kuchni gorąco pozbawiło Susan resztek energii. Pragnęła zwinąć się w kłębek, jak Nate, i spać bez końca, dopóki nie będzie się mogła obudzić w jakimś bardziej przyjaznym świecie. Otrząsnęła się jednak.

- Najpierw umarł mój mąż, a w tydzień po nim zmarł teść. Nie było pieniędzy i musiałam odejść, ale nie miałam gdzie iść. Odpowiedziałam więc na ogłoszenie w gazecie i przyjechałam tu, aby wyjść za mąż za pana Harte'a, ale on mnie nie chce. ponieważ jestem wdową, ponieważ mam Nate'a, ponieważ nie umiem gotować, prac, prasować ani robić nic pożytecznego.

- No tak - powiedziała pani Adler. - To jest kłopot. Co pani zamierza zrobić?

- Nie wiem - szepnęła Susan. - Czy nie ma innych mężczyzn w Owls Butte, którzy potrzebują żony?

- Jest ich pełno. - Zanim Susan zdołała się ucieszyć tą wiadomością, pani Adler potrząsnęła głową. - Terytoria indiańskie są zupełnie inne niż Stany, pani Stone. Tutaj mężczyzna potrzebuje kobiety, która potrafi tyrać jak on oraz zająć się domem. Mężczyźni na Zachodzie mają wielkie marzenia, a bardzo mało gotówki. Oni oczekują, że ich żony będą wykonywać prace, do których mężczyźni na Wschodzie wynajmują robotników. A jeśli chodzi o pani syna, to gdyby Nate był starszy i zdolny do roboty, nie byłoby problemu. Również gdyby pani nie była żoną wojskowego, nie byłoby problemu z tym, że tak niedawno pani owdowiała. Ale tu, na Zachodzie, każdy mężczyzna wie, że zawdzięcza swoją ziemię i bezpieczeństwo dzielnym żołnierzom, którzy poskromili dzikich. Żaden mężczyzna w Wyoming nie ożeni się z wdową po wojskowym, dopóki nie minie odpowiedni okres żałoby.

- Więc nie ma nadziei.

- Nadzieja jest zawsze, pani Stone. Ale jeśli chodzi o znalezienie nowego męża, to wiele rzeczy przemawia na pani niekorzyść.

- Ile kosztuje pobyt w pani hotelu? - spytała Susan.

- Dolara dziennie. Jest w to wliczone śniadanie i kolacja przez cały tydzień, z wyjątkiem niedzieli. Posiłki w niedzielę są płatne ekstra. Tak samo pranie, reperacja ubrania i prasowanie.

Susan usiłowała się skupić. Gdyby wydawała tylko dolara dziennie, gdyby zrezygnowała z obiadów i w ogóle nie jadła w niedzielę, mogłaby razem z Nate'em przeżyć tu dziewiętnaście dni. zanim Adlerowie wyrzucą ją na ulicę w Owls Butte, Mogłaby również wsiąść do dyliżansu i dojechać do Denver, mając siedem dolarów w portmonetce.

Nie miało wielkiego znaczenia, czy będzie głodować i marznąć na ulicach Deiwer. czy na ulicach Owls Butte. Opuściła głowę, z trudem powstrzymując łzy.

- Jest tak ciężko bez mężczyzny, który zapewnia opiekę i mówi, co należy zrobić.

- To prawda. Stale brakuje mi Henry'ego.

- Pani sama prowadzi ten hotel? Bez mężczyzny? - Susan nagle podniosła głowę.

- Mój syn Fred mi pomaga. - Pani Adler wzruszyła ramionami. - I córka, Hettie. Czasem jest ciężko, ale jakoś dajemy radę. Teraz Owls Butte ma już dwustu trzydziestu mieszkańców, a ich liczba stale rośnie. Kiedyś ten hotel będzie miał swoją cenę. Pracuję dla przyszłości

-powiedziała z dumą pani Adler.

- Pani sama wszystkim kieruje? Bez mężczyzny? - spytała zdumiona Susan.

- Czasem kobieta musi to robić.

- Nie myślała pani o powtórny zamążpójściu?

- Phi, nie. Nie ma takiego mężczyzny w Owls Butte, który mógłby mi zastąpić Henry'ego. - Jej pokryta zmarszczkami twarz złagodniała. - Nigdy nie byłam tak ładna jak pani, pani Stone. Ale mój Henry mówił zawsze, że mam oczy jak łania i piękne włosy. - Dotknęła spiętych w kok włosów. - Przecież musi być coś, co potrafi pani robić, żeby móc utrzymać siebie i syna.

- Wyrosłam w otoczeniu służby. - Susan opuściła wzrok. -Dopóki nie wsiadłam do jadącego na Zachód pociągu, nigdy nawet nie ubierałam się ani nie czesałam sama.

Susan popatrzyła na swoje dłonie. Przez całe życie nacierała je kremem, chroniła od słońca i chłodu. Dumna była ze swoich wypolerowanych paznokci i gładkiej skóry. Teraz wiedziała już, że w Wyoming nikt nie będzie zachwycał się jej rękami. Tutaj piękne były ręce pokryte odciskami.

- Chyba jeszcze nigdy nie widziałam kobiety, która nie umiałaby się ubrać i uczesać. -

Pani Adler spojrzała na nią ze zdumieniem, przestając na chwilę szyc. - To bardzo komplikuje sprawę. Chyba mogę się domyślić, że pani nie umie gotować ani prac? To wielka szkoda.

Kobieta zawsze może zarobić na życie, jeśli przyjmuje pranie, szczególnie w takim miejscu jak to. Mężczyźni chętnie płacą za domowy placek i za wypranie ubrania. Teraz musi pani się wyspać. - Pani Adler pomogła Susan wstać z krzesła. - Niech pani weźmie swojego chłopca i idzie na górę. Jutro wszystko będzie lepiej wyglądać.

Nikt nie zaoferował się zanieść Nate'a na górę, więc Susan musiała to zrobić sama. Z

trudnością weszła na schody, ciągnąc za sobą przemoczoną spódnicę.

Pokój, który pani Adler przydzieliła Susan, był bardzo wysoki, ze ścianami pokrytymi tapetą w małe różyczki. W pokoju było chłodno, ale pościel była bardzo czysta i wykrochmalona.

Susan była zbyt zmęczona, aby zająć się rozpakowywaniem kufra, zdjęła synowi tylko wierzchnie ubranie i położyła go do łóżka. Zrzuciła z siebie brudną suknię, rozluźniła gorset i padła na łóżko.

Zbudziła się po dwunastu godzinach. Nate'a nie było w pokoju. Z bijącym sercem wyskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie suknię i zbiegła na dół.

- Gdzie jest mój syn?! - krzyknęła, omal nie przewracając pani Adler, która szorowała schody.

- Wysłałam Freda do kowala, żeby zreperował pęknięte żelazko. Nate poszedł z nim.

Ten łobuz powiedział, że pani mu pozwoliła.

Susan usiadła na schodku i ukryła twarz w dłoniach. Umarłaby, gdyby coś stało się jej synowi.

- Czuję, że jestem do niczego. Najmniejsza rzecz mnie przerasta. - Susan wiedziała, że narzekanie i zwierzanie się komuś spoza rodziny jest oznaką złego wychowania, ale nie mogła się powstrzymać. - Najgorsze jest to, że czasem nienawidzę swojego męża za to, że umarł i zostawił nas samych. Potem czuję się winna, że źle myślę o zmarłym, ale nadal jestem zła i znowu go nienawidzę. Jak on mógł nam to zrobić? - Susan tłukła pięścią o schodek. - Jak mógł nas porzucić i pozwolić tak cierpieć?

Pani Adler wrzuciła szczotkę do kubła, wyprostowała się i popatrzyła na Susan.

- Wydaje mi się, że brakuje pani wiary w siebie, pani Stone.

- Czy to nie jest oczywiste, pani Adler? - Susan zaśmiała się gorzko. - Jestem kobietą, która jest niczym bez mężczyzny. Potrzebuję męża, żeby się mną opiekował i doradzał. Sama nic nie umiem zrobić. Nie potrafię podejmować decyzji, nie dam sobie rady. nie zdołam uratować ani siebie, ani swojego syna.

- Phi. Tanio się pani sprzedaje. Jest pani silniejsza, niż się pani wydaje, pani Stone.

Jeszcze nigdy nie widziałam słabej kobiety.

- Nie wierzę w to. Tylko raz w życiu zdobyłam się na odwagę, ale to było dawno.

- Przyjechała pani na Zachód, prawda? - spytała pani Adler. - Co by pani elegancy przyjaciele ze Wschodu powiedzieli o kobiecie, która przejechała taki kawał świata z trzyletnim dzieckiem? Teraz jest łatwiej niż wtedy, kiedy Henry i ja przyjechaliśmy tu, ale nadal jest to poważna wyprawa. Pani to zrobiła bez pomocy mężczyzny, prawda?

Susan wyprostowała się na schodku, mrugając ze zdumienia.

Po południu, kiedy położyła Nate'a, żeby się przespał, włożyła pelerynę i wyszła na ganek, żeby się przyjrzeć Owls Butte.

Dla osoby z wielkiego miasta krótka główna ulica i nieliczne boczne uliczki z małymi domkami przedstawiały okropny widok. Poza tym Susan zaczynała podejrzewać, że w Owls Butte zawsze wieje wiatr.

Ale kiedy podniosła oczy na góry, ich piękno i majestat nappełniły ją podziwem. Osłoniła oczy od słońca, patrząc, jak wiatr podnosi z nich tumany śniegu.

Dziwne uczucie ogarnęło Susan. Nie spodziewała się, że w tym najgorszym momencie jej życia mógłby zaświtać jakiś jaśniejszy promyk. Zaczęła myśleć o tym, co jej powiedziała pani Adler.

Przecież ona rzeczywiście przyjechała na Zachód zupełnie sama. Dała sobie radę, nie mając żadnej pomocy. Mogła być z tego dumna.

Była tak wystraszona i pogrążona w litowaniu się nad sobą, że nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jak wielkiej rzeczy dokonała. Pani Adler miała rację. Ona, Susan Stone, tego dokazała. Jej samej trudno było w to uwierzyć.

Zaświtał jej promyk nadziei. Czy to możliwe, że posiada możliwości, o których sama nie wie? Jeśli tak, to pozostało jej jedenaście dni na ich odkrycie. Potem skończą się pieniądze.

Na tę myśl opuściła ją rozbudzona na chwilę nadzieja.

Płatki śniegu wirowały za koronkowymi firankami w jadalni pani Adler, a ze stojącego w rogu pieca rozlegał się czasami trzask palącego się drewna, wtórując cichym rozmowom gości siedzących w niedzielę przy wieczornym posiłku.

Susan, zwrócona tyłem do pokoju, ze złożonymi na kolanach rękami, patrzyła, jak Nate rozgrzebuje jedzenie na talerzu, opowiadając jej z podnieceniem o zwierzętach, które widział w Owls Butte. Susan spoglądała na zanurzone w śmietanowym sosie kartofle i kawałki szynki i z trudem powstrzymywała się, żeby mu nie powiedzieć, że nie powinien zostawić ani kawałeczka na talerzu, ponieważ za niedzielną kolację płaciło się dodatkowo.

- Pani Stone?

Głos pana Harte'a wyrwał ją z rozmyślania nad tym, ile jedzenia w życiu zmarnowała.

Gresham Harte stał nad nią, mnąc w palcach rondo swojego kapelusza. Dzisiaj jego ciemne włosy były przedzielone na środku, a kręcone kosmyki opadały mu na czoło. Miał na sobie ten sam wełniany garnitur, w którym go zobaczyła po raz pierwszy, i wyjściową, wykrochmaloną koszulę z trochę przetartym kołnierzykiem.

- Witaj, młody człowieku - powiedział do Nate'a. Susan zauważyła ze zdziwieniem, że miał uroczy uśmiech. - Słyszałem, że wczoraj prawie udało ci się złapać świnie pana Stevensona.

- Tak, proszę pana - uśmiechnął się uszczęśliwiony Nate, który chętnie opowiedziałby całą historię, gdyby Susan nie uciszyła go spojrzeniem.

- Czy pozwoli pani, że napijemy się razem kawy, pani Stone?

Susan zarumieniła się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jeszcze kilka tygodni wcześniej obrzuciłaby intruza lodowatym spojrzeniem, oburzona jego śmiałością. Ale była na Zachodzie.

Wiedziała już, że tutaj obowiązują inne zasady.

- Jak pan sobie życzy, panie Harte - powiedziała sucho. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie dodać: - Zaskoczył mnie pan. Miałam wrażenie, że nasza znajomość już się zakończyła.

- Myślałem, że odjedzie pani następnym dyliżansem - powiedział z zachmurzoną twarzą.

- Ponieważ tak się nie stało... trudno jest zakończyć znajomość w miasteczku wielkości Owls Butte.

Hettie Adler podeszła do ich stolika i uśmiechnęła się do Nate'a.

- Chciałbyś cukierka? Mama zrobiła krówki.

Zanim Susan zdążyła zaprotestować, Nate zsunął się z krzesła i pobiegł w kierunku kuchni. Hettie poszła za nim. Susan spojrzała na pozostawione przez Nate'a jedzenie i zacisnęła zęby. Gdyby nie

było pana Harte'a, mogłaby to zjeść.

Zjawiała się pani Adler z dzbankiem kawy. Uśmiechnęła się niewinnie do Susan, jakby nie miała nic wspólnego z odwołaniem Nate'a przez Hettie.

- Może jeszcze kawy?

- Poproszę o filiżankę, bo zostawiłem swoją na stoliku - powiedział pan Harte. - Czy mogłaby pani przynieść nam też tego czereśniowego placka, który jadł pan Wessle?

- Nie jestem głodna - szybko powiedziała Susan. - Proszę nie przynosić ciasta dla mnie.

- Gresham Harte spojrział na talerz Nate'a i na stojącą przed Susan filiżankę kawy.

- Ja płacę za dwa kawałki placka - powiedział do pani Adler. Susan podejrzewała, że mówił to cło niej. - Jeśli pani Stone nie będzie chciała placka, to ja go zjem.

- Nie musi mi pan kupować placka - szepnęła Susan po odejściu pani Adler, czerwieniąc się z zażenowania. - Wyraźnie dał mi pan do zrozumienia, że nie czuje się pan odpowiedzialny ani za mnie, ani za mojego syna.

- Nie zmieniłem zdania. Kupowanie placka uważam za gest dżentelmena, a nie za oznakę zobowiązania. - Przez chwilę siedzieli w milczeniu. - Przemyslałem tę sytuację, pani Stone.

Jestem gotów przyznać, że obie strony ponoszą winę. Powinienem był jaśniej sformułować ogłoszenie.

- Nie odpowiedziałabym na nie, gdyby wykluczył pan wdowy i dzieci.

- Dlaczego pani odpowiedziała na tę ofertę, pani Stone? - Odchylił się na krześle, kiedy pani Adler stawiała przed każdym z nich gruby kawałek placka z czereśniami. - To znaczy, dlaczego pani odpowiedziała na moje ogłoszenie, a nie na inne?

Susan zauważyła, że Gresham Harte był jedynym mężczyzną w jadalni, który kładł serwetkę na kolanach, a nie zakładał jej za kołnierzyk koszuli.

- Zależało panu na wykształconej kobiecie. Mogę nie umieć innych pożytecznych rzeczy, ale umiem czytać. Miałam doskonałych nauczycieli. Chodziłam do szkoły dla młodych panien, prowadzonej przez pannę Haversham. - Susan burczało w brzuchu, była tym potwornie zażenowana. Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby jeść placek po małym kawałku. -

Zrobił na mnie wrażenie fakt, że jest pan adwokatem. Myślałam, że będzie mi mógł pan zaproponować sposób życia bliższy mi niż życie ranczera czy farmera.

- Współczuję pani sytuacji, pani Stone. - Pan Harte patrzył na swój talerzyk, zaciskając usta. - Ale nie jestem za nią odpowiedzialny.

- Jeśli nie czuje się pan odpowiedzialny, panie Harte, za sprowadzenie mnie do Owls Butte, to dlaczego przyszedł pan tu, aby się ze mną zobaczyć?

- Nie przyszedłem, aby się z panią zobaczyć - powiedział oschłym tonem.- Od czterech lat mam zwyczaj jadania w niedzielny wieczór w hotelu pani Adler. - Rzucił okiem na swój stolik przy frontowym oknie. - Spotkałem tu panią przez przypadek. Wydawało mi się, że niegrzecznie byłoby przebywać w tym samym miejscu bez słowa przywitania. Nasza sytuacja jest niezręczna, ale jesteśmy już znajomymi.

- Och!

Przez chwilę Susan pozwoliła sobie na iskierkę nadziei, że może on jednak zechce ją poślubić. Zaczęła sobie nawet wmawiać, że jego piwne oczy promieniują dobrocią, a duży nos nadaje mu szlachetny wygląd.

- Pani Stone nie chcę wprowadzać pani w błąd. Nie przyjmuję żadnej odpowiedzialności za pani życie. - Patrzył na nią, kiedy smakowita kawałek placek, przymykając oczy. - Przysunął jej swój talerz. - Okazuje się, że zupełnie nie jestem głodny.

Susan była przerażona. Nie przypuszczała, że było aż tak widoczne, jak bardzo jest głodna.

- Nie, dziękuję - powiedziała lodowatym tonem.

Starła się nie patrzeć na ofiarowany jej placek, nie wyobrażać sobie jego smaku.

- Chciałbym wiedzieć, jakie ma pani plany na przyszłość.

Susan mogła teraz myśleć wyłącznie o placku. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek w życiu będzie narażona na mękę głodu. Już nigdy nie będzie lekceważąco traktować jedzenia.

- Pani Stone?

- Przepraszam. O co pan pytał?

- Proszę to zjeść. - Pan Harte zabrał jej pusty talerzyk i postawił przed nią swój placek.

- Jeśli pani nalega - powiedziała z westchnieniem. Miała nadzieję, że wykazała już wystarczający brak zainteresowania. - Nie można go przecież zmarnować.

- Nalegam - powiedział, odchylając się na krześle i patrząc, jak stara się nie jeść żarłocznie. - Myślałem, że ma pani zamiar wrócić na Wschód, do rodziny.

- Nawet gdybym miała środki na powrót do Waszyngtonu, nie miałabym po co tam wracać. Nie mam już rodziny i nic mnie nie wiąże ze Wschodem. - Susan wycierała usta serwetką.

Placek zniknął już z talerza. - Moja matka umarła, kiedy byłam dzieckiem. Mój ojciec przeniósł

się na tamten świat wkrótce po tym, jak poślubiłam kapitana Stone'a.

Dzięki dwóm kawałkom placka Susan przestało kręcić się w głowie, nie zaspokoila jednak głodu. Zaczęła liczyć, ile godzin zostało do śniadania, które było wliczone w cenę hotelu.

- Więc ma pani zamiar zostać w Owls Butte? - Wydawał się zaniepokojony tą możliwością.

- Nie mam wyboru - powiedziała, opuszczając głowę. - Modlę się o cud, panie Harte.

Adwokat położył swoją serwetkę na stole i szybko wstał z krzesła.

- Pragnę podkreślić z całą stanowczością, że nie może pani liczyć na to, że ja dokonam tego cudu czy też rozwiążę pani trudności. Z prawnego punktu widzenia sytuacja jest jasna.

Ogłoszenie nie jest kontraktem. Nie jestem w żadnym wypadku zobowiązany do łożenia na pani utrzymanie ani do innych form pomocy.

Kiedy skończył mówić, w jadalni pojawił się roześmiany Nate z umazaną buzią.

- Mamo, przyniosłem to dla ciebie - powiedział otwierając dłoń, w której trzymał

krówkę. W drugiej dłoni miał również cukierek. - To dla pana - zwrócił się do Greshama Harte'a.

- Dziękuję, młody człowieku - powiedział Gresham, wkładając kapelusz. - Dobranoc, pani Stone. Gdybyśmy się już nie mieli spotkać, proszę pamiętać, że dobrze pani życzę.

- Dziękuję za placek, panie Harte - szepnęła Susan, nie podnosząc oczu.

Schowała twarz w brązowych lokach Nate'a, który wdrapał się jej na kolana.

Gresham przeszedł już połowę Main Street, zanim się zorientował, jakie palnął głupstwo.

Jeśli pani Stone nie wyjedzie z Owls Butte - a nie zdradzała takiego zamiaru - niewątpliwie spotkają ponownie. Musiał przyznać sam przed sobą, że cała ta sprawa ciążyła mu na sumieniu.

Nie mógł przestać o niej myśleć.

Ze zmarszczonymi brwiami powtarzał sobie, podobnie jak to mówił jej, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za nią i jej syna.

Było jednak faktem, że znalazła się w Owls Butte za jego przyczyną. I nie jadła przez cały dzień.

Zaklął, kopiąc z wściekłością zmarzniętą bryłę śniegu.

Gdyby pozostał na Wschodzie, chętnie zacząłby się starać o względy Susan Stone. Była bardzo ładną kobietą, delikatnie zbudowaną, a jej oczy miały kolor jasnego wiosennego nieba. Jej kasztanowate włosy lśniły w świetle. Gdyby został w Connecticut, jego praktyka adwokacka przynosiłaby mu

wystarczający dochód na utrzymanie dużego domu ze służbą. Mógłby prowadzić taki tryb życia, do jakiego była niewątpliwie przyzwyczajona pani Stone, Pociągał go jednak Zachód. Gresham Harte był w głębi serca pionierem. Szukał otwartych przestrzeni, chciał być samowystarczalny. Podziwiał otwartość i uczciwość osadników z pogranicza. Podniecała go myśl o posiadaniu ziemi, na której mógłby własnymi rękami zbudować dom. Odczuwał dumę, że może być jednym z mężczyzn, którzy zasiedlą ten dziki kraj; do których należy przyszłość.

Odczuwał jedynie brak towarzystwa kobiety, która by podzielała jego marzenia i pracowała wraz z nim. Jednak szukanie jej poprzez ogłoszenie okazało się fatalną pomyłką. Nie potrzebował niesamodzielnej, szukającej oparcia w mężczyźnie kobiety, jaką była Susan Stone.

Nie chciał też ponosić odpowiedzialności za wychowywanie dziecka innego mężczyzny w tak ważnym dla siebie okresie życia.

Odrzucenie jej kandydatury było właściwą decyzją, jedyną możliwą decyzją. On potrzebował żony silnej fizycznie, kobiety, która umiałaby gotować, położyć dach, uszyć ubranie, założyć ogród i zabić świnię i która robiłaby to wszystko z uśmiechem na ustach.

W jego planach i marzeniach nie było miejsca na lśniące brązowe loki, gładkie białe dłonie i bezradne niebieskie oczy.

Po tygodniu pani Adler zastukała do drzwi Susan.

- Ma pani gościa - powiedziała, opierając się na szczotce do zamiatania. - Pan Harte czeka na panią w saloniku.

Susan odłożyła książkę, którą czytała synowi.

- To dziwne - powiedziała.

Poprawiła włosy przed lustrem i wygładziła spódnice. Na jej twarzy było widać skutki zmartwień. Czekala ją wkrótce nieodwołalna katastrofa.

- Nie chcę się wtrącać, pani Stone, ale martwi mnie ten telegram, który pani otrzymała.

Mam nadzieję, że to nie są złe wiadomości.

Susan ledwo powstrzymała uśmiech. Na Zachodzie wszyscy wtrącali się w cudze sprawy.

Na Wschodzie takie zachowanie uważano za wyjątkowo niegrzeczne, tutaj nazywało się sąsiedzkim zainteresowaniem.

- Telegram był od mojego adwokata w Waszyngtonie. Miałam nadzieję, że zostały już uregulowane sprawy spadkowe po moim mężu, ale tak się nie stało.

- Hettie obiera w kuchni kartofle. Popilnuje Nate'a, kiedy będzie pani rozmawiać z panem Harte. - Pani Adler pałała ciekawością, ale nie zadawała więcej pytań.

- Dziękuję.

Kiedy Susan weszła do salonu, pan Harte stał przy oknie, odwrócony tyłem do drzwi. Nie był tak eleganckim mężczyzną jak znani Susan adwokaci. Jeśli miał jeszcze jedno ubranie, to ona nie miała okazji go widzieć. Był również mocniej zbudowany, bardziej muskularny i szczuplejszy niż prawnicy, których spotykała w Waszyngtonie.

Jeszcze raz przyglądała włosy i lekko chrząknęła.

Odwrócił się od okna, szybko zdjął kapelusz i skinął jej głową.

- Przejdę od razu do zasadniczej kwestii, pani Stone - zaczął. - Czy odniosłem właściwe wrażenie, że ma pani zamiar osiedlić się na stałe w Owls Butte?

- Będę równie bezpośrednia jak pan - powiedziała Susan.

Już się przyzwyczaiła wyjawiać szczerze, co myśli, chociaż zawsze czuła się przy tym niezręcznie.

- Nie mam pieniędzy, aby wyjechać z Owls Butte. Ale nie o to chodzi. To miejsce, czy inne, nie robi wielkiej różnicy. - Odetchnęła głęboko. - Mój cały majątek to siedem dolarów, panie Harte. Wkrótce zostanę bez grosza. Pani Adler usiłowała nauczyć mnie wielu rzeczy przez ostatnie dwa tygodnie, ale nie łudzę się, żebym mogła w ten sposób zarobić na siebie. Nie nauczyłam się rozpalać w piecu, a jedyna próba pomocy przy praniu zakończyła się katastrofą. -

Mówienie o tym wprawiało ją w panikę.

- Rozumiem. Jak pani będzie żyła, kiedy skończą się pieniądze na hotel?

Susan siedziała na brzeжку krzesła, walcząc ze łzami. Nie chciała płakać przy mężczyźnie, który nią wzgardził.

- Nie chcę o tym mówić.

- Przykro mi, ale uważam to za konieczne.

Susan nie umiała przeciwstawić się mężczyźnie. Przez całe życie uznawała męski autorytet i kierowana była przez mężczyznę. Ten człowiek zmuszał ją do upokarzającej wypowiedzi. Opuściła nisko głowę.

- Nie mogę pozwolić, aby mój syn zginął z zimna i głodu. Kiedy wydam ostatniego dolara... - Nie mogła tego wypowiedzieć. Wreszcie zdobyła się na rozpaczliwy szept. - Pójdę do pani Hawk i będę ją błagać, aby mnie przyjęła.

Gresham Harte wypuścił kapelusz z ręki i patrzył na nią zaszokowany.

- Zostanie pani prostytutką?

Susan skuliła się na krześle, kiedy usłyszała to bezpośrednio wypowiedziane słowo.

- Cóż innego mogę zrobić? - spytała martwym głosem. - Sprzedać się jest jedynym wyjściem dla samotnej kobiety bez pieniędzy. Mogę jeszcze pozwolić na to, aby mój syn umarł

z głodu, a tego nie zrobię. - Susan odwróciła głowę, żeby Harte nie zobaczył wzbierających w jej oczach łez.

Gresham Harte patrzył na nią bez słowa.

- Pani Stone - odezwał się wreszcie. - Chciałbym, żeby pani się z kimś spotkała. Czy pojedzie pani ze mną na przejażdżkę?

- Jestem pewna, że znam już wszystkich mieszkańców Owls Butte - powiedziała Susan, której zaczęło robić się słabo.

- Ale nie panią Winters, która mieszka w County Creek, dwadzieścia pięć kilometrów stąd.

To wspaniała kobieta. Myślę, że będzie mogła pani pomóc.

Susan spojrzała w okno. Była ładna pogoda, niebo czyste, chociaż było zimno i wiał wiatr. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była na prawdziwym spacerze.

- Dlaczego interesuje się pan moim położeniem, panie Harte?

- Nie dlatego, żebym uważał, że mam jakieś zobowiązania w stosunku do pani.

Susan omal nie uśmiechnęła się, słysząc, jak uparcie odżegnuje się od myśli, że cokolwiek mogłoby ich łączyć.

- Jeśli to panu sprawi ulgę, to powiem głośno, że nie obwiniam pana za to, co się ze mną stało. Winien jest kto inny. Już od tygodnia nie mam do pana pretensji.

- Żałuję, że kiedykolwiek miała pani do mnie pretensje. - Zmarszczył brwi. - Obie strony nie są wolne od błędu.

- Tak mi się wydaje.

- Czy pojedzie pani ze mną do pani Winters? - ponowił pytanie.

Susan nie odpowiadała. Twarz mu się zachmurzyła, schylił się po kapelusz, który spadł na podłogę.

- Chociaż jestem wolny od wszelkich zobowiązań, pani Stone, wygląda na to, że chce pani pozostać w Owls Butte, więc jest rzeczą naturalną, że okazuję pani sąsiedzkie zainteresowanie. Na Zachodzie

ludzie pomagają sąsiadom, kiedy potrzeba.

Susan nadal patrzyła w okno, myśląc, jak cudownie byłoby uciec od swoich kłopotów i spędzić parę godzin na świeżym powietrzu. Może Hettie przypilnuje Nate'a.

- Czy mogę liczyć na to, że pomyślał pan o przyzwoitce?

Gresham Harte roześmiał się głośno.

- Proszę mi wybaczyć, pani Stone. Zapomniałem, że od niedawna jest pani na Zachodzie i że nasze obyczaje muszą wydawać się pani mało eleganckie. Tutaj nikt nie myśli o takich nonsensownych zbytkach jak przyzwoitki, tym bardziej dla dorosłych ludzi. Pani reputacja na pewno nie ucierpi, jeśli pani ze mną pojedzie.

Jego ironiczny ton podkreślał śmieszność jej obaw w sytuacji, kiedy za kilka dni miała sprzedawać swoje ciało każdemu mężczyźnie, który posiada pięćdziesiąt centów i ochotę na godzinę płatnej miłości.

- To było głupie, prawda? Prosić o przyzwoitkę.

Susan zaczęła się zastanawiać, jak wiele razy musiała się już ośmieszyć bezmyślnym stosowaniem się do etykiety i brakiem rozsądku. Była niemądrą snobką. Przestało ją już dziwić, że senator Stone odnosił się do niej jak do uprzykrzonego dziecka.

Pan Harte przyglądał wąsy i rozprostował ramiona.

- Pani dobre imię nie dozna uszczerbku w moim towarzystwie. Moim jedynym celem jest dopomożenie pani. w miarę moich możliwości. Jeśli mam być szczery, pani Stone, to pragnę tylko, aby pani sprawa przestała mi ciążyć na sumieniu. Chcę po prostu uwolnić się od pani.

Susan podniosła brwi do góry, w jej oczach widać było lekkie rozbawienie.

Gresham Harte zaczerwienił się i zaczął miąć rondo swojego kapelusza.

- Powiedziałem, że nie ponoszę odpowiedzialności za panią. Nie mówiłem, że nie mam wyrzutów sumienia.

- Poproszę Hettie, żeby zaopiekowała się Nate'em, i wezmę swoje rzeczy, panie Harte. Za chwilę będę gotowa. - Susan obróciła się wdzięcznym ruchem i wyszła z pokoju.

Kiedy wyruszyli w drogę lekkim powozem, Susan i pan Harte siedzieli daleko od siebie, a pomiędzy nimi stał kosz z jedzeniem.

Od czasu do czasu obrzucała go spojrzeniem, wyobrażając sobie, że sumienie sprowokuje go do złożenia jej propozycji małżeństwa. Byłaby wtedy uratowana.

Do tej pory zdołała już poznać wszystkie plotki o mieszkańcach Owls Butte. Wiedziała, że Gresham

Harte był angielskiego pochodzenia, że nie posiadał żadnej rodziny i że ukończył

studia prawnicze tylko dzięki temu, że podejmował się każdej pracy. Nie miał znikąd poparcia, ale był ambitny i nieustępliwy.

Był ogólnie szanowany w Owls Butte, którego mieszkańcy byli dumni z faktu posiadania własnego adwokata. Susan usłyszała kiedyś, jak właściciel sklepu tłumaczył komuś przyjezdnemu, kim jest pan Harte, opisując go tak, jakby był miejscowym pomnikiem.

Wiedziała również, że kąpał się regularnie, co uważane było tutaj za ekstrawagancję, miał lepsze maniery niż większość mężczyzn na Zachodzie i czułe sumienie.

- Nigdy nie ożenię się z panią, pani Stone. - Gresham Harte przerwał długie milczenie.

- Wiem. - Susan patrzyła na góry, mając nadzieję zaczerpnąć z nich trochę siły, kiedy jej marzenia uleciały z wiatrem.

- Wydaje mi się, że liczy pani na to, że zmienię zamiar, aby uratować panią przed jej smutnym losem - powiedział, nie odrywając wzroku od koni. - Mam swoje plany, pani Stone.

Dokładnie wiem, jakiej żony potrzebuję. Musi to być kobieta silna, samowystarczalna, przyzwyczajona do ciężkiej pracy. Tak, wolałbym mieć wykształconą żonę, ale jestem gotów z tego zrezygnować. Najważniejsza jest samodzielność.

Susan odwróciła głowę w stronę gór, z których wiatr zwiewał tumany śniegu.

- Czy pani znowu płacze? - spytał, zaglądając jej w twarz.

- Staram się nie płakać - szepnęła, przyciskając chusteczkę do oczu. Wiedziała, że mężczyźni nie znoszą łez. Na widok płaczącej kobiety gotowi byli zgodzić się na wszystko albo wprawiało ich to w złość. Tak właśnie reagował Bo wie, pan Harte okazywał chłodną niechęć.

- Do diabła! Co panią napadło, aby przyjechać na Zachód'? Pani tutaj zupełnie nie pasuje!

- Mój adwokat w Waszyngtonie powiedział, żebym pojechała na Zachód.

- Czy pani sama nie przemyślała tej decyzji, nie zasięgnęła wiadomości? Klienci nie muszą stosować się do każdej rady adwokata. Ostateczna decyzja należy do klienta.

- Niech pani jedzie na Zachód. Tak mi powiedział pan Dubage.

- Pani Stone - powiedział po chwili, z zakłopotaniem potrząsając głową. - Obawiam się o pani przyszłość.

- Ja też. - Susan wysiąkała nos. - Och, ja też.

County Creek było większą miejscowością niż Owls Butte -miało gmach sądu, więzienie i kościół ze strzelistą wieżą. Pan Harte wymieniał ukłony ze znajomymi na Main Street, a Susan patrzyła z zainteresowaniem na wystawy sklepowe. Strumyk, od którego miasto otrzymało swoją nazwę, płynął tuż za miastem. Było tu też więcej drzew niż w Owls Butte. Jednak mieszkańcy County Creek nie mieli widoku na góry, który stał się tak ważny dla Susan.

Pan Harte skierował konie w boczną ulicę i zatrzymał powóz przed zbudowanym z bali domem.

- Powinnam była spytać o to wcześniej. Kim jest pani Winters?

- Pani Winters nadzoruje szkoły w tym okręgu.

- Kobieta jest szkolnym kuratorem? - Susan otworzyła usta ze zdumienia. To przechodziło jej najśmielsze wyobrażenia.

- Wyoming szczyli się tym, że należy do postępowych terytoriów. Ponieważ kobiety zajmują się dziećmi, uważamy, że powinny również brać aktywny udział w ich kształceniu.

- Ale żeby kobieta zajmowała tak odpowiedzialne stanowisko? - Susan patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy ten fakt ubliża godności kobiety? - Obrzucił ją ciekawym spojrzeniem.

- Nie - powiedziała. - Po prostu zetknęłam się z tym po raz pierwszy w życiu.

Zdumiona była, że jakakolwiek kobieta chciała przyjąć na siebie taki ciężar.

Podejrzewała, że pan Harte wymyślił tę historię, aby z niej zakpić.

- Czy pani Winters musi podejmować ważne decyzje?

- Zapewniam panią, że świetnie sobie radzi.

Kiedy pan Harte pomógł jej wysiąść, doprowadziła do porządku swoją spódnicę i pelerynę i obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Czy to prawda? Nie żartuje pan sobie ze mnie?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego mnie pan tu przywiózł?

Myśl o spotkaniu tej anormalnej kobiety wprawiała ją w zdenerwowanie. Pani Winters była na pewno męskim typem, herod--babą. Nie mogło być inaczej. Ona i Susan nie będą miały sobie nic do powiedzenia. Nie miała pojęcia, dlaczego pan Harte chciał doprowadzić do tego spotkania.

- W Owls Butte jest szkoła. Jest to jednoizbowy budynek położony dwa kilometry za miastem. Panna

Abraham, nasza ostatnia nauczycielka, wyszła za mąż za handlarza koni i przeprowadziła się do Laramie. Od tamtej pory w Owls Butte nie ma nauczycielki.

Susan zaczynała już rozumieć. Była oszołomiona.

- Czy pan...? Myśli pan, że mogłabym uczyć w szkole?

- Posiada pani wykształcenie. Nauczanie wydaje się lepszym sposobem zarabiania na życie niż sprzedawanie się w burdelu pani Hawk.

Susan zacisnęła dłonie i utkwiała wzrok w domu z bali.

- Nigdy nikogo nie uczyłam. Nigdy nawet o tym nie myślałam. Nie wiem, czy potrafię.

Czy pani Winters mnie zatrudni?

Dotknął lekko jej ramienia, kierując ją w stronę domu.

- Zaaranżowałem spotkanie. Co z niego wyniknie, zależy od pani.

- Lecz czy pan myśli, że ja temu podołam? Czy powinnam?

- Pani Stone. - Twarz Greshama Harte' a przybrała chmurny wyraz. - Proszę nie zwracać się z tym do mnie. Ja nie będę podejmował decyzji za panią. Jest pani dorosłą kobietą, która decyduje sama o sobie,

Kiedy czekali, aż im ktoś otworzy drzwi, pan Harte zwrócił się do niej:

- Uważam, że załatwienie tego spotkania zwalnia mnie ze wszelkich zobowiązań, które, jak pani sobie wyobraża, mogę mieć w stosunku do niej.

Susan drżała ze zdenerwowania. To mógł być cud, o który się tak gorąco modliła, ratunek, którego się już przestała spodziewać. Obróciła się w stronę pana Harte'a.

- Proszę mi szybko powiedzieć. Czy mam włosy w porządku? Czy nie jestem potargana?

- Pani włosy dobrze wyglądają. - Zdziwiony, uniósł brwi do góry. - Są skręcone z przodu. Wydaje mi się, że jest to celowe.

- Czy nie jestem zbyt blada? Nie jest mi do twarzy w czarnym kolorze! - Susan zaczęła rozcierać sobie policzki. - Dlaczego mnie pan nie uprzedził? Włożyłabym jedwabną suknię zamiast wełnianej. Och Boże, jestem tak zdenerwowana, że zaraz zemdleję.

- Proszę nie mdleć! Wygląda pani uroczo, pani Stone. Jestem pewny, że rozmowa będzie miała pozytywny przebieg - powiedział tonem, który nie wskazywał, że jest o tym przekonany.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich drobna kobieta,

- Miło mi pana widzieć, panie Harte, A pani jest na pewno panią Stone. Proszę wejść.

Susan patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Pani Winters była zupełnie inna, niż sobie wyobrażała. Nie była męskim typem. Była delikatna i kobieca jak Susan. Miała na sobie elegancką wiśniową suknię, nie bardzo odbiegającą od aktualnej mody. Nosila kolczyki z perłami i broszkę z kości słoniowej pod szyją. Gęste, popielate włosy związane były w węzeł. Była elegancką, dobrze się prezentującą kobietą.

Zanim Susan zdołała się otrząsnąć, pani Winters wprowadziła Greshama Harte'a do jakiegoś pokoju i zaprowadziła Susan do słonecznego gabinetu na tyłach domu. Usiadła za biurkiem, wskazując Susan stojące przed nim krzesło.

- Nie lubię tracić słów na próżno, pani Stone – powiedziała z uśmiechem pani Winters, splatając ręce na blacie biurka. - Proponuję, żebyśmy od razu przeszły do rzeczy.

Susan zaciskała drżące dłonie.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę uwierzyć, że kobieta może zajmować stanowisko kuratora.

- Wyoming gwałtownie potrzebuje nauczycieli - pani Winters nie zwróciła uwagi na wypowiedź Susan. - W przeciwieństwie do innych okręgów, nie wymagamy, aby nasi nauczyciele byli mężczyznami ani też żeby byli wolnego stanu. Płacimy najwyższe pensje na całym Zachodzie.

- A... jakie to są pensje, jeśli mogę spytać?

- Jeśli zdecyduję się na to, aby panią zatrudnić, Wyoming będzie pani płacił pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Zapewnimy pani również umeblowane mieszkanie. To jest o dziesięć dolarów więcej, niż dostają nauczyciele w Denver.

- Och mój Boże! - W oczach Susan zalśniły łzy. - Miejsce do zamieszkania i pięćdziesiąt dolarów miesięcznie to dar nieba.

- Będzie pani musiała zapewnić swoim uczniom książki, tabliczki do pisania i inne materiały. Miasto zadba o drewno na opał i o to, aby budynek szkolny był w dobrym stanie.

Spóźnianie się na lekcje i nieusprawiedliwione nieobecności nie będą tolerowane. Gdyby pani nazwisko było zamieszane w jakiś skandal, umowa zostanie natychmiast zerwana. Moje nauczycielki muszą przewodniczyć tutejszej społeczności, pani Stone.

- Przewodniczyć społeczności? - powtórzyła Susan drżącym głosem.

- Jeśli zdecyduję się na to, aby panią zatrudnić, będę oczekiwać od pani aktywnego udziału w życiu społeczności, pełnego zaangażowania w sprawy uczniów i wygłaszania stanowczych opinii na tematy związane ze sprawami szkoły. Z kontrowersyjnymi zagadnieniami będzie się pani mogła zwracać do mnie.

- Ja? - szepnęła Susan. - Pani ode mnie oczekuje wygłaszania stanowczych opinii?

Bronienia swojego stanowiska wobec zasiadających w radzie miejskiej mężczyzn?

- Jeśli zaistnieje taka konieczność, pani Stone, to będę tego oczekiwać - powiedziała pani Winters kategorycznym tonem. - Teraz muszę się czegoś dowiedzieć o pani wykształceniu.

Chociaż bardzo chcę znaleźć nauczycieli dla dzieci z Wyoming, nie oznacza to, że przyjmę byle kogo na tak odpowiedzialne stanowisko. Muszę być pewna pani kwalifikacji.

Susan nigdy jeszcze nie spotkała takiej kobiety jak Henrietta Winters. Pani Winters wyglądała jak dama, która zajmuje się czynieniem honorów domu, a jednocześnie była tak zdecydowana i rzeczowa jak mężczyzna. Miała czarujący uśmiech, ale padające z jej ust słowa były rozważne i stanowcze. Patrzyła na rozmówcę, nie spuszczać oczu. Susan pomyślała, że mogłaby nawet dowodzić wojskiem i nikt by nie zakwestionował jej autorytetu.

Susan przedstawiła jej swoje umiejętności.

- Pani wykształcenie jest doskonałe - powiedziała zadowolona pani Winters.

- Nigdy nie uczyłam w szkole, pani Winters. Nigdy zresztą nie myślałam o żadnej pracy, nie mówiąc już o nauczaniu. Zupełnie nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać, nie jestem pewna, czy dam sobie radę. Rozumiem, że zostanę przedtem do tego przygotowana?

- Nie. - Pani Winters patrzyła, jak Susan zaciera nerwowo dłonie, - To jest niewłaściwa chwila na wyrażanie swoich wątpliwości. Proszę tego nie robić, chyba że to wypływa z pani przekonania. Teraz powinna pani mówić szczerze o swoich walorach. Nie wymagam od moich nauczycieli doświadczenia w tej dziedzinie, muszę jednak być przekonana, że im się powiedzie.

Może spróbujemy jeszcze raz? - Zwróciła się do Susan z miłym uśmiechem. - Czy jest pani przekonana, że da sobie pani radę z klasą i z jej nauczaniem?

- Ja nie wiem - szepnęła zrozpaczona Susan.

- Proszę mi powiedzieć, pani Stone - spytała z westchnieniem pani Winters - co by pani zrobiła, gdyby starszy chłopiec, powiedzmy piętnastoletni, zaczął maltretować młodszego chłopca, powiedzmy ośmioletniego?

Susan zagryzła wargę. Co miała zrobić?

- Myślę, że powiedziałabym starszemu chłopcu, żeby przestał - odezwała się wreszcie.

- A gdyby nie przestał?

- Chyba. . myślę, że musiałabym porozmawiać z jego ojcem.

- Przy ciężkich wykroczeniach można zwrócić się do rodziców. Ale to ostateczność. To pani jest jedyną dorosłą osobą w klasie. I to pani musi rozwiązać ten problem.

Susan nie wiedziała, co powiedzieć. Pot wystąpił jej na czoło.

- Załóżmy, że pani uczeń został ugryziony przez grzechotnika, pani Stone. Co by pani zrobiła?

- O Boże! Czy taka rzecz jest możliwa? - Susan była przerażona.

- Szczęśliwie jeszcze żaden z naszych uczniów nie został zaatakowany. Ale grzechotniki dostają się czasem do szkolnych budynków.

Na samą myśl o grzechotniku zrobiło jej się słabo.

- Pewnie bym zemdląła - powiedziała bez zastanowienia.

- Rozumiem. - Pani Winters wstała zza biurka. - Dziękuję, że pani przyszła, pani Stone.

Żałuję, że nie mogę pani zatrudnić, ale nauczyciel musi mieć dużą odporność i być samodzielny.

Musi posiadać wiarę w siebie i robić wrażenie, że zawsze kontroluje sytuację. - Podeszła do Susan i położyła jej rękę na ramieniu. - Myślę, że zgadza się pani ze mną - powiedziała łagodnie. - Nauczanie to zawód nie dla pani.

Susan pochyliła głowę w rozpacz. Pod powiekami miała obraz wymalowanych kobiet siedzących w oknach burdelu pani Hawk. W przyszłym tygodniu będzie jedną z nich. Jej syn będzie się wychowywał w domu rozpusty.

Sparaliżowana poczuciem własnej nieudolności, Susan podążała za panią Winters w kierunku wyjścia. Dopiero kiedy zobaczyła pełne rozczarowania spojrzenie, jakie pani Winters wymieniła z panem Harte'em, odzyskała głos.

- Nie - powiedziała, czerwona z emocji, dotykając ramienia pani Winters. - Proszę, niech pani zmieni swoją decyzję. Obiecuję pani, że wywiążę się z zadania! Jeśli wąż znajdzie się w mojej klasie, zabiję go. - Nie wiedziała jak, ale jeśli zabijanie węży należy do zadań nauczyciela, znajdzie odwagę, żeby to zrobić. - Gdyby starszy chłopiec nie przestał maltretować młodszego, to ukarałabym go albo wyrzuciła z klasy! - Zauważyła wyraz zdziwienia w oczach pani Winters. - Jeśli da mi pani szansę, będę najlepszą nauczycielką, jaką pani kiedykolwiek miała! Będę się starać ze wszystkich sił!

Pani Winters zawahała się przez chwilę, po czym wzięła Susan pod ramię i zawróciła do swojego gabinetu.

- Przepraszam, panie Harte. Jeszcze nie zakończyłam rozmowy z panią Stone.

W dwie godziny później zarumieniona i oszołomiona Susan wsiadała do powozu pana Harte'a.

- Będę nauczycielką! - szepnęła. - Żebym tylko wiedziała, jak mam to robić. -

Westchnęła głęboko. - Jakoś dam sobie radę. To przecież tymczasowa praca.

- Tymczasowa?

- Proszę, niech pan nie mówi pani Winters - dotknęła jego ramienia i szybko cofnęła rękę - że będę uczyć tylko przez kilka miesięcy.

- A co się wydarzy po kilku miesiącach?

- Będę żyła bardzo oszczędnie - powiedziała cichym głosem. Teraz Owls Butte nie wydawało się jej już takie okropne. Przecież nie zostanie tu długo. - Kiedy zaoszczędzę wystarczająco dużo pieniędzy, wynajmę człowieka, który pojedzie do Kansas i przywiezie ciało mojego męża do Waszyngtonu.

- To niewątpliwie szczytny cel - powiedział pan Harte, marszcząc brwi. - Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego z zakończeniem pracy w szkole.

- Nie rozumie pan? - Popatrzyła na niego roziskrzonymi oczami. - Wtedy sąd zakończy sprawę spadku po kapitanie Stone. Nate i ja będziemy mieli dość pieniędzy, aby wyjechać z tego okropnego miejsca! Będę znowu miała dom i służbę. Dużo jedzenia i żadnych kłopotów. Wrócę do dawnego życia! Tak bardzo tego pragnę.

Wkrótce będzie posiadać środki na zapewnienie przyszłości synkowi i sobie.

Potrzebowała tylko świadectwa zgonu albo zwłok Bowiego. Teraz nie będzie miała z tym problemu.

Guliwer County, Kansas

Bowie bardzo ciężko pracował, pomagając Johnowi Hawkinsowi i Rosie stawiać ogrodzenie, podierać spadające z budynków gospodarczych dachy, czyścić studnię i rąbać drewno na opał. Kiedy zamiecie śnieżne uniemożliwiały pracę na zewnątrz, Bowie i John Hawkins pracowali w stodole, naprawiając garnki Lodishy, farbując skóry i doprowadzając do porządku narzędzia gospodarcze.

Praca była dla niego prawdziwym darem niebios. Przywracała mu siły i nie pozwalała myśleć. Wysiłek fizyczny pozbawiał go uczucia gniewu, frustracji, winy i niepożądanych pragnień.

Wieczorami Bowie i John Hawkins grali w warcaby przy kuchennym stole, a Lodisha szyła albo czyściła piaskiem swoje patelnie. Rosie czytała im głośno, pijąc przy tym, dopóki nie zaczynała bełkotać i spadać z krzesła. Wtedy Bowie zanosił ją do łóżka.

W sobotni wieczór Rosie jechała przeważnie do Passion Crossing, upijała się do nieprzytomności i urządziła strzelaninę w barze. Wtedy Bowie -jak to właśnie miało miejsce -

musiał pokonać pieszo osiem kilometrów do Passion Crossing, żeby wykupić ją z więzienia.

Nie mógł wtedy patrzeć na Rosie, nie pojmował, jak mogła coś takiego robić. Ale przede wszystkim nie mógł znieść widoku zastępcy szeryfa, Carla Sandsa. Teraz też Sands stał na ganku przed więzieniem, patrząc, jak Bowie przedziera się przez głębokie błoto na Main Street.

- Co się dzieje, ty tchórze? Nie jesteś chyba mężczyzną, jeśli nie potrafisz utrzymać w domu tej pijaczki, swojej żony.

- Ile wynoszą szkody? - Bowie sięgnął do kieszeni po pieniądze, które wziął z pudełka przeznaczonego na opłacanie kar. Gdyby Lodisha nie dostała pieniędzy za jajka, musieliby zostawić Rosie w więzieniu. Wydawało mu się czasem, że nie byłby to najgorszy pomysł.

Zapłacił karę plus trzy dolary za wyrządzone przez nią szkody i przeszedł na tyły budynku, aby zabrać bryczkę i Ivanhoe'a. Kiedy podjechał pod więzienie, szeryf Sands wyprowadzał

właśnie Rosie, trzymając ją za kark. Zepchnął ją kopniakiem ze schodów i roześmiał się głośno, kiedy upadła w błoto.

Bowie wyskoczył z bryczki, z szybkością błyskawicy znalazł się na ganku i chwycił

szeryfa za gardło.

- Jeśli jeszcze raz jej dotkniesz, połamię ci ręce. Możesz liczyć na to, Sands.

Sands uderzył go w brzuch. Obaj upadli, zawzięcie walcząc na pięści. Rozdzielił ich szeryf Gaine, z

rewolwerem w rękę.

- Co tu się, u diabła, dzieje?

- Ten skurwiel zaatakował przedstawiciela prawa.

- Tak? A co ty masz do powiedzenia, Stone? Ubłocona Rosie wtargnęła na ganek.

- Sands skopał mnie ze schodów, a Stone stanął w mojej obronie! - krzyknęła, a jej wzrok mówił Bowiemu, że zachował się jak idiota i ma się nie wtrącać w jej sprawy.

Lem Sorrenson, jeden z kompanów Rosie od kieliszka, wystąpił z tłumu, który zgromadził się, żeby oglądać bójkę.

- Stara Rosie mówi prawdę, szeryfie. - Odsunął kapelusz z czoła i obrzucił Bowiego uważnym spojrzeniem. - Żaden wart tej nazwy mężczyzna nie będzie patrzył spokojnie, jak ktoś poniewiera jego żonę. Nie chcę brać strony człowieka, który jest zabójcą, ale tak właśnie było.

Bowie zacisnął zęby. Po chwili zwrócił się do zgromadzonych.

- To nie jest stara Rosie. To jest pani Stone. Będę wdzięczny, jeśli będziecie się do niej zwracać z odpowiednim szacunkiem.

- Niech mnie diabli wezmą - powiedział zaskoczony Sorrenson. - Czasem trudno spać, że to aresztanckie ziółko jest teraz szanowną damą.

- Będziesz mówił do niej pani Stone - powtórzył Bowie. - Kiedy zaczniesz mówić do żony pastora Paulsona Minnie, wtedy również będziesz mógł nazywać moją żonę Rosie.

- Na litość boską! - Rosie przeciągnęła ręką po twarzy, rozmazując błoto. - Czy możemy już iść do domu? Głowa mi pęka.

- Uważaj na siebie - zwrócił się szeryf do Bowiego. - Chodzisz po cienkim lodzie, chłopcze. Darujemy sobie ten incydent - spojrzał z ukosa na Sandsa - ale gdybym był na twoim miejscu, to unikałbym konfliktów z prawem. Słyszysz, Stone?

- Ja nie szukam guza. - Bowie rzucił okiem na zastępcę szeryfa. - Chcę tylko, żeby traktowano moją żonę z takim samym szacunkiem jak inne kobiety w Gulliver County.

Sands roześmiał się, ale szeryf szybko uciszył go spojrzeniem.

- Nie lubię ciebie, Stone. Zasłużyłeś na stryczek i, jeśli o mnie chodzi, powinieneś wisieć. Ale to, co mówisz, nie jest pozbawione słuszności. - Szeryf Gaine patrzył na brudne włosy zwisające spod kapelusza Rosie i jej ubłocone ubranie. - Może to jest śmieszne, ale nie w tym rzecz. - Zwrócił się do zgromadzonych z wyrazem twarzy, który mówił, że spełnia tylko swój obowiązek. - Wszyscy wiemy, jaka jest Ro..., to znaczy pani Stone, ale wielu ludzi w tym mieście dużo jej zawdzięcza i trzeba to wziąć pod uwagę. Poza tym jest teraz mężatką. Więc nic nie stoi na przeszkodzie, aby używać jej

nazwiska po mężu. Macie to wszystkim powiedzieć. -

Po chwili dodał, patrząc na Stone'a: - Radzę ci nie pokazywać się tu zbyt często, rozumiesz?

Bowie chciał pomóc Rosie przy wsiadaniu na bryczkę, ale spojrzała na niego z ukosa i sama wsiadła. Zastępca szeryfa Sands krzyknął za nimi:

- To nie koniec, Stone!

Czy nie mogłeś dać temu spokój? - spytała Rosie, kiedy wyjechali z miasteczka. - Co cię, u diabła, napadło? - Przycisnęła dłonie do twarzy i jęknęła rozpaczliwie. - O Boże, słońce mnie razi w oczy.

- Szlag mnie trafia, że nikt w Passion Crossing nie zwraca się do ciebie, używając nazwiska męża, jak jest w zwyczaju i jak to robią w stosunku do innych kobiet - powiedział

Bowie przez zaciśnięte zęby. Miał rozciętą wargę i był obolały po bójkę z zastępcą szeryfa.

- Za chwilę będziesz jeszcze chciał, żebym nosiła spódnicę i kapelusz! Ale nie licz na to.

A jeśli myślisz, że zaczną mnie szanować, bo tak im każesz, to też nie możesz na to liczyć.

-Rosie wycierała ubłocone dłonie o spodnie. - Czy przywiozłeś butelkę? - Kiedy Bowie nie odpowiadał, wpadła we wściekłość, - Do diabła! Mówiłam ci, żebyś zawsze przywoził butelkę, kiedy po mnie przyjeżdżasz! Pewnie nie przywiozłeś też nic do palenia!

- Może chcesz się zabić, aleja nie mam zamiaru przykładać do tego ręki. - Bowie popatrzył

na nią, starając się przypomnieć sobie, jak wyglądała po kąpieli. - To, że się upijesz, nie zmieni przeszłości. Najwyższy czas o niej zapomnieć i rozpocząć nowe życie.

- Niedobrze mi się robi od tych twoich wykładów! Przestań pić, przestań palić, przestań kłąć, przestań pamięta... Równie dobrze mogę przestać żyć! - Popatrzyła na jego zachmurzoną twarz. -Ty niczego nie rozumiesz. Niczego bardziej nie pragnę, niż zapomnieć o tym, co on mi zrobił! A mogłabym zapomnieć tylko wtedy, gdybym miała okazję powiedzieć mu to, co chciałam, i zastrzelić go. Wtedy wszystko wyglądałoby inaczej!

- Teraz jest już za późno na zemstę. Wpadłaś na zwariowanypomysł, że Frank Blevins jeszcze teraz widzi cię i słyszy. Ale on nie żyje, Rosie. Umarł trzy lata temu. Przykro mi, że nie mogłaś mu powiedzieć, co o nim myślisz, przykro mi, że życie jest takie niesprawiedliwe, ale już niczego nie da się zmienić.

Rosie poprawiła się na siedzeniu, przygotowana na kolejną walkę, jakie toczyli od czasu, kiedy powiedziała mu o Franku Blevinsie.

- On prowadził tę farmę przez jedenaście lat, Stone. Jedenaście lat! I ani razu nie osiągnął

żadnego zysku. A uważał, że jest najlepszym farmerem na świecie. A ja mu pokażę, że jestem od

niego lepsza! W ten sposób wygram z nim! Pokażę mu, że poprowadzę tę cholerną farmę lepiej niż on! To będzie moja zemsta! Jestem pewna, że on wszystko widzi i słyszy!

Umieściłam go na podwórzu, żeby mógł patrzeć na pola i zobaczyć, że go pokonam!

Ta sprawa pozbawiała Rosie rozsądku. W głębi duszy Bowie rozumiał jej szaleństwo.

Chęć zemsty to potężna siła. Niełatwo było zemścić się na nieboszczyku. Może Rosie miała rację. Może po osiągnięciu dobrych zbiorów jej pragnienie zemsty zostanie zaspokojone i jej nienawiść zniknie. Może przestanie pić i zacznie szanować samą siebie.

- A co będzie, jeśli nigdy nie uda ci się uzyskać dobrych zbiorów?

- Prędzej czy później mi się uda. Jestem lepsza od niego.

- No dobrze, przypuśćmy, że zaspokoisz swoją chęć zemsty... co wtedy zrobisz? - Rosie spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem. Widać było, że nie rozumie, o co mu chodzi. - Czy pomyślałaś o swojej przyszłości?

- Do diabła, Stone. Dla mnie i dla ciebie nie ma żadnej przyszłości. - Popatrzyła na widoczne wśród śniegu ziemne kopczyki. - Pieski preriowe już zaczynają wychodzić ze swoich nor - powiedziała. - Może pojedę do Kalifornii, gdzie zawsze jest ciepło. Kupię kawałek gruntu i będę hodować cytryny i pomarańcze. Nie ma sensu teraz o tym myśleć. - Rosie milczała przez chwilę, potem twarz jej się zachmurzyła. - Będiesz mógł odejść, jeśli uda się nam osiągnąć zyski, ale nie wcześniej. Nie myślisz chyba o tym, żeby zniknąć, zanim to się stanie?

- Mówiłem ci już o tym. Jestem zobowiązany do jednego zbioru. Kiedy ziarno zostanie sprzedane, będę musiał odejść.

- Ja też ci o tym mówiłam. Nie odejdiesz stąd żywy, dopóki nie będę miała zysku ze swoich zbiorów.

Koła bryczki oblepione były błotem. Musieli zsiąść, aby je oczyścić i w ten sposób ulżyć Ivanhoe'owi. Jak zwykle, Rosie pracowała równie ciężko jak Bowie. Tylko wyraz jej twarzy wskazywał na to, że nie jadła od poprzedniego dnia i że ból rozrywa jej czaszkę.

- Myślałam, że choć trochę mnie lubisz - powiedziała nagle Rosie, kiedy wsiedli z powrotem na bryczkę.

Zdumiona własnymi słowami, szybko odwróciła głowę i naciągnęła kapelusz głębiej na czoło, żeby nie zauważył rumieńca, który wystąpił jej na policzki.

- Zależy ci na tym, żebym cię lubił? - Bowie spojrzał na nią, zdumiony.

- Oczywiście, że nie! - Rosie skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła prosto przed siebie. - Chodzi o to - odezwała się po dłuższej chwili - że już od trzech miesięcy jesteśmy małżeństwem i zaczynam się do ciebie przyzwyczajać. Już mi nawet nie przeszkadza twoja poranna gadanina. Muszę przyznać,

że masz respekt na farmie. Gdybyś przestał prawić mi kazania, wszystko byłoby dobrze. Wścieka mnie, kiedy mówisz o odejściu, i to wszystko. Jesteś moim mężem i masz mi pomóc w dokonaniu zemsty, bez względu na to, jak długo to potrwa. Poza tym nie możesz już wrócić do wojska. Nie masz gdzie pójść.

- Mam na Wschodzie zobowiązania wobec rodziny.

- Z tego, co mówiłeś o senatorze, on wcale nie zechce cię widzieć. Przestał o tobie myśleć, kiedy dowiedział się, że zostałeś wyrzucony z wojska.

Ciężko mu było słuchać tego, o czym sam był w głębi duszy przekonany. Bez względu na to, z jakiej przyczyny został kornie usunięty z wojska, jego ojciec nigdy mu tego nie wybaczy.

Senator mógłby pogodzić się z tym, że Bowie zabił I.uthera Radisona, ale nie pogodzi się z faktem, że został /degradowany.

Masz rację - powiedział cichym głosem. - Mam jednak również inne zobowiązania.

- Na przykład? Nie mogę ci tego wytłumaczyć, Rosie. Może kiedyś ci powiem.

To nie ma znaczenia. - Rosie wzruszyła ramionami. -I tak nigdzie nie pojedziesz.

Im dłużej Bowie przebywał w Passion Crossing, tym bardziej mu to ciążyło. Nie mógł

pozwolić na to, aby Susan i jego ojciec nadal uważali go za zmarłego. Niewątpliwie odbyła się ceremonia żałobna, Susan nosi wdowie szaty i nie może chodzić na bale, które zawsze były jej ulubioną rozrywką. Nie wyobrażał sobie, żeby rozpaczała po jego śmierci - tak mało się znali -

ale wdowieństwo bardzo będzie jej ciążyć.

A jeśli chodzi o senatora... na pewno znajdzie się w jego sercu miejsce na żal po śmierci drugiego syna.

Bowie nienawidził się za to, że sprawił im tyle bólu. Nie mógł jednak zawiadomić ich, że żyje, nie tłumacząc, dlaczego nie może natychmiast wrócić do domu. Łatwo mógł sobie wyobrazić przerażenie Susan i wściekłość senatora, gdyby się dowiedzieli, że na domiar złego popełnił bigamię. Jeśli sąd wojenny i wyrok za morderstwo nie splamił dostatecznie nazwiska Stone, to związany z bigamią skandal dokonałby tego dzieła.

Bowie często nie mógł spać, zastanawiając się, w jaki sposób mógłby zawiadomić swoją rodzinę, że nie został powieszony, a jednocześnie wypełnić swoje zobowiązanie w stosunku do Rosie Mulvehey.

Nie mógł przecież zostawić teraz Rosie. Bez względu na to, jaki miała w tym interes, Rosie Mulvehey ocaliła mu życie. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby tego nie zrobiła, ale teraz miał w stosunku do niej zobowiązania. Musiał jej pomóc osiągnąć zysk ze zbiorów.

Pocieszała go jedynie myśl, że Susan i Nate byli bezpieczni i że żyli w luksusowych warunkach.

Senator mógł pogardzać synem za to, że przyniósł wstyd rodzinie, ale na pewno dotrzyma danego słowa. Będzie opiekował się Susan i Nate'em.

- Pierwszego dnia - powiedział Bowie, wracając do teraźniejszości - nie wyobrażałem sobie, że mógłbym cię za coś . podziwiać.

- Zamknij się.

- Zmieniłem zdanie. Jest wiele rzeczy, za które cię podziwiam.

- Naprawdę? - Rosie pochyliła się, aby zdjąć grudę błota z obcasa. - Nie chcę słuchać tych głupstw. Ale jeśli musisz mi to powiedzieć, to chyba będę musiała wysłuchać. - Zaczerwieniła się mocno.

Byli już blisko domu. Pewnie Lodisha już grzeje wodę na kąpiel dla Rosie. Jej brązowe włosy będą dziś lśniły przy kolacji. Jej twarz będzie błyszczeć rumieńcem, a skóra będzie miała zapach mydła i wody różanej, którą Lodisha dodawała do kąpieli. Tej nocy Bowie nie będzie mógł

zasnąć, przewracając się z boku na bok i starając się nie myśleć o tym, od jak dawna nie spał z kobietą.

- Podziwiam twoją ciężką pracę - odezwał się wreszcie. - Większość znanych mi mężczyzn nie pracuje tak ciężko jak ty. I nigdy nie narzekasz. Masz większą siłę woli niż wielu kuzynów. Jesteś rzetelną kobietą.

Rosie podniosła oczy do góry, a z jej gardła wydobyło się pełne zadowolenia westchnienie, a może stłumiony śmiech.

- Rzetelna? Nie sądzę, żeby wiele osób zgodziło się z tobą!

- Popatrz na mnie, Rosie. - Nie obróciła się jednak w jego stronę. - Dlaczego wzięłaś bryczkę, zamiast pojechać do miasta wierzchem?

- Wiesz dlaczego - powiedziała. - Miałam zamiar kupić kilka worków mąki i cukier dla Lodishy.

- Gdzie są te worki? Worki mąki i cukru?

Zażenowana Rosie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Co? - Pochylił się, aby jej spojrzeć w twarz. - Nie słyszałem, co mówiłaś.

Łatwo było jednak zgadnąć odpowiedź. Nie pierwszy raz Rosie oddawała innym swoje zapasy.

- Pamiętasz tego grubasa, który stał obok ciebie pod szubienicą? - warknęła. Josiah Willsy? - Bela siana spadła na niego w stodole. Nie wiedząc, co się z nim dzieje, błąkał się w śnieżycy i znaleziono go nieprzytomnego, z nogami w strumieniu. Shotshi Morris musiał mu amputować jedną nogę na wysokości kolana.

- Shotshi Morris? Ten fryzjer?

- Jest również cyrulikiem. Musimy się nim zadowolić. Więc pani Willsy wydała wszystko, co miała, na whisky do operacji i na laudanum. A Shotshi nie obcina nóg za darmo.

- Dałaś naszą mąkę i cukier pani Willsy. Czy pani Willsy nie jest jedną z tych zadufanych w sobie bab, która udaje, że cię nie widzi na ulicy?

- To nie ma znaczenia - roześmiała się Rosie, - Gdybym miała się obrażać za każdym razem, kiedy ktoś nie powie mi dzień dobry, tobym nigdy nie wychyliła nosa z farmy.

Bowie ujął ją pod brodę i zmusił, aby spojrzała na niego.

- Posłuchaj mnie, do licha. Jak ludzie mają cię szanować, jeśli się sama nie szanujesz? Mało jest rodzin w Passion Crossing, które nie korzystały z twojej pomocy. A ty pozwalasz im, aby cię pogardliwie traktowali! Najwyższy czas z tym skończyć!

Odsunęła się od niego, oczy jej pałały.

- Jeśli myślisz, że w Passion Crossing zaczną zdejmować przede mną kapelusze, ponieważ każesz im nazywać mnie panią Stone, jesteś głupszy, niż myślałam. Nigdy nie szanowano mnie w tym mieście i nikt mnie nie będzie szanował, ponieważ nie mam zamiaru się zmienić. I nie zależy mi na tym.

- Jednak ci zależy.

- Zamknij się, Stone! Zamknij się, do diabła!

- Przestań się poniżać i zacznij wysoko nosić głowę. Wyrwała mu lejce, kierując Ivanhoe'a do stajni.

- Mam dosyć twoich wykładów! Zostaw mnie w spokoju! Kiedy Rosie wpadała w złość, jej piwne oczy miotają

błyskawice, a drobna postać przybierała groźny wygląd.

- Ponieważ nasza rozmowa dotyczy twoich wad - powiedział spokojnym tonem -

chciałbym również wspomnieć o twoim czytaniu na głos.

- Znowu zaczynasz? Muszę zmoczyć gardło podczas czytania. Przy głośnym czytaniu zasycha mi w ustach.

- Chodzi mi o to, że czytasz to, czego nie ma w książce. Dobrze wiesz, że Romeo i Julia nie zostali wskrzeszeni przez czarownika. Nie kupili też willi nad Morzem Śródziemnym, gdzie żyli szczęśliwie aż do śmierci.

Rosie zawołała do Johna Hawkinsa, aby otworzył drzwi stajni.

- Lubię szczęśliwe zakończenia. Jeśli tobie się to nie podoba, to czytaj sam, a ja będę grała w warcaby z Johnem Hawkinsem. - Uśmiechnęła się z lekka. - Ja potrafię z nim wygrywać.

- Akurat! Nikt nie wygra w warcaby z Johnem Hawkinsem!

Rosie szybko zeskoczyła z bryczki i zaczęła wyprzęgać Ivanhoe'a.

- Idź do domu - powiedział Bowie, biorąc od niej lejce. - Lodisha czeka na ciebie.

- Nie będziesz mi rozkazywał! - krzyknęła Rosie, która już myślała o tym, aby łyknąć z butelki i zapalić cygaro.

Duma nakazywała jej opór, poddała się jednak. Bowie patrzył z uśmiechem, jak wlokła się w kierunku domu, udając, że panuje nad swoimi krokami.

Sam nie mógł zrozumieć, dlaczego ją polubił, a jednak, im dłużej ją znał, tym większą czuł do niej sympatię. Była hojna dla tych, którzy na to nie zasługiwali. Była niezwykle lojalna w stosunku do Lodishy, Johna Hawkinsa, a nawet w stosunku do niego. Żaden robotnik nie pracował ciężiej niż Rosie. Narzekała na nieistotne drobiazgi, ale nie skarżyła się nigdy na poważne trudności. Umiała czasami śmiać się tak czarująco, *tz* trudno było się jej wtedy oprzeć.

Kiedy wychodziła z kąpieli, była najpiękniejszą i najbardziej godną pożądania kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Bywała również tak bezbronna, że nawet dziecko mogłoby ją skrzywdzić.

Bo wie potrząsnął głową i zaprowadził Ivanhoe'a do boksu, aby go dobrze wytrzeć.

Myślał o słowach Rosie: „Myślałam, że choć trochę mnie lubisz”.

Ta obca, głęboko zraniona kobieta, której nie miał prawa poślubić, zaczęła zachodzić mu za skórę.

Rosie leżała w wannie i sprawiało jej to wielką przyjemność, chociaż nie przyznałaby się do tego nikomu. W jednej ręce trzymała szklankę whisky, a w drugiej mocne cygaro. Z uśmiechem wdychała zapach pieczonej szynki i placków na śmietanie - to była jedna z miłszych chwil w życiu.

Nie martwiła się już tym, że Bowie może nagle wejść do kuchni. Teraz szanowali swoją prywatność, uważali, żeby się przypadkiem nie dotknąć, nie patrzeć na siebie, kiedy się ubierali. Po trzech miesiącach napięcia Rosie uwierzyła, że Bowie nie wejdzie do jej sypialni w nocy i nie rzuci się na nią.

Jej małżeństwo nadspodziewanie dobrze się układało. Chociaż miałyby parę rzeczy do zarzucenia Bowiemu Stonesowi, ale to były drobiazgi, nad którymi można było przejść do porządku dziennego. Dlaczego więc nie czuła się szczęśliwa?

- Wszystko to diabła warte - westchnęła Rosie.

- Uważaj, Rosie. - Lodisha odwróciła się od pieca. - Koniec z przeklinaniem w tym domu! Kapitan tego nie lubi.

Rosie usiadła w wannie, wychlapując wodę na podłogę.

- O co chodzi? Nigdy przedtem ci to nie przeszkadzało.

- A teraz przeszkadza. - Lodisha spojrzała na nią surowym wzrokiem. - Kapitan tego nie lubi. A on jest twoim mężem, kochanie. Musisz nabrać trochę ogłady.

- Co?

- Koniec z przekleństwami - powtórzyła Lodisha. - Będiesz przeklinać, to nie będziesz się kąpać. Nie oszukasz mnie, wiem, że to polubiłaś. Nie dostaniesz też czystego ubrania, nie poceruję ci skarpetek. Nie upiekę ci placka ani nie zrobię pierożków.

- To dlatego pozwoliłaś mi teraz zapalić cygaro w domu? Bo szykowałaś się, żeby wprowadzić nowy regulamin? A to sukinsyn!

Lodisha wyprostowała się, przeszła koło wanny, żeby Rosie dobrze widziała to, co miała zamiar zrobić. Patrząc jej w oczy. wylała przygotowane na placek ciasto na stół kuchenny.

Rosie nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Zniszczyłaś ciasto na placek! Wyrzucasz jedzenie! To nie do wiary! - krzyczała Rosie, która przez piętnaście lat nie widziała, aby Lodisha zmarnowała choćby okrusz żywności.

- Kapitan nie lubi słuchać, jak kobieta kinie. Więc nie będzie już w tym domu żadnych przekleństw. Zapamiętaj to sobie.

- Do cholery! - Rosie wrzuciła cygaro do wody i biła pięścią w krawędź wanny. - Ty i Stone chcielibyście mnie zmienić! A ja się na to nie zgadzam, słyszysz?

Rosie natychmiast zapomniała o dobrych stronach swojego małżeństwa.

- Mam was wszystkich dosyć! Nie mogę nawet się napić, żeby trzy pary oczu nie wbijały się we mnie jak sztylety! Jak trochę zabawię się w mieście, to wszyscy troje przestajecie się do mnie odzywać. Nie mogę palić w domu. A teraz nie mogę nawet mówić! - Rosie zaczerpnęła powietrza. - Dałaś Stonesowi jego ubranie, dałaś mu jego pokój. Co jeszcze zrobisz? Tak podziwiasz kapitana, że dasz mu jego pas, żeby mnie bił?

- Dobrze wiesz, że kapitan nie będzie cię bił - powiedziała łagodnie Lodisha.

- Czasami ma na to ochotę! Czy nikt nie stoi po mojej stronie?

- - Wszyscy jesteśmy po twojej stronie, kochanie. - Lodisha zaczęła zeskrobywać ciasto ze stołu. - Jediną osobą, która nie jest po twojej stronie, jesteś ty sama.

Rosie dopiła whisky i zanurzyła się w wannie. Dyskusja z Lodishą była bezcelowa.

Kiedy Lodisha wbiła sobie coś do głowy, nikt nie mógł jej przekonać.

- Do diabła!

Lodisha westchnęła, podniosła kalesony Rosie i oddała z nich łatę.

- Jeśli będziesz chciała, żeby to było zreperowane, będziesz musiała znaleźć czas, aby zrobić to sama.

Rosie odchyliła głowę i zaczęła krzyczeć. Lodisha złapała ją za włosy i zanurzyła głowę w wannie. Rosie parsknęła z wściekłości, kiedy Lodisha mydliła jej włosy.

- Niedługo będziemy musiały porozmawiać o tym, że ty i kapitan śpicie w oddzielnych pokojach. To nie jest naturalne.

- Co? Co? - Rosie usiłowała wyrwać się Lodishy, ale ta trzymała ją mocno. - Raczej się zastrzelę, niż wpuszczę go do łóżka!

- Mężczyzna musi to robić - powiedziała Lodisha, wpychając głowę Rosie pod wodę.

aby spłukać mydło.

- John Hawkins jest mężczyzną, nie lata za każdą spódnicą! - krzyknęła Rosie, przecierając pełne mydła oczy.

- John Hawkins jest stary i nie ma już żony. Nie wiesz zresztą, co robi John Hawkins.

kiedy odwiedza swoich przyjaciół na terytorium indiańskim.

- Nie pozwolę, aby jakikolwiek mężczyzna sprawił mi znowu tak straszny ból! - Rosie zaczęła się trząść.

- To nie zawsze boli. Są takie kobiety, które to bardzo lubią. Kapitan wygląda na mężczyznę, który wie, jak to się robi. Jak będziesz mogła mieć dziecko, jeśli na to nie pozwolisz? Pomyśl o tym.

- Nie mogę mieć dzieci. Gdyby było inaczej, to już dawno miałabym dziecko! - Na myśl, że mogłaby urodzić Jego dziecko, przeszedł ją dreszcz.

- To nie zawsze jest wina kobiety. Są mężczyźni, którzy nie mają dobrego nasienia. Nie wiesz sama, czy możesz mieć dziecko.

- Ja nie chcę dziecka! - Rosie popatrzyła na Lodishę z osłupieniem. - Czy myślisz, że chcę dziecka, które będzie miało matkę pijaczkę?

- Niektórzy z nas chcą, żebyś miała dziecko. O picu porozmawiamy innym razem.

Teraz mówimy o współżyciu z mężczyzną. Twój mąż okazał więcej cierpliwości niż drewniany

święty. Ale kapitan jest mężczyzną, złotko. Jeśli nie znajdzie się w twoim łóżku, to prędzej czy później pojedzie do miasta do dziwek Maud. Czy chcesz, aby ludzie gadali, że twój mąż musi jeździć do Maud?

To zrobiło na Rosie wrażenie. Łatwo mogła sobie wyobrazić te rzucane spod oka spojrzenia, porozumiewawcze uśmiechy, plotki. Wiedziała też, co chłopcy w barze Harolda będą mieli do powiedzenia.

Co gorsza, ona sama ostatnio zaczęła coraz częściej myśleć o tych sprawach, chociaż nie rozumiała, dlaczego tak nieprzyjemne dotąd myśli przychodziły jej do głowy. Jednak coraz częściej trudno jej było zasnąć bez względu na ilość wypitej przedtem whisky. Leżała rozgorączkowana, nadśluchując, jak jej mąż przewraca się na łóżku, tuż za ścianą. Początkowo te odgłosy wprawiały ją w panikę. Teraz przyprawiały ją o bicie serca i ogólny, nieokreślony niepokój.

Ale to jeszcze nie wszystko. Czasami, kiedy słońce mocno przygrzewało, Stone zrzucił

kurtkę i Rosie widziała, jak koszula napina się na jego szerokich ramionach, a kiedy schylał się, żeby podnieść ogrodzenie, uwydatniały się silne mięśnie jego nóg. Rosie ogarniało wtedy dziwne uczucie, wydawało jej się, że ma gorączkę. Przyłapała się również na tym, że wpatruje się w jego usta.

Ostatnio zaczęła się zastanawiać, czy wszyscy mężczyźni zachowują się brutalnie w łóżku, czy muszą sprawiać kobiecie ból, aby odczuwać rozkosz.

W oczach Rosie ukazały się łzy. Wiedziała tylko to, czego nauczył ją Blevins.

Wiedziała, jakie to było ohydne i bolesne, Kiedy jednak patrzyła na Bowiego Stone'a, kiedy czasem pochwyciła jego spojrzenie, przychodziło jej na myśl, że może nie wszystko wie na ten temat. Te myśli przerażały ją.

- O Boże! Ty płaczesz? - Lodisha patrzyła na nią, zaskoczona.

- Wcale nie!

Lodisha wyciągnęła Rosie z wanny, owinęła czystym ręcznikiem i objęła swoimi silnymi ramionami.

- Wszystko będzie dobrze. Będziemy posuwać się powoli, małymi kroczkami i zanim się zorientujesz, już będzie po wszystkim. Nie ma się czego bać. Pomalutku, do przodu.

- Nie mogę tego zrobić! - Rosie przytuliła się do ramienia Lodishy. - Zresztą Stone wcale mnie nie chce, a ja też tego nie chcę!

- Pomalutku, do przodu, kochanie.

Co się tak gapisz? - Rosie przesunęła na stole lampę i popatrzyła złym wzrokiem na męża.

- Bardzo ładnie wyglądasz.

John Hawkins przytaknął z cicha, a Lodisha uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- To Lodisha związała mi włosy wstążką. Ja tego nie

zrobiłam. - Zmarszczyła brwi, nalała sobie szklanek whisky i obrzuciła Bowiego chłodnym spojrzeniem. - Przypuszczam,

że masz ochotę się ze mną przespać.

Kubek kawy wypadł Bowieemu z ręki. John Hawkins podniósł głowę, widelec, który trzymał w ręce, zawisł w powietrzu. Lodisha zabrała się do wycierania rozlanej kawy.

- Ale tego nie zrobisz. Ta cholerna wstążka nie oznacza

wcale, że chcę, żebyś wszedł do mojego łóżka! - Rosie zatrzęsa się nagle.

Bowie nie wierzył własnym uszom. Rosie patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby chciała poderżnąć mu gardło. Lodisha i John Hawkins rzucali mu ukradkowe spojrzenia.

Bowie zmarszczył brwi. Powoli zaczął wycierać serwetką kawę z koszuli i ze spodni.

- To, że ładnie wyglądasz, nie oznacza, że mam zamiar rzucić się na ciebie czy też w inny sposób ci się narzucać.

- Tak to zwykle bywa. Kobieta jest bezpieczna tylko wtedy, kiedy jest brzydka.

- To nieprawda - powiedział. - Nie wszyscy mężczyźni zachowują się jak zwierzęta.

Większość z nas potrafi cieszyć się widokiem uroczej kobiety i na tym koniec,

- Odpowiedz na moje pytanie. Czy będziesz próbował przespać się ze mną?

Bowie spojrzał na Johna Hawkinsa i na Lodishę. Widać było, że płoną z ciekawości.

- Oczywiście, że nie. Nie mam takiego zamiaru - powiedział, marszcząc brwi.

John Hawkins powrócił do przerwanej jedzenia. Lodisha westchnęła, rozczarowana.

- Nawet jeśli Lodisha będzie mi wiązać wstążki we włosach? Bowie wstał od stołu i podszedł do pieca, aby nalać sobie

kawy. Nie wiedział, do czego prowadzi ta rozmowa, poza tym, że wprawiała go w zażenowanie.

- Nawet jeśli zaczniesz nosić spódnicę i koronkową bluzkę, będziesz się pudrować i perfumować. - Westchnął głęboko. - Nawet jeśli będziesz chodzić w samym kałesonach.

Na myśl o upudrowanej i wyperfumowanej Rosie Bowie poczuł ucisk w żołądku. Zaczął

się znowu zastanawiać, czy Rosie w ogóle zdawała sobie sprawę ze swojej urody. Po kąpieli, z rozpuszczonymi włosami, lśniąca skórą i błyszczącymi oczami koloru bursztynu, była zjawiskowo piękna. Nawet w luźnej męskiej koszuli, którą miała na sobie, uwydatniał się zarys jej piersi.

Kiedy Bowie usiadł znowu przy stole, Rosie spojrzała na niego podejrzliwym wzrokiem i zacisnęła usta.

- Myślę, że prędzej czy później pojedziesz do Maud, aby zabawiać się z jej dziewczynkami -

powiedziała wreszcie, a na jej twarzy wystąpiły czerwone plamy.

- Do diabła, Rosie - mruknął Bowie, widząc, że John Hawkins z trudnością powstrzymuje śmiech. Lodisha z obojętną miną rzuciła mu na talerz dodatkowy płat pieczonej szynki. - Czy musimy teraz o tym mówić?

- To znaczy, że wybierasz się do Maud.

- Nie myślałem o tym - rzucił z wściekłością. - Zresztą, to tylko moja sprawa.

- Do jasnej cholery! Jedna z dziewczynek Maud jest chora na syfilis. Wszyscy o tym wiedzą.

Rosie miała chyba łzy w oczach, ale zanim ktoś zdążył na nią popatrzeć, Lodisha zerwała się od stołu, złapała talerz Rosie, przeszła szybkim krokiem przez kuchnię i zrzuciła jej jedzenie do kubła z odpadkami dla świń.

- Nie będzie przeklinania w tym domu. Kapitan tego nie lubi.

- On też przeklinał! - wrzasnęła Rosie

- Młode damy nie przeklinają jak kowboje - stwierdziła Lodisha.

- To nie w porządku! Ja nie jestem młodą damą! Ja jestem. - Rosie zerwała się od stołu, złapała swój płaszcz i wybiegła z kuchni, trzaskając drzwiami.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - spytał Bowie, odkładając na talerz kawałek chleba, który trzymał w ręku.

- Jest dobrze - odezwał się John Hawkins, przyjmując od Lodishy drugi kawałek chleba. - Rose Mary zaczyna myśleć o tym, aby stać się żoną.

Lodisha westchnęła, stawiając na stole miskę ugotowanych suszonych śliwek.

- Jeszcze ma długą drogę przed sobą. Ale jest już o krok bliżej.

- Lodisha - wtrącił zbulwersowany tą rozmową Bowie - doceniam twoje zainteresowanie tym... tematem, ale są rzeczy, które lepiej zostawić w spokoju.

- To nie jest normalne, żeby mąż i żona spali oddzielnie, W żaden sposób nie będą mogli mieć dzieci.

Bowie popatrzył na nią z niepokojem.

- Rosie była brutalnie wykorzystywana. Oboje dobrze o tym wiecie. Ja, w żadnym wypadku, nie chcę jej skrzywdzić. - Bowie wyprostował się na krześle. - Różne rzeczy robiłem w życiu, ale nigdy nie wziąłem kobiety siłą.

John Hawkins zajęty był rozsmarowywaniem masła na chlebie i robił to tak dokładnie, jakby to było najważniejszą czynnością na świecie.

- Czy pamiętasz, co zrobiłeś drugiego dnia po przybyciu na farmę, kapitanie Bowie Stone? Poszedłeś na prerię z winchesterem i zabiłeś dwa zające.

Kula, która zabiła Luthera Radisona, przestała być wtedy ostatnią kulą, którą wystrzelił.

Kiedy celował do zająca lub bażanta, myślał tylko o ostatnim zającu czy też bażancie, którego ustrzelił dla Lodishy. Nie widział już twarzy Luthera Radisona na końcu lufy.

- Dobrze, że zastrzeliłeś wtedy te dwa zające. Teraz często dostarczasz nam mięsa.

- Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, Johnie Hawkinsie - odezwał się Bowie. Ale on nie czuł się mężczyzną, który miałby zatrzeć okropne wspomnienia Rosie. Nie miał do tego prawa. Odłożył serwetkę i wstał od stołu. - Rosie i ja nie możemy żyć jak małżeństwo. To byłoby niewłaściwe.

To właśnie powtarzał sobie co noc, kiedy leżał wpatrzony w sufit, słysząc, jak Rosie kręci się na łóżku, i myśląc o tym, jak wygląda po wyjściu z kąpieli. Przypominał sobie jej opięte spodnie, kiedy schylała się przy rąbaniu drewna, emanujące od niej ciepło, kiedy przewrócił ją na ziemię. Pamiętał dobrze jej różowe sutki i ciemny trójkąt pomiędzy nogami, kiedy patrzył, jak wychodzi z wanny.

- Bardzo dobra kolacja - zwrócił się do Lodishy, idąc w kierunku drzwi. Wziął płaszcz i kapelusz i wyszedł na podwórze.

Dni były już dłuższe. Na horyzoncie jaśniał słaby odblask zachodzącego słońca.

Znalazł Rosie przy grobie Franka Blevinsa. gdzie stała nieruchomo z rękami w kieszeniach. Zdjęła wstążkę z włosów, które opadały jej teraz prawie do pasa. Bowie miał

wielką ochotę owinąć jeden z tych lśniących loków dokoła palca, ale szybko włożył ręce do kieszeni.

- Nie mam zamiaru cię skrzywdzić - powiedział cichym głosem. - Ale chcę, żebyś wiedziała, że jesteś piękną, godną pożądaną kobietą, Rosie. Chcę również, żebyś wiedziała, że nie musisz ukrywać swojej urody pod męskim ubraniem i pokładami brudu, żeby czuć się bezpieczna przy mnie i przy innych mężczyźnach. Są tacy mężczyźni w Passion Crossing, którzy nie budzą mojej sympatii, ale większość z nich to przyzwoici ludzie. Nie będą ci się narzucać, kiedy zobaczą, jaka jesteś naprawdę. Ja również nie,

- Nie możesz mówić w imieniu każdego mężczyzny w Passion Crossing - rzuciła Rosie, kopiąc kamień z nagrobka Franka Blevinsa.

- Mogę mówić w imieniu większości. A co najważniejsze, nie ponosisz żadnej winy za to, co zrobił ci Blevins. Nie skrzywdził cię dlatego, że nosiłaś spódnice, czesałaś się w szczególny sposób lub ładnie wyglądałaś. Blevins skrzywdził cię, bo był słabym i brutalnym człowiekiem.

Może nawet potworem. Ale to, co się wydarzyło, było wyłącznie jego winą, Rosie. Nie twoją. Ty nigdy nie byłaś za to odpowiedzialna.

W gasnącym świetle wieczoru Bowie zobaczył, że po policzkach Rosie spływają łzy. Na ten widok ścisnęło mu się serce. U wielu kobiet płacz służył do osiągnięcia jakiegoś celu, czasem płakały z bólu, z litości nad sobą albo z przyczyn, których żaden mężczyzna nie był w stanie pojąć. Ale on widział, jak Rosie Mulvehey wyrywała sobie drzazgę spod paznokcia bez jednej łzy, jak reagowała, kiedy się z niej wyśmiewano, jak zbagatelizowała brutalne postępowanie zastępcy szeryfa, kiedy wypuszczał ją z więzienia. Ona nigdy nie manipulowała ludźmi, nigdy nie użalała się nad sobą. Kiedy taka kobieta jak Rosie Mulvehey płakała, to odczuwała prawdziwy ból.

- Czy ty... wierzysz w to? W to, co mówiłeś? - szepnęła, nie patrząc na niego.

- Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. To, co zdarzyło się z Blevinsem, nie było twoją winą. Wierz w to bez zastrzeżeń. Ty sama o tym wiesz.

Jakby czuła, że Bowie chciałby zbliżyć się do niej i objąć ją ramieniem, odsunęła się od grobu Blevinsa, patrząc w stronę, gdzie leżały pola.

- John Hawkins mówi, że będziemy mieli tylko jeden okres mrozów. Potem można będzie orać.

- Czy ufasz mi, Rosie?

Bowie nie widział powodu, aby ktokolwiek mógł mu ufać po tym, co zrobił ze swoim życiem. Teraz jednak chciał, aby ona mu zaufała.

- Może...

- To uwierz w to, co ci mówię. To nie twoja wina, że stałaś się ofiarą. Nie masz się czego wstydzić, możesz nosić głowę równie wysoko jak każda kobieta w tym okręgu. Nie jesteś brudna i brzydka. Jesteś piękna, silna i szlachetna. Jesteś osobą godną podziwu, Rose Mary Mulvehey. Zaslługujesz na podziw i szacunek.

Było już prawie zupełnie ciemno, ale Bowie zdołał zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy uniosła głowę. Wydała mu się tak podatna na zranienie, że mógłby zniszczyć ją jednym wypowiedzianym słowem.

- Och. Boże - szepnęła zdławionym głosem, patrząc mu prosto w oczy. - Chyba nie wierzysz w te wszystkie dobre słowa, one nie odnoszą się do mnie.

Bowie delikatnie dotknął palcami jej policzka. Rosie zeszywniała, ale nie odsunęła się od niego.

- Jesteś dobra i szlachetna, Rosie.

- Piję, palę i przeklinam. Jestem brzydka.

- Nie jesteś brzydka. Jesteś hojna i lojalna.

- Proszę - szepnęła, robiąc krok do tyłu. - Nie mów tak o mnie.

- Wiem, kim jesteś.

Rosie zareagowała we właściwy sobie sposób. Uderzyła go pięścią w brzuch i szybko pobiegła w kierunku domu.

Pod tym nieoczekiwanym ciosem Bowie zwinął się z bólu. Rosie była drobna, ale bardzo silna. Potrafiła uderzyć tak mocno, jakby była mężczyzną. Bowie wyprostował się wreszcie, z przekleństwem na ustach.

- Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem! - krzyknął za nią. Kiedy wrócił do domu, nadal bolał go brzuch. Zastał w kuchni

Lodishę, która wycierała naczynia, i Johna Hawkinsa, czytającego jakąś starą gazetę.

- Rose Mary zostawiła to dla ciebie - powiedział John Hawkins, pokazując mu stojącą na stole szklankę whisky.

- Musiałeś jej powiedzieć coś bardzo mocnego, tam na podwórzu, kapitanie - mruknęła Lodisha, oglądając talerz w świetle lampy. - Nasza dziewczyna nie dzieli się chętnie swoją działką.

Bowie wiedział o tym. Rosie poczęstowała go whisky tylko raz, pierwszego dnia po przybyciu na farmę. Zdjął z półki dwie szklanki i rozdzielił whisky na trzy porcje.

- Za kobiety. - Bowie podniósł swoją szklankę. - Nie mam o nich żadnego, cholernego pojęcia.

- Tak jest lepiej - powiedział John Hawkins i wypił do dna.

- Sam powinienes dawać dobry przykład, kapitanie - wtrąciła Lodisha. - Dostyc przeklinania w tym domu.

Bowie roześmiał się głośno, po raz pierwszy od ośmiu miesięcy. Pił whisky w prymitywnej kuchni z

Indianinem i czarnoskórą kobietą, którzy znali intymne szczegóły jego życia, przed chwilą został niespodziewanie zaatakowany przez piękną kobietę, która swobodnie potrafi mówić o seksie, jedząc kolację, i która leży teraz prawdopodobnie w łóżku i upija się do utraty zmysłów.

W najśmielszych marzeniach Bowie nie potrafiłby wymyślić takich ludzi ani takiej sytuacji.

- Wiecie co? - powiedział, uśmiechając się szeroko. – Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie wolałbym być. Niż właśnie tu.

Po trzech tygodniach zmienił zdanie. Wolałby być w każdym innym miejscu na ziemi, niż ciągnąć pług przez wyschniętą prerię.

Pęcherze na dłoniach Rosie pękały, plamiąc uchwyty pługa krwią. Powietrze było chłodne, ale w południe wydawało się, że żar leje się z nieba, wyciskając resztkę wilgoci z szarej, twardej gleby.

Kiedy Bowie zatrzymał się, Rosie omal nie upadła na ostrze lemiesza.

- Chryste! - powiedział, wycierając pot z czoła. Zdarł z siebie koszulę i rzucił ją na zasiane zagony. - Jest potwornie gorąco!

Kiedy przestali pracować, Rosie poczuła, jak pot stygnie jej na plecach.

- Wcale nie jest gorąco - powiedziała.

Popatrzyła na leżącą na ziemi koszulę Bowiego. Nie była pewna, czy będzie miała dość siły, aby mu ją przynieść i zmusić go, żeby ją włożył. Jeśli Bowie się rozchorowuje, ten sezon zakończy się porażką, ledwie się rozpoczął.

- Rose Mary, ta bruzda zbyt odchyła się w lewo – usłyszała głos Johna Hawkinsa.

Rosie obejrzała się na zorany pas ziemi, potem spojrzała do przodu, nad głową Bowiego.

Jego ramiona drżały pod skórzanymi pasami, którymi był przywiązany do pługa, miał napęczniałe żyły, a plecy oblane potem.

- Znowu za bardzo przybliżasz się do obsianych rzędów - stwierdziła, dziwiąc się, że jeszcze może wyraźnie mówić.

Zimny kurz zatykał jej nos i gardło. Marzyła o tym, aby móc też zrzucić koszulę, pod którą płynęły strumyki potu.

Bowie poprawił skórzane pasy, przymknął na chwilę oczy i złapał równowagę.

- Jestem gotów.

- Ruszaj.

Przyciskając rączki pługa, starając się utrzymać lemiesz w linii prostej, Rosie szła za nim. Świeżo zorane skiby oblepiały jej buty, a pot zalewał oczy.

Po godzinie John Hawkins krzyknął, że zabrakło mu ziarna. Zatrzymali się i wyczerpani osunęli się na ziemię. Rosie osłoniła ręką oczy i patrzyła w niebo, licząc, ile godzin pozostało jeszcze do zmierzchu.

- Za wcześnie na to, aby zakończyć pracę – powiedział Bowie.

Zacisnął zęby, wyzwolił się z uprzęży i powłókł w kierunku stodoły. W obie strony musiał przejść półtora kilometra.

- Ja mogę iść po ziarno - oświadczył John Hawkins.

- Już rozmawialiśmy o tym - ucięła Rosie. - Buszel ziarna waży trzydzieści kilogramów. Jesteś starym człowiekiem, Johnie Hawkinsie. Nie chcę, żebyś zasłabł, zanim skończymy zasiewy.

Stale martwiła się o niego. John Hawkins narzekał, że ma najłatwiejszą pracę, ale nie było wcale łatwo schylać się przez cały dzień, ciągnąc za sobą worek ziarna i wkładać garść po garści w świeżo zoraną ziemię, Kiedy kończyli pracę, trudno mu było wyprostować się i zginać kolana.

Siedzieli na chłodnej ziemi i czekali. Na rosnących wzdłuż strumyka topolach pojawiły się już pączki, widać było ślady zieleni na prerii, ale wiosna tego roku było późna.

Kiedy Bowie wrócił z zianiem, postawił worek obok Johna Hawkinsa i dotknął jego ramienia. Spojrzał na niebo, przeszedł koło Rosie i schylił się, aby podnieść uprząż.

- Pomożesz mi?

Rosie włożyła na niego uprząż. Jej palce zostawiały brudne ślady na jego spoconym ciele.

Zobaczyła strużkę krwi spływającą mu z pleców.

- Przykro mi - szepnęła. - Może powinniśmy zaprząć Ivanhoe'a.

- Ivanhoe jest jedynym dobrem, jakie posiadasz. - Oczy Bowiego zabłyśły nagle. - Nie możemy zmarnować dobrego konia, zaprzęgając go do pługa!

Rosie popatrzyła na niego i poczuła, że coś ją ścisną w gardle. Przełknęła z trudnością i stanęła na swoim miejscu przy pługu.

Zaorane pasy ziemi ciągnęły się pomiędzy ogrodzeniami, zajmując coraz większą przestrzeń. Stracili jeden dzień pracy z powodu mokrego wiosennego śniegu, który uniemożliwiał orkę, chociaż dobrze robił ziarnom, leżącym już w glebie. Musieli przeczekać jeszcze jeden dzień, aby śnieg się roztopił i ziemia obeschła. Dopiero wtedy mogli powrócić do swojej harówki.

Podczas pracy nie wypowiadali żadnego zbędnego słowa, byli na to zbyt wyczerpani.

Mimo starań Lodishy tak schudli, że została z nich tylko skóra i kości.

Pod koniec dnia wlekli się do domu i siadali na kuchennych schodkach, nie będąc w stanie wymówić słowa.

Dłonie Rosie były starte do żywego mięsa. Tak samo wyglądały ramiona i plecy Bowiego. Spał, siedząc, bo jego pokaleczona skóra nie mogła znieść nawet dotyku prześcieradła.

John Hawkins jadł posiłki skurczony na niskim stołku - nie był w stanie wyprostować pleców.

Rosie nie mogła utrzymać łyżki ani widelca w pokaleczonych dłoniach, więc piła tylko zupę z miski. Czasem była tak wykończona, że wypijała zaledwie jeden kieliszek whisky.

Lodisha opatrywała ich rany i nacierała im skórę leczniczym balsamem. Natychmiast po kolacji padali na łóżka, drżąc z wyczerpania i myśląc z przerażeniem o następnym dniu pracy.

Ho, ho, popatrzcie tylko!

Rosie puściła rączki pługa, aby obetrzeć pot z czoła i popatrzeć na świeżo zorane skiby.

Zastępca szeryfa Sands i dwóch jego koleżków stali na skraju pola. pociągając kolejno z butelki. Rosie była tak otępiała, że nie usłyszała, jak nadjeżdżali.

- Jestem gotów - powiedział Bowie. - Możemy zaczynać.

- Za chwilę. - Rosie głęboko zaczerpnęła powietrza. -Czego chcecie? Nie macie tu nic do roboty! - krzyknęła.

- Słyszeliśmy o nowym koniu pociągowym na tej farmie... pani Stone. Chciałem zobaczyć to zwierzę na własne oczy -powiedział Sands, a jego koledzy roześmieli się głośno.

- Wynoście się stąd! - Rosie zacisnęła pięści, wściekła na siebie, że zostawiła rewolwer w domu.

- Ten nowy koń jest chuderlawy. Co o tym myślicie, chłopcy? Czy nie powinniśmy go zastrzelić i wybawić od cierpieli? - Sands wymierzył z kolta w kierunku Bowiego i wystrzelił.

Kula utkwiała w ziemi tuż przy jego stopach. - No patrzcie, chłopcy, chybiłem.

- Ruszaj, Rosie. - Bowie poprawił uprząż na plecach. -Stojąc w miejscu, nic nie zrobimy.

- Strzelają do ciebie! - Rosie trzęsa się z wściekłości. -Czy to cię nic nie obchodzi, że ci skurwiele przyjechali tu tylko po to, żeby się z ciebie wyśmiewać?

- Nie.

- Hej, Stone! Hej, tchórze! Czy miło jest być koniem? - Sands trącił łokciem jednego z koleżków i roześmiał się. -Czy twoja żona ujeżdża cię również w łóżku?

Jego towarzysze klepali się po kolanach i turlali ze śmiechu.

- Idź do diabła, Sands! - krzyknęła Rosie,

- Rozruszaj się, chłopcze! Zarzyj. - Sands wystrzelił znowu, a kula wbiła się w ziemię tuż przed butami Bowiego.

- Już się zabawieś, Sands. Teraz zabieraj swój tyłek z mojej ziemi!

- A jeśli nie... pani Stone? Czy poszczuje pani na nas swojego konia? - Koledzy Sandsa pokrzykiwali, ze śmiechu łzy leciały im z oczu.

- Ruszaj, Rosie. - Bowie pochylił się do przodu. - Już zmierzcha. Skończmy ten rząd.

Trzęsąc się z wściekłości, starając się nie słuchać pokrzykiwań i wybuchów śmiechu, Rosie schyliła się nad pługiem. Widziała strużkę krwi spływającą z pleców Bowiego. Nie patrzyła już na Sandsa i jego towarzyszy, nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że odjechali, dopóki nie skończyli pracy i nie powlekli ,u; przez pola do domu.

Siedzieli na schodkach kuchennych, zbierając siły, aby się umyć i wejść do środka. Po chwili Rosie spojrzała na siedzącego obok niej Stone'a, który podpierał głowę rękami.

Zupełnie cię nie obchodziło, że wyśmiewali się z ciebie, prawda?

Nie mogę uwierzyć - Bo wie podniósł głowę i popatrzył na pola - że mogłaś myśleć o tym, że zrobisz to sama. Chryste!

- Chciałam ich zabić!

- To, co mówi Sands, nie ma żadnego znaczenia - powiedział spokojnie Bowie.

- Ale oni śmieli się z ciebie! Kpili! Wiem, jak to smakuje! -Rosie popatrzyła na niego uważnie. - Różnica polega na tym, że ja sobie wmawiam, że to nie ma znaczenia, ale dla ciebie...

to rzeczywiście się nie liczy.

- Zapomnij o tym.

- Przecież strzelali do ciebie. - Kiedy Bowie nie odezwał się, schyliła się, aby zajrzeć mu w twarz. - Chcesz sam siebie ukarać, prawda? Dlatego zaciskasz zęby i uśmiechasz się, kiedy Lodisha wciera ci balsam, a to boli jak cholera. Dlatego nie zwracasz uwagi na Sandsa.

Uważasz, że może cię upokarzać. Czy dlatego, że jesteś żywy? Że cię nie powiesili?

Rosie była zaszokowana myślą, że Bowie nadal nie dba o to, czy będzie żył, czy umrze.

Walczyłby z każdym, kto wyśmiewałby się z jego żony, ale nie ruszyłby palcem we własnej obronie.

Mógł się zapracować na śmierć bez słowa protestu. Śmierć była mu obojętna.

- Każdy przyzwoity mężczyzna zrobiłby to samo, co ty zrobiłeś w Stone Toes! Zastrzeliłeś Radisona w akcie samoobrony! Nie jesteś już w kawalerii. I co z tego? Jesteś potrzebny tutaj.

- Przestań, Rosie - powiedział Bowie, przesuwając ręką po twarzy.

- A gdyby Sands rzeczywiście chciał cię zastrzelić... czy stałbyś spokojnie i pozwolił

temu draniowi, żeby cię zabił? Jakby ci wyświadczał przysługę? Na to wyglądało. Nawet nie drgnąłeś.

Bowie wstał i powlókł się w kierunku stodoły.

Nnadszedł wreszcie dzień, kiedy wszystkie prace zostały zakończone. Stali na skraju pola i patrzyli, jak pada mokry, wiosenny śnieg.

- Śnieg! - krzyknęła Rosie, podnosząc swoje obandażowane dłonie do góry. - Padaj śniegu jak skur....
- zamilkła, rozglądając się za Lodishą. - Śnieg jak wariat! Duże. mokre płatki! Padaj, śniegu!

- To dobrze - powiedział John Hawkins, uśmiechając się szeroko. Założył ręce za plecy, starając się stać prosto.

- Niech mnie szlag trafi - powiedział cicho Bowie, patrząc, jak śniegowa pierzynka pokrywa zasiane rzędy. Uśmiechnął się radośnie. - Udało się nam. - Spojrzał na Rosie. - Do diabła, Rosie! Udało się!

- Wspaniale się udało! Prawie trzy hektary! - Rosie roześmiała się głośno.

Bowie objął ją w pasie i zaczęli tańczyć na podwórzu. John Hawkins zapomniał, że już nie jest Indianinem, i też tańczył w śniegu, śpiewając pieśń zwycięstwa. Nawet Lodisha wyszła na ganek i patrzyła na nich z uśmiechem.

- Chodźcie już do domu. Zmyję z was tę kansaską prerię, dobrze was nakarmię i położę na cały dzień do łóżka.

- Udało nam się! - krzyczała roześmiała Rosie, wirując wśród padającego śniegu w ramionach Bowiego. Nagle potknęła się na kamieniu i opadła na niego całym ciałem.

Bowie przytrzymał ją mocno, patrząc na jej rozradowaną twarz i rozchylone wargi.

Śmiech zamarł jej na ustach. Kiedy poczuła dotyk jego ciała, zabrakło jej tchu w piersiach.

Dłonie Bowiego znalazły się nagle na jej policzkach.

- Gratuluję - powiedział i pocałował ją delikatnie w usta. Ten pocałunek był tak nieoczekiwany, że Rosie zamarła.

Wpatrywała się w niego, serce jej waliło

- Byłaś wspaniała - szepnął, podnosząc jej ręce do ust i całując obandażowane palce. -

Nie wyobrażam sobie, żeby jakaś kobieta potrafiła dokonać tego, czego ty dokonałaś. Fakt, że się z tobą zetknąłem, napawa mnie dumą, Rose Mary Mulvehey. Mam cholerną nadzieję, że będziesz miała zbiory, na jakie zasługujesz.

On myśli, że jest wspaniała. Jest dumny, że ją poznał.

Łzy napłynęły jej do oczu. Po raz pierwszy w życiu usłyszała takie słowa. Wiedziała, że nie kłamie, i wiedza ta była jednocześnie radosna i bolesna.

- Nie zrobiłabym tego bez ciebie - szepnęła.

Rosie patrzyła na jego wargi, pragnęła, aby ją znów pocałował, a po chwili miała ochotę uderzyć go i uciec. Zaskoczona była delikatnością tego pocałunku. Nie wiedziała, że to może być miłe.

Bowie pochylił się nad nią, patrząc w jej szeroko otwarte oczy. Pocałował ją znowu, lekko przytulając do siebie. Ten pocałunek był również tak ciepły i subtelny, że chciało jej się płakać, Gotowa do ucieczki, patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, czekając, aż jego twarz przybierze ohydny, lubieżny wyraz.

Ale tak się nie stało. Bowie pozostał tym samym przystojnym mężczyzną, który chciał, aby Gulliver County okazało jej należny szacunek, zwracając się do niej nazwiskiem męża.

Mężczyzną, który zastępował konia przy orce, który krwawił dla niej. Mężczyzną, który nigdy nie wykonał żadnego obraźliwego gestu, który uważał, że jest wspaniała, który był dumny z tego, że ją zna.

Czuła jego wargi na ustach i przebiegł ją gwałtowny dreszcz. Odsunęła się o krok, ścierając pocałunek ręką.

- Proszę, nie rób tego więcej - szepnęła.

Serce waliło jej jak oszalałe. Nigdy nie wyobrażała sobie, że usta mężczyzny mogą być tak czułe, a pocałunek tak podniecający. Chciała, żeby ją znowu całował i trzymał w ramionach.

To uczucie przeraziło ją. Obróciła się szybko i pobiegła do domu.

- To dobrze - powiedział John Hawkins, stając obok Bowiego. - Rose Mary nie podbiła ci oka ani nie chciała cię zabić.

- Nie miałem zamiaru jej pocałować. - Bowie zacisnął dłonie w pięści. - Zapomniałem się.

Zamknął oczy, przypominając sobie, że to Susan, a nie Rosie, była jego legalną żoną.

Prędzej czy później, bez względu na to, czy będzie tego chciał, czy nie, będzie musiał wrócić na Wschód, aby spełnić swój obowiązek.

Podniósł głowę, starając się w gęsto padającym śniegu zobaczyć Rosie w oknie kuchennym. W świetle lampy jej włosy lśniły, jakby padało na nie słońce.

Zaklął, kopnął kamień nagrobny Franka Blevinsa i podążył za Johnem Hawkinsem do domu.

Zanim Lodisha zdążyła przygotować kolację, Rosie zaczęła skwapliwie opróżniać butelkę Brown Blazer. Patrząc w milczeniu na Bowiego, piła kieliszek po kieliszku, dopóki wyraz zdumienia i konsternacji nie zniknął z jej twarzy, po czym upadła bez przytomności na szmacyany dywanik.

Bowie podniósł ją i trzymał przez chwilę w ramionach.

- Łamiesz mi serce - powiedział cicho, zanim położył ją do łóżka.

Mieszkańcy farmy nabrali zwyczaju przerywania swoich codziennych zajęć, aby wyrzeć na pola i patrzeć na kiełkujące zboże. Teraz głównym tematem był deszcz - czy będzie, czy nie będzie padać.

Preria nabierała wiosennej świeżości, na topolach rozwijały się połyskujące srebrzyście listki. Bowie i Rosie założyli ogród warzywny, pobielili dom i stodołę, wysprząkali ziemną piwniczkę, pomogli Lodishy w produkcji mydła z ługu i świec z łaju.

Tego dnia zajęci byli usuwaniem zeschniętych gałęzi znad strumienia. Miały one posłużyć na opał, trzeba było również oczyścić drogę do wodopoju dla bydła.

- Czy wybierasz się dzisiaj do miasta? - spytał Bowie.

- Może - odpowiedziała z przekorną miną.

Tego roku po chłodnych dniach zrobiło się natychmiast bardzo gorąco - wiosenna pogoda ominęła prerie. Rosie spojrzała w rozświetlone niebo. Nie było żadnych oznak deszczu.

- Te sobotnie wieczory, które spędzałaś w domu, były bardzo przyjemne. Nie trzeba było chodzić do miasta, aby wykupić cię z więzienia.

- Nie zawsze kończę w więzieniu - zauważyła Rosie, czując, jak jej policzki oblewają się szkarłatem.

- Przeważnie tak jest.

- Jadę dziś wieczór do miasta - powzięła nagle postanowienie.

Ostatnimi czasy bardzo często starała się iść na drobne ustępstwa, aby zadowolić Bowiego. Miała wtedy uczucie, jakby rezygnowała z części samej siebie. Musiała sobie czasami udowodnić, że jest sobą i robi, co chce.

Zirytowana Rosie podniosła pęk wierzbowych gałęzi i zaniósła je do kuchni. Teraz będzie musiała jechać, chociaż wcale nie miała ochoty marnować wieczoru na wysłuchiwanie głupich dowcipów Lema, Shotshiego i Aceya. Również strzelanie w barze Harolda nie miało już dla niej dawnego uroku.

Oparła się o ścianę, patrząc na Bowiego, który niósł ostatni ładunek drewna do porąbania.

Rzucił je obok pnia, napił się wody z beczki, przemył sobie twarz i wziął siekierę do ręki.

Nie próbował jej już pocałować. Żadne z nich nie uczyniło żadnej aluzji do tego wieczoru, kiedy skończyli orkę.

Ale Rosie stale o tym myślała. Kiedy patrzyła na niego przy kolacji, myślała o tym, że ją całuje. Patrzyła, jak na grzbiecie Ivanhoe'a robi objazd pól, i myślała o tym, że ją całuje.

Słuchała, jak przewraca się w nocy na łóżku, i nie mogła przestać myśleć, że ją całuje.

- Masz lusterko w stodole, prawda? - spytała nagle. Bowie codziennie rano chodził do stodoły i wracał stamtąd ogolony.

Spojrzał na nią. ale nie odezwał się.

Rosie miała zamiar zrobić awanturę o lusterko, ale zdobyła się tylko na jedno zdanie.

- Nie przynoś go nigdy do domu.

Patrzyła na jego usta i myślała o jego pocałunkach.

Była wściekła na siebie za te myśli i za ustępstwa, które wbrew sobie robiła. Odwróciła się, patrząc na tuman kurzu za bryczką, która kierowała się w stronę farmy.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Każdego dnia miała ochotę powiedzieć Bowiemu coś przykrego, ale jej słowa i brzmienie głosu były o wiele łagodniejsze niż jej pierwotne zamiary.

Wydawało jej się czasami, że cierpi na rozmiękczenie mózgu.

- Spodziewasz się kogoś? - spytał, ocierając pot z czoła i patrząc na zbliżającą się bryczkę.

- To panna Evaline Buckner.

Rosie zmarszczyła brwi na jej widok. Nasunęła głębiej kapelusz na czoło, podciągnęła spodnie i poszła w stronę domu. Stone ruszył za nią.

- Jak się masz, Rosie. Panie Stone. - Evaline rzuciła szybkie spojrzenie na Bowiego spod swojego słomkowego kapelusika. Miała na sobie wzorzystą spódnicę i bluzkę bursztynowego koloru, który podkreślał brązowozłocisty odcień jej oczu. Na kolanach trzymała wiązanek polnych kwiatów.

- Jak się masz, Evaline - powiedziała Rosie. - Co cię sprowadza w te strony?

- Wiem, że Lodisha zrobiła lemoniadę. - Bowie z uśmiechem zdjął kapelusz. - Może się pani napije? Dzisiaj jest bardzo gorąco.

Rosie zmarszczyła się gniewnie. Nie podobał jej się sposób, w jaki Bowie i Evaline uśmiechali się do siebie.

- Dziękuję, panie Stone. - Evaline opuściła oczy.

Rosie zmarszczyła brwi. Przecież Bowie zaproponował tej głupiej dziewczusze tylko szklanekę lemoniady, nie prosił, aby z nim uciekła do Hayes City.

- Bardzo chętnie napiłabym się z panem lemoniady, ale muszę odłożyć tę przyjemność na kiedy indziej. - Długie rzęsy livaline zatrzepotały na jej różowych policzkach. - Mam jeszcze wiele wizyt

przed sobą, zanim będę mogła dać odpoczynek moim starym kościom.

Rosie zauważyła uśmiech Bowiego. Kości Evaline miały dopiero dwadzieścia lat i pokryte były miłymi dla oka okrągłościami. Nagle Rosie zapragnęła mieć złociste loczki, lekko wydęte usteczka i żółte pantofelki. Miała również ochotę ściągnąć Evaline z bryczki i unurzać jej ładną, różową buzię w błocie.

- Czego chcesz, Evaline?

Evaline przesunęła wzrokiem po zapoconej koszuli Rosie i jej męskich spodniach. Jej nozdrza rozszerzyły się, rzuciła w stronę Bowiego konspiracyjne spojrzenie, które miało sugerować, że oboje wyrażają dezaprobatę dla Rosie i jej sposobu ubierania się.

- Stowarzyszenie Pań organizuje wieczorek taneczny na zakończenie wiosennych zasiewów. Przyjechałam, żeby cię na niego zaprosić. Odbędzie się w następną sobotę.

Stowarzyszenie Pań dostarczy poncz, lemoniadę i ciasteczka.

- Z przyjemnością weźmiemy w nim udział, panno Buck-ner - powiedział z uśmiechem Bo wie.

Evaline klasnęła w dłonie, uradowana, a jej oczy zabłyśły prowokująco.

- Nie zmieni pan zdania, prawda? Mogę na was liczyć? To

wspaniale. Będziemy mieć dwóch dodatkowych mężczyzn.

Rosie wyciągnęła cygaro z kieszeni, potarła zapalnik o podeszwę buta i zaczęła dmuchać dymem prosto w twarz Evaline, która ciągle uśmiechała się z zachwytem do Bowiego. Na twarzy Rosie ukazywał się uśmiech za każdym razem, kiedy Evaline kaszłała, odpędzając ręką dym. Nie pomachała jej na pożegnanie, gdy Evaline wreszcie zdecydowała się odjechać.

- Dlaczego powiedziałeś, że pójdziemy na te głupie tańce? - spytała Rosie, kiedy tylko bryczka Evaline opuściła podwórze.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, która nie lubiłaby tańczyć. - Bowie patrzył za bryczką, zamyślony.

- Więc ją teraz widzisz - warknęła Rosie,

Podeszli do czekającego na porąbanie drewna, ale teraz Rosie chwyciła za siekiere.

- Co ona mówiła o dwóch dodatkowych mężczyznach? - spytał Bowie, patrząc na pracującą z zapalem Rosie. - Co to miało znaczyć?

- Jedynym powodem, dla którego Stowarzyszenie Pań zaprasza mnie na swoje tańce, jest to, że w Passion Crossing jest zbyt mało mężczyzn, aby móc zorganizować wieczorek taneczny, więc niektóre kobiety noszą na ramieniu niebieską wstęgę i tańczą za mężczyzn.

- Tak myślałem. - Bowie zmarszczył brwi. -Panna Buckner chce, abyś tam wystąpiła w charakterze mężczyzny.

- Dlatego mnie zapraszają. - Czując na sobie spojrzenie Bowiego, Rosie rąbała z coraz większym zapalem. - Nie dbam o to. Chcę posłuchać muzyki.

Tego wieczoru Rosie stanęła na swoim zwykłym miejscu przy barze obok pojemnika z cygarami. Harold podał butelkę i uśmiechnął się do niej. Chętniej ją widział w swoim barze od czasu, kiedy rzadziej zabawiała się tu swoimi rewolwerami.

- Zmieniłaś się od czasu tego małżeństwa - powiedział Lem ze smutkiem w głosie.

Rosie dotknęła palcami twarzy, którą celowo ubrudziła przed wejściem do baru.

- Zamknij się. Nie mam ochoty mówić ani o swoim małżeństwie, ani o swoim mężu.

- To miasto umiera - dorzucił Shotshi, patrząc na zakurzoną lampę pod sufitem. -

Przedtem mogliśmy jeszcze liczyć na starą Ro... panią Stone... na trochę zabawy. Teraz nic się nie dzieje.

Rosie spojrzała na swoją szklankę i przed oczami stanęła jej nagle twarz Evaline.

- Czy wy, chłopcy, myślicie, że Evaline Buckner jest ładna?

- Bardzo ładna... jak mały szczeniaczek!

- Najładniejsza dziewczyna w Gulliver County.

- Shotshi dobrze o tym wie. Chodzi za nią jak błędny -powiedział Acey ze śmiechem, a Lem również się roześmiał.

Rosie poczuła nagle gorycz w ustach. Nigdy przedtem nie zaznała uczucia zazdrości, więc nie rozumiała swoich uczuć. Wiedziała tylko, że zaczyna boleć ją żołądek i że nie cierpi Evaline Buckner. Zaczęła obracać swoją szklankę na blacie baru, myśląc o trzepocących rzęsach Evaline i o wysokim, przystojnym Bowiem, który stał na podwórzu, uśmiechając się do niej.

- Nie wydaje mi się, żeby było na co patrzeć – warknęła Rosie.

Z ciężkim westchnieniem dotknęła swoich rewolwerów. Harold będzie niezadowolony.

Wyglądało na to, że tego wieczoru w barze będzie jednak strzelanina.

Co tu się dzieje? - spytała zdumiona Rosie.

Kiedy Lodisha uprzątnęła naczynia po kolacji, Bowie i John Hawkins podnieśli się nagle od stołu. Wszyscy troje patrzyli na nią z zaciętym wyrazem twarzy. Zaniepokojona Rosie uchwyciła się

krzesła.

- Teraz! - Bowie rzucił szybkie spojrzenie Lodishy i Johnowi Hawkinsowi.

Rzucili się na nią wszyscy troje i przygwoździli do ściany. Rosie nie miała pojęcia, co to ma znaczyć, ale instynkt zmuszał ją do walki. Zanim Bowie zdążył złapać ją za nogi, zdołała kopnąć go w podbrzusze. Kiedy poczuła żelazny uścisk dłoni Johna Hawkinsa na swoich nadgarstkach, wiedziała, że walka jest przegrana.

- Co robicie? Co to, u diabła, znaczy?! - wrzeszczała Rosie, kiedy ciągnęli ją przez kuchnię.

- Nie klnij - powiedziała spokojnie Lodisha.

Bowie i John Hawkins trzymali ją mocno, a Lodisha ściągała z niej ubranie, zostawiając jej tylko kalesony i podkoszulek.

- Mam sznur i podkładki - powiedziała do Bowiego.

- Co? Jaki sznur? - Rosie gwałtownie usiłowała się wyrwać trzymającym ją mężczyznom, ale bez powodzenia. Zanieśli ją do sypialni, położyli na łóżku, nadal mocno trzymając, a Lodisha owiązała kawałkami starego ręcznika jej kostki u nóg i nadgarstki, po czym przywiązała ją do łóżka. Przerazona Rosie zaczęła się szarpać.

- Nie szarp się, kochanie, bo zrobisz sobie krzywdę. Nic złego ci się tu nie stanie.

Bowie sprawdził węzły, podłożył jeszcze parę kawałków ręcznika pod sznur i popatrzył na nią zdecydowanym wzrokiem.

- Będziesz trzeźwa na jutrzejszych tańcach.

- Nie macie prawa! - wrzeszczała Rosie. - Musicie mnie natychmiast rozwiązać! Chcę się napić!

- Jest dobrze - powiedział John Hawkins, kiedy sprawdził węzły na sznurze. - Będziesz się jutro dobrze bawić. Rose Mary - dodał i razem z Lodishą wyszli z sypialni.

Rosie krzyknęła, że są zdrajcami.

- Nasz plan jest następujący - powiedział Bowie, patrząc, jak Rosie rzuca się na łóżku. -

Zostaniesz tu do jutrzejszego popołudnia, aż do czasu kąpieli. Nie pojedziesz do miasta, żeby się upić. A jeśli myślisz, że upijesz się zaraz po tym, jak cię rozwiążemy, to musisz wiedzieć, że Lodisha i John Hawkins przepatrują teraz cały dom, szukając ukrytego przez ciebie alkoholu.

Zanim minie godzina, na tej farmie nie będzie ani kropli whisky.

Rosie miała mordercze błyski w oczach. Wykrzykiwała wszystkie znane sobie przekleństwa, dopóki Lodisha nie wpadła do pokoju i nie zatkała jej ust chusteczką.

- Przykro mi, złotko, ale nie będziemy tu znosić takich wyrazów! To jest przyzwoity dom - powiedziała i równie szybko opuściła sypialnię.

W oczach Rosie ukazały się łzy wściekłości.

- Przepraszam, Rosie, to niestety było konieczne - powiedział Bowie, wycierając dłonią jej łzy. Zabrał butelkę z nocnego stolika i sprawdził, czy nie ma drugiej pod łóżkiem. - Pojedziesz na te tańce trzeźwa i będziesz wyglądać jak kobieta. A teraz odpocznij. Zobaczymy się jutro.

Rosie była zbyt wściekła, aby móc odpocząć. Przez pół nocy walczyła ze sznurami, zanim zapadła w ciężki sen.

Zbudziła się dopiero po południu. Promienie słońca zalewały jej niewielką sypialnię.

- Rozwiążcie mnie! - zażądała, patrząc złym wzrokiem na Lodishę, która siedziała przy jej łóżku.

Dopiero po chwili dostrzegła suknię, którą Lodisha trzymała na kolanach, i gwałtownie złapała oddech. Była to najpiękniejsza suknia, jaką Rosie kiedykolwiek widziała, z cienkiej niebieskiej bawełny w małe białe kwiatuszki, z szarfą i prawdziwą koronką przy dekolcie i rękawach. Na ścianie wisiały bielusińskie halki.

Rosie nie wierzyła własnym oczom.

- To nie wszystko - powiedziała uradowana Lodisha. - Popatrz na te niebieskie pantofelki, na nowe majtki i koszulkę. A to jeszcze nie wszystko. Co powiesz na to? Prawdziwy francuski gorset.

Rosie nie mogła wymówić słowa. Patrzyła na jedwabną bieliznę, którą Lodisha jej z dumą prezentowała. Gorset ozdobiony był różową wstążeczką oraz haftowanymi różyczkami.

Rosie Mulvehey nigdy nie widziała czegoś tak pięknego.

- Nie włożę tego głupiego gorsetu!

- Tak, włożysz! Żadna szanująca się dama nie idzie na tańce bez gorsetu, sama o tym wiesz. Pójdiesz na zabawę pod każdym względem odpowiednio ubrana!

- Skąd się to wszystko wzięło?

Niebieskie pantofelki błyszcząły w słońcu, można w nich było tańczyć, prawie nie dotykając podłogi.

- Kapitan złożył specjalne zamówienie w Kansas City. Przysłali paczkę pociągiem. -

Widząc pytające spojrzenie Rosie, Lodisha pospieszyła z wyjaśnieniem. - Kapitan nie wziął

pieniędzy przeznaczonych na opłacanie wyrządzonych przez ciebie szkód. Znalazł pieniądze w sakiewce, która była w kufrze. W jego sypialni.

- Kiedy on to zrobił? - spytała Rosie.

Nie chciała myśleć o tym, że te pieniądze należały do Blevinsa. Nie mogła oderwać wzroku od sukni, która szeleściła przy każdym ruchu Lodishy.

- Pojechał do miasta zaraz po wizycie panny Evaline. Pewnie wysłał zamówienie telegraficznie.

- Będę w tym frywolnym stroju wyglądać jak głupia. Nie włożę tego. - Rosie przymknęła oczy. - Boże, muszę się napić!

Rosie nie potrafiła dać sobie rady z francuskimi gorsetami i szeleszczącymi falbankami sukni bez kieliszka whisky. Jeśli pokaże się w mieście tak ubrana, będą się z niej śmiać aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Lodisha wyciągnęła nóż z kieszeni i przecięła krępujące Rosie sznury.

- Na farmie nie ma żadnego alkoholu. Znaleźliśmy butelkę, którą schowałaś pod obłuzowaną deską. A nawet jedną w beczce na zboże, I nie pojedziesz do miasta, chyba że zdecydujesz się paradować po Main Street w samych kalesonach.

- A gdzie jest moje ubranie? Coście z nim zrobili? - Rosie usiadła na łóżku, rozcierając sobie nadgarstki.

- Całe twoje ubranie jest w takim miejscu, że nigdy go nie znajdziesz. Masz tylko to do włożenia, złotko. - Lodisha podniosła niebieską suknię do góry. - Będziesz w niej wyglądać jak marzenie! Ta cała Evaline Buckner już na nikim nie zrobi wrażenia, tak, kochanie!

Rosie wyciągnęła rękę, aby dotknąć sukni. Przed laty, kiedy jeszcze ubierała się jak dziewczynka, wszystkie jej suknie przerabiane były z sukien matki. Nigdy w życiu nie posiadała zupełnie nowego ubrania. Patrzyła na halki i gorset i zastanawiała się, czy Evaline Buckner miała taki prawdziwy, francuski, jedwabny gorset i tyle nowych halek.

- Nie włożę tego - powtórzyła bez przekonania, myśląc o tym, czy niebieskie pantofelki będą widoczne spod sukni.

Rosie wstała z łóżka i patrzyła na swoją nową garderobę. Nagle zrozumiała, że zawsze marzyła o niebieskiej, ozdobionej koronką sukni z cienkiej bawełny. I o niebieskich pantofelkach.

Nigdy też nie przypuszczała, że jej marzenie mogłoby się spełnić. Poczula się jak poszukiwacz złota, który natrafił na dużą bryłę. To wszystko należało do niej.

- Czy nie zapomniał zamówić pończoch? - spytała, czerwieniąc się mocno.

- Kapitan o niczym nie zapomniał. Pamiętał nawet o wstążkach do włosów i małych niebieskich szylkretowych kolczykach. Nawet o małej butelce perfumowanej wody. -Lodisha uśmiechnęła się szeroko. - Ja też mam coś dla ciebie. Róż do warg i policzków, zrobiłam ci również puder.

Rosie poszła do kuchni, udając, że ledwie powłóczy nogami. Wiele by dała za to, żeby móc napić się choć jeden kieliszek whisky i zapalić cygaro. Będzie wyglądać jak wariatka, kiedy się w to wszystko ubierze, John Hawkins. gdyby się tak ustroił, na pewno wyglądałby lepiej od niej.

- Czy myślisz, że Evaline Buckner ma nową suknię na tańce? - spytała, siedząc już w wannie.

Dobry Boże. Co się z nią działo? Nie zadawała tak głupich pytań od czasu, gdy skończyła dwanaście lat.

- No? - ponagliła Lodiszę, która mydliła jej włosy. – Jak myślisz, co Evaline będzie miała na sobie?

Lodisha uśmiechała się tylko.

Bowie, w świeżo wyprasowanej koszuli, z chustką zawiązaną pod szyją, spoglądał na swoje błyszczące, wypolerowane buty, potem przeniósł wzrok na Johna Hawkinsa i Lodiszę.

którzy z aprobatą pokiwali głowami.

- Zaczekaj, kapitanie. Nie uwierzysz własnym oczom -

powiedziała Lodisha i zawołała po chwili: - No i jak tam.

kochanie?! Musisz się nam w końcu pokazać. Kapitan czeka,

aby cię zabrać na tańce.

Zza drzwi sypialni Rosie dochodziły jakieś pomruki. Bowie mrugnął do Lodiszy i Johna Hawkinsa. powtórzył im również delikatne przekleństwa, które dobiegały z sypialni. „Do licha!

A żeby to! A niech to!"

- Gorset i halki potrafią zrobić z kobiety damę. – Lodisha uśmiechnęła się. - Nasze złotko nie potrafi prawdziwie kląć w tym ubraniu. Rose Mary! Chodź tutaj! Kapitan się niecierpliwi.

Drzwi sypialni uchyliły się, zamknęły z powrotem i otworzyły znowu. Wreszcie zarumieniona Rosie weszła do saloniku.

- Czuję się jak idiotka!

John Hawkins wydał z siebie głębokie westchnienie, Lodisha uśmiechała się szeroko.

Bowie szybko złapał oddech.

Rosie Mulvehey wyglądała jak wycięta z żurnala. Była niezwykle piękna.

Różowe i niebieskie wstążki zdobiły jej brązowe, spadające na ramiona loki, okalające delikatne, niebieskie kolczyki, które miała w uszach. Obcisły stanik sukni uwydatniał jej otoczone koronką

piersi i cienką talię. Spódnica uwypuklała biodra, nad pantofelkami widoczne były cienkie białe pończoszki na szczupłych, zgrabnych nogach.

- Tak mnie mocno zesnurowałaś, że nie mogę oddychać -powiedziała Rosie, starając się nie patrzeć na Bowiego.

- Wiedziałem, że jesteś śliczna - odezwał się wreszcie Bowie. - Ale nie wyobrażałem sobie nawet, że jesteś aż tak piękna.

- Nie mów tak!

- Rosie, spójrz mi w oczy, one powiedzą ci prawdę. Jesteś tak piękna, że brak mi słów.

Zawstydzona Rosie zmusiła się wreszcie, aby na niego spojrzeć. Po chwili opuściła oczy, jeszcze mocniej zaczerwieniona.

- Wszyscy będą się ze mnie śmiać!

- Wierz mi, że nikt nie będzie się z ciebie śmiał - powiedział Bowie stłumionym głosem, dając dyskretnie znak Johnowi Hawkinsowi.

- Przepraszam cię. Rose Mary, ale to jest konieczne -powiedział John Hawkins, podchodząc do niej z lusterkiem Bowiego.

- To mama! - szepnęła Rosie, cofając się o krok do tyłu.

- Nie. kochanie. To nie jest twoja mama - powiedziała Lodisha, biorąc lusterko do ręki i wkładając je w drżącą dłoń Rosie, którą sama musiała podnieść, wraz z lusterkiem, na wysokość jej twarzy. - To ty, kochanie. I czyż nie jesteś śliczna? O wiele ładniejsza niż twoja mama.

- Och, Boże - szepnęła Rosie, dotykając lusterka końcami palców. - To ja?

- Kiedy ostatni raz patrzyłaś w lustro? - spytał Bowie, który jeszcze nie mógł przyjść do siebie,

Rosie spojrzała na niego, a potem skierowała wzrok na lusterko, marszcząc z niedowierzaniem brwi.

- Nie wiem. Może siedem albo osiem lat temu. Och Boże, jak wyrosłałam.

Lodisha śmiała się przez łzy, które wycierała rąbkiem fartucha.

- Tak, kochanie. Na pewno wyrosłałaś.

- I... nie jestem brzydka! - Rosie zawahała się przez chwilę, - Prawda, że nie jestem?

- Na pewno nie jesteś brzydka! - Bowie z uśmiechem podał jej ramię. - Kiedy Lodisha przyniesie ci wachlarz i parasolkę, z dumą zaprowadzę na tańce najpiękniejszą kobietę w Gulliver County. Ta kobieta to pani, pani Stone.

- Mam też wachlarz i parasolkę?

Po latach niepatrzenia w lustro Rosie nie chciała się teraz rozstać z lusterkiem Bowiego.

Przechyliła je, aby obejrzeć swoje włosy i niebieskie kolczyki.

- Och, Bowie - szepnęła, patrząc na niego błyszczącymi oczami. - Nie mogę w to uwierzyć. Ja wyglądam...

- Pięknie - dokończył, podając jej ramię. - Wyglądasz wyjątkowo pięknie!

- A ja... nagle poczułam, że jestem piękna - powiedziała Rosie drżącym głosem. -

Johnie Hawkinsie! Czy ty płaczesz?

- Wpadło mi coś do oka i to wszystko.

- Ja płaczę za nas oboje - powiedziała Lodisha, wycierając oczy fartuchem. - Teraz już jedźcie i bawcie się cudownie! Nie spodziewam się, że wrócicie wcześniej niż przed świtem.

Bowie wyprowadził Rosie na podwórze i pomógł jej wsiąść na bryczkę. Była tak oszołomiona, że poruszała się jak we śnie. Bowie wsiadł i włożył kapelusz na głowę, a Rosie naciągnęła białe koronkowe rękawiczki i otworzyła parasolkę nad swoim nowym, wiosennym kapeluszem budką.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał po dłuższej jeździe w milczeniu.

- Myślałam, że widzę swoją mamę - powiedziała Rosie zdławionym głosem, patrząc na zieleniejącą prerię. - Moja matka była próżną, niemądrą kobietą. Myślę, że nie bardzo mnie lubiła. Ale ja ją kochałam. Była taka piękna i zawsze tak ładnie pachniała.

- Jestem pewien, że ona również cię kochała. - Bowie ujął jej dłoń.

- Nie. Mogłaby mnie kochać, gdybym była chłopcem - powiedziała Rosie.

Bowie zacisnął zęby i uderzył z lekka lejcami grzbiet Ivanhoe'a. Na życie Rosie Mulvehey miało wpływ zbyt wiele destrukcyjnych sił. Patrząc teraz na nią jak na zwyczajną młodą kobietę, którą mogłaby być, kipiał z wściekłości na to wszystko, co ją w życiu spotkało.

Jeśli istniało piekło, to miał głęboką nadzieję, że smażą się w nim Sadie Mulvehey i Frank Blevins.

Kiedy dojechali na miejsce, Rosie gwałtownie złapała go za ramię.

- Boję się - szepnęła, patrząc na niego trwożnym wzrokiem. - Nie wejdę tam, jeśli się przedtem nie napiję. - Zwróciła wzrok w stronę baru Harolda. - Bez whisky wszystko silniej się odczuwa.

- Posłuchaj mnie, Rosie. - Bowie patrzył na nią spokojnym wzrokiem. - Wszystko, co masz zrobić, to po prostu tam wejść i dobrze się bawić. Robisz codziennie trudniejsze rzeczy.

- To nieprawda. Proszę cię, Bowie. Jeśli chociaż troszkę mnie lubisz, to zabierz mnie z powrotem do domu! Błagam cię o to! Nie mogę tam wejść tak ubrana. Oni...

- Pójdiesz tam, nawet gdybym musiał przerzucić cię przez ramię i wnieść do środka.

Słuchaj uważnie. Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Czy naprawdę tak cię obchodzi, co ci ludzie pomyślą?

Bowie wiedział, że odwoływanie się do jej dumy nie było teraz w porządku, ale chciał ją zmusić, aby uczyniła ostatni krok. Jeśli Rosie Mulvehey wejdzie na salę, tak pięknie wyglądając jak w tej chwili, Evaline Buckner i wszyscy inni już nigdy nie będą patrzeć na nią z pogardą.

- Rosie? Zawsze mówiłaś, że nie obchodzi cię to, co ludzie mogą pomyśleć. Czy tak było naprawdę?

- Do licha! Niech to! ~ Rosie przygryzła wargę, nie mogąc pohamować drżenia.

Bowie po raz pierwszy zobaczył nieśmiałą, rumieniącą się, przestraszoną Rosie Mulvehey.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Nie pójdę na te głupie tańce. Nie będę robić z siebie widowiska jak...

Kiedy Bowie sięgnął po lejce, ich dłonie zderzyły się nagle. Przeszył go dreszcz. Wziął ją w ramiona i zaczął namiętnie całować. Nie był w stanie się pohamować. Całował ją jak mężczyzna, który pragnie pięknej i godnej pożądania kobiety. Żadnej kobiety w swoim życiu nie pożądał tak bardzo jak teraz Rosie,

- Przepraszam cię - powiedział ochryplym głosem. - Wykorzystałem sytuację.

Ale Rosie patrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami, wargi jej drżały.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła. - Nigdy nie myślałam, żebym mogła zapragnąć pocałunku mężczyzny. Ale lubię, jak mnie całujesz. I myślę wtedy... o innych rzeczach. O

innych rzeczach, które... o których nigdy nie myślałam, żebym...

Rosie, której fryzura odsłaniała teraz całą twarz, wyglądała tak delikatnie, krucho i pięknie, że Bowie zacisnął zęby, nie mogąc patrzeć na jej rozchylone, wilgotne wargi. Poklepał

ją tylko po rękę i zszedł z bryczki. Po chwili pomógł zejść Rosie, wdychając subtelny zapach jej ciała.

Podał jej ramię i skierowali się w stronę sali tanecznej, skąd dochodziły dźwięki skrzypiec. Rosie głęboko zaczerpnęła tchu, zadrżała.

Kiedy wyprostowała się, wchodząc w drzwi, zrozumiał, że jest świadkiem odważniejszego czynu niż zaoranie trzech hektarów ziemi krwawiącymi dłońmi.

Pierwsze uwagi uczestników zabawy usłyszała Rosie dopiero, kiedy zdjęła kapelusik.

- Nie do uwierzenia! To przecież Rosie Mulvehey!

- Dobry Boże, to ona! Patrzcie, to Rosie!

Przez całą salę przebiegały gorączkowe szepty, potwierdzając wcześniejsze obawy Rosie.

Twarz jej pałała, stała jak sparaliżowana. Skrzypkowie przestali nagle grać. Wszyscy zastygli na miejscu, patrząc na nią. Rosie chciała obrócić się i uciec, ale Bowie trzymał ją mocno.

- Dobry wieczór wszystkim - powiedział uprzejmie Bowie, wpatrując się przenikliwym wzrokiem w twarze najbliższej stojących osób.

Minnie Paulson, żona pastora, pierwsza odzyskała przytomność umysłu i pierwsza przerwała martwą ciszę.

- Rosie?- Minnie spojrzała na Bowiego i zatrzepotała rękami. - To znaczy, pani Stone, prawda? - Popatrzyła niepewnym wzrokiem na Rosie. - Pięknie wyglądasz - dodała.

Delikatnie wyswobodziła Rosie z uścisku Bowiego i sama wzięła ją pod rękę. Rosie drżała na całym ciele.

- Proszę wypić z nami szklanekę lemoniady.

- Chyba nie... - Rosie rzuciła Bowieemu błagalne spojrzenie.

- Nie bój się, moja droga - powiedziała cicho Minnie Paulson, głaszcząc ją po rękę. -

Passion Crossing czekało przez całe lata na taką chwilę. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Bowiego. - Nikt z nas nie domyślał się, że jesteś taką piękną. To wspaniała niespodzianka.

Idąc za przykładem Minnie Paulson, wszystkie szacowne damy z Passion Crossing otoczyły Rosie, prawiąc jej komplementy. Rosie po raz pierwszy stała się centrum życzliwej uwagi. Nigdy w życiu nie usłyszała tylu komplementów co teraz przez niecałe dziesięć minut.

W ten sposób rozpoczął się najbardziej czarodziejski wieczór w życiu Rosie Mulvehey.

Kiedy skrzypkowie zaczęli znowu grać, stanęli przed nią Shotshi Morris i Lem Sorrenson, błagając o pierwszy taniec.

- Do stu tysięcy diabłów, Ros... pani Stone. Wyglądasz jak anioł! Nigdy nie przypuszczałem. - Shotshi był tak oszołomiony, że Rosie nie mogła powstrzymać śmiechu. -

Masz biust! I taką ciekawą talię!

- Niech mnie szlag trafi - wtórował mu równie zaskoczony Lem. - Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety. To święta prawda. Nie wierzę własnym oczom! Kobieto, trochę mydła, żelazko do zakręcania loków i suknia zrobiły z ciebie istne чудо!

Kiedy obaj prześcigali się w zasypywaniu Rosie komplementami, Billy, syn wdowy James, skłonił się przed Rosie i porwał ją na parkiet. Trzymał ją, jakby była zrobiona z delikatnej porcelany i mogła mu się rozlecieć w rękach. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Rosie potknęła się parę razy, nieprzyzwyczajona do tego, aby tańczyć w roli kobiety, ale szybko złapała właściwy krok. Uspokajała się powoli, zdumiona i mile podniecona faktem, że wszyscy obecni na sali mężczyźni dobijali się o to, żeby z nią zatańczyć. Widziała, że Bowie stoi oparty o ścianę i obserwuje ją z uśmiechem. Po pewnym czasie nie szukała już u niego otuchy, ale spoglądała w jego kierunku, chcąc wiedzieć, czy nadal na nią patrzy.

Kiedy Bowie odbił ją Lemowi Sorrensonowi, Rosie opadła bez tchu w jego ramiona.

Oczy błyszczały jej radośnie.

- Wszyscy chcą ze mną tańczyć! Nie wiedziałam, że może być tak przyjemnie! -

szeptnęła.

- Jesteś największą pięknoscią na tym balu. - Bowie uśmiechnął się, patrząc na wirujące wstążki wokół jej zarumienionych policzków.

- Och, Bowie! To prawda! - Rosie roześmiała się radośnie. - To cud! - Kiedy Bowie obrócił

ją w tańcu, śmiała się upojona sukcesem. - To najpiękniejszy wieczór w moim życiu! I to wszystko zawdzięczam tobie.

- Nie ma na tej sali mężczyzny, który by mi nie zazdrościł - powiedział, patrząc na jej błyszczące oczy i radosną twarz.

- Jesteś najlepszym tancerzem - szeptnęła mu Rosie do ucha przy kolejnym tańcu. Ich usta omal się nie spotkały. Rosie potknęła się i oblała rumieńcem.

Bowie przycisnął ją mocniej do siebie. Zafascynowany jej radością i urodą, nie był w stanie oderwać od niej oczu. Rosie nie poznawała sama siebie.

. - Co trzeci taniec należy do mnie, pani Stone - powiedział Bowie przytłumionym głosem. - A w międzyczasie nie złam zbyt wielu serc.

Rosie odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się radośnie. Patrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu, prawie prowokująco. Dziś wieczór byli innymi ludźmi. On był

wysoki, przystojny i pewny siebie, a ona drobna, kobieca i zauroczona swoim nowym wcieleniem.

- Dziękuję ci za wszystko - szepnęła.

Łzy wdzięczności zabłyśły w jej pięknych oczach, kiedy podniosła głowę, aby spojrzeć na niego.

Patrząc sobie w oczy, Rosie i Bowie tańczyli walca, nieświadomi niczego poza swoją obecnością. Wszyscy uśmiechali się, widząc, że Rosie Mulvehey zakochała się w swoim mężu.

Bowie spojrział złym wzrokiem na zastępcę szeryfa Sandsa, który podszedł, aby odbić Rosie. Postanowił jednak nie wywoływać awantury pod okiem szeryfa Gaine'a. Wrogość pomiędzy Bowie i Sandsem była oczywista, ale żaden z nich nie chciał zepsuć pierwszego w tym roku balu. Niechętnie puścił Rosie i uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy obróciła się tyłem do Sandsa i wyciągnęła rękę do Shotshiego. Sands zaczerwienił się i odbił partnerkę innemu tancerzowi.

Kiedy Bowie zszedł z parkietu, zobaczył wiele kobiet, które patrzyły na niego z wyczekiwaniem w oczach, ale on chciał tańczyć wyłącznie ze swoją żoną. W porównaniu z Rosie, kobiety z Gulliver County wyglądały szaro i nieciekawie.

Oparł się o framugę drzwi, nie spuszczać oka z jej zarumienionej, uśmiechniętej twarzy, kiedy tańczyła z kolejnymi mężczyznami. Przepełniała go duma.

Rosie Mulvehey odniosła pierwszy prawdziwy sukces w życiu. Nie uwierzyłaby mu, gdyby jej powiedział, że jej sukces byłby równie oszałamiający w Waszyngtonie czy gdziekolwiek indziej. Kiedy była trzeźwa i odpowiednio ubrana, jej niezwykła uroda mogła przyćmić inne kobiety. A dziś wieczór, oszołomiona powodzeniem, przyciągała wszystkie oczy.

Ten wieczór należał tylko do niej.

Kiedy Bowie zobaczył, że zaproszono ją do długiego, wykonywanego przez osiem par tańca, wyszedł na dwór, aby zaczerpnąć powietrza i napić się jabłeczniaka ze stojącej pod topolami beczki. Spojrzął na niebo nad prerią, które przecinały błyskawice.

- Panie Stone! - zawołała Evaline Buckner, która wyszła za nim na ganek. Bardzo ładnie wyglądała w sukni z żółtej bawełny. - Nie tańczy pan?

- W tej chwili nie, panno Buckner. - Bowie uprzejmie odrzucił jej wyraźne zaproszenie. -

Zresztą tańczę tylko z moją żoną. Myślę, że pani Smiley jest wolna. - Pani Smiley nosiła niebieską szarfę, była więc męskim partnerem do tańca.

Panna Buckner zaczerwieniła się ze złości, obróciła gwałtownie i pobiegła z powrotem do sali. Bowie wziął cynowy kubeczek i zaczerpnął jabłeczniaka.

Powietrze było ciężkie tego wieczoru, w oddali słychać było grzmoty, a błyskawice coraz częściej pojawiały się na niebie. Bowiego ubawił fakt, że stał się już farmerem, który czeka na deszcz.

Mężczyzna w białej koszuli i czerwonych szelkach patrzył uważnie na Bowiego, aby po chwili stanąć obok niego w kręgu światła padającego z drzwi sali tanecznej. Słychać było dochodzącą stamtąd

muzykę i stukot butów tancerzy.

- Nazywam się Clive Russel. W czasie, kiedy nie wypruwam sobie żył, aby wydobyć jakiś plon z tej przeklętej ziemi, pracuję jako urzędnik sądowy.

- Miło mi pana poznać, panie Russel. Jestem Bowie Stone.

- Wiem, kim pan jest. Stale dostaję listy w pana sprawie.

- Jakie listy? - spytał Bowie, patrząc na niego przenikliwym wzrokiem.

- Od jakiegoś faceta ze Wschodu, prawnika, który nazywa się Dubage. Domaga się świadectwa pana zgonu i zwłok.

Bowie skierował wzrok na błyskawice rozświetlające prerię. Alexander Dubage był

adwokatem senatora Stone'a. Niewątpliwie usiłuje uregulować sprawy majątkowe.

- Czy poinformował go pan, że żyję?

- Napisałem mu tylko, że wyrokowi sądu stało się zadość. Potem wyrzucałem jego listy do śmieci. Uważałem, że to nie moja sprawa. - Clive Russel wzruszył ramionami. - Ten cały Dubage robi się natrętny. Może chce pan coś z tym zrobić? - Russel kołysał się na obcasach, patrząc w niebo. - Jeśli ma pan na to ochotę.

- Jeśli dostanie pan jeszcze jakieś listy, byłbym zobowiązany, gdyby je pan również wyrzucił.

- Muszę panu coś powiedzieć, Stone. - Clive Russel włożył palce pod swoje czerwone szelki. - Słyszałem, że Rosie, dzięki panu, obsiała już swoje pole. Tutaj ludzie nie zawsze traktują Rosie jak należy. Ona jest inna. Ale jest jedną z nas i nie miała łatwego życia. Ludzie w tym mieście są zadowoleni, że dostała męża i ma pomoc na swojej farmie. Niektórzy mówią, że to dobrze, że pana nie powiesili.

Po odejściu Clive'a Russela Bowie poszedł sprawdzić, co się dzieje z Ivanhoe'em i wrócił myślami do wysiłków, jakie czynił Alexander Dubage, aby zamknąć jego sprawy majątkowe. Gdyby istniało jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że Susan i Nate są w potrzebie, Bowie wysłałby natychmiast depeszę do adwokata. Nie miałby innego wyjścia. Ale, dzięki Bogu, nie chodziło tu o ich byt. Susan nie potrzebowała pieniędzy z jego majątku. Jego ojciec opiekuje się nią i Nate'em.

Dzieci zmieniają się tak szybko, że Bowie nie sądził, by mógł poznać Nate'a, kiedy go zobaczy. A Susan... nie mógł jej już sobie wyobrazić. Bardzo krótko byli małżeństwem, zanim został wysłany na Zachód. Tylko raz wrócił, i to na krótko, do Waszyngtonu. Tak było lepiej, łatwiej dla nich obojga.

Przysunął się do drzwi sali tanecznej. Dwóch mężczyzn kłóciło się o to, który z nich zatańczy z Rosie, patrzącą na nich zza wachlarza. Uśmiechnął się na ten widok, ale po chwili spoważniał.

Ślub z Rosie stworzył potwornie skomplikowaną sytuację, chociaż na początku wszystko wyglądało

dość prosto. Miał zamiar wypłacić się jej, pozostając do końca zniw, a potem wrócić do obowiązków, które czekały go w Waszyngtonie.

Nigdy nie miał zamiaru zakochać się w Rosie Mulvehey. Zresztą na początku mógłby przysiąc, że żaden mężczyzna nie będzie mógł się w niej zakochać.

O, Chryste! Nie potrzebował takich komplikacji, nie chciał tego. Ale patrzył na nią i pragnął jej. Chciał ją osłaniać, wyłamać pręty klatki, którą wokół siebie wybudowała. Czasem, kiedy widział, jak się do niego uśmiecha, żałował z całego serca, że jest wypalony do cna i nie może dać jej z siebie tyle, na ile ona zasługuje.

Zaklął i kopnął koło bryczki. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Rosie nie uratowała go spod szubienicy.

To był dla Rosie magiczny wieczór, pragnęła, aby nigdy się nie skończył. Tak właśnie mogłoby wyglądać jej życie, gdyby matka nie wyszła za mąż za Franka Blevinsa. A może ten wieczór mógłby zmienić jej dalsze życie?

Bowie Stone był naprawdę czarodziejem. To on kupił jej suknię, balowe pantofelki i powiewne halki - w tym stroju miała uczucie, że jest prawdziwą kobietą. To Bowie przywiązał ją do łóżka, żeby na trzeźwo mogła ocenić swój triumf. To Bowie przywiózł lusterko na farmę i zmusił ją, żeby się po raz pierwszy od wielu lat w nim przejrzała, żeby zobaczyła, że może nie jest tak brzydka, jak zawsze sądziła.

Od czasu, kiedy wkroczył w jej życie, Bowie Stone kierował jej myślami, kształtował jej nową osobowość. Zmieniał jej życie.

I dzisiaj, przepelniona odniesionym sukcesem, kochała go za to.

Każdy taniec był dla niej przyjemnością, ale taniec z Bowiem był prawdziwą rozkoszą.

Czuła jego wzrok na sobie, kiedy tańczyła z innymi mężczyznami, więc śmiała się i potrząsała lokami tylko dla niego, chciała, żeby uważał, że jest ładna, i był troszkę o nią zazdrosny. O

bicie serca przyprawiała ją myśl, że tańczył wyłącznie z nią.

A kiedy Bowie, przy dźwiękach muzyki, brał ją w ramiona, czuła, że Lodisha zbyt ciasno zasznurowała jej gorset. Nie mogła oddychać, nie mogła wymówić słowa. Robiło jej się dziwnie gorąco, kiedy jej dotykał. A kiedy przypominała sobie jego niedawny pocałunek, uginały się pod nią kolana i przez głowę przelatywały dziwne myśli.

Od czasu, kiedy Bowie po raz pierwszy ją pocałował, Rosie zaczęła się zastanawiać, co by się z nią stało, gdyby poczuła jego ciało na swoim ciele. Była zdumiona, że to wyobrażenie nie wywoływało już w niej takiego obrzydzenia jak niegdyś. Nadal bała się myśleć o fizycznym zbliżeniu, ale już nie tak bardzo jak dotąd, zanim Bowie pocałował ją pierwszy raz.

Rosie wiedziała, że odbywa się w niej jakaś głęboka przemiana, której nie mogła dobrze zrozumieć.

Jak to możliwe, że jej od dawna ustalone poglądy nagle zaczynają się zmieniać?

Jak mogła być brzydka wczoraj i ładna dzisiaj? Jak to możliwe, że tańczyła przez kilka godzin i nie miała ochoty napić się jabłeczniaka ze stojącej pod topolami beczki? Że tak się cieszy tym niewygodnym gorsetem i parą balowych pantofelków?

Ale najbardziej zdumiewający był fakt, że zaczynała myśleć o możliwości wpuszczenia Bowiego do swojego łóżka. A przysięgła sobie, że nigdy żaden mężczyzna nie znajdzie się w jej sypialni.

Dziś wieczór, kiedy wirowała w ramionach Bowiego, nie mogła pozbyć się myśli o jego nagim ciele, które widziała w wannie. To wspomnienie nie wywoływało u niej odruchu obrzydzenia, przyprawiało ją tylko o szybszy oddech i uczucie gorąca.

- Dziękuję, ale muszę zaczerpnąć powietrza – powiedziała do wielebnego Paulsona, który prosił ją o następny taniec.

Rosie potrzebowała chwili samotności, aby wyciszyć te niezwykle myśli i dojść do siebie. Skierowała się do drzwi, które prowadziły na przeznaczony dla kobiet ganek. Zobaczyła przecinającą niebo błyskawicę, po której zapadła ciemność. Zatrzymała się w drzwiach.

- Powinna się wstydzić! Wprawia wszystkich w zażenowanie! - przepełniony wściekłością szept Evaline Buckner dochodził od strony krzesel stojących na prawo od drzwi.

- No, no - odezwał się inny głos. - Czy nie jesteś przypadkiem zazdrosna?

- Zazdrosna? O tę pijaną krowę? Nie rozśmieszaj mnie! Zapamiętaj moje słowa. Nie da się zrobić jedwabnej torebki ze świńskiego ucha! Jutro Rosie Stone będzie znowu leżeć pijana, tak samo brudna i obrzydliwa jak zawsze. Czy ona myśli, że parę wstążek i nowa suknia potrafią zamydlić komuś oczy? Ona jest niczym, zrobiła z siebie idiotkę i to wszystko!

Rosie złapała powietrze i przyłożyła rękę do serca, które biło jak oszalałe.

- Co ona sobie w ogóle wyobraża? - dochodził głos Evaline z ciemnego ganku. -

Zaprosiłyśmy ją tylko dlatego, że potrzebowałyśmy mężczyzn i ona zgodziła się wystąpić w charakterze mężczyzny! Gdyby nie to, nikt by jej nie zaprosił. A co ona robi? Przychodzi ubrana i wymalowana jak dziwka od Maud! I zabiera nam wszystkich mężczyzn!

- Tylko dwa razy tańczyłam przez cały wieczór - odezwał się jakiś zgryźliwy głos.

- Oni tańczą z nią z litości. Zabawiają się nią, ale ona jest zbyt głupia, żeby to zauważyć.

Myśli, że jest piękną, ale nie jest i nigdy nie będzie! Jest tylko śmieciem! A jej mąż też nie jest lepszy!

Pobladła Rosie cofnęła się o krok. Uczucie upokorzenia ścięło ją lodem.

Och, mój Boże. Rosie zakryła twarz rękami. Oni wszyscy śmieli się z niej. Zmówili się.

Patrzyli, jak śmieje się i flirtuje, czując, że ma wielkie powodzenie, i przez cały czas drwili z jej głupoty.

- Zamknij się, Evaline! Ona stoi w drzwiach!

- Nic mnie to nie obchodzi. Miała tu przyjść jako mężczyzna i nie zrobiła tego! Powinna się wstydzić, że się tak wystroiła i wszystko nam popsuła.

Półprzytomna z rozpaczy Rosie uniosła suknię i zbiegła z ganku. Błyskawica rozjaśniła niebo, kiedy przebiegała pomiędzy stojącymi przed salą tańca pojazdami. Zobaczyła zdumioną twarz Bowiego i usłyszała jego wołanie, ale nie zatrzymała się.

Biegła przed siebie, z twarzą zalaną łzami. Nie zatrzymała się, kiedy spadł jej pantofelek z nogi, zerwała tylko wstążki z włosów i rzuciła za siebie. Chętnie wyrzuciłaby też suknię i gorset, gdyby to było możliwe.

Zatrzymała się, kiedy pękł szew w sukni. Przyciskając dłoń do boku, szła chwiejnym krokiem, klnąc i połykając łzy upokorzenia. Kiedy pomyślała o tym, że uwierzyła w swoją urodę i swój sukces, pragnęła umrzeć ze wstydu. A oni się z niej wyśmiewali.

Żeby tylko mogła się napić! Sprzedałaby duszę za butelkę whisky, nawet za jeden kieliszek. Chciała się upić do nieprzytomności, żeby nie czuć już bólu, żeby nie myśleć o tym, że wystawiła się na pośmiewisko.

Kiedy spadły pierwsze krople deszczu, usłyszała tętent konia.

- Rosie!

Niech szlag trafi prerię. Nigdzie nie można było się ukryć. Zrozpaczona skuliła się przy drodze, ocierając łzy. Wolałaby teraz umrzeć, niż popatrzeć w twarz Bowiemu.

Nieosiadłany Ivanhoe wyłonił się zza zasłony deszczu. Bowie zeskoczył, podbiegł do niej, wziął ją w ramiona i postawił na nogi.

- Żona Clive'a Russela wszystko mi powiedziała. - Podniósł jej głowę do góry. - Evaline Buckner jest głupia i zazdrosna! To, co mówiła, nie jest prawdą. Nikt się z ciebie nie śmiał.

Nikt nie tańczył z tobą z litości. Czy słyszysz, Rosie? Wyglądałaś pięknie. Wszyscy byli tobą zachwyceni!

- Chcę jechać do domu. Proszę cię, Bowie. Bryczkę zabierzemy jutro.

- Bardzo pada.

- To nieważne. Proszę cię, zabierz mnie do domu. Nie mogę tam wrócić.

Bowie wszedł na Ivanhoe'a, podniósł ją i posadził przed sobą. Niech diabli wezmą Evaline Buckner! Oslaniając Rosie swoim ciałem, zmusił Ivanhoe'a do szybkiego biegu.

Rosie zarzuciła mu ręce na szyję, zamknęła oczy i przytuliła się do jego szerokiej piersi.

To jest rzeczywiste, mówiła sobie. Zimny deszcz i obejmujące ją silne ramiona. Tańce były iluzją, ich magia została zniszczona.

Kiedy Bowie zsiadł z konia, aby otworzyć drzwi stodoły, byli oboje przemoknięci i trzęśli się z zimna. Mokra suknia Rosie oblepiała jej ciało, a włosy spadały na plecy mokrymi pasmami. Ubranie Bowiego też nie było w lepszym stanie.

Bowie zaprowadził Ivanhoe'a do boksu i wyciągnął ramiona, w które ześlizgnęła się Rosie.

- Zrobiłam z siebie, idiotkę - wyszeptała, kryjąc twarz na jego piersi. - Mówili, że wyglądałam jak dziwka Maud.

- To cholerne kłamstwo! Byłaś piękna! - Bowie ujął dłońmi jej mokrą twarz, jego niebieskie oczy błyszczały. - Nie pozwól, aby jedna zazdrosna suka zniszczyła twój triumf! A to był triumf, Rosie! Byłaś wspaniała!

Wiedząc, że słowa mogą nie wystarczyć, pocałował ją. Rosie poczuła jego gorące wargi na swoich zimnych ustach i ciepłe ręce na mokrych plecach.

Nagle, jakimś cudownym sposobem, przestała ją obchodzić Evaline Buckner i inni mieszkańcy Gulliver County. Ważny był tylko Bowie Stone, jego silne ramiona i ciepło, które zaczęło przenikać jej ciało. Ten mężczyzna wywoływał w niej zmiany, których nie potrafiła zrozumieć. Czuła zarówno strach, jak i podniecenie.

Kiedy Bowie wypuścił ją z objęć i spotkały się ich spojrzenia, ciałem Rosie wstrząsnął

dreszcz. W tej wymianie spojrzeń było coś niezwykłego. Gdy dotknął palcami jej szyi, Rosie jęknęła cicho i zamknęła oczy.

Po chwili zrobiła coś niesłychanego. Podniosła jego rękę do warg i pocałowała ją, chcąc wyrazić wdzięczność za jego niewzruszoną lojalność. Ale kłębiły się w niej również inne emocje.

Bowie przytulił ją do siebie i zaczął pokrywać jej twarz pocałunkami. Rosie drżała w jego ramionach, chociaż gorące fale krwi pulsowały jej w żyłach.

- Jest ci zimno - powiedział schrypniętym głosem. - Trzęsiesz się cała.

- Wiem, czego chcesz - szepnęła, czując jego podniecenie przez suknię i warstwy mokrych halk. - Ja też chcę, ale boję się.

Bowie przycisnął ją mocniej do siebie. Jego pożądanie przerażało ją i podniecało jednocześnie.

- Czy ufasz mi? - spytał z ustami przy jej ustach. Całował jej usta, policzki, skronie i oczy, aby znowu powrócić do jej rozchylnych warg. Omal nie zemdlął, kiedy poczuła lekkie dotknięcie jego języka. Jej opór malał z każdą chwilą i coraz bardziej pogrążała się w chaosie niezrozumiałych uczuć.

- Tak.

Ufała mu bez zastrzeżeń. Bowie nigdy jej nie oszukał, nigdy nie złamał danego słowa, nigdy nie zrobił jej najmniejszej krzywdy. Po raz pierwszy w życiu Rosie patrzyła z ufnością w oczy mężczyzny. Zdała się na niego, a pulsująca w jej żyłach krew powodowała, że czuła niezwykle podniecenie. Tylko gdzieś w głębi czaiły się resztki strachu.

- Więc bądź pewna, że cię nie skrzywdzę – powiedział stłumionym głosem.

Wziął ją za rękę i pomógł wejść na drabinę, na stryszek, gdzie przechowywano siano.

Rozłożył na sianie derkę i przyciągnął ją do siebie, przesuwając ręce po jej ramionach i wzdłuż pleców. Poczwała, że jego palce zaczynają rozpinąć haftki sukni i zeszywniała, trzymając się kurczowo mokrej koszuli na jego piersiach.

- Przeszanę, jak mi tylko powiesz - szepnął Bowie. Przyciągnął ją do siebie i zaczął

całować. Po chwili poczuł, że odprężyła się i zaczęła mu oddawać pocałunki, początkowo nieśmiało, potem ze wzrastającym zapałem.

Delikatnymi ruchami uwolnił ją z przemoczonej sukni i halek. W świetle błyskawicy stała przed nim, mając na sobie tylko majtki i gorset.

- Jesteś taka piękna, Rosie - wyszeptał. - Jak figurka z porcelany.

Patrząc jej w oczy, rozpiął koszulę i przycisnął jej dłonie do swojej mokrej skóry.

Rosie z trudem złapała powietrze. Wyraźnie czuła bicie jego serca, jej palce dotykały włosów pokrywających jego szeroką pierś.

Bowie poprowadził ją do leżącej na słomie derki i zrzucił buty z nóg. Potem rozpiął

spodnie, rzucił jej szybkie spojrzenie i ściągnął je całkowicie.

Rosie widziała teraz wyraźnie jego podniecenie i ogarnęła ją chęć ucieczki. Były teraz dwie Rosie. Jedna Rosie nie chciała tego, ale druga Rosie wiedziała, że był z nią Bowie, cierpliwy i delikatny, więc pragnęła leżeć w jego ramionach. Chciała też wiedzieć, czy współzycie z mężczyzną przynosi jedynie ból i upokorzenie.

Sama już nie wiedziała, czego chce. Skuliła się na sianie i przykryła twarz rękami. Nie mogła tego zrobić. Pragnęła go, ale przecież...

Bowie przytulił się do jej pleców i całował jej kark i ramiona. Czuła jego gorący oddech i delikatny

dotyk palców na skórze. Głaskał jej drżące ciało, a Rosie zaciskała zęby, walcząc z chęcią ucieczki. Wzdrygnęła się gwałtownie, czując jego palce na tasiemkach gorsetu, który opadł z niej po chwili.

Płomień buchnął jej na twarz, szybko zakryła piersi rękami. Serce jej łomotało równie silnie jak deszcz bijący o dach stodoły.

- Nie mogę - szepnęła, myśląc o tym, czy jej nagość jest widoczna w świetle błyskawic.

- Boję się.

Bowie się obrócił. Jej nagie piersi dotykały teraz jego skóry. Ten dotyk zelektryzował

Rosie, a on pokrywał jej twarz pocałunkami, przesuwał rękami po jej ciele. Czowała jego erekcję.

Spięta Rosie zacisnęła pięści i mocno zamknęła oczy, myśląc, że on zaraz się w nią wedrze. Ale nic takiego się nie stało.

- Połóż się - szepnął, delikatnie ją popychając.

Ku zdumieniu Rosie nie zaprzestał swoich subtelnych pieszczot. Jego ręce znalazły się na jej piersiach i zaczął przesuwać palcami po nabrzmiąłych sutkach, a ona nie mogła powstrzymać okrzyku rozkoszy.

To było dla niej dziwne i nowe, niesłychanie podniecające, zupełnie inne od jej poprzednich doświadczeń. Blevins zrywał z niej majtki i wchodził w nią, pokonując suchy opór.

Czasami łapał ją za pierś przez koszulę tak mocno, że krzyczała z bólu.

Nie wyobrażała sobie, że dotyk męczyzny może być tak delikatny, że może wzbudzać takie pragnienia. Rosie wiła się na sianie, pragnąc czegoś nieokreślonego, dopóki jego usta nie dotknęły jej piersi i nie poczuła, jak się zaciskają na jej nagle stwardniałym sutku.

- Och, Boże - szepnęła, z trudem łapiąc oddech.

Zatopiła mu palce we włosach i przesunęła jego głowę w stronę drugiej piersi, a kiedy poczuła gorące wargi na skórze, przeszył ją dreszcz podniecenia. Poczuła, że jego ręka odchyła gumkę majtek i opuszcza się w dół.

Kiedy ręka Bowiego znalazła się między jej nogami, Rosie wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Zdumiona swoją reakcją, wygięła biodra, przyciskając tę dłoń do swojego ciała.

Zawstydziała się, kiedy poczuła, że jest mokra pod tym dotykiem. Po chwili, już bez uczucia wstydu, ściągnęła majtki i odrzuciła je na bok.

- Jesteś taka piękna! - szepnął Bowie,

- Możesz to teraz zrobić - szepnęła, bojąc się, że zmieni zdanie.

- Jeszcze nie - powiedział, całując jej drżące usta.

Całował ją tak, że nie mogąc się powstrzymać, zarzuciła mu ręce na szyję i oddawała namiętne pocałunki.

On znowu całował jej piersi, brzuch i biodra. Jego palce zaczęły się poruszać po jej udach w górę i w dół, zbliżając się do najbardziej intymnego miejsca i znowu cofając.

Jego usta poszły w ślad za palcami, a Rosie jęknęła przeciągle i usiłowała się wyrwać, ale Bowie trzymał ją mocno za pośladki, a jego usta i język robiły swoje.

Rosie nie słyszała już bijącego o dach deszczu, czuła tylko przebiegające przez jej ciało fale rozkoszy. Jej głowa uderzała o siano, wydawała z siebie niekontrolowane jęki. Bowie w cudowny sposób zbudził jej ciało do rozkoszy.

- Och, Boże - szepnęła, kiedy znów całował ją po nagim ciele. - Bowie, coś mi się stało. Ja...

Ale Bowie zamknął jej usta pocałunkiem. Kiedy znów poczuła na brzuchu jego nieustępliwą erekcję, zapagnęła, aby znalazł się w niej.

- Tak - jęknęła. - Tak, tak, tak!

Zarzuciła mu nogi na plecy, otwarta i gotowa na przyjęcie go. Kiedy zaczął w nią wchodzić, krzyknęła z rozkoszy, napierając biodrami, żeby go mieć w sobie jak najprędzej.

Chciał robić to delikatnie. Ale Rosie musiała dać wyraz swojemu pożądaniu, jej ciało gwałtownie obudziło się do życia. Wiła się pod jego ciężarem, napierała na niego, przyciągała do siebie, dopóki nie poczuła w sobie wytrysku jego nasienia.

Bowie opadł na nią, nie mogąc złapać tchu. Po chwili położył się na boku i przyciągnął ją do siebie.

- Czy dobrze się czujesz?

- Czuję się jak po przejeździe na dzikim mustangu. Nie wiedziałam, że coś takiego jest możliwe między mężczyzną a kobietą. - Rosie zamknęła oczy i przytuliła się mocniej do niego.

- Przy tobie czułam się pusta w środku... i tak bardzo cię pragnęłam. Nie wyobrażałam sobie, że to jest możliwe. I... Rosie zdobyła się wreszcie na powiedzenie prawdy: - To było wspaniałe.

- To ty byłaś wspaniała. Miałaś smak letnich jabłek.

Rosie położyła mu głowę na piersi, słuchając szumu deszczu i bicia jego serca.

Wydarzył się cud. Fakt, że nie tylko poddała się temu, ale że odpowiedziała mu równą namiętnością, zdumiał ją. To było cudowne i podniecające. Chciało jej się śmiać i płakać. Myśli o tym, co się stało, nie pozwalały jej zasnąć.

Akt, który uważała za ohydny, bolesny i upokarzający, mógł być wspaniały i radosny.

Ta świadomość przewracała cały jej świat do góry nogami.

Rosie wysunęła się z ramion Bowiego, popatrzyła na jego uśmiechniętą twarz i dotknęła palcami jego policzka. W jej oczach ukazały się łzy.

- Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała w życiu, Bowie - szepnęła. - I boję się tego.

Teraz jestem tak szczęśliwa, że aż mnie to przeraża.

Usiadła, obejmując rękami kolana, i starała się uporządkować wydarzenia dnia. Ale nie mogła sobie z tym poradzić. Wszystko to było zbyt zagmatwane. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, bo zbyt rzadko ją spotykało.

Był tylko jeden sposób na uspokojenie wzburzonego umysłu, ten sam sposób, w jaki radziła sobie z bólem i trudnościami. Jedyne rozwiązanie, jakie знаła.

Przykryła Bowiego derką, włożyła majtki i koszulę i zeszła z drabiny. Włożyła poncho, które wisiało w stodole, wzięła łopatę i wyszła na dwór, w zimną mżawkę.

Jej białe stopy zapadały się w błocie, kiedy szła w stronę grobu Franka Blevinsa.

Niewiele będzie potrzeba wysiłku, aby wydobyć z przemokniętej ziemi butelkę, zakopaną koło jego nagrobka.

- Myliłeś się - mówiła do Blevinsa, kopiąc. - Jest mężczyzna, który mnie pragnie! I uważa, że jestem ładna! Jestem górą, ty brudna świnio! Zobaczysz!

Usiadła z butelką na kuchennych schodach i piła, obserwując rozjaśniający się horyzont i starając się uporządkować rozbiegane myśli.

Kiedy zaczęło jej się kręcić w głowie, spojrzała na butelkę, którą trzymała pomiędzy nogami. Przyszło jej do głowy, że w butelce whisky nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania.

Jeśli miała być szczerą, to powinna przyznać, że whisky nigdy nie pomogła rozwiązać żadnego z jej problemów. Kiedy się upiła, przeważnie tych problemów przybywało.

Whisky była też nędznym substytutem tego, co przeżyła z Bowiem w stodole. To przeżycie było prawdziwe. Na tyle prawdziwe, że jeszcze czuła ciepło jego pieszczot i radość spełnienia. Alkohol nigdy jej tego nie dał.

Podniosła butelkę do ust, zawahała się i odsunęła ją od siebie. To, co się zdarzyło w nocy, było jeszcze zbyt świeże i zbyt nowe, aby chciała się upić. Nie wylała reszty zawartości butelki, ale zakorkowała ją. Nie szukała zapomnienia. Chciała radować się wspomnieniem tego, co się zdarzyło między nią a Bowiem.

Czuła, że dzisiejszej nocy jej życie przybrało inny obrót. Dzięki Bowiemu.

Deszcz przestał padać. Rosie patrzyła na słońce, które ukazało się nad horyzontem.

Patrzyła z zachwytem w oczach, jak wstaje nowy dzień. Bowie Stone był jej mężem.

Dopóki nie rozłączy ich śmierć. Mieli przed sobą całe życie, wypełnione nocami równie cudownymi, jak ta ostatnia. Po raz pierwszy Rosie miała przyszłość przed sobą, miała dla czego żyć.

Jej rany już zaczynały się zablźniać. Zawdzięczała to swojemu mężowi, Bowiemu Stone'owi.

Przepelniała ją miłość do niego. Bała się tej miłości, ale czuła, że Bowie nigdy jej nie skrzywdzi. Byli mężem i żoną, a ona mu ufała.

Łzy nadziei i szczęścia zabłyśły w jej oczach, kiedy patrzyła, jak słońce wznosi się na niebie.

Owls Butte, Wyoming

Mijające dni dostarczały Susan wielu emocji, a wieczory były przerażające. Wzdrygała się na każdy dźwięk z zewnątrz, wylapywała najmniejsze odgłosy w promieniu wielu kilometrów od swojej chaty. Kiedy słońce chowało się za górami, zaczynała sobie w pełni zdawać sprawę z tego, jak jest samotna. Miasteczko Owls Butte, oddalone o dwa kilometry od jej chaty, równie dobrze mogłoby się znajdować w innym kraju.

- Słyszałeś coś? - spytała Nate'a, z którym układała litery alfabetu na podłodze.

Coś poruszało się za drzwiami; serce jej zamarło. Najgorsze było to, że musiała ukrywać strach ze względu na Nate'a. A była przecież takim tchórzem. Susan złapała szczotkę, jedyny przedmiot mogący służyć do obrony, jaki posiadała, zaczerpnęła głęboko powietrza i otworzyła drzwi. Modliła się, żeby nie zobaczyć tam niedźwiedzia, głodnego kojota czy bandyty.

Potknęła się o stojący przed drzwiami kosz z jedzeniem.

Co za ulga! Chciało jej się śmiać ze swoich obaw, kiedy zobaczyła mężczyznę zmierzającego szybkim krokiem w stronę konia uwiązane u palika przy szkole.

- Panie Harte!

Susan odstawiła szczotkę, szybko wygładziła fartuch i wsunęła luźne pasmo włosów w węzeł na karku. Żałowała, że nie miała czasu ani cierpliwości, żeby zakręcić włosy i zrezygnować z upinania ich w węzeł.

Gresham Harte zatrzymał się i ruszył z wolna w jej kierunku.

- Dobry wieczór, pani Stone. - Uśmiechnął się do Nate'a, który wychylił głowę zza drzwi. - Witam, młody człowieku.

- Podejrzewałam, że to właśnie pan zostawia nam jedzenie. Dziękuję - powiedziała Susan, schylając się, aby wziąć kosz. - To nie jest konieczne, ale doceniam pana hojność.

Doceniała ją bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić - a może znał sytuację. Po zakupie materiałów do nauczania jej fundusze były w katastrofalnym stanie, a pierwszą pensję miała dostać dopiero za osiem dni.

- Myślałem, że przyda się pani mała pomoc na początek -

powiedział z zażenowaniem, zdejmując kapelusz.

Patrzyli na siebie. Susan przypomniała sobie, że rękaw jej bluzki jest przypalony żelazkiem, i schowała rękę do tyłu.

- Nie musiał pan zostawiać jedzenia na progu -zauważyła. -Mógł pan zastukać i przywitać się z nami.

- Nie chciałem pani przeszkadzać - powiedział, poprawiając łańcuszek od kieszonkowego zegarka, co, jak zauważyła Susan, było u niego oznaką zażenowania.

Kosz był ciężki. Wydobywał się z niego, pobudzający apetyt, zapach kurczaka i szynki.

Jeśli ten kosz będzie podobnie zaopatrzony jak poprzednie, które zostawiał na progu, znajdzie się w nim też świeżo upieczony chleb, może nawet ciasto z rodzynkami i dzbanek mleka dla Nate'a.

Susan przypuszczała, że kosze te przygotowywała dla niego pani Adler.

- Właśnie mieliśmy siadać do kolacji. Czy zje pan z nami?

- Nie chciałbym przeszkadzać... - Gresham patrzył na Nate'a, wyglądającego zza spódnicy matki.

- Będę bardzo zadowolona, że mam towarzystwo - powiedziała szczerze Susan.

- W takim razie... w koszu powinno być dość jedzenia dla trzech osób.

- Zachowam go na jutro. Ugotowałam gulasz.

Susan zauważyła, że Gresham Harte nie był zachwycony tą wiadomością. Widać było, że nie dowierzał jej zdolnościom kucharskim. To się dopiero dziwi.

Susan odsunęła się od drzwi, ale zostawiła je otwarte ze względu na obyczajność.

Spojrzała na swoje jednoizbowe mieszkanie, starając się sobie wyobrazić, jak widzi je Gresham.

Na szczęście zawiesiła na sznurze prześcieradło, zakrywało ono zapadające się łóżko, na którym spała z Nate'em. Nie zaprosiłaby mężczyzny do środka, gdyby łóżko było widoczne.

Całe pomieszczenie było niewiele większe od jej sypialni w domu senatora Stone'a.

Mieścił się tam piec, półka i drewniany stół. Przy bocznym stoliku stały dwa krzesła, a szmaciany dywanik przykrywał podłogę z desek. Na trzech okienkach wisiały białe koronkowe firanki od pani Adler.

- Bardzo przytulnie się pani urządziła - powiedział Gresham, patrząc na stojące w dzbankach polne kwiaty i zawieszzone na ścianach rodzinne fotografie.

- W wolnym czasie robię serwetki na stół - pochwaliła się Susan, zdejmując książki z krzesel. - Proszę siadać.

- Czy to pani mąż? - spytał, patrząc na jedną z fotografii.

- Bowie stoi w środku, pomiędzy swoim ojcem i bratem.

Susan powstrzymała ciężkie westchnienie. Wiedziała już, że nie będzie jej łatwo zaoszczędzić pieniędzy. Nie będzie mogła tak prędko, jak chciała, wynająć człowieka, który pojedzie do Kansas.

Gresham usiadł, trzymając kapelusz na kolanach. Dopiero po chwili Susan wzięła od niego kapelusz i powiesiła go na kołku przy drzwiach. Nate zaraz wdrapał mu się na kolana.

- Poczyta mi pan? - spytał, wkładając mu książkę do ręki.

- Może trochę później.

- Musisz się umyć przed kolacją- powiedziała Susan, zdejmując synka z kolan Greshama.

Początkowo nie uważała Greshama Harte'a za zbyt atrakcyjnego mężczyznę. A przecież był bardzo przystojny.

- Wydaje się, że już się pani zadomowiła. Wyobrażam sobie, że ta chata bardzo odbiega od tego, do czego była pani przyzwyczajona.

- Wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy - powiedziała Susan, podchodząc do pieca, gdzie piekły się placki. - Chyba każdy mieszkaniec Owls Butte ofiarował swoją pracę lub materiały do remontu szkoły, pomogli mi również się zagospodarować.

- Jest tu ciasno - oświadczył, rozglądając się dokoła.

- Jest lepiej niż w pokoiku u pani Hawks. - Susan zaczerwieniła się i odwróciła głowę. -

To prawda, że brakuje mi wygód, jakie miałam przedtem, ale podoba mi się tu - powiedziała szczerze. - Czasami boję się w nocy... ale to miejsce do mieszkania zawdzięczam własnej pracy. - Nadal była zdumiona, że nie zginęła bez opieki mężczyzny i jakoś dawała sobie sama radę. - Nie przypuszczałam, że potrafię się sama utrzymać. Dlatego ta chata ma dla mnie specjalne znaczenie. To mój pierwszy naprawdę własny dom. Czy pan to rozumie?

- Jest w pani pionierski duch, pani Stone - uśmiechnął się Gresham.

Susan się roześmiała i wróciła do pieca, aby zająć się gulaszem. Zauważyła, że jej gulasz ma dziwny zapach i wygląda bardzo nieapetycznie. Chyba nie powinna była zapraszać Greshama.

- A jak praca w szkole? - spytał, kiedy Susan ustawiała nakrycia na stole.

- Odpowiedzialność mnie przeraża. Mam pięć dziewcząt i dwóch chłopców. Nie mam pojęcia, czy ich czegoś nauczę. Staram się bardzo. Czasami wszystko idzie wspaniale, a czasami czuję się załamana. Posłałam broszkę mojej matki do pana Dubage z prośbą, aby ją sprzedał i za te pieniądze kupił dla mnie książki na temat nauczania.

- Kim jest pan Dubage? - spytał Gresham, rzucając spojrzenie na wizerunek Bowiego, Nathana i senatora Stone'a.

- Pan Dubage jest adwokatem rodziny.

Susan podbiegła do piekarnika, z którego wydobywał się dym. Szybko wyjęła swoje placki - płaskie, nieforemne i spalone od spodu. Z trudnością oderwała je od blachy i włożyła do koszyka. Nate zdążył już się umyć i usadowić przy stole.

- Mama poparzyła sobie ręce - obwieścił. - Pokaż je panu Harte.

- Daj mi swój talerz, Nate. - Susan rzuciła mu karcące spojrzenie, wkładając łyżkę do miski z gulaszem.

- Co się stało z pani rękami? - zaciekawił się Gresham Harte, patrząc na czerwone plamy na jej dłoniach.

- Poparzyłam się wrzątkiem podczas prania - powiedziała, nie patrząc na niego i przypominając sobie ten okropny ból. - Już mnie tak bardzo nie boli.

Wiele dałaby za to, żeby nie mieć na sobie przypalonej żelazkiem bluzki i żeby jej placki były pulchne i złociste. Tak bardzo nie chciała, żeby Gresham Harte widział, jak jest nieudolna.

Z biciem serca serwowała gulasz, który niestety nie wyglądał zbyt dobrze.

Nate zaczął jeść, ale Gresham nie poszedł w jego ślady.

- Placek, panie Harte? - spytała, podając mu koszyk.

Wybrał najmniejszy i przez chwilę obracał go w ręku. Był bardzo spalony i zbyt cienki. Zażenowana Susan odwróciła głowę.

- Pójdę do szkoły - oświadczył Nate, zjadając gulasz. - Uczę się liter i uczę się liczyć.

Mam prawie tyle lat. - Podniósł cztery palce do góry. - Mama powiedziała, że urządzi mi przyjęcie urodzinowe. Pan też może przyjść. Najbardziej chciałbym mieć szczeniaczka. Czy ma pan szczeniaczka, panie Harte?

Zrozpaczona Susan patrzyła, jak Gresham odkłada placek i wybiera kawałek mięsa z szarego płynu, w którym pływało.

- Miałem szczeniaka, kiedy byłem w twoim wieku - powiedział, oglądając dokładnie swój kawałek mięsa. - Nazywał się Otello.

- To śmieszne imię - roześmiał się Nate. - Mój szczeniak będzie nazywał się Wilk. A może Bunny. Jeszcze nie wiem.

- Gresham Harte włożył mięso do ust i zaczął je przeżuwać. Żuł i żuł.

- Czy ma pani sól, pani Stone? - spytał po chwili.

Susan postawiła przed nim solniczkę. Policzki jej pałały.

Była potwornie zawstydzona. Mięso z gulaszu miało konsystencję twardej gumy, a ziemniaki i rzepa były kompletnie rozgotowane. Szary płyn, w którym pływało mięso, był zupełnie bez smaku.

- Przykro mi, że nie mam wina ani deseru – powiedziała Susan matowym głosem.

Nawet Nate nie jadł spalonych placków. Wszyscy starali się nie zauważać stojącego na stole koszyka.

Kiedy Gresham zjadł pół swojej porcji gulaszu, odsunął talerz, poklepał się po brzuchu i zdobył na uśmiech.

- Jestem już bardzo najedzony. To było... to było...

- Ohydne - podsunęła mu Susan. - Mięso było twarde, a jarzyny rozgotowane. Gulasz był ohydny.

- To prawda - przyznał z uśmiechem. - Kawa była słaba, a placki okropne.

Po chwili Susan wybuchnęła śmiechem.

- Przykro mi. Przekonuję sama siebie, że posiadałam sztukę gotowania, ale to nieprawda.

Żeby pan widział ciasto, które przezornie schowałam.

- Błagam. - Gresham uśmiechnął się szeroko. - Żadnego ciasta!

Uśmiechali się do siebie poprzez stół. Susan zorientowała się nagle, że bardzo go polubiła i cieszy się, że ją odwiedził. Gulasz był rzeczywiście ohydny i nie było sensu udawać, że jest inaczej, ale pan Harte sprowokował ją do śmiechu, a już od dawna jej się to nie zdarzało.

- Uczę się tylu nowych rzeczy, panie Harte, ale niewiele mi się udaje. - Susan dotknęła przypalonej bluzki, popatrzyła z westchnieniem na poparzone dłonie. - Proszę mi jednak wierzyć, że czynię postępy - dodała z uśmiechem.

- Jestem tego pewien - powiedział łagodnie. - Trzeba dużej odwagi, aby uczyć się nowych rzeczy, pani Stone, i nie zrażać się brakiem natychmiastowego sukcesu.

- Rzeczywiście myśli pan, że jestem odważna? – Susan patrzyła na niego ze zdumieniem.

Nigdy nie uważała się za odważną. Jej dawni przyjaciele w Waszyngtonie roześmieliby się niedowierzająco, gdyby ją ktoś tak określił. Ale Zachód zmienił ją. Stała się inną kobietą.

- Tak. Uważam, że jest pani bardzo dzielna.

Odkrycie, że Gresham Harte docenił jej wysiłki i uznał je za akt odwagi, sprawiło, że łzy napłynęły jej do oczu. Nie zdawała sobie dotychczas sprawy, jak bardzo pragnęła, aby ktoś zauważył, jak

bardzo się stara i jak jej to ciężko przychodzi. Szybko wstała od stołu, zebrała talerze i stała nad zlewem, dopóki nie obeschły jej łzy.

- Chodź do lampy. - Gresham zwrócił się do Nate'a. - Poczytam ci, a twoja mama będzie zmywać.

Kiedy zdumiona Susan obróciła się ku nim, Nate siedział na kolanach Greshama, z główką wspartą na jego ramieniu. Gresham poprawił okulary na nosie i zaczął głośno czytać, robiąc przerwy, żeby Nate mógł obejrzeć obrazki. Uśmiechnął się do Susan i czytał dalej.

Susan z trudnością przełknęła ślinę i odwróciła się do zlewu. Wyrzuciła resztki gulaszu do kubła z pomyjami i zaczęła myć naczynia, a przed oczami miała nadal obraz swojego synka na kolanach tego mężczyzny, rodzinną scenę, o której już dawno przestała marzyć.

Miała pełne zaufanie do Bowiego - wiedziała, że zaopiekuje się nią i Nate'em, ale nie była pewna, jak on się poczuje w roli ojca. Podczas trwania ich małżeństwa żadne z nich nie wykazywało chęci do stworzenia domowego ogniska. Zrozumiała teraz, że ona i Bo wie przez cały czas byli sobie obcy.

Trzymając talerz w ręku, Susan zamyśliła się głęboko. Przerażała ją myśl, że nigdy nie poznałaby bliżej swojego syna, gdyby śmierć Bowiego nie pozbawiła jej niańki do dziecka. To było smutne, że mogła stale przebywać ze swoim dzieckiem tylko dlatego, że umarł jej mąż.

Gdyby Bowie żył, to ktoś inny uczyłby Nate'a liter i kładł go spać. Teraz ona była główną osobą w życiu swojego syna, tak jak on był najważniejszą osobą w jej życiu. I to dawało jej radość.

Skończyła zmywać i spojrzała na Greshama pytającym wzrokiem, ale on potrząsnął

tylko głową i czytał dalej. Susan usiadła obok nich i zabrała się do przygotowywania lekcji na następny dzień. Przepęłniało ją radosne uczucie spokoju. Wreszcie zorientowała się, że Gresham przestał czytać.

- Śpi - szepnął.

- Zaniosę go do łóżka - powiedziała Susan, wstając z krzesła.

- Ja to zrobię.

Gresham zaniósł Nate'a za zasłonę z prześcieradeł i delikatnie położył na łóżku. Cofnął się o krok i patrzył, jak Susan ostrożnie ściąga z synka ubranie. Kiedy zdejmowała mu koszulę, Nate zbudził się i pocałował ją, a potem wyciągnął ręce do Greshama. Zdumiony Gresham pochylił

się nad łóżkiem i też dał się pocałować.

Gresham i Susan, zażenowani, że stoją przy łóżku, szybko wrócili do oświetlonej części pokoju.

- Wieczór jest ciepły. Czy nie chciałaby pani przejść się trochę? - spytał, poprawiając łańcuszek od zegarka.

Susan skinęła głową, okryła się szalem i wyszli na zewnątrz.

- Jak na człowieka, który nie lubi dzieci - powiedziała, patrząc na niego z ukosa - umie pan dobrze się nimi zajmować.

Szli ścieżką, która prowadziła z chaty Susan do budynku szkolnego. Słysząc było granie świerszczy.

- Pani Winters była już raz na mojej lekcji. Ma przyjść znowu w przyszłym tygodniu.

Wtedy zdecyduje, czy zatrudni mnie na stałe.

Gresham kołysał się na obcasach, wpatrując się w jednoizbowy budynek szkolny.

- Czy rzeczywiście zależy pani na stałym zatrudnieniu w sytuacji, kiedy nie ma pani zamiaru pozostać w Owls Butte?

- Tak. Zależy mi na tym. Przypuszczam, że w grę wchodzi moja duma... ale muszę również zabezpieczyć się na przyszłość, gdybym miała nie otrzymać spadku - powiedziała, czując, że na tę myśl robi jej się słabo.

- Na pewno sprawy majątkowe zostaną kiedyś sfinalizowane - powiedział Gresham, marszcząc brwi.

- Coś jest nie w porządku. Nie powinno być takich trudności z otrzymaniem świadectwa zgonu. - Susan podniosła głowę i popatrzyła na szkolną wieżyczkę z dzwonkiem. - Prawdę mówiąc, uczenie sprawia mi wielką przyjemność. Dzieci są wspaniałe. - Twarz jej się nagle zachmurzyła. - Ale mam kłopoty z Eddiem Mercerem.

Opowiedziała mu o trudnościach Eddiego z czytaniem i poprosiła Greshama o radę.

- Wydaje mi się, że miała pani sama rozwiązywać swoje problemy, pani Stone - powiedział łagodnym tonem.

Susan kopnęła leżący na ścieżce kamyk. Znowu zwróciła się do mężczyzny o ratunek.

Zaczerwieniła się nagle. Przy Greshamie Harte jej ułomności były zawsze szczególnie widoczne.

- Potrzebuję tej posady, panie Harte. Nie wiem, co się z nami stanie, jeśli się nie sprawdzę. Zamartwiam się tym. Pragnę tak bardzo odnieść sukces jako nauczycielka, jak jeszcze niczego w życiu nie pragnęłam. Muszę odnieść sukces.

- To go pani odniesie, pani Stone.

Zatrzymali się przy koniu Greshama i zaczęli gładzić go po karku. Kiedy ich dłonie przypadkowo się zetknęły, odskoczyli od siebie jak oparzeni. Poszli dalej drogą, trzymając się w bezpiecznej odległości, patrząc na odległe światła miasteczka.

- Zebrałem trochę informacji o pani mężu – powiedział Gresham, kiedy kierowali się w stronę chaty Susan. – Przysłało mi wycinki z „Rocky Mountain News” i z „Gulliver County Tattler”.

Susan zatrzymała się i popatrzyła na niego. Fakt, że Gresham Harte dowiedział się o haniebnym postępku jej męża, zawstydził ją i upokarzał.

- Dlaczego zainteresował się pan tą sprawą, panie Harte?

Gresham wzruszył ramionami, opuścił głowę i zaczął się bawić łańcuszkiem od zegarka.

- Chyba z ciekawości. - Podniósł głowę. - Pani mąż był niezwykłym człowiekiem.

Susan patrzyła na niego ze zdumieniem. Nie spodziewała się słów podziwu z jego ust.

- Mój mąż został karnie usunięty z wojska, ponieważ odmówił wykonania rozkazu swojego dowódcy. Potem zamordował człowieka, panie Harte, i został za to powieszony.

- W takiej sytuacji ja również odmówiłbym wykonania rozkazu. Pani mąż nie powinien być usunięty z wojska, panie Stone, tylko oficer, który ten rozkaz wydał. Ten sukinsyn powinien iść pod sąd wojenny.

- Słucham pana? - Susan usiłowała dojrzeć w zmroku jego twarz. - Panie Harte, o czym pan mówi?

- Czy to możliwe, że nie wie pani, co się wydarzyło w Stone Toes Gulch?

- Wszystko, co wiem, pochodzi od senatora Stone'a. Powiedział mi, że Bowie zrujnował sobie karierę i zhańbił rodzinę.

Gresham wziął ją pod rękę i posadził na schodkach ganeczku. Opowiedział jej o zasadzce w Stone Toes, o rzezi indiańskich kobiet i dzieci.

- O mój Boże - szepnęła Susan, kiedy skończył mówić, i otarła oczy. - Ja myślałam...

Ogarnęła ją wściekłość. Senator dobrze wiedział, co się wydarzyło w Stone Toes Gulch, ale skupił się jedynie na niesławie związanej z karnym usunięciem Bowiego z wojska i ujmie, jakiej doznało ich nazwisko. Senator nigdy nie przyznał, że Bowie zachował się honorowo.

- Proszę mi powiedzieć o morderstwie. - Susan dotknęła lekko rękawa Greshama.

- Kapitan Stone zabił Luthera Radisona - powiedział Gresham. - Radison szedł śladami pani męża aż do Gulliver County w Kansas. Przysięgł, że go zabije. Dwóch świadków zeznało, że kapitan Stone zaskoczył Radisona i zabił go z zimną krwią. Przysięgali, że Radison nie był

wtedy uzbrojony.

Susan zwiesiła głowę i zagryzła wargi. Senator opowiedział jej tę samą historię.

- Ta sprawa wygląda dość prosto, poza tym, że...

- Że?

- Obaj świadkowie byli przyjaciółmi Radisona. Obaj byli w Stone Toes i ich reputacja została zbrukana, kiedy sąd wojskowy ujawnił prawdę. Poza tym Stone był ranny w nogę.

-Gresham zmarszczył brwi. - Jest możliwe, że to był spisek przeciwko pani mężowi. Teraz już nie poznamy prawdy, ale podejrzewam, że kapitan Stone został skazany na śmierć przez powieszenie za akt samoobrony.

- Nie miałam o tym pojęcia - szepnęła Susan, zakrywając oczy rękami.

- Ta sprawa wymagałaby jednak wyjaśnienia. Doniesienia prasowe kończą się na wiadomości, że wyrokowi stało się zadość. Nie piszą, że pani mąż został powieszony.

- Oczywiście, że został powieszony - powiedziała Susan, z trudem powstrzymując łzy. -

Gdyby było inaczej, to przyjechałby po Nate'a i po mnie. Przyjęłam do wiadomości to, co mi powiedział senator. Myślałam, że Bowie postradał zmysły.

Gresham objął ją niezręcznie ramieniem i Susan płakała na jego piersi.

- Powinna być pani dumna ze swojego męża, pani Stone. Kapitan Stone był niezwykłym człowiekiem, był człowiekiem honoru.

Kiedy Susan zorientowała się, że wargi Greshama dotykają jej włosów, zaczerwieniła się i szybko odsunęła od niego.

- Bowie był rzeczywiście niezwykły - powiedziała po chwili, zadowolona, że Gresham nie widzi jej twarzy w ciemnościach.

Potem głęboko zaczerpnęła tchu i przerywanym głosem zwierzyła mu się z okoliczności towarzyszących narodzinom Nate'a.

Gresham wsiadł na konia i przez kilka minut wpatrywał się w chatę Susan.

Opowieść Susan zupełnie go nie zaszokowała, chociaż wiedział, że ona tak sądzi. Był

tylko trochę zdziwiony. Niewiele rzeczy było w stanie go zaskoczyć, ale jego własna reakcja po odkryciu prawdy o kapitanie Bowiem Stonie wprawiła go w konsternację.

Powinien traktować kapitana Stone'a z dezaprobatą, potępiać go za to, że zostawił swoją żonę i dziecko w nędzy. Skończyło się jednak na tym, że zaczął go podziwiać i do wściekłości doprowadzała go niesprawiedliwość, z jaką został potraktowany. Dochodziło do tego uczucie bezsensownej zazdrości, kiedy przypominał sobie, jak głos Susan łagodniał, kiedy o nim mówiła.

Żadna kobieta nie nazwała nigdy Greshama nadzwyczajnym mężczyzną. Żadna niebieskooka piękność nie powiesiła na ścianie jego wizerunku.

Susan wydawała mu się krucha i bezbronna, kiedy przytuliła się do niego. Czuł jeszcze dotyk jej piersi i zapach włosów.

Z westchnieniem mszył w stronę Owls Butte.

Dlaczego nie mógł wyrzucić jej raz na zawsze ze swoich myśli? Dlaczego czuł się za nią odpowiedzialny? Dlaczego tak bardzo go pociągała?

Myślał o śladach oparzenia na jej rękach, śladach od żelazka na rękawie, o gulaszu, tym wyjątkowo niesmacznym gulaszu, i o spalonych plackach. Myślał o jej lśniących kasztanowatych włosach, ściągniętych w węzeł na karku, o maleńkim pokoju, z którego była tak dumna. Starał

się wyobrazić ją sobie w klasie, usiłującą zaprowadzić porządek wśród niesfornych dzieci.

Susan Stone fascynowała go i irytowała jednocześnie. Współczuł jej i podziwiał jej wysiłki.

Była beznadziejnie nieporadna w codziennych czynnościach domowych, ale nie akceptowała porażki. Miała bystry umysł, lecz wołała, żeby myślał za nią mężczyzna. Jej niezaradność doprowadzała go do rozpaczki. Podejrzewał, że przy spotkaniu z Henriettą Winters po raz pierwszy w życiu zdobyła się na trochę pewności siebie. To nie była odpowiednia dla niego kobieta.

Dlaczego więc nie przestawał myśleć o niej i martwić się o nią? Susan Stone doprowadzała go do szaleństwa. Miała krystaliczne, niebieskie oczy i usta stworzone do pocałunków. Miała zgrabną figurę i wiotką kibić. Jej włosy pachniały słońcem. Polubił nawet jej syna, Nate'a.

Niech to szlag trafi!

Susan przesuwała linijką po tablicy, a Hettie Adler czytała to, co było tam napisane.

Wszyscy uczniowie wykonywali w ławkach zadaną pracę, z wyjątkiem Eddiego Mercera, syna burmistrza. Eddie wyglądał przez okno. Nate spał na rozpostartej na podłodze kołdrze. Gdyby nie postawa Eddiego, wszystko układałoby się bardzo dobrze.

Pani Winters siedziała z boku i obserwowała przebieg lekcji. Ubrana była w prostą zieloną suknię i słomkowy kapelusz.

Susan cieszyła się w duchu, że ma na sobie białą bluzkę, której nie przypaliła żelazkiem. Włożyła ręce do kieszeni swojej ciemnej spódnicy, aby ukryć ich drżenie, i uśmiechnęła się do Hettie,

- Dziękuję, Hettie. Bardzo ładnie czytałaś. Teraz popracuj nad arytmetyką. Sprawdzę wasze tabliczki, jak Eddie przeczyta swoje wypracowanie. -Tej chwili bała się najbardziej.

-Eddie? Proszę, żebyś głośno przeczytał wypracowanie z historii. Możesz zostać w ławce.

Eddie Mercer rzucił okiem na panią Winters, potem spojrział na Susan. Zaczerwienił

się.

- Nie - powiedział, stojąc ze spuszczoną głową.

- Słucham cię? - Susan zabrakło tchu. W duszy błagała go, żeby się jej nie przeciwstawiał w obecności pani Winters.

- Nie będę głośno czytał - mruknął.

Susan z trudem przełknęła ślinę. Nie szukała pomocy u pani Winters, bo wiedziała, że to by ją ostatecznie pogrzyżyło.

- Gdybyś umiał dobrze czytać, nie byłbyś w tej klasie - powiedziała łagodnym tonem. -

Nikt tego od ciebie nie oczekuje, ale musisz spróbować. W ten sposób się nauczysz.

Susan widziała, że twarz Eddiego oblewa jeszcze silniejszy rumieniec i bardzo mu współczuła. Eddie Mercer miał czternaście lat. był najstarszy w klasie, ale czytał na poziomie trzecioklasisty. Nie dość, że młodsi uczniowie wyśmiewali się z niego, teraz jeszcze czekała go kompromitacja przed wizytatorką. Gdyby Susan mogła mu tego oszczędzić, na pewno by to zrobiła, ale pani Winters nie tolerowała specjalnego traktowania uczniów, bez względu na powód.

- Eddie?

- Nie będę czytał - powiedział z uporem.

W klasie zapanowała martwa cisza. Dzieci porzuciły swoje zajęcia, patrzyły na Susan i Eddiego z pełnym napięciem zainteresowaniem.

Susan zrozumiała, że następne minuty przesądzą o jej posadzie nauczycielki. Albo zdobędzie autorytet, albo straci szacunek dzieci, posadę i tę odrobinę bezpieczeństwa, którą zdobyła.

- Eddie - powiedziała cichym głosem. - Rozkazuję ci przeczytać to wypracowanie. Zrób to teraz, proszę.

- Nie - szepnął żałośnie, nie patrząc na nią.

Pani Winters patrzyła na Susan z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Tylko jej z lekka uniesione brwi wskazywały na uwagę, z jaką śledzi tę sytuację.

- Jeśli tego nie zrobisz, będę cię musiała ukarać.

Patrzyła na Eddiego z błaganiem w oczach. Był wyższy od niej i o wiele cięższy. Jeśli nie mogła zmusić go do czytania, to jak zmusi go do tego, żeby poddał się karze?

- Proszę. Niech mi pani nie każe głośno czytać – powiedział Eddie.

- Nie mogę robić wyjątków, dobrze o tym wiesz. Proszę, przeczytaj wypracowanie.

Proszę, proszę, proszę - powtarzała w myślach. Proszę cię, zrób to. Niech ta sprawa już się zakończy. Proszę, przeczytaj.

Eddie zgniótł swoje wypracowanie w kulkę i rzucił na podłogę.

Zapanowała głucha cisza. Susan czuła, jak kropelki potu występują jej na czoło. Wzrok wszystkich uczniów skierowany był na nią.

- No dobrze - powiedziała spokojnym głosem, chociaż usta jej drżały. Wiedziała, co musi zrobić, ale buntowała się przeciwko temu, było to wbrew jej naturze.

- Wyciągnij ręce.

Eddie zmarszczył czoło, nie wiedząc, co to ma oznaczać.

Susan gwałtownie usiłowała sobie przypomnieć to, co pani Winters mówiła jej miesiąc temu. To ona była dorosłą osobą w klasie i ona tu rządziła. Jeśli uczniowie nie uznają jej autorytetu, to nie będzie mogła niczego ich nauczyć. Musi natychmiast opanować sytuację.

- Wyciągnij ręce! I to już!

Jej gniew nie był udawany. Wściekła była na Eddiego Mercera, że doprowadził do takiej sytuacji, wściekła na siebie, że przyprawiało ją to o przerażenie. Wściekła była na stoicki spokój, z jakim pani Winters przyjmowała to wydarzenie, wściekła na fakt, że czternastolatek nie potrafił poprawnie czytać. Wściekła była na Bowiego Stone'a za to, że umarł, na Greshama Harte'a, że się z nią nie ożenił i nie zaoszczędził jej tego doświadczenia.

Uderzyła linijką o pulpit Eddiego. Na ten dźwięk wszyscy drgnęli, łącznie z Susan.

- Eddie, wstań i wyciągnij ręce! Już!

Stanowczość w jej głosie spowodowała, że Eddie wstał i wyciągnął ręce, które drżały tak mocno, jak ręce Susan. Susan zaczerpnęła głęboko powietrza, miała uczucie, że zaraz zemdleje. Ona, który nigdy jeszcze na nikogo nie podniosła ręki, uderzyła z całej siły linijką w wyciągnięte ręce Eddiego.

- Na litość boską, Eddie - szepnęła pobladłymi wargami, nie mogąc opanować drżenia rąk. - Przeczytaj wreszcie to wypracowanie!

Twarz Eddiego była równie blada jak twarz Susan, widać było wyraźnie wszystkie jego piegi.

- Nie.

Połykając łzy, Susan ponownie opuściła linijkę na ręce Eddiego. Usłyszała płacz Nate'a, który się

właśnie obudził. Trzęsa się tak gwałtownie, że ledwie mogła ustać na nogach.

- Postawiłeś nas w okropnej sytuacji - szepnęła drżącym głosem. - Czy chcesz, żebym powiedziała ojcu, że musiałam usunąć cię ze szkoły? Proszę cię, Eddie. Musisz przeczytać wypracowanie.

Spojrzał na nią przez łzy, schylił się i podniósł zgnieciony kawałek papieru. Wygladził

go trzęsącymi się rękami. Potem prawie niedosłyszalnym głosem przeczytał swoje wypracowanie.

Było ono pełne błędów. Susan stała obok niego, nic nie poprawiając. Przyrzekła sobie, że będzie dawać mu dodatkowe lekcje.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy skończył i usiadł ze zwieszoną głową, po czym obróciła się do uczniów. - To koniec lekcji na dzisiaj - wyjąkała zdławionym głosem. - Hettie, czy mogłabyś wziąć Nate'a na dwór i chwilę go przypilnować?

Kiedy tylko dzieci opuściły klasę, Susan usiadła przy biurku i ukryła twarz w dłoniach.

Miała uczucie, jakby to ona została publicznie upokorzona. Po chwili pani Winters dotknęła jej ramienia.

- Następnym razem, jeśli będzie taka konieczność, przyjdzie to pani łatwiej. Jeszcze pani o tym nie wie, ale dzisiaj została pani prawdziwą nauczycielką.

- To była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Nigdy w życiu nie podniosłam na nikogo ręki. Nigdy nic dałam klapsa mojemu synowi.

- Kto oszczędza różgi, ten rozpuszcza dzieci - powiedziała Henrietta Winters. - Postąpiła pani właściwie. Uczniowie muszą uznać pani autorytet. Na pewno będzie pani miała dalsze kłopoty z Eddiem Mercerem - dodała, patrząc na swój kieszonkowy zegarek.

- Mam nadzieję, że nie - odparła Susan.

- Widać wyraźnie, że dwuletnia przerwa w nauce bardzo uczniom zaszkodziła - ciągnęła pani Winters. - Czy byłaby pani gotowa prowadzić lekcje w lecie?

Susan wolała nawet nie myśleć o lecie, które oznaczało utratę pensji i używalności chaty przez okres trzech miesięcy. Propozycja pani Winters dawała jakąś szansę.

- Zgadzam się z tym, że dzieciom bardzo potrzebna jest dalsza nauka - skomentowała tę ofertę.

Teraz dopiero zorientowała się, że przeszła pomyślnie okres próby. Wyprostowała się na krześle.

- To doskonale - powiedziała z uśmiechem pani Wintera. - Sądzę, że uda się pani przekonać radę miejską, aby zaakceptowała naszą decyzję.

- Pani chce, abym przemawiała do rady miejskiej? - Susan nie wierzyła własnym uszom. -

Mam ich przekonać, żeby nie zamykali szkoły na lato?

Zdobyta przed chwilą pewność siebie całkowicie ją opuściła. Ona miałaby udzielać rad mężczyznom z miejskiej rady'/ Nie mogła sobie nawet tego wyobrazić.

- Spotka się pani z oporem - ostrzegła ją pani Winters, wstając i zakładając rękawiczki. -

Rodzice będą chcieli zatrzymać dzieci w domu, aby pomagały im w pracy. Rada może się również sprzeciwić wypłacaniu pani wynagrodzenia za dodatkowe trzy miesiące. Jestem jednak przekonana, że da pani sobie z tym radę.

- Tak?

- Załatwię pani spotkanie z radą miejską od jutra za tydzień. - Pani Winters uścisnęła rękę Susan na pożegnanie. -Do widzenia, pani Stone. Zadowolona jestem z pani pracy.

Susan była tak oszołomiona, że nie mogła wstać z krzesła, kiedy Henrietta Winters wychodziła z klasy.

Przemówić do mężczyzn z rady miejskiej... Przekonać ich, aby szkoła była otwarta w lecie...

To było niemożliwe. Sama myśl o tym przyprawiała ją o gwałtowne bicie serca.

Pani Stone!

- Patrz, mammo, to pan Harte!

Nate biegł przez podwórko w kierunku bryczki, gdy Gresham przywiązywał konia przed szkołą. Kiedy szli w kierunku chaty, usta mu się nie zamykały.

- Mama zbiła Eddiego - mówił, nadal poruszony tym wydarzeniem. - Nie chciała tego zrobić, ale musiała. Zbiła go linijką. To było okropne.

- Słyszałem o tym wypadku.

- Tak? - Susan odgarnęła włosy z czoła i oparła się na łopacie. Dlaczego Gresham pojawiał się zawsze wtedy, kiedy nie była odpowiednio ubrana? Dzisiaj miała na sobie starą sukienkę, fartuch i męskie buty, które znalazła w chacie. Była zaczerwieniona z wysiłku, a jej włosy były w nieładzie.

- Pani akcje poszły w górę, pani Stone. Prawie nikt tu nie wierzył, że będzie pani w stanie zmusić ucznia do posłuszeństwa. Szczerze mówiąc, ja też nie. Co pani robi?

- Zakładam ogród warzywny - powiedziała, patrząc na odciski na dłoniach. - Ale ziemia jest okropnie twarda.

- Groszek, fasolkę i kabaczek - zauważył Gresham, patrząc na paczki nasion - powinno się siać w czasie, kiedy księżyc jest w nowiu. Teraz, kiedy ubywa księżyc, może pani posiać marchew i rzepę.

Susan patrzyła na niego z niedowierzaniem. Stale dowiadywała się, że wszystko jest bardziej skomplikowane, niż jej się wydawało.

- Co ma księżyc do mojego ogrodu warzywnego?

- Jest taka teoria, że rosnący księżyc dobrze wpływa na warzywa liściaste, a kiedy go ubywa, lepiej rosną korzenne.

- To najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam! - Susan przygryzła wargi i spojrzała na ziemię ledwie ruszoną łopata. - To chyba nieprawda?

Gresham założył swój kapelusz na głowę Nate'a i uśmiechnął się do niej.

- Jadę do swojej posiadłości. Pomyślałem, że może pani i Nate będziecie mieli ochotę mi towarzyszyć. Mam ze sobą kosz jedzenia na piknik.

- Dziękuję, ale...

- Jest tam strumień pełen ryb. - Mrugnął porozumiewawczo do Nate'a. - A w bryczce mam przypadkiem dwie wędki.

- Jeszcze nigdy nie łapałem ryb! - Podniecony Nate chwycił ją za rękę. - Możemy pojechać, prawda, mamó? Powiedz, że możemy!

- Ten ogród sam się nie zasieje, panie Harte - powiedziała Susan z westchnieniem. - A ja będę potrzebować tych zbiorów.

- Przyjadę jutro i dokończę kopanie.

Susan spojrzała znowu na odciski na swoich dłoniach. Zobaczyła, że ma na nich również pęcherze.

- Proszę cię, mamó! - Nate ciągnął ją za spódnice.

- Proszę, pani Stone! - powtórzył z uśmiechem Gresham.

- Widzę, że stanowią mniejszość. - Susan się roześmiała, podnosząc ręce do góry. - Nie zapomni pan o swojej obietnicy?

- Daję pani słowo. - Gresham położył rękę na sercu.

- Proszę na mnie chwilę poczekać. Muszę się przebrać. Jeśli ma pan na to ochotę, może pan zacząć kopać już teraz - powiedziała, podając mu łopatę.

Ich ręce zetknęły się i spojrzeli na siebie. Speszona Susan obróciła się szybko i pobiegła do chaty.

Kiedy wróciła. Gresham pracował w samej koszuli, a połowa wyznaczonego przez nią terenu była dokładnie skopana. Susan stłumiła westchnienie - przy mężczyźnie wszystko stawało się łatwe.

- Mam w domu ciasto - powiedziała niezbyt zachęcającym tonem.

- Mam wszystko, czego nam potrzeba - odezwał się szybko.

Jej ciasto było zapadnięte w środku, a lukier nie chciał się zestalić. Odczuła ulgę, że nie musi mu pokazywać tego nieudanego wyrobu. Bardzo zależało jej na tym, żeby Gresham Harte dobrze o niej myślał.

Gresham pomógł jej wsiąść do bryczki. Nate usiadł pomiędzy nimi. Dzień był ciepły i pogodny. Susan otworzyła parasolkę. Ta wycieczka zapowiadała się wspaniale, przede wszystkim dlatego, że będzie w towarzystwie Greshama. Ostatnio stale o nim myślała.

Prowadzili błąhą rozmowę o pogodzie, o trupie aktorów, która występowała w Owls Butte, o wycieczce planowanej na Czwartego Lipca, w dniu Święta Niepodległości, która miała odbyć się za miesiąc. Nate drzemał, oparty o Susan, a Gresham opowiadał jej, jakie wrażenie wywołała jej stanowczość w sprawie Eddiego Mercera.

- To było okropne - powiedziała Susan. - Żał mi było Eddiego. Ale jestem w jakiś sposób zadowolona, że to się stało.

Chociaż Susan nienawidziła kar cielesnych i nigdy się do nich nie przekona, czuła, że ten incydent wzmocnił jej wiarę w siebie i ustalił jej autorytet. Kiedy zdecydowała się na to, aby uderzyć Eddiego, zaszła w niej jakaś istotna zmiana. Może to pozwoliło jej zrozumieć, że musi sama rozwiązywać swoje problemy, że nikt jej w tym nie pomoże.

- Wszyscy mówią teraz o zebraniu, które ma się odbyć w sobotę wieczorem -

powiedział Gresham, zwracając głowę w jej kierunku. - Uważam, że powinienem pani to powiedzieć. Nikt nie daje pani dużych szans.

- Czy dlatego zaprosił mnie pan na wycieczkę, żeby mnie poinformować, że rada miejska już podjęła decyzję?

Dobry nastrój Susan rozwiął się natychmiast. Przykra jej była myśl, że zaproszenie Greshama nie wynikało jedynie z chęci zobaczenia się z nią i Nate'em.

A teraz przypomniał jej o zebraniu. Na samą myśl o tym, że to musi nastąpić, Susan czuła, że serce jej się ściska. Chyba przez cały tydzień nie będzie spała ze zdenerwowania.

- Pani Winters nic na ten temat nie mówiła, ale jestem pewna, że moja przyszłość zależy od tego, czy szkoła pozostanie otwarta - powiedziała, zwieszając głowę.

Powstrzymywała się całą siłą woli, aby nie poprosić Greshama o pomoc w przygotowaniu swojego wystąpienia. Niektórzy mężczyźni czuliby się zaszczytzeni taką prośbą, ale Gresham Harte odebrałby ją jako oznakę słabości. On podziwiał samodzielne kobiety.

Byłby na pewno zdziwiony, gdyby wiedział, jak często Susan przywoływała na myśl jego słowa, w których chwalił jej odwagę. To dodawało jej sił, ponieważ pragnęła, żeby miał o niej dobre mniemanie. Jego wiara dodawała jej również trochę odwagi.

Susan nie spodziewała się pozytywnej reakcji ze strony rady miejskiej. Wiedziała, że nie zdoła ich przekonać, aby szkoła pozostała otwarta przez lato. Nie mogło być inaczej.

Gresham bawił się łańcuszkiem od zegarka i spoglądał na nią spod oka.

- Bardzo ładnie dziś pani wygląda. Ma pani zarumienione policzki.

Nastrój Susan poprawił się natychmiast. Wyprostowała się na siedzeniu i spojrzała na niego, zaskoczona.

- Greshamie Harcie! Czy pan się do mnie zaleca?

Po tym pytaniu oboje zaczerwienili się mocno. Susan wiele by dała, aby móc je cofnąć.

- Stwierdziłem tylko fakt - powiedział zirytowany. - To był komplement, jaki mógłby wyrazić każdy dżentelmen. - Po długim milczeniu dodał: - Uważam, że jesteśmy przyjaciółmi i cenię sobie tę przyjaźń. Lubię pani towarzystwo i podziwiam niektóre cechy pani charakteru.

Chciałbym móc czasem powiedzieć pani komplement i nie być źle zrozumianym.

- Przykro mi, że źle pana rozumiałam - powiedziała z zażenowaniem, dziękując Bogu, że Nate śpi i nie jest świadkiem jej porażki.

Nastąpiła długa chwila ciszy, którą wreszcie przerwał Gresham.

- Chciałbym usłyszeć pani opinię na temat mowy, jaką mam wygłosić w sądzie. Czy mogę pani o niej opowiedzieć?

- Bardzo proszę - zgodziła się Susan, ale nie dotarło do niej ani słowo z jego długiej przemowy.

Dlaczego nie mogła pogodzić się z faktem, że Gresham Harte nie odwzajemni jej uczucia ani nie wskoczy na białego konia i nie przybędzie jej na ratunek? I że nie robi tak żaden inny mężczyzna. Że ona i Nate będą musieli sami dawać sobie radę. Dlaczego nie mogła się z tym pogodzić?

- Jesteśmy już na mojej ziemi - oświadczył Gresham, skręcając na wąską polną drogę.

Słoneczna dolina leżała w obramowaniu łagodnych wzgórz, za którymi wyrastały, pokryte śniegiem, wysokie szczyty.

- Podoba się tu pani?- spytał nieśmiało.

- Och, panie Harte, tu jest pięknie! - wykrzyknęła Susan, której serce zamierało z zachwytu.

Spływający z gór strumień wił się w dolinie, jego woda błyszczała w słońcu. Na zboczach rosły sosny i świerki, a łąki pokryte były kwiatami. Stado łosi patrzyło na nich z oddali, a po chwili znikło w gąszczu drzew.

Gresham zatrzymał konie i bryczka stanęła.

- Czy już dojechaliśmy? - spytał rozbudzony nagle Nate.

- Tu jest mój dom - roześmiał się Gresham, pomagając im zsiąść z bryczki.

Poprowadził ich w stronę grupy topoli, gdzie stały fundamenty jego przyszłego domu, pokazując im, gdzie będzie kuchnia, a gdzie sypialnie,

- Będzie pan miał piękny widok - szepnęła Susan, stojąc w miejscu, na które miały wychodzić frontowe okna.

Patrzyła na ośnieżone szczyty, na bujnie kwitnące łąki i poczuła się tak, jakby to był jej dom.

- Pana dom będzie większy, niż przypuszczałam - powiedziała szybko, osłaniając twarz parasolem, żeby nie odgadł jej myśli.

- Chciałbym mieć kiedyś dużą rodzinę - odparł, bawiąc się

łańcuszkiem od zegarka.

Susan poczuła bolesny ucisk w sercu; opuściła nisko głowę. Pragnęła, żeby Gresham ją miał na myśli, kiedy mówił o swoim domu i rodzinie. Pragnęła, aby ona i Nate mogli należeć do jego rodziny.

- Gdzie są ryby? - Nate rozładował niezręczną sytuację, podbiegając do Greshama i machając wędką.

Gresham roześmiał się i poszedł z nim w kierunku strumienia. Susan podążyła za nimi z koszem jedzenia.

Rozpostarła koc na łące i rozłożyła parasol. Wzięła ze sobą książkę i szycie, ale nie miała ochoty na te zajęcia. Po raz pierwszy od wielu tygodni zaczęła odczuwać spokój.

Patrzyła, jak Gresham uczy Nate'a zarzucać wędkę i słuchała ich rozmowy. Mężczyzna i chłopiec wymieniali uwagi na temat broni palnej, wojen z Indianami, mówili o wozach osadników i pociągach, o polowaniu i łowieniu ryb, o zwierzętach.

- Kiedy będziesz miał tego szczeniaka, na którego czekasz? - spytał Gresham, który zdjął marynarkę i kamizelkę, podwinął rękawy i nogawki spodni i zarzucał teraz wędkę.

- Moje urodziny są... - Nate spojrzał na matkę.

- W sierpniu - przypomniała mu Susan, uśmiechając się do nich.

Poczuła się nagle szczęśliwa na widok tego mężczyzny i chłopca, łowiących ryby w górskim strumieniu.

- Czy jeszcze daleko do sierpnia'? - zwrócił się Nate do Greshama z zaniepokojoną miną.

- Myślę, że tak ci się będzie wydawać - roześmiał się Gresham. - Powiedz mi coś więcej o tym szczeniaku na urodziny. Jak będzie wyglądał i jak się będzie nazywał?

Susan opuściła głowę z westchnieniem. Tak bardzo pragnęłaby być tą kobietą, którą Gresham Harte wybierze na żonę. Byłoby cudownie móc spędzić z nim życie, mieszkać w domu, który budował, wypełnić go gromadką szczęśliwych dzieci, patrzeć, jak uśmiechają się do niej przy kolacji. Byłoby cudownie być kochaną przez takiego mężczyznę jak Gresham. Łzy zabłyśły w jej oczach.

Powinna raczej martwić się swoim sobotnim wystąpieniem, niż zaprzętać sobie głowę jego szerokimi ramionami, ciemnymi oczami i zdecydowaną linią ust. Pojawiał się nawet w jej snach. Popęłniła fatalny błąd, zakochując się w mężczyźnie, którego chciała poślubić, a który nigdy nie weźmie jej za żonę.

Susan przemierzała nerwowym krokiem ganek hotelu pani Adler i patrzyła z rosnącym przerażeniem na ludzi, którzy wchodzili do ratusza. Nie tylko będzie musiała przemawiać do rady miejskiej, ale robić to wobec dużego audytorium. Na tę myśl robiło jej się słabo.

- Nie mogę tego zrobić - szepnęła, zaciskając dłonie.

- Chciałabym dodać pani otuchy, ale... - Pani Adler wyszła na ganek, poprawiając szal na ramionach. Spojrzała na bladą jak opłatek Susan. - Muszę jednak posłuchać, co będzie miała pani do powiedzenia. Czy pani dobrze się czuje? Chwieje się pani na nogach.

- Zniosłabym wszystko, bylebym nie musiała wejść do ratusza!

Kiedy Susan zobaczyła Greshama Harte'a, który szedł w kierunku hotelu, wydała z siebie westchnienie ulgi. On będzie po jej stronie. Będzie miała przynajmniej jedną taką osobę w tym tłumie.

- Dziękuję pani - szepnęła, kiedy pani Adler przypinała bukiet kwiatów do klapy jej żakietu.

Susan miała na sobie swój szary kostium podróży, który wydawał się jej najbardziej odpowiednim strojem na tę okazję. Na głowie miała płaski słomkowy kapelusz, ozdobiony szarą wstążką, i szare buty, które kupiła przed wyjazdem z Waszyngtonu.

Jest pani gotowa? - spytał Gresham.

- Może powinnam... - Susan zagryzła wargi, mając wzrok utkwiony w drzwi hotelu.

- Nate jest pod opieką Hettie - powiedziała pani Adler.

Susan wolno zeszła ze schodów ganku. Gresham prowadził obie panie pod rękę, a Susan czuła się tak, jakby szła na egzekucję.

- Czy przygotowała pani swoje przemówienie? - Gresham przycisnął do siebie jej rękę.

- Tak.

Susan setki razy przepisywała swoją mowę, ale nadal nie wierzyła, że odniesie ona skutek. Wiedziała, że jej wystąpienie będzie zbyt krótkie, zbyt bezbarwne, zupełnie nie przekonujące.

Kiedy dochodzili do ratusza, serce biło jej tak mocno, że nie słyszała dochodzącego stamtąd gwaru.

- Powodzenia - usłyszała tylko głos pani Adler.

Susan wiedziała, że słowa te były czystą uprzejmością. Pani Adler chciała, żeby Hettie w sezonie letnim pomagała jej w hotelu, a nie siedziała w szkole.

- Nie mogę oddychać - szepnęła Susan, czując, że ma zbyt ciasno zasnurowany gorset.

- Jest mi niedobrze.

Gresham obrzucił wzrokiem ciemną ulicę. Kiedy stwierdził, że nikt ich nie obserwuje, przyłożył dłoń do jej policzka.

- Żeby osiągnąć powodzenie, kiedy występuje się publicznie, należy mówić z wewnętrznymi przekonaniem. Jeśli rzeczywiście uważa pani, że szkoła powinna być otwarta w lecie, zgromadzeni muszą to odczuć. Niech pani mówi z serca, pani Stone, a nie z kawałka papieru. Niech widzą pani zaangażowanie!

Susan stała jak sparaliżowana. Czuła jego palce na policzku, ciepło jego ciała. Serce jeszcze mocniej jej biło. Miała ochotę rzucić się w jego silne ramiona. Pragnęła, aby ją stąd zabrał i oszczędził upokorzenia, które ją niewątpliwie czekało.

Gresham opuścił rękę i uśmiechnął się do niej. W jego oczach wyczytała, że wierzy w nią.

- Ślicznie pani wygląda - powiedział, ignorując jej podkrążone oczy i bladość twarzy. -

Ma pani przygotowane wystąpienie i wierzy pani w jego słuszność. Musi pani uwierzyć w siebie.

- To jest najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłam.

- Pani Stone. - Gresham roześmiał się serdecznie. - Wszystko, co pani robi, jest najtrudniejszą rzeczą, jaką pani kiedykolwiek robiła. - Spoważniał nagle. - Ale takie jest życie, prawda? Robienie jednej trudnej rzeczy po drugiej.

Susan zmarszczyła brwi i odsunęła się od niego.

- Teraz nie jest mi potrzebny wykład, jak należy pracować nad własnym charakterem.

- Proszę się nie oburzać. - Gresham roześmiał się znowu. -Chciałem tylko pani przypomnieć o tych wszystkich trudnych rzeczach, których pani dokonała. Dzisiaj też się pani uda.

- Proszę tak nie mówić - szepnęła Susan. - Nie chcę pana rozczarować.

- Czy to ma znaczenie'? - Gresham uniósł brwi.

- Tak - przyznała ze spuszczoną głową.

Kiedy podniosła głowę, Gresham wpatrywał się w nią badawczo, ale nie umiała odczytać wyrazu jego oczu. Chciał coś powiedzieć, lecz w tym momencie pani Adler ukazała się w drzwiach ratusza.

- Wszyscy czekają na panią, pani Stone.

Susan zmusiła się do uczynienia kroku w kierunku drzwi. Pot występował jej na czoło, umierała z przerażenia.

- Odniesie pani sukces - usłyszała jego głos.

Zatrzymała się na chwilę i weszła do ratusza. Była teraz zdana tylko na siebie.

Gulliver County, Kansas

Miłość do mężczyzny była nowym i nie zawsze przyjemnym doświadczeniem. Miłość zmienia osobę zakochaną.

Co prawda, miłość dodawała Rosie siły, jej życie było pełniejsze i pozbawione niepokoju. Najbardziej zadziwiała ją radość, jaką czerpała z przebywania w towarzystwie Bowiego, patrzenia na niego i słuchania brzmienia jego głosu.

Z drugiej strony irytowało ją, że przez to uczucie stała się słabsza i bardziej wrażliwa.

Widziała siebie w zupełnie innym świetle, jej wizerunek stracił na ostrości. Czasem kręciła sobie włosy, w niedzielę nosiła spódnice i bluzki, które szyła dla niej Lodisha. Kąpała się w wodzie z dodatkiem olejku różanego. Niekiedy nawet nosiła gorset.

Ale problem polegał na tym, że mężczyzna, dla którego to wszystko robiła, chwalił ją za to, prawil komplementy... ale nie wykonał żadnego gestu świadczącego o tym, że pragnie się z nią znowu kochać.

Rosie wyprostowała obolałe plecy i otarła pot z czoła. Oparła się na motyce, patrząc poprzez rzędy pszenicy na nagie, złane potem plecy Bowiego. Z westchnieniem spojrzała na rozpalone od lipcowego słońca niebo, które wysysało z gleby ostatnie krople wilgoci.

Koszulę miała mokrą od potu i pęcherze na dłoniach, ale powróciła do pracy. Chociaż walka z perzem i ostami na trzech hektarach ziemi była z góry przegrana, nie mogli poniechać wysiłków. Najgorsze było to, że chwasty pieniały się bujnie, a pszenica umierała powoli z gorąca.

Zachmurzona Rosie patrzyła na swoje pole i starała się zgadnąć, czemu Bowie jej nie chce. To zmartwienie odbierało jej energię do pracy.

W ciągu jednej oszałamiającej nocy jej stosunek do miłości fizycznej uległ całkowitej zmianie. To był cud, że pomimo poprzednich doświadczeń, ta jedna noc w stodole stała się najbardziej porywającym doświadczeniem w jej życiu. Nie mogło się z tym równać nawet to, co czuła, kiedy uznano ją za najpiękniejszą kobietę na balu.

Chociaż wstyd jej było się przyznać, pragnęła, aby ta noc mogła się powtórzyć. Nie opuszczała jej myśl, że bycie z mężczyzną mogło być zawsze cudownym doświadczeniem. Nie zdobyła się jednak na to, aby doprowadzić do następnego zbliżenia, a Bowie również nie robił

nic w tym kierunku.

Najgorsze było to, że miłość powodowała bezradność. Chciała, aby Bowie odwzajemniał

jej uczucie, ale nie wiedziała, jak go do tego skłonić.

Napiła się wody z flaszki, którą miała zawieszoną na szyi. Leini płyn nie zaspokoił jej pragnienia, nadal czuła, jak słońce pali jej skórę, bolały ją wszystkie mięśnie. Wydawało się jej, że słyszy śmiech Franka Blevinsa, który patrzy na ginące z gorąca łany pszenicy.

Rosie zaczęła gorączkowo wykopywać motyką chwasty, mimo że ogarniało ją coraz większe zniechęcenie.

To nie było w porządku. Bowie potrafił przełamać jej panikę i pokazać, jakiej rozkoszy może dostarczyć miłość fizyczna, a potem nie zbliżył się do niej przez całe tygodnie. Mógłby przynajmniej w jakiś sposób okazać jej, że między nimi wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

Nie było również w porządku, że przyprawiał ją o drżenie jego przelotny dotyk, kiedy ją obejmował, chwalać za to, że dba o swój wygląd, a mimo to nie brał jej do łóżka. Myśli o deszczu i seksie nie opuszczały Rosie ani na chwilę.

Kiedy usłyszała dzwonek, który obwieszczał, że Lodisha będzie miała za godzinę gotową kolację, Rosie poszła za Johnem Hawkinsem w stronę strumyka. Za nimi szedł Bowie, patrząc co chwila na niebo.

- Stracimy zbiory, jeśli nie będzie deszczu - powiedział.

- Myślisz, że tego nie wiem - warknęła Rosie.

Zdjęła buty i weszła do strumienia. Zanurzyła się w wodzie i oparła o kamień. Chłodny nurt obmywał jej przepoczone ubranie i sprawiał ulgę obolałym mięśniom.

- Czasem żałuję, że nie żyję już jak Indianin - zauważył John Hawkins, wchodząc wraz z Bowiem do strumienia. - Wolałbym być myśliwym niż farmerem. Ta praca łamie plecy i ducha.

- Ani jednej chmury na niebie - powiedział Bowie, patrząc, jak ukazują się pierwsze gwiazdy.

- Dziś w nocy będzie padać - oświadczył nagle John Hawkins.

- Chciałabym, żebyś miał rację, ale nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Rosie, całkowicie zanurzając się w wodzie. Z trudem przyszło jej wypowiedzieć to, o czym wszyscy byli przekonani. - Wygląda na to, że w tym roku nie będzie zbiorów.

Frank Blevins, niech szczęście jego czarna dusza, zwycięży ponownie. Rosie czuła ucisk w piersiach, ogarnięta paniką zapragnęła znaleźć zapomnienie w whisky.

John Hawkins wyszedł z trudem ze strumienia i pokuśtykał w stronę stodoły.

Bowie zmienił pozycję, Rosie czuła pod wodą dotyk jego bioder. Podskoczyła, jakby ją ktoś dźgnął ostrym narzędziem.

- Porozmawiajmy - powiedział spokojnym głosem. - Od tygodni coś jest z tobą nie w porządku. Czy martwisz się zbiorami?

- Oczywiście, że się tym zamartwiam. Ale nie o to chodzi -powiedziała ze wzrokiem utkwionym w ciemne niebo.

- W przeciwieństwie do tego, co myślą kobiety, mężczyźni nie potrafią odczytywać myśli.

Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów.

Rosie nie odzywała się. Bowie zaczął się podnosić.

- Chodzi o seks - wyrzuciła z siebie.

Bowie usiadł z powrotem w wodzie. Nie patrzył na nią.

- To znaczy?

Rosie szukała słów i mobilizowała odwagę, żeby je wypowiedzieć. Ona też nie patrzyła na niego.

- Nie rozumiem tego - odezwała się wreszcie, a twarz paliła ją z upokorzenia. -

Myślałam, że wiesz, że dobrze mi było z tobą. To było zupełnie inne niż przedtem. Nie zrobiłeś mi krzywdy i nie czułam się potem brudna i upokorzona. Czułam się... dobrze. To było wspaniałe.

Och, Boże. Przeklinała się w duchu za rozpoczęcie tej rozmowy, ale musiała doprowadzić ją do końca.

- Jeśli myślisz, że nadal się boję i czuję do tego wstręt, to... tak nie jest.

- To dobrze, Rosie.

- Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć. Gdybyś myślał, że nic się nie zmieniło.

Spojrzała na niego i stwierdziła ze zdumieniem, że ma smutny wyraz twarzy. Chyba niezbyt dobrze mu to wszystko wytłumaczyła.

- Mówiłam kiedyś, że wolałabym poderznąć sobie gardło, niż pozwolić mężczyźnie, żeby ze mną spał. To już nie jest prawda. Przynajmniej tak mi się wydaje. Muszę zdobyć więcej doświadczenia, żeby zyskać pewność.

Bowie zdjął kapelusz i przeczesał ręką włosy. Rosie czuła jego zażenowanie, to było zrozumiałe. Trudno było mówić o niektórych rzeczach. Pochyliła się, skupiając uwagę na swoich bosych stopach. Kiedy Bowie nadal się nie odzywał, zrozumiała, że musi wszystko wyrazić wprost. Niech to szlag!

- Chcę ci tylko powiedzieć - Rosie opuściła nisko głowę – że mam ochotę na seks. - Zabijał

ją wstyd, że prosi o to mężczyznę.

- Przykro mi, Rosie - odezwał się po chwili. - Nie możemy się jednak kochać.

Rosie zdrętwiała. Wydawało się jej, że zna odpowiedź, ale musiała usłyszeć ją od niego.

- Nie byłam w tym dobra, prawda? Już mnie nie pragniesz? - spytała ledwo dosłyszalnym głosem.

Bowie poruszył się gwałtownie, ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy.

- Pragnę cię cholernie przez cały czas. Nie mogę spać, myśląc o tym, jak byliśmy ze sobą. Nigdy nie zapomnę tej nocy, Rosie.

- Więc dlaczego nie możemy zrobić tego znowu? - spytała oszołomiona.

- Są powody. - Bowie odwrócił głowę.

- Jakie?

Wiedziała, że Bowie czasami zagłębiał się w myślach, do których ona nie miała dostępu. Stawał się wtedy tak obcy, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Bowie? Chcę wiedzieć.

- Nie wszystko mogę ci powiedzieć.

- To powiedz tyle, ile możesz.

- Tej nocy w stodole... byłaś trzeźwa. Przykro mi, ale nie potrafię pożądać pijanej kobiety.

- Rzadko bywam pijana! Teraz jestem trzeźwa.

- To prawda, że od dawna nie upijasz się do nieprzytomności. Cieszy mnie to. Ale codziennie wypijasz kilka kieliszków.

- Małych!

- Możesz nie być pijana, ale też nie jesteś całkowicie trzeźwa.

- Chwileczkę - powiedziała, marszcząc w zamyśleniu brwi. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie chcesz spać z kobietą, od której czuć whisky? Czy to ma być warunek?

- Nie proszę cię, żebyś całkowicie przestała pić. Nie mam do tego prawa.

- Do diabła! Mówisz przecież, że muszę wybrać, whisky albo seks, a nie mogę mieć jednego i drugiego!

- Upijanie się do nieprzytomności to twój wybór i nie kwestionuję twojego prawa do dokonania tego wyboru. - Bowie wstał z wody i szedł już do brzegu.

- Od ponad miesiąca nie upiłam się do nieprzytomności! - krzyknęła za nim. - Kiedy ostatnim razem wykupywałeś mnie z więzienia?

Bowie wyszedł z wody i zaczął zakładać buty. Po chwili odwrócił głowę w jej kierunku.

- Jeśli chcesz zabijać się alkoholem, w porządku, to twój wybór. Ja wolę kochać się z kobietą, która będzie rano o tym pamiętać. To mój wybór.

Rosie zawrzała gniewem. Patrzył; za nim, jak szedł w kierunku domu. Położyła głowę na ramieniu i spoglądała na gwiazdy.

Cholernie trudno było kochać mężczyznę. Miłość zmieniała kobietę, zmuszała ją do robienia rzeczy, które by jej przedtem nigdy nie przyszły do głowy. Miłość osłabiała kobietę, która traciła odporność na głupie pomysły mężczyzny.

Whisky albo mąż. To był cholerny wybór i to było piorunsko nie w porządku. Myśl o tym, że już nigdy nie będzie leżała w ramionach Bowiego, była równie straszna jak ta, że już nigdy nie zazna ukojenia w ten jedyny, znany sobie sposób.

Whisky nigdy jej nie zawiódł; dzięki niej zapominała o wszystkim, co sprawiało jej ból.

Wiedziała dokładnie, czego ma się po niej spodziewać.

A zaufać mężczyźnie? Zaufać niepewnemu przeblaskowi szczęścia? To było nieznane, pełne przepaści terytorium.

Bowie nie ma prawa od niej tego wymagać, stwierdziła, wstając z wody. Już od dawna przyjaźniła się z butelką, zanim poznała Bowiego Stone'a.

- Niech cię diabli wezmą- mruknęła, sama nie wiedząc, czy klnie dlatego, że postawił

jej ultimatum, czy dlatego, że zmusił ją, aby go pokochała.

W drodze do domu zatrzymała się, jak zwykle, przed grobem Franka Blevinsa i kopnęła kamień. Gdyby Blevins był inny, gdyby mogła zemścić się nad tym skurwielem, kiedy żył, to może wtedy nie musiałaby uciekać się do pomocy whisky, może nie zatruwałby jej strach i przemożna chęć odniesienia nad nim zwycięstwa.

- Już się ciebie nie boję! - warknęła, patrząc na nagrobek. - Byłeś złym farmerem, złym mężem i złym ojczymem! Byłeś podły! Nie jestem do niczego, jak mówiłeś, i nie jestem brzydka. Jest mężczyzna, który mnie pożąda!

Ale jej mąż nie pragnął jej takiej, jaka teraz była. Żądał większych zmian - żądał

największej zmiany. Chciał, aby porzuciła tarczę, którą osłaniała się przed światem. Nie wystarczało mu, że Rosie pije mniej. Chciał, żeby przestała pić całkowicie.

Ta myśl śmiertelnie ją przerażała.

Zbudził ją odgłos grzmotu. Rosie gwałtownie usiadła na łóżku, światło błyskawicy rozjaśniło pokój,

po czym usłyszała uderzenia kropli deszczu o dach. Padało coraz mocniej, była już pewna, że nadchodzi długotrwała ulewa.

Z radości zabrakło jej tchu w piersiach. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka, przeklinając w duchu oplątującą jej nogi nocną koszulę, którą ostatnio zaczęła nosić. Pobieгла przez korytarz i uderzyła pięścią w drzwi Bowiego, które same się otworzyły.

- Zbudź się! Słyszysz? Pada! Zbiory...

W świetle błyskawicy zobaczyła opartą o poduszki postać. Rosie zamarła z przerażenia.

To On.

- Nie śpię. Wejdz - usłyszała.

Nie odrywając oczu od łóżka, Rosie zrobiła krok do tyłu. On zaraz wstanie i sięgnie po pas. Wydawało się jej, że słyszy, jak uderza pasem o dłoń, i że za chwilę zobaczy jego ohydne, nagie ciało. Będzie ją bił.

- Nie! - wykrztusiła.

Kolejny grzmot wstrząsnął całym budynkiem. Nie miała gdzie uciec, gdzie się schować. Nie może próbować ucieczki. Już kiedyś zapłaciła za taką próbę - złamaną ręką i pękniętym żebrzem.

- Rosie? - To był głos Bowiego. Obejrzała się, czy On nie stoi za nią, potem spojrzała znowu na łóżko. - Frank Blevins nie żyje. Nie ma go w tym pokoju.

- On tu jest! - załkała.

Blevins był w pokoju. Czula jego obecność, słyszała, jak uderza pasem o dłoń.

- Przełam się, Rosie! Pochowaj wreszcie tego sukinsyna! Wejdz do pokoju i wypędź stąd ducha! Stać cię na to! - Głos Bowiego przebijał się przez jej strach. Przyzywał ją.

Gdyby tylko mogła się napić! Otoczyły ją potworne wspomnienia nikczemnej żądzy Franka Blevinsa, nie pozwalając zrobić ani kroku.

- Nie mogę - wyszeptała, opierając się o framugę.

Ale to Bowie ją wołał, nie Blevins. Blevins był martwy, pogrzebany na podwórzu. Ona sama go pochowała. Już nie mógł jej skrzywdzić. Ale, do cholery, on tu był. Słyszała jego ciężki oddech, czekał na nią.

- Nie mam tyle siły, nie mogę - wyjąkała.

- Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam.

- To nieprawda. Nie mogę tego zrobić.

- Nie mogę ci pomóc, Rosie, musisz to zrobić sama. - Ton jego głosu był naglący. - Zrób to, przyjdź do mnie. Rose Mary.

Rosie ogarnęła panika. On nie wiedział, o co ją prosi. Żeby wejść do tego pokoju grozy, musi stoczyć walkę przekraczającą jej siły. Zdawała sobie sprawę, że Bowie ma rację. Powinna, dla własnego dobra, wyrzucić ten pokój spod władzy Franka Blevinsa. Ale jak mogła znowu się z nim zmierzyć?

- Rosie, poza mną nie ma tu nikogo.

Błyskawica rozświetliła pokój upiornym blaskiem. Zobaczyła łóżko Blevinsa i jego komodę, kołki w ścianie, na których wisiał jego pas. Zatrzęsła się gwałtownie.

Słyszała odgłos grzmotu, trzask błyskawicy, uderzenia deszczu o dach, swój krzyk i prośby, i śmiech tego mężczyzny.

- Pokonaj go, Rosie. Możesz to zrobić. Możesz wynieść z tego pokoju nowe wspomnienia.

- Ja... nie mogę!

- Jesteś silna i odważna. Możesz zwyciężyć.

To jej mąż ją wzywał, mężczyzna, którego kochała i do którego miała zaufanie. Bowie jej nie zdradzi, nie robi jej krzywdy.

- Zrób to, Rosie.

Wstrząsana gwałtownymi dreszczami, z bijącym sercem. Rosie wpatrywała się w łóżko, czekając na następną błyskawicę, aby upewnić się, że tym, kto na nią czeka, jest Bowie. Kiedy pokój rozświetlił się znowu, zobaczyła go - wyciągał do niej ramiona.

- Bowie!

Rosie rzuciła się desperacko do przodu, dopadła łóżka i znalazła się w jego uścisku.

- Jesteś bezpieczna - szepnął, gładząc jej ramiona. - Jesteś ze mną i jesteś bezpieczna.

Nikt cię nie skrzywdzi.

Rosie zamknęła oczy. Była w łóżku Franka Blevinsa. Nie mogła oddychać, serce jej zamarło. Wtuliła się w ramiona Bowiego.

- To ty - powtarzała drżącymi ustami. - To nie on. To ty, Bowie. To ty.

- Jesteś bezpieczna.

Jego dłonie głaskały ją, osłaniał ją swoim ciałem. Rosie nie wiedziała, jak długo to trwało. Przywarła do niego,

myśląc tylko o tym, że to jest Bowie, jego dłonie, jego głos, jego zapach. Wreszcie zorientowała się, że jej koszula podwinęła się do góry i poczuła jego erekcję na swoim nagim brzuchu.

Ogarnęła ją panika, usiłowała mu się wyrwać. Usłyszała jednak jego uspokajający szept, poznała jego twarz. To był Bowie, jej mąż, kochała go.

Zarzuciła mu ręce na szyję i uspokajała się powoli. Bowie pokrywał jej twarz pocałunkami. Kiedy przytulił ją całą do siebie, nie protestowała, wtuliła się w niego z ufnością.

W tym pokoju nigdy dotąd nie rozlegały się czułe szepty, nie był świadkiem delikatnych pieszczot oraz innych przejawów miłości.

Rosie odrzuciła swoje ponure wspomnienia. Zacisnęła powieki, koncentrując się na czułym dotyku rąk Bowiego. Nadszedł moment, kiedy Bowie zrozumiał, że pozbyła się lęku i że wzbiera w niej pożądanie.

Delikatnie zdjął z niej koszulę, szukając w jej oczach przyzwolenia. Gwałtownie wciągnął powietrze na widok jej nagiego ciała oświetlonego kolejną błyskawicą.

Pogładził lekko jej pierś i poczuł, jak twardnieje pod jego palcami. Przesunął powoli ręką po jej brzuchu i zatrzymał ją między udami. Z ust Rosie wyrwał się jęk rozkoszy.

Bowie zrozumiał nagle, że zawsze będzie pragnął tej pięknej kobiety, zawsze będzie chciał patrzeć na nią i być przy niej. Wiedział, że nie miał prawa pojąć jej za żonę, ale teraz nie mógł się jej oprzeć.

Podniósł jej pełną odcisków dłoń do ust, po czym położył ją na swoim brzuchu. Rosie zawahała się, złapała gwałtownie oddech, ale pozwoliła mu kierować swoją dłonią. Patrząc jej w oczy, zamknął jej dłoń na nabrzmiałym członku. Pragnął wziąć ją natychmiast, ale nie chciał

jej przestraszyć. Rosie zeszywniała w jego ramionach, jednak po chwili poczuł, jak jej palce delikatnie go pieszczą.

- Jest miękki - szepnęła zdziwiona.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział.

Roześmiała się. Nigdy dotąd nie myślała, że śmiech i seks mogą iść w parze.

Kiedy miał pewność, że jest gotowa na jego przyjęcie, wszedł w nią delikatnie. Powoli wznosili się oboje na falach pożądania, które coraz bardziej ich pochłaniały. Wreszcie ciałem Rosie zaczęły wstrząsać spazmy. Powtarzała jego imię, a jej paznokcie wbijały mu się w plecy.

Dopiero wtedy stracił kontrolę i brał ją tak, jak mu dyktowało własne pożądanie, które znalazło w niej ujście jednocześnie z jej okrzykiem rozkoszy.

Rosie leżała w jego ramionach. Słuchali szumu deszczu.

- Demony odeszły - szepnęła oszołomiona, patrząc na łóżko i komodę, oświetlone kolejną błyskawicą. - To tylko pokój. Nic więcej.

- Tak.

Jej włosy miały świeży zapach słońca i wody ze strumienia. Jak strasznie trudno będzie ją opuścić.

- O czym myślisz? - spytała.

- Myślę o zbiorach - skłamał. - Po żniwach uwolnisz się od tego łajdaka na zawsze.

- Bowie? - Rosie patrzyła mu w oczy. - Nie będę już piła. Ani kropli.

- To jest obietnica, którą składasz samej sobie, Rosie. Jeśli chcesz to zrobić, to zrobisz to tylko dla siebie. A nie dla kogoś innego.

- Wiem.

Sama myśl o abstynencji natychmiast wywołała w niej pragnienie kieliszka whisky. Ale whisky przynosiła tylko czasową ulgę. Z Bowiem miała szansę na coś trwałego. Szybko, żeby nie zmienić zdania, powiedziała mu, gdzie ukrywa swoje flaszki, i prosiła, żeby się ich pozbył. Już nigdy nie przyjdzie do jego łóżka, niosąc ze sobą zapach whisky.

Już następnego dnia zaczęła odczuwać silne dreszcze i potworny ból głowy. Objawy te nie ustępowały w ciągu kolejnych dni. Ręce jej się trzęsły, nie mogła utrzymać w nich widelca, kawa z kubka rozpryskiwała się jej na koszuli. Nie mogła spać. Chodziła nocami po podwórzu, rzucając kamieniami w grób Franka Blevinsa, lub spacerowała po polach pszenicy, gdzie walczyła z pokusą, aby wskoczyć na Ivanhoe'a i pojechać do baru Harolda.

Nie mogła skoncentrować się na pracy. Motyka wypadła jej z ręki, nie cieszył jej nawet widok bujnie rosnącej pszenicy. Nie mogła jeść, jej zaciśnięty żołądek nie przyjmował poży-wienia, a każda komórka jej ciała pragnęła whisky.

Wszystkie sprawy w mieście załatwiał teraz John Hawkins. Lodisha przygotowywała jej ulubione potrawy. Bowie wykonywał za nią większość prac. Rosie, pochłonięta swoim cierpieniem, nie zauważała niczego.

Nie mogła jeść, nie mogła spać, nie mogła czytać, nie mogła pracować. Whisky zaprzętała jej myśli. Przeszukała dokładnie farmę, ale nie znalazła ani jednej butelki. Usiadła wtedy nad strumieniem i zalała się łzami. Nienawidziła Bowiego Stone'a z całego serca.

Zadziwiał ją fakt, że zdołała przetrwać, że nie skoczyła na Ivanhoe'a i nie pojechała szukać ulgi w

mieście. Powinna uczcić swój triumf dobrą porcją whisky, ale ponieważ jej nie było, mogła tylko pocieszać się pracą i pić lemoniadę Lodishy.

Jedynie miłość do Bowiego pozwoliła jej przetrwać te koszmarne dni. Kiedy biegła już do stajni, aby osiodłać Ivanhoe'a, zatrzymywała się nagle i szła szukać Bowiego.

Patrzyła na niego i miotaly nią sprzeczne uczucia - niechęci, miłości, gniewu, podziwu.

Jeśli posłał jej uśmiech zachęty, czuła się silniejsza. Przeważnie wystarczyło jej tylko patrzeć na niego, upewniać się, że należy do niej. i myśleć o tym, że w nocy będzie spała w jego ramionach.

Dzięki spędzonym z nim nocom, łatwiej było jej znosić męczarnie dnia. Wiedziała, że jest z niej dumny, i to dodawało jej siły woli.

Zrozumiała, że bez jego pomocy nigdy by nie przestała pić. Mogła przetrwać bez alkoholu tylko dlatego, że chciała dzielić z nim łóżko i pragnęła, aby ją pokochał. Czekwała z utęsknieniem na słowa miłości. Sama też chciała je wypowiedzieć - bez pomocy whisky.

Dnie mijały powoli, mijały tygodnie, pszenica dojrzewała na polu.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy Rosie uświadomiła sobie, że już od kilku dni nie myśli o whisky. Ani o paleniu. Cygara przestały jej smakować, kiedy porzuciła picie.

Za to jedzenie, która podawała Lodisha, było wyśmienite. Nawet woda odzyskała swój dawny smak. Słońce nie raziło jej już boleśnie w oczy, nie budziła się otępiała.

Po trzech tygodniach, kiedy wszyscy byli zajęci, Rosie wślizgnęła się do stodoły w poszukiwaniu lusterka Bowiego.

Zebrała się na odwagę i podniosła je do twarzy. Zobaczyła bystre, piwne oczy, rumieńce na opalonych policzkach, różowe usta i błyszczące włosy.

Rosie westchnęła głęboko. Poszła do boksu Ivanhoe'a i przytuliła policzek do jego szyi.

Zwyciężyła demony. Wygrała bitwę.

Kiedy Bowie wrócił z pola następnego dnia, Rosie czekała na niego przy stodole.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział.

- Chcę jechać do miasta - szepnęła. - Muszę pójść do baru Harolda.

Tyle już masz za sobą. - Bowie patrzył na nią zdumiony. -Dlaczego się teraz poddajesz?

- To nie jest tak, jak myślisz - powiedziała Rosie, zaciskając dłonie. - Ja boję się jechać do miasta, czy możesz to zrozumieć? Boję się, że nogi same zaniosą mnie do baru Harolda, że stanę przy bufecie i sięgnę po kieliszek, jak to robiłam setki razy. Ta scena powtarza się w moich snach. - Popatrzyła na niego z prośbą w oczach. - Muszę wiedzieć. Muszę tam wejść, usiąść i powiedzieć sobie: nie. Dopóki nie przejdę tej próby, nie mogę być pewna swojego zwycięstwa.

- To twoja walka - powiedział Bowie po chwili milczenia. -Sama wiesz, jak masz ją prowadzić.

Nie odzywali się podczas drogi do Passion Crossing, ale wyraźnie było widać, jak bardzo spięta jest Rosie. Kiedy Bowie przywiązywał Ivanhoe'a przed barem Harolda, Rosie zeszywniała z emocji, tylko palce jej drżały.

Bowie pomógł jej zsiąść z bryczki i objął ją ramieniem.

- Cokolwiek się stanie... chcę, żebyś wiedziała, że jestem z ciebie dumny, Rose Mary Mulvehey.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, ale Bowie wiedział, że pragnęła czegoś więcej.

Tego, czego nie miał prawa jej dać. Rosie z trudnością przełknęła ślinę. Nie widziała przejeżdżających obok pojazdów, nie usłyszała pozdrowienia wdowy Barnes. Rzuciła niespokojne spojrzenia na drzwi baru.

- Mogę się tam upić do nieprzytomności.

- Możesz, ale nie sądzę, byś to zrobiła.

- Dziękuję, że we mnie wierzysz - szepnęła. - Czasem trzymam się tylko dzięki temu.

Ubrana w ciemną spódnicę i białą bluzkę, z włosami wsuniętymi pod słomkowy kapelusz, wyglądała ślicznie i o dziesięć lat młodziej, niż kiedy Bowie zobaczył ją po raz pierwszy.

- Jesteś gotowa? - spytał, patrząc w jej błyszczące od

łez oczy.

Rosie zamrugnęła gwałtownie i wzięła go pod ramię. Weszli do baru. Poczuli zapach whisky, zobaczyli rzędy błyszczących kieliszków.

U Harolda została już tylko jedna barmanka. Początkowo nie poznała Rosie, po chwili jednak uśmiechnęła się do niej. Kilku mężczyzn grało w karty, dwóch poganiaczy bydła opierało się o kontuar, ale jedynym stałym bywalcem przy barze był Acey James. Uśmiechnął się do nich i wykonał zapraszający gest.

- Miło na ciebie popatrzeć, Rosie! Od dawna cię nie widziałem.

- Witam, panie James - powiedziała z uśmiechem Rosie, -Jestem teraz szacowną mężatką. Myślę, że chciał pan nazwać mnie panią Stone.

- Właśnie tak było, pani Stone. Nie miałem nic złego na myśli.

Acey przesunął wzrokiem po jej kapeluszu, rękawiczkach i ciemnej spódnicy.

- Jestem tego pewna. Czasy się zmieniają – powiedziała łagodnie. - Ludzie też.

Bowie poprowadził ją do stolika i podał krzesło. Po raz pierwszy Rosie kazała się nazywać nazwiskiem męża, po raz pierwszy żądała szacunku, na który, jak przedtem sądziła, nie zasługiwała.

Harold wyszedł zza baru i postawił na stoliku butelkę taniej whisky.

- A co dla pana? - spytał Bowiego.

Rosie oblizwała wargi, wpatrując się w stojącą przed nią butelkę. Bursztynowy płyn zawierał w sobie tyle obietnic. Mocno zacisnęła dłonie.

Bowie widział, jak szybko oddycha, a na czoło występują jej kropelki potu. Zacisnął

dłonie w pięści. Miał ochotę zrzucić butelkę whisky na ziemię i zabrać Rosie z tego baru. Nie mógł jednak tego zrobić. Rosie mogła pójść do przodu albo się cofnąć, decyzję musiała podjąć sama.

Rosie odchyliła się na krześle, wyjęła z rękawa chusteczkę i otarła pot z czoła.

- Napiję się herbaty ziołowej. Albo lemoniady imbirowej - powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem. - Proszę zabrać butelkę.

Bowie rozprostował dłonie. Zdał sobie sprawę, że w trakcie tej rozmowy wstrzymywał oddech.

- Dwie lemoniady, proszę.

- Nie to co zwykle, Ro... pani Stone?

- Tylko to. Nie piję alkoholu.

- Mój Boże! - wykrzyknął Acey. - Słyszycie, chłopcy? Rosie Mulvehey nie pije. -

Patrzył na nią z niedowierzaniem. -I nie pali. Do czego, u diabła, to doprowadzi? Już niczego nie można być pewnym.

- Dobrze się czujesz? - spytał Bowie, widząc, że Rosie patrzy z obrzydzeniem na szklanekę lemoniady.

- Mam wielką ochotę na whisky - powiedziała. - Ciężko mi było odmówić, ale myślałam, że będzie trudniej - powiedziała, biorąc szklanekę do rąk.

Bowie odprężył się. Starał się stworzyć wrażenie, że nie zwątpił w siłę jej woli.

Odchylił się na krześle i wyciągnął przed siebie nogi. Nie lubił barów. Wolał kluby, gdzie można było spokojnie napić się z przyjaciółmi, nie obawiając się, że jakaś awantura wybuchnie za plecami, chociaż i to czasem się zdarzało. Przypominał sobie incydent w klubie oficerskim, kiedy Evan Dugan zaczął wszystko demolować i...

Zmarszczył brwi. To życie już nie powróci. Zakończyło się w sali sądu wojennego.

- Czy słyszałeś, o czym mówili ci poganiacze? - Rosie patrzyła w kierunku bani.

- Nie słuchałem.

Zanim Bo wie zdążył się zorientować, o co chodzi, Rosie już stała przy barze.

- Przepraszam, panowie, czy dobrze zrozumiałam? Chyba nie planujecie przepędzenia stada bydła przez Passion Crossing?

Bowie wstał z westchnieniem od stolika. Rosie bardzo się zmieniła, ale to nadal była Rosie, w jej drobnym ciele kryła się ciągle chęć walki. Stał za nią i spojrzał ostrym wzrokiem na zaganiaczy, którym lubieżne uśmiechy szybko zamarły na ustach.

- Tak, proszę pani, dobrze pani zrozumiała.

- Musicie zmienić trasę. Passion Crossing nie leży na szlaku pędzenia bydła -

powiedziała Rosie, strącając dłoń Bowiego z ramienia. - Nie możecie tędy prowadzić stada. To jest okręg, gdzie uprawia się pola.

- Ja jestem szefem poganiaczy w tym spędie i myślę, że możemy zrobić, co chcemy. Ja i Buck uważamy, że skrócimy drogę o prawie sto trzydzieści kilometrów, jeśli tędy przejdziemy.

Chyba to nie jest pani sprawa.

- Pokażcie mi, którędy planujecie pędzić bydło - powiedziała Rosie, patrząc na nich zmrużonymi oczami. - Narysujcie mi mapę.

Obaj poganiacze wyprostowali się, odsunęli od baru, rzucając groźne spojrzenia na Rosie i na Bowiego. W barze zapanowała cisza. Acey James przysunął się do nich, aby nic nie stracić ze spodziewanej awantury.

- Moja żona spytała o waszą nową trasę, panowie. Czy macie coś przeciwko temu, abyśmy spokojnie porozmawiali o waszych planach?

Poganiacze patrzyli na Bowiego. a zgromadzeni w barze mężczyźni oceniali jego szanse w ewentualnej bójce.

Szef poganiaczy przesunął wzrokiem po sali, a po chwili wzruszył ramionami. Napięcie zelżało.

- Co, u diabła. Chyba możemy pokazać im drogę, o której rozmawiamy.

Zanurzył palec w kieliszku whisky i zaczął rysować nim na kontuarze.

- Tu jest Arkansas, a stąd wypływa Passion Creek. To jest szlak z Teksasu, a to jest stacja węzłowa w Dodge City. A tu Passion Crossing.

Zapach whisky unosił się kusząco znad baru. Rosie zamknęła oczy i zachwiała się na nogach.

- W którym miejscu chcecie zboczyć ze szlaku, chłopcy? - spytała przez zaciśnięte zęby.

Kiedy palec poganiacza znalazł się na wyrysowanej przy pomocy whisky mapie. Bowie zobaczył to, czego powinien się być spodziewać, był jednak zbyt skoncentrowany na Rosie i nie słuchał uważnie. Dopiero kiedy usłyszał, jak Acey James głęboko wciąga powietrze, wiedział, że się nie mylił. Acey odwrócił się i szybko wyszedł z baru.

- Jeśli będziecie tędy pędzić swoje bydło - Bowie wyprostował się na całą wysokość i patrzył na nich zmrużonymi oczami - to zniszczycie zasiewy sześciu rodzin po obu stronach miasta.

- To nie nasza sprawa.

- Lepiej niech to będzie wasza sprawa - warknął Bowie.

Rosie przełknęła ślinę i oderwała wzrok od kieliszka whisky.

- Jak duże jest stado? - spytała, szukając pasa z rewolwerami, którego nie miała na sobie.

- Około siedmuset sztuk. To zależy, ile zagubionych krów zgarniemy po drodze.

Poganiacze odchyłili, jakby od niechcenia, poły kurtek, ukazując pasy z bronią.

- Moja pszenica jest już prawie dojrzała. - Rosie patrzyła pałającymi oczami w twarz najbliższej stojącego mężczyzny. - Rozumiecie? Nie pozwolę takim chłystkom jak wy zniszczyć mojej pracy. Zastrzelę każdą krowę, która się zbliży do mojego pola!

- Czy widziała pani kontrolowany przepęd bydła? - uśmiechnął się poganiacz. - Jeśli uda się pani zastrzelić jednego z naszych byczków, zanim panią strąci, to może go pani wziąć sobie na kolację. Tak właśnie strzela się do pędzącego bydła.

- Tyle pieniędzy zaoszczędzimy, idąc tym szlakiem, że możemy odżałować jedną lub dwie sztuki - powiedział drugi poganiacz.

- Przykro mi, chłopcy. - Bowie wszedł pomiędzy Rosie a poganiaczy. - Nie będziecie pędzić tego stada przez pole mojej żony.

Za tymi słowami kryła się pamięć ciężaru pług, uprzęży, która raniła mu skórę, tygodni pracy w palącym słońcu, udręka patrzenia na więdnące kłosa pszenicy. Widział krwawe pęcherze na dłoniach Rosie i Johna Hawkinsa, który nie był w stanie wyprostować zgiętego grzbietu.

- A kto nam w tym przeszkodzi, kmiotku. Ty?

Bowie usłyszał jakieś głosy, obrócił się i zobaczył kilka nowo przybyłych osób, które Acey sprowadził do barn.

- Słyszeliście, jakie mają plany - zwrócił się do nich. - Czy mamy na to pozwolić?

- Chcesz, żebyśmy stanęli do walki? - spytała wysoka kobieta, trzymająca za rękę dziecko.

- Jeśli nie chcemy stracić wszystkiego, musimy zaprotestować przeciwko temu, aby pędzono bydło, zbacząc ze szlaku. Nie można im pozwolić, aby zniszczyli nasze zbiory tylko dlatego, że chcą zaoszczędzić kilka dolarów. - Bowie popatrzył na zgromadzonych. - Czy zgadzacie się ze mną?

Oni byli farmerami, nie żołnierzami. Unikali jego wzroku.

- Chyba zostałeś sam - powiedział jeden z poganiaczy, uśmiechając się szeroko. - Nigdy jeszcze nie spotkałem kmiotka, który by miał serce do walki.

- Nie potrzebujemy pomocy. - Rosie obróciła się gwałtownie w stronę poganiaczy. —

Jeśli skierujecie bydło na moje pole. to straciecie wiele sztuk! Słyszycie? Nie pozwolę wam zniszczyć mojego pierwszego dobrego zbioru! Nie pozwolę!

- Jeszcze zobaczymy, jak to będzie, młoda damo. Jesteśmy porządni chłopcy, więc damy pani dobrą radę. Niech pani zamknie swoje krowy za cztery dni od dzisiaj, żeby nie zagubiły się w naszym stadzie. Nie chcemy pani robić takiej szkody.

- Jeśli szukacie walki - powiedział Bowie przez zaciśnięte zęby - to ją będziecie mieli.

- Wyprowadził Rosie z barn. -Zacniemy od szeryfa.

- To nam nic nie da. Szeryf nie kiwnie palcem.

Rosie ogarnęło poczucie klęski. Siedemset sztuk pędzącego przed siebie bydła. Jej pszenica nie miała żadnych szans.

Szeryf Gaine siedział na skraju biurka i słuchał ich relacji. Kiedy skończyli, westchnął ciężko.

- Czego pan właściwie ode mnie oczekuje, Stone?

- Chcę, żeby pan pojechał do ich obozu i przypomniał im przepis, mówiący, że nie wolno zbaczać ze

szlaku. Mógłby ich pan też aresztować.

- Mam tylko jednego zastępcę. - Szeryf skierował wzrok na Carla Sandsa, który stał

oparty o ścianę z ironicznym uśmiechem na ustach. - Może udałoby mi się zebrać sześciu ludzi do pościgu, ale zaraz będą żniwa, a ci kowboje nie zrobili jeszcze niczego, żeby można ich było ścigać. Jak do tej pory przechwalali się tylko, że mogą pomóc hodowcy zaoszczędzić kilka dolarów. Może będą pędzić bydło Main Street, a może nie. Dopóki nie skierują stada na prywatną ziemię, nie łamią żadnego prawa.

- Dobrze pan wie, jakie znaczenie mają dla mnie te zbiory! -Rosie wyciągnęła rękę w kierunku aresztanckich cel. - Przez ile nocy słuchaliście, jak miotam przekleństwa na Franka Blevinsa? Teraz mogę mieć dobry zbiór i mogę go pokonać! Czy chce pan powiedzieć, że nic pan nie zrobi, żeby powstrzymać pędzenie tego stada?

Mówiłem już wiele razy: nie można się zemścić na zmarłym.

- Pozwoli pan im zniszczyć moje zasiewy - wołała zrozpaczona Rosie - i zasiewy wielu innych rodzin, zanim pan podejmie jakąś akcję?!

- Pani pola są ogrodzone, prawda?

- Nie wszystkie. Te koło domu nie są zabezpieczone -powiedział Bowie. - Ale to nie stanowi żadnej różnicy. Czy pan myśli, że ogrodzenie z drutu wytrzyma napór pędzącego stada?

- Przykro mi, Stone, ale prawo jest prawem. Mogę wam tylko obiecać, że zajmę się tymi chłopcami, jeśli skierują stado na prywatne pola.

- Wtedy będzie za późno! - Rosie zakryła twarz rękami. -Nie będę miała dość pszenicy na jedną porcję placków!

Kiedy wrócili na farmę, słońce już chyliło się ku zachodowi. Rosie wysiadła z bryczki, podeszła na skraj pola, patrząc na trzy hektary najlepszej pszenicy, jaka kiedykolwiek urosła na tej suchej ziemi.

- Jeszcze tydzień - szepnęła.

Wyjęła ziarno z kłosa i nacisnęła je paznokciem. Kiedy ziarno podda się naciskowi, oznacza, że można rozpoczynać żniwa. Jeszcze się nie poddawało, ale było bardziej miękkie, niż kiedy sprawdzała je poprzednio. Wiedziała, że wystarczy jeszcze kilka dni, aby pszenica dojrzała. Może nawet niecały tydzień. A poganiacze przepędzą bydło przez jej pola za cztery dni.

Nic wtedy nie pozostanie, poza stratowaną słomą.

Była zbyt zrozpaczona, aby móc płakać.

- Czy widziałeś kiedyś przepęd bydła?

- Raz. - Bowie położył dłoń na jej ramieniu. - Ile zbiorów możesz poświęcić, żeby wyjść na swoje?

- Zapomniałam, że nie jesteś farmerem. - Rosie roześmiała się gorzko. - Patrzysz na pole i myślisz, że trzy hektary to jest bardzo dużo. Ja też patrzę i widzę siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt buszli. Potrzebuję każdego ziarna, aby osiągnąć zysk kilku dolarów. Nadeszły już wiadomości o wyjątkowych zbiorach w Iowa i Missouri, a to obniży cenę. Potrzebuję wszystkiego!

- Idź do domu. Za chwilę przyjdę - powiedział zaszepcony Bowie, wkładając ręce do kieszeni.

Przygniatała go rozpacz Rosie. Jego pierwszą myślą było, żeby pojechać do obozu poganiaczy i zmusić ich pod groźbą użycia broni, aby nie zbaczali ze szlaku. Wiedział jednak, że można złożyć każdą przysięgę, patrząc w wycelowaną w siebie lufę. Kiedy tylko wyjedzie z ich obozu, zaczną znowu myśleć o zysku i pędzeniu bydła przez Passion Crossing.

Zerwał kłos pszenicy i wysypał ziarna na dłoń. Wyhodowali je za cenę potu, krwi i łez.

W palącym słońcu, pełni niepokoju i nadziei. Spadające ceny zboża nie martwiły go. Rosie Mulvehey nie będzie musiała martwić się o pieniądze. Postanowił, kiedy tylko powróci do Waszyngtonu, zapewnić jej stały dochód na dostatnie życie. Już nigdy nie będą musiały naradzać się z Lodishą, czy kupić kawę, czy cukier. Rosie będzie mogła kupować, czego tylko zapragnie.

Dom, który nie będzie stał na suchych równinach Kansas, powóz, konie, biżuterię i paryskie suknie, jeśli będzie miała na nie ochotę.

Bowie popatrzył na farmę i błyszczący w świetle gwiazd kamień nagrobny. Rzucił ziarna pszenicy na ziemię.

Rosie nie pragnęła eleganckich ekwipaży ani sukien z Paryża. Chciała jedynie zemsty. O

niczym innym nie mówiła. Aby to osiągnąć, aby się wyzwolić, potrzebowała dobrych żniw.

Bowie skrzyżował ręce na piersi: stał i słuchał, jak kłosa pszenicy szumią w podmuchach wiatru. Ostatnio nie mógł uwolnić się od tego dźwięku, który stale pobrzmiwał

w jego głowie. Nienawidził tego szelestu, bo był on źródłem cierpienia Rosie. Chyba nigdy go nie zapomni, chociaż niedługo stąd odjedzie.

Zbliżały się żniwa i kończył się czas jego pobytu w Gulliver County. Nie obiecywał

Rosie, że zostanie do czasu, kiedy osiągnie ona zyski ze zbiorów. Obiecywał, że zostanie do zbiorów. Do tych żniw.

Myślał o telegramie, który wyśle do prawnika, Alexandra Dubage a, informując go, że żyje, i uprzedzając o terminie powrotu do Waszyngtonu. Uważał, że lepiej będzie, jeśli Dubage przekaze te wiadomości Susan i senatorowi, niż gdyby otrzymali list od człowieka, którego uważali za zmarłego. Będą wściekli, że pozwolił im przez tyle miesięcy wierzyć w swoją śmierć. Nie spodziewał się

miłego powitania.

Susan będzie nim pogardzać, nie zniesie myśli o tym, że popełnił bigamię. Najbardziej bolał go fakt, że ojciec niewątpliwie uznał śmierć przez powieszenie za właściwą karę dla syna.

który zhańbił nazwisko rodziny.

Pozostała jeszcze Rosie, której miłość do niego przejawiała się w każdym uśmiechu i w każdym spojrzeniu. Odważna, silna Rosie, która zdecydowała się na to, aby zaufać mężczyźnie i zaczynała odzyskiwać wiarę w siebie.

Kiedy myślał o tym, że będzie musiał się z nią pożegnać, czuł ucisk w piersiach. Rosie Mulvehey natchnęła go chęcią do życia, do wstawania rano na spotkanie nadchodzącego dnia.

Jeśli miał ją teraz zostawić, to lepiej by było, żeby nie wybawiła go wtedy od szubienicy.

Teraz znowu ją skrzywdzi. Krzywdził ją za każdym razem, kiedy poddawał się własnej słabości i szedł z nią do łóżka.

Mógł sobie tłumaczyć, że nauczył ją czerpania radości z obcowania z mężczyzną i że to przeważało ciężar mającej nastąpić zdrady. Był to jednak argument tchórza i pogardzał sobą za wysuwanie takich racji. Brał Rosie do łóżka, ponieważ pożądał jej tak, jak nigdy jeszcze nie pragnął żadnej kobiety. Z powodu swojej słabości pogorszył jeszcze sytuację, która od początku była niezwykle trudna.

- Niech to jasny szlag trafi!

Rosie zasługiwała na to, aby kochać ją całym sercem, dawać jej tyle, ile ona sama ofiarowywała. Zasługiwała na mężczyznę, który miał przyszłość przed sobą, mężczyznę, któremu mogłaby w pełni zaufać. Bowie mógł jej dać tylko cierpienie.

Sam widział przed sobą tylko pustkę. Nie mógł być w kawalerii, więc nie było dla niego przyszłości. Nie miał żadnych celów przed sobą. Myślał tylko o dniu dzisiejszym. Nie dbał o nic.

W tej chwili najważniejsza była Rosie, Jej cierpienie stało się jego cierpieniem.

Zaczynał żałować, że przestała pić. Whisky mogłaby jej pomóc w ciężkich chwilach, które ją czekały.

Rosie miała tylko jedno pragnienie - zebrać żniwo ze swoich trzech hektarów. Nie wymagała wiele, Bowie czuł, że musi znaleźć sposób, aby dać jej to na pożegnanie.

Mówisz, że powinniśmy napełnić worki żwirem ze strumienia i zbudować barykadę? -

spytał John Hawkins, pijąc powoli kawę z kubka.

- Tu jest nasz najsłabszy punkt - powiedział Bowie, kładąc na stole kartkę papieru. -

Chodzi mi o ten hektar koło domu. Ogrodzenie na reszcie pola powinno wytrzymać.

- Wytrzyma napór pędzącego stada, kapitanie? - czarne oczy Lodishy wyrażały powątpiewanie.

- Masz rację. - Rosie patrzyła uważnie na mapę, którą narysował Bowie. - Gdybym była poganiaczem, to popędziłabym stado przez najbardziej dogodne miejsce. Część naszego ogrodzenia jest z drutu, a część z żelaznych prętów. Po co mieliby ryzykować, że byłoby się pokaleczy, kiedy mogą ominąć ogrodzenie i przepędzić je tędy. - Rosie wskazała leżące przy domu pole. - Tu nie napotkają żadnych przeszkód.

- Jeśli założymy, że poganiacze mówili prawdę, to mamy trzy dni na zbudowanie barykady.

Rosie spojrzała na niego z wdzięcznością. Jej niebieskie oczy błyszcząły w opalonej twarzy.

- Nie wiem, czy twój plan się powiedzie, ale przynajmniej bodziemy mieli coś do roboty, zamiast czekać beczynn timer na to, co się zdarzy - powiedziała, marząc o kieliszku whisky.

Od wielu lat nie stawiała czoła kłopotom na trzeźwo, bez pomocnej flaszki.

- Musimy najpierw pomyśleć o tym, skąd zdobyć worki - powiedziała Lodisha, sprząając ze stołu.

- Jest trochę worków na strychu - odezwał się John Hawkins. - Ale o wiele za mało.

- Na początek będzie dosyć - wtrąciła Lodisha. - Ja też mogę uszyć trochę worków ze starych ubrań. Ale nie wystarczy ich na hektar. Jak sobie wyobrażasz tę barykadę, kapitanie?

- Powinna być wysoka na metr.

- Ho, ho. Na to trzeba będzie worków z całego Gulliver County.

W kuchni zaległo milczenie. Wszyscy wiedzieli, że jest to beznadziejne przedsięwzięcie.

- Kiedy zabraknie nam worków, możemy zrobić barykadę z drewna - zauważyła Rosie, -

Jeśli będzie trzeba, to zetniemy topole.

- Czy jesteśmy zgodni, że będziemy robić wszystko, co możliwe? - spytał Bowie.

- To jest dobre - przemówił John Hawkins w imieniu wszystkich domowników. - Nawet daremny wysiłek jest lepszy niż niepodejmowanie wysiłku.

Rosie zerwała się od stołu i położyła rękę na ramieniu Bowiego.

- Przebiorę się w spodnie i pójdę z tobą kopać żwir przy księżycu.

Pracowali do trzeciej nad ranem, wykopując mokry żwir z dna strumienia i składając go na brzegu. Po krótkim śnie i dobrym śniadaniu, które przygotowała Lodisha, zaczęli napępniać worki, które były

w stodole i te, które Lodisha zdołała uszyć w nocy.

Wkrótce okazało się, że tymi workami mogą ogrodzić najwyżej trzydzieści metrów.

Praca też posuwała się powoli. Lodisha trzymała otwarty worek, a Rosie sypała do niego żwir.

potem John Hawkins dowoził go taczka Bowiemu, który budował barykadę. Do południa zdążyli zużyć wszystkie worki.

Po południowym posiłku Rosie zdjęła wszystkie pudełka z półki i zaczęła liczyć monety.

- Czy masz jeszcze jakieś pieniądze z kufra Blevinsa? - zwróciła się do Bowiego, a on podał jej kilka dolarów. Rosie włożyła pieniądze do kieszeni. - Jadę do miasta. Kopcie dalej żwir.

Rosie nabyła pociski do swojego rewolweru i wykupiła wszystkie worki ze sklepu pani Hodge. Wywiesiła też kartkę w oknie sklepu, że gwałtownie poszukuje worków i później za nie zapłaci.

- Ależ pani wStone. Po co pani tyle worków? - Pani Hodge dyskretnie odwracała wzrok od brudnej koszuli i spodni Rosie.

Wszyscy mówili, że Rosie jest zupełnie odmieniona, ale pani Hodge nie widziała oznak tej przemiany. Rosie nadal ubierała się jak mężczyzna i wyprawiała dziwne rzeczy. Teraz przysły jej worki do głowy. Coś takiego!

- Budujemy barykadę, pani Hodge - wyjaśniła Rosie. - Aby zatrzymać to stado bydła.

W każdym razie próbujemy to zrobić.

A więc te worki nie były nowym szeileństwem Rosie, pomyślała pani Hodge. Miała być z nich barykada, która ocali zbiory. Wyrzała przez okno, patrząc na stosy worków na wozie Rosie.

- Ile pola chcecie ogrodzić?

- Hektar. Ile jestem pani winna?

- Hektar? - Pani Hodge patrzyła na nią z niedowierzaniem. -W całym Gulliver County nie starczy worków ani żwiru do ogrodzenia hektara.

- Nie chcemy grodzić wszystkiego. Chcemy tylko osłonić zewnętrzną granicę.

- Ma pani jakąś pomoc?

- Mam możliwie najlepszą pomoc. Mojego męża, Johna Hawkinsa i Lodishę. Proszę, pani Hodge. Spieszę się.

- Potrzebuje pani więcej worków, więcej czasu i więcej pomocy. Pani plan może się nie powieść, pani Stone.

- Musimy spróbować - powiedziała Rosie, ale w jej oczach można było wyczytać, że dobrze zdaje sobie sprawę z sytuacji. - Nie możemy pozwolić, aby kilku poganiaczy zniszczyło nam płony. Musimy się temu przeciwstawić.

- Wydaje mi się, że ta walka nie tylko pani dotyczy. Jeśli bydlę przejdzie przez pani farmę, to stratuje również inne pola.

- Proszę. - Rosie położyła pieniądze na ladzie. - Jeśli to nie wystarczy, to proszę dopisać resztę do mojego rachunku. Zapłacę, kiedy będę mogła.

Pani Hodge stanęła przed sklepem, patrząc, jak Rosie przejeżdża obok baru Harolda, nie rzuciwszy nawet okiem w tamtym kierunku.

- Biegnij do kuźni burmistrza Billa - powiedziała do córki - i powiedz mu, że twoja matka chce, aby wszyscy mieszkańcy zebrali się w ratuszu przed zachodem słońca- Niech to rozgłosi.

Jeśli stary Bill będzie się opierał, to powiedz mu, że wszystkie sklepy w Passion Crossing czeka bankructwo, jeśli farmerzy nie będą mieli pieniędzy, a farmerzy nie będą mieli pieniędzy, jeśli nie będą mieli zbiorów. Leć szybko. Krowy są już blisko, a to zagraża nam wszystkim. Nie wszyscy o tym pomyśleli albo boją się walczyć. Musimy ich kopnąć w tyłek! Ruszaj, dziewczyno!

Owls Butte, Wyoming

Burmistrz stał za stołem, spoglądając na nabitą po brzegi salę. Obok niego siedziało dwóch członków rady miejskiej. Patrzyli na idącą między rzędami ławek Susan. Burmistrz Mercer wskazał jej miejsce przy swoim stole.

- Wszyscy wiemy, po co tu jesteśmy - rozpoczął burmistrz. - Nasza nowa nauczycielka, pani Stone, chce zwrócić się do rady z wnioskiem, aby szkoła była otwarta przez całe lato. - Po tych słowach rozległy się liczne głosy protestu. - Posłuchajmy najpierw, co nam powie pani Stone. Potem możemy wysłuchać głosów sprzeciwu.

Susan miała spocone dłonie, serce jej podchodziło do gardła. Przecież rada miejska już powzięła decyzję. Nie musiała wcale tu przychodzić i znosić męki przemawiania publicznie.

- Prosimy panią.

Susan dotknęła drżącą ręką bukietka, przypiętego do klapy kostiumu. Nie miała odwagi spojrzeć na zgromadzonych, aby odszukać wśród nich Greshama.

Siedziała przy stole, z trudem przełykając ślinę, i wygładzała kartkę papieru ze swoim przemówieniem. Zaczęła je czytać zdławionym szeptem, zupełnie jak Eddie w czasie wizytacji pani Winters.

- Nic nie słychać! - krzyknął ktoś z tyłu sali.

Susan oblizwała wargi i nagłośniła trochę swój szept.

- Głośniej!

Nie musiała czytać głośniej, ponieważ już skończyła swoją przemowę. Kiedy podniosła głowę, aby spojrzeć na mężczyzn, którzy zasiadali w radzie, i zobaczyła ich znudzone twarze, wiedziała, że będą głosować tak, jak z góry zdecydowali.

Poniosła całkowitą klęskę. Dzieci z Owls Butte przez dwa lata nie chodziły do szkoły.

Miały ogromne braki, które jeszcze się pogłębią w ciągu lata. Widziała teraz przed sobą poważne buzie swoich siedmiu uczniów. Tak bardzo chcieli czegoś się nauczyć, nawet Eddie. A nie będą mieli tej szansy.

Susan zagryzła wargi i popatrzyła uważnie na członków rady miejskiej. Nie zdawali sobie sprawy, że ona zakończyła już swoje wystąpienie. Miała jeszcze czas, aby ich przekonać, jeśli jej się to uda.

Ogarnęła ją nagła złość. Zamykanie szkoły było błędem. Mieszkańcy Owls Butte powinni przynajmniej wiedzieć, jak bardzo taką decyzją krzywdzą swoje dzieci.

Zerwała się na nogi. Zarumieniona, przekonana o słuszności sprawy, spojrzała na swoje audytorium bez strachu.

- Wiem, że chcecie mieć dzieci w domu, aby wam pomagały w licznych obowiązkach -

zaczęła tak głośno i wyraźnie, że słycać ją było w najdalszych ławkach. - Ale czy pomyśleliście o tym, jaki ta trzymiesięczna przerwa będzie miała skutek dla waszych dzieci? Zapomną wszystko, czego nauczyły się przez ostatni miesiąc, tak jak zapomniały prawie wszystko z tego, czego nauczyły się dwa lata wcześniej!

Wierzyła w swoje słowa i ta wiara dodawała jej sił. Stała przed pierwszym rzędem ławek, patrząc na siedzących tam ludzi.

- Dzieci z County Creek wyprzedzają w nauce nasze dzieci o dobrych kilka lat. To znaczy, że dzieci z County Creek są lepiej wyposażone, aby móc odnieść sukces w życiu, niż nasze dzieci. Czy tego chcemy? Czy chcemy postawić nasze dzieci na straconej pozycji?

W sali panowała cisza. Obecni wymieniali między sobą niespokojne spojrzenia.

Atmosfera uległa zmianie.

- Pani Adler - powiedziała Susan, kiedy dostrzegła w tłumie zdumioną twarz swojej przyjaciółki. - Czy pani wie, że Hettie ma duże zdolności do arytmetyki? Niestety, nie uczyła się jej prawie wcale. Gdyby Hettie umiała dobrze liczyć, nie musiałaby tylko sprzątać i zmieniać pościeli w hotelu. Mogłaby prowadzić księgi rachunkowe, zajmować się pani budżetem, prowadzić rejestrację klientów i pobierać od nich opłaty. Hettie chciałaby pracować w rachunkowości, ale teraz nie może tego robić. Nie ma potrzebnych do tego podstaw.

Susan zwróciła się do burmistrza.

- Musiałam ukarać pana syna, ponieważ nie chciał przeczytać wypracowania. Czy pan wie, dlaczego odmówił mojej prośbie? Ponieważ on nie umie czytać. Eddie jest zdolnym chłopcem, który chciałby zostać lekarzem. Ale nie umie czytać! Lata mijają i wkrótce okaże się, że jest już za późno, aby Eddie mógł spełnić swoje marzenie. Będzie musiał wybrać zawód, który nie wymaga umiejętności czytania. Na myśl o tym odczuwam ból serca. A pan nie?

Susan szła wzdłuż ławek, zwracając się bezpośrednio do rodziców swoich uczniów, patrząc w ich zdumione twarze, kiedy wyjaśniała, jak niewiedza ich dzieci przekłada się na praktykę.

- Tylko jeden z moich siedmiu uczniów wie, dlaczego będziemy w przyszłym tygodniu obchodzić święto Czwartego Lipca - mówiła żarliwym tonem. - Czy tego właśnie chcecie? Czy chcecie, aby wasze dzieci były nieukami? - Przebiegła wzrokiem całe audytorium. - Wszyscy macie dzieci, ale wielu nie ma w mojej klasie. Odbierając swoim dzieciom prawo do nauki, godzicie się na to, aby były nieukami i nie mogły mierzyć się z tymi, które zdobyły wykształcenie. Czy w ten sposób mamy podbijać i cywilizować Zachód? Przy pomocy nowego pokolenia, które nie potrafi przeczytać umowy dzierżawnej ani kuchennego przepisu? Przy pomocy naszych synów i córek, którzy nie

potrafią policzyć zysków i strat?

Susan odnalazła wzrokiem Greshama, który stał oparty o ścianę i uśmiechał się do niej.

- Jeśli chcecie przekazać to, co zdobyliście, w ręce wykształconego pokolenia, to apeluję do was, abyście nie zamykali szkoły i przysyłali tam swoje dzieci. Jeśli nie będą mogły chodzić pięć dni w tygodniu, to przyslijcie je na trzy dni albo kiedy to będzie możliwe. Dzieci z Owls Butte mają takie braki, że każdy dzień nauki przyniesie im korzyść. Błagam was, nie skazujcie swoich dzieci na to, aby rozpoczynały życie ze straconych pozycji. Niech mają możliwość rozwijania swoich talentów!

Susan stała przed rzędami ławek, jej niebieskie oczy rzucały błyskawice. W sali panowała cisza, a ona przesuwiała wzrokiem po twarzach wszystkich zebranych. Wreszcie wróciła do stołu, zaciskając drżące z emocji dłonie.

Burmistrz Mercer obrzucił ją ostrym wzrokiem.

- Mój syn powiedział, że został ukarany, ponieważ nie chciał głośno czytać.

- Pana syn prawie nie umie czytać. Inne dzieci śmieją się z niego.

- Nie powinniśmy zamykać szkoły! - rozległ się jakiś głos, który brzmiał jak głos Greshama Harte'a.

Jego okrzyk przerwał ciszę. Teraz odzywano się ze wszystkich stron.

- Cholerny wstyd, że nasze dzieci nie mogą....

- Bez wykształcenia mój chłopak nie...

- Znaleźli wreszcie nauczycielkę i chcą zamknąć szkołę. To już szczyt wszystkiego!

Ruszyła lawina argumentów. Bez wykształcenia każdy da się oszukać jakiemuś wygadanemu oszustowi. To skandal, że dzieci z County Creek są bardziej zaawansowane w nauce niż dzieci z Owls Butte. Kiedy jakiś pojedynczy głos zaprotestował przeciwko wydatkom na nauczycielkę przez dodatkowe trzy miesiące, natychmiast został zakrzyczany.

Burmistrz Mercer popatrzył na siedzących przy nim członków rady. Nie musieli się już naradzać. Pani Stone wygrała tę bitwę. Szkoła będzie otwarta przez całe lato.

Kiedy zebranie dobiegło końca, Susan przeszła między ławkami z wysoko podniesioną głową. Gratulowano jej zewsząd, klepano po ramieniu i zachęcano do dalszej pracy. Stojący przed ratuszem ludzie otoczyli ją, zadając pytania i wyrażając wdzięczność, że zechciała zamieszkać w Owls Butte.

Dochodziła północ, kiedy Gresham poprowadził ją wreszcie w kierunku hotelu.

- Kto przywiózł panią do miasta? - spytał.

- Pani Adler - odpowiedziała, oszołomiona swoim sukcesem.

Więc mieszkańcy Owls Butte mogli patrzeć na nią z podziwem i darzyć ją szacunkiem nie dlatego, że była synową senatora i żoną kapitana, ale dlatego, że była sobą, nauczycielką, która mogła wykształcić ich dzieci. Po raz pierwszy w życiu Susan Stone okazywano szacunek tylko dlatego, że była sobą.

Susan nie pamiętała, jak to się stało, ale zapadło postanowienie, że to Gresham odwiezie ją do domu. Siedziała w bryczce, trzymając Nate'a na kolanach, i ponownie przeżywała swoje zwycięstwo, starając się przypomnieć sobie to, co mówiła mieszkańcom Owls Butte. Ale odczuwała wtedy zbyt silne podniecenie, aby to dokładnie wszystko pamiętać. Mówiła prosto z serca.

Gresham wniósł śpiącego Nate'a do baraku i ułożył go na łóżku za kotarą z prześcieradeł, kiedy Susan zapalała lampy.

- Może podgrzeję trochę kawy - zaproponowała, żalując, że ten wspaniały wieczór już się kończy.

- Jest już późno, a ja jadę teraz na moją parcelę. Chcę tam popracować jutro od samego rana.

Susan była zawiedziona. Tak bardzo chciała porozmawiać z nim o sukcesie, który odniosła tego wieczoru. Wyszła z Greshamem na ganek, wdychając z rozkoszą chłodne powietrze. Niebo rozjaśnione było gwiazdami.

- Dziękuję za radę, panie Harte. - Susan dotknęła jego ramienia. - Kiedy zaczęłam mówić prosto z serca, wszystko się odmieniło.

- Byłem z pani dumny. Była pani wspaniała – powiedział Gresham, patrząc na jej ożywioną twarz.

Stali na ganku i patrzyli sobie w oczy. Po chwili Gresham wziął ją w ramiona i pocałował

w usta. Tak właśnie wyobrażała sobie Susan jego pocałunek, delikatny i czuły, pełen powstrzymanej namiętności.

- Dobry Boże. To są najśłodsze usta świata - powiedział.

Przyciągnął ją znowu do siebie i całował z większą namiętnością, trzymając silnie w ramionach. Susan zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła oddawać pocałunki.

- Bardzo mi przykro, pani Stone - powiedział, uwalniając

ją wreszcie z uścisku. - Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ja,..

Zbiegł szybko ze schodków, potykając się na ostatnim stopniu.

- Proszę mi wybaczyć. Zachowałem się jak smarkacz -

dodał, idąc szybkim krokiem w kierunku bryczki.

Dobry Boże. Pocałował ją. Dwa razy. I nie mógł się od niej oderwać. Pragnął zamknąć ją w

ramionach, zanieść na łóżko i kochać się z nią.

Zatrzymał się przy bryczce i rzucił okiem na ganek. Stała tam w kręgu światła, przyciskając palce do warg. Patrzyła za nim z uśmiechem, tym dziwnym uśmiechem kobiet, którego nigdy nie potrafił odczytać. Światło stojącej z tyłu lampy podkreślało uwodzicielskie zarysy jej drobnego ciała.

Gresham zaklął, kopnął koło bryczki, a po chwili zawrócił i stanął przed gankiem.

- Czy pojedzie pani z Nate'em i ze mną nad jezioro, na obchody Czwartego Lipca?

- Tak.

Susan dotknęła bukietka przy klapie kostiumu, a on patrzył na zarys jej piersi.

Uśmiechnęła się do niego znowu tym tajemniczym uśmiechem. Ledwie się powstrzymał, aby nie wskoczyć na ganek i nie pocałować jej znowu.

Przygotuję koszyk na piknik - powiedziała.

- Dobrze - zgodził się, mając niemiłe uczucie, że przyjąłby każdą jej propozycję.

Patrzyli na siebie, dopóki Gresham nie zorientował się, że albo musi natychmiast odejść, albo wbiegnie na schodki i...

- Dobranoc.

- Dobranoc, panie Harte.

Gresham siedział zgarbiony na bryczce, nie kierując koniem, który sam wyszukiwał drogę.

Był zgubiony. W tej samej chwili, kiedy jej drobne ciało znalazło się w jego ramionach, wiedział

już, że od wielu tygodni marzył o tym pocałunku, który był tak podniecający, jak się spodziewał i obawiał jednocześnie.

Ona nie umiała gotować, nie umiała prać ani prasować. Nie miała najmniejszego pojęcia o tym, jak się buduje dom, łowi ryby, dba o zwierzęta domowe. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby potrafiła ukręcić kurze łebek i ugotować ją na kolację.

Ale Susan Stone była odważną kobietą. Znalazła się wśród wrogiego audytorium, była przerażona i nie wierzyła, że ma jakiekolwiek szanse. Mimo to potrafiła dotrzeć do nich wszystkich i otworzyć im oczy. Była wspaniała, kiedy z pasją wykladała swoje racje, chodząc między ławkami. Gresham, podobnie jak wszyscy inni, nie mógł oderwać od niej wzroku.

Chociaż myśl ta niegodna była dżentelmena, zaczął się zastanawiać, czy w innych dziedzinach wykazywała taką samą żarliwość.

Westchnął głęboko, potrząsając głową. Niech Bóg go ma w swojej opiece.

Rzeczywiście starał się o jej względy.

- Greshamie Harcie, jesteś idiotą - powiedział głośno.

Wiedział jednak, że serce nie kieruje się rozumem. Ze swojej praktyki prawniczej wyniósł

doświadczenie, że kiedy chodziło o podpisanie kontraktu albo o kobietę, mężczyźni zawsze skupiali uwagę na niewłaściwych rzeczach.

Ale gdy podnosiła na niego swoje niebieskie oczy i uśmiechała się, czuł, że przybywa mu wzrostu. Jej usta były słodkie jak brzoskwinie w środku lata, a włosy miękkie i pachnące.

Jego pierś uniosła się w głębokim westchnieniu. Pocałował ją i nie będzie mógł o tym zapomnieć. Nie było już dla niego ratunku.

W wodzie jeziora McCairn odbijały się szczyty odległych gór, zmieniając swój kształt, kiedy jezioro falowało w podmuchach lekkiego wiatru. Topole i wierzby osłaniały jego północny brzeg, a na południu, przy zarośniętym drzewami cyplu, dzieci brodziły w wodzie i pływały. Z

drugiej strony cypla od pomostu odbijały liczne żaglówki i łodzie wiosłowe. Mnóstwo dzieci bawiło się również na trawie. Mężczyźni rzucali podkowy, a kobiety gromadziły się dokoła stołów z napojami i przekąskami, gdzie demonstrowały swoje ręczne robótki. Przemówienia z okazji Święta Niepodległości miały rozpocząć się o piątej, ze wzniesionej dla orkiestry i udekorowanej chorągiewkami estrady. Po zapadnięciu ciemności miał być pokaz sztucznych ogni.

Prawie wszyscy mieszkańcy Owls Butte oraz trochę przybyszów z County Creek bawiło się i odpoczywało nad jeziorem. Znajomi wymieniali pozdrowienia, częstując się ochłodzonym w wodach jeziora jabłecznikiem lub lemoniadą.

Susan osłoniła oczy od słońca, starając się wypatrzeć Nate'a wśród bawiących się dzieci.

Kiedy zobaczyła, że stoi obok estrady i patrzy na starszych chłopców grających w kulki, powróciła do obserwacji gry w krykieta. Zwycięzcą był Gresham, który uniósł swój słomkowy kapelusz i uśmiechnął się do niej.

- Gresham Harte jest w porządku - powiedziała Henrietta Winters, podchodząc do Susan.

- Mogła pani trafić o wiele gorzej - dodała.

- Zjadł wszystko, co przygotowałam na piknik - pochwaliła się Susan.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Gresham otworzył koszyk i widząc spalone na węgiel kawałki kurczaka, zaczął ją przekonywać, że lubi dobrze wypieczony drób. Potem wychwalał jej jajka na twardo, chociaż nawet ona wiedziała, że ugotowanie jajka na twardo nie jest żadną sztuką.

Kiedy zaczął się zachwycać jej wodnistą, przesłodzoną lemoniadą, Susan spojrzała mu w oczy i już wiedziała, że Gresham się w niej zakochał.

Natychmiast niebo stało się bardziej niebieskie, trawa bardziej zielona, kwiaty na łące bardziej kolorowe i wiedziała już, że jest to najpiękniejszy dzień w jej życiu.

Gresham Harte, który był wykształcony, dobrze wychowany, rozsądny i uparty. Gresham Harte, który był przystojny, nosił okulary, który przyprawiał ją o szybsze bicie serca. Gresham ją kochał.

Susan patrzyła z uśmiechem na łódki na jeziorze i myślała o tym, kiedy Gresham uświadomi sobie, że ją kocha. Ona też go kochała.

- Jestem ogromnie zadowolona z tego, co udało się pani osiągnąć w tak krótkim czasie -

powiedziała Henrietta Winters, kiedy szły w stronę jeziora. - Chciałabym, żeby pani wystar-towała w wyborach na kuratora okręgu.

- Ja? - Susan zatrzymała się nagle. - Przecież jest wielu bardziej ode mnie doświadczonych nauczycieli, którzy mogą przyjąć tak odpowiedzialne stanowisko!

- Mówię o dalszej przyszłości - roześmiała się Henrietta -za cztery lub pięć lat.

Wspomniałam o tej możliwości, żeby pani już zaczęła interesować się administracją.

Susan patrzyła, jak Eddie Mercer wraz ze starszymi chłopcami mknie żaglówką po jeziorze, i usiłowała wyobrazić sobie siebie w roli Henrietty Winters.

- Uczyniła pani niesłychane postępy, Susan. Nabrała pani wiary w siebie i jest pani dobrą nauczycielką. I to w niewyobrażalnie krótkim czasie. Jest pani teraz zupełnie inną osobą. Nawet chodzi pani inaczej.

- Chodzę inaczej? - roześmiała się Susan.

- Tak. Chodzi pani z podniesioną głową i patrzy ludziom w oczy.

Susan wiedziała, że zaszły w niej pewne zmiany. A teraz potwierdzał to bezstronny obserwator.

- Zapracowała pani na szacunek, którym darzy panią społeczność O wis Butte.

Spotykani na ulicy mężczyźni uchylali kapeluszy na jej widok, kobiety witały ją serdecznie i wciągały do rozmowy. Słyszała nawet, jak właścicielka sklepu mówiła z dumą do obcego przybysza: „To jest pani Stone. nasza nauczycielka”.

- Pan Dubage, mój adwokat z Waszyngtonu, przysyła mi masę książek na temat nauczania

- powiedziała Susan z uśmiechem. - Ale nadal bardzo niewiele umiem.

- Naucz się pani. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Przyjechałam do Owls Butte w najgorszym momencie swojego życia - powiedziała Susan, obserwując wznoszący się w niebo latawiec. - Czułam się porzucona i niewiele warta.

Nie wyobrażałam sobie, że mogę przetrwać bez pomocy mężczyzny. Gdyby nie Nate, mogłabym popełnić jakieś głupstwo. -Susan wstrząsnęła się na myśl o przepłakanych wtedy nocach. -Kiedy pierwszego dnia spojrzałam z ganku pani Adler na Main Street, pomyślałam, że Owls Butte jest najbrzydszym i najokropniejszym miastem świata. Uważałam, że tutejsi ludzie są prymitywni i chamscy. Chciałam uciec stąd jak najszybciej.

Henrietta uśmiechnęła się, nie komentując wyznania Susan.

- Zupełnie nie miałam racji. Tutejsi ludzie są dobrzy, uczciwi i pracowici. Jestem dumna, że zdołałam pozyskać ich przyjaźń. Teraz widzę dobre strony Owls Butte i wiem, że z czasem miasto zupełnie się ucywilizuje.

- Czy tęskni pani za bardziej wyrafinowanym towarzystwem?

- Początkowo bardzo mi tego brakowało. Ale teraz jestem w pełni zadowolona ze swojego życia. Gdyby żył mój mąż i gdybym prowadziła dawny tryb życia, nigdy nie poznałabym prawdziwie swojego syna.

Susan straciła teraz Nate'a z oczu, ale nie martwiło jej to. Mieszkańcy Owls Butte mieli baczenie na wszystkie dzieci.

- Mam poczucie, że robię coś pożytecznego - mówiła dalej Susan. - Mogę przyczynić się do tego, aby moi uczniowie mieli lepsze życie. Zarabiam na siebie. Dawniej, kiedy budziłam się rano, nie wiedziałam, czym zappełnić godziny do czasu, kiedy zaczynało się życie towarzyskie.

Teraz budzę się o świcie i nie marnuję ani chwili dnia. O dziesiątej jestem już bardzo zmęczona, ale jest to dobre zmęczenie. Wiem, że dokonałam czegoś albo się czegoś nowego dowiedziałam.

Susan zmarszczyła brwi. Bardzo chciałaby się dowiedzieć, dlaczego nie może otrzymać świadectwa zgonu Bowiego, które było konieczne do załatwienia spraw spadkowych. Passion Crossing albo nie odpowiadało na jej ponaglenia, albo przysyłało niczego nie wyjaśniające telegramy.

Nagle podbiegła do nich Hettie Adler z dwiema młodszymi dziewczynkami.

- Mama mówi, że możemy popływać po jeziorze, jeśli pani weźmie nas do łodzi. Bardzo panią prosimy, pani Stone.

- Zgodzę się, jeśli pani Winters pomoże mi wiosłować -powiedziała Susan, uśmiechając się do Henrietty.

Dziewczynki zaczęły protestować, one chciały, tak jak chłopcy, popłynąć żaglówką, ale Susan potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mam pojęcia o żeglowaniu. Wydaje mi się, że to nie jest bezpieczne.

Wiał sprzyjający wiatr i żaglówki śmigały po jeziorze z wielką szybkością.

Susan i Henrietta wybrały stabilną łódź, pomogły wsiąść dziewczynkom i chwyciły za wiosła. Jeszcze nie tak dawno temu Susan nie przyszłoby do głowy, że mogłaby znaleźć się w łodzi bez mężczyzny, który zająłby się wiosłowaniem. Okazało się, że nawet na pikniku mogła nauczyć się czegoś nowego.

Kiedy dopłynęły do boi, które wyznaczały tory do wyścigów żaglówek, odłożyły wiosła i pozwoliły, by łódź unosiła się z prądem. Siedziały, chroniąc się parasolkami przed słońcem i wymieniając pozdrowienia ze znajomymi z innych łódek. Odpłynęły już dość daleko od brzegu.

Susan nie mogła rozpoznać Nate'a wśród bawiących się dzieci. Wydawało się jej, że widzi Greshama koło stojących bryczek, ale nie była tego pewna.

Był piękny dzień, najpiękniejsze Święto Niepodległości, jakie Susan pamiętała i jakiego nigdy nie zapomni.

Przepęłniało ją ciche poczucie szczęścia. Jej ukochany Nate był zdrowym, wesołym dzieckiem, a ona sama, po raz pierwszy w życiu, zaczynała nabierać wiary w siebie. Otoczona była ludźmi, którzy ją poważali i lubili. A Gresham Harte ją kochał. Przyszłość już nie była przerażająca, tylko pełna radosnych obietnic.

Nagle, w jednej straszliwej chwili, wszystko uległo zmianie.

To zdarzyło się tak szybko, że później nie mogła sobie przypomnieć dokładnej kolejności wydarzeń. Pamiętała, że Henrietta złapała ją nagle za ramię, a Hettie wołała, że ich łódź

znalazła się poza granicą wyznaczoną przez boje.

Kiedy Susan opuściła parasolkę, zobaczyła, że dwie żaglówki pędzą w ich kierunku. Nie było już czasu na ucieczkę. Żaglówka Eddiego Mercera uderzyła w dziób ich łodzi, a Jimmy'ego Cathcarta w rufę.

Susan znalazła się w wodzie, przemoczona spódnica i kilka halek ciągnęły ją do dna.

Udało jej się nadludzkim wysiłkiem wychylić głowę nad powierzchnię. Usłyszała wołania o pomoc. Zobaczyła tylko zaplątaną w żagiel Hettie Adler.

Susan nie pamiętała nawet, dowiedziała się tego później od pani Adler, że wypłatała Hettie z lin ożaglowania i przepłynęła z nią prawie kilometr do brzegu. Nie pamiętała również, że zrzuciła buty i spódnicę i wróciła na miejsce wypadku. Stała w wodzie, podtrzymując Ellen Marsh, dopóki nie nadeszła pomoc.

Ojciec Jimmy'ego Carthcarta przyplłynął łodzią, wziął do niej dziewczynki i spytał

Susan, czy dopłynię do brzegu.

Susan z trudem dopłynęła do płytkiej wody i z wysiłkiem brnęła do brzegu, gdzie zgromadził się tłum ludzi.

- Susan!

Odgarnęła mokre włosy z oczu i zobaczyła, jak Gresham wbiega do wody w ubraniu i w butach. Chciał ją złapać w ramiona, ale Susan zatrzymała się nagle, kiedy zobaczyła wyraz rozpaczony na jego twarzy i oczy pełne łez.

Początkowo nie mogła niczego zrozumieć. Gresham płacze? Po chwili serce w niej zamarło.

Ludzie na brzegu stali w milczeniu, pani Adler miała pochyloną głowę, a Hettie łkała rozpaczliwie.

Wreszcie zobaczyła trzy ciała leżące pod topolami. Były przykryte obrusami. Jedno było bardzo małe.

Stała w wodzie jak sparaliżowana.

- Susan. - Gresham był już przy niej i chciał wziąć ją w ramiona, ale odepchnęła go i sama ruszyła do brzegu.

- Nate?! - krzyczała zdławionym głosem. - Nate? Gdzie jesteś? Nate!

To małe ciało nie mogło być Nate'em. To nie jej Nate! Nie! On grał z chłopcami w kulki koło orkiestry. Drzemał w cieniu. Bawił się w chowanego z córką Wilsonów.

Gresham złapał ją za ramię. Łzy spływały mu po twarzy.

- Nie - jęknęła Susan, chwiejąc się na nogach. - Och, Boże, nie! Nie!

- Nate był w żaglówce Eddiego, Susan. Ma ranę na głowie... uderzył się, kiedy wyrzuciło go z łodzi. Eddie robił, co mógł... Jego i Jane Olsen również nie udało się uratować.

- Nie! - Susan osunęła się w ramiona Greshama.

Kiedy otworzyła oczy, pani Adler i Henrietta stały w wodzie obok niej. Słyszała ich głosy, ale nie rozumiała słów.

Widziała Nate'a z książką w ręku, jak prosił, żeby poczytała mu przed snem. Jego różową buzię, kiedy się budził. Nate'a, który wkładał nasiona do ziemi w jej ogrodzie warzywnym, Nate'a, który bawił się ze spanielem Hettie Adler. Widziała go z wędką nad strumieniem, bawiącego się w słońcu, liczącego tygodnie do dnia swoich urodzin.

Szczeniak. Nate nie będzie już nigdy miał swojego szczeniaka.

- Och. Boże! Boże! Boże!

Gresham wziął ją na ręce i wyniósł na brzeg. Nie zemdląca, chociaż tak bardzo tego pragnęła. Kiedy stanęła na nogi, rzuciła się w stronę leżących pod topolami zwłok. Ale Gresham ją przytrzymał.

- To nie jest Nate - szeptała. - Pokażę ci. To nie jest mój Nate!

- Niech pan ją puści - odezwała się pani Adler. - Sama się musi przekonać.

Susan pobiegła pod topole i drżącą ręką podniosła obrus przykrywający zwłoki. Teraz już wiedziała. Kiedy poczuła rękę Greshama na ramieniu, podniosła Nate'a i przycisnęła go do piersi.

- Muszę już jechać do domu - powiedziała, nie wiedząc dlaczego.

Gresham prowadził ją do bryczki. Ludzie wyrażali swoje współczucie, dotykali jej ramienia, ale Susan nie widziała ich i nie słyszała ich głosów.

Te pierwsze koszmarne dni spędziła w stanie całkowitego ośpienia. Prowadziła lekcje, robiła, co do niej należało, ale była martwa.

Na Zachodzie nie obowiązywała sztywna etykieta Wschodniego Wybrzeża. Zamiast taktownie nie zwracać uwagi na jej rozpacz, mieszkanki Owls Butte przychodziły do jej chaty wczesnym rankiem i zostawiały pod drzwiami jedzenie, siedziały i płakały razem z nią.

Stowarzyszenie Kobiet uszyło jej strój żałobny. Ktoś przyniósł chusteczki z czarną obwódką. Uczniowie Susan podarowali jej zbiór wierszy, które sami napisali dla uczczenia pamięci Nate'a. Ochotnicza Straż Pożarna urządziła zbiórkę i zakupiła złote medaliony, w których rodzice utopionych dzieci mogli nosić pamiątki po nich. Pani Adler włożyła do medalionu Susan pukiel włosów Nate'a i przypięła go do klapy jej kostiumu.

W dniu pogrzebu dzieci zamknięto sklepy i wszyscy mieszkańcy miasta przyszedli na cmentarz, pokrywając groby naręczami kwiatów.

Gresham nie opuszczał Susan ani na chwilę.

Zajął się wszystkimi przygotowaniami do pogrzebu. To on zamówił kamień nagrobny.

Palił w kuchence Susan, grzał kawę, poił konie odwiedzających ją kobiet. Zmuszał ją do jedzenia, wyprowadzał na spacer. Sam spakował książki i zabawki Nate'a i wyniósł je do piwniczki, aby nie musiała na nie patrzeć.

Wieczorami siedzieli na stopniach ganku, a Susan opowiadała mu o swoim synku.

- Dlaczego powiedziałam mu, że musi poczekać do dnia swoich urodzin? - Susan ukryła twarz w dłoniach. - Dlaczego nie dałam mu od razu tego szczeniaczka?

Spojrzała na Greshama, który miał łzy w oczach. Przytuliła się do niego.

- Och, Gresham. Tylko raz mnie o coś poprosił. O szczeniaka. A teraz już nigdy nie będzie go miał!

Gresham objął ją i przytulił policzek do jej włosów.

- W niebie też są szczeniaki - powiedział zdławionym głosem. - Mali chłopcy na pewno mają tam swoje szczeniaczki, z którymi mogą się bawić. Ja też kochałem Nate'a.

Płakali oboje.

Piątego wieczoru po pogrzebie Gresham podniósł się ze stopni ganku, gdzie przesiedzieli przez cały wieczór i podał jej rękę.

- Dochodzi dwunasta. Jesteś bardzo zmęczona

- Ty też musisz być zmęczony.

Przez te wszystkie noce Gresham spał na stojącym przy oknie krześle. Był z nią, ponieważ mogła go w każdej chwili potrzebować.

- Powinieneś pojechać do domu i położyć się do łóżka.

Przyszło jej nagle do głowy że jeśli Gresham będzie nadal z nią przebywał, ludzie mogą zacząć plotkować. Do tej pory była z nimi również pani Adler, ale dzisiejszej nocy zostali sami.

- Chyba rzeczywiście powinienem wrócić do miasta - powiedział z ociąganiem. - Czy dobrze się czujesz?

Było to dziwne pytanie. Susan już nigdy nie będzie czuła się dobrze. Nate był sensem jej życia. Teraz miała przed sobą tylko pustkę.

- Tak - skłamała, z trudem powstrzymując łzy.

Gresham delikatnie ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy.

- Czy naprawdę chcesz, żebym odszedł. Susan? – Zniżył głos do cichego szeptu, a w jego ciemnych oczach widniała czułość.

Przez ostatnie dni jedyną ucieczką Susan przed otaczającym ją koszmarem była jego czuła obecność. Nie wiedziała, jak będzie mogła dać sobie radę, kiedy on odejdzie.

- Och, Gresham. - Susan zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - Chcę, żebyś mnie trzymał w ramionach, żebym nie musiała odczuwać tego strasznego bólu i pustki. Chcę, żebyś mi przywrócił Nate'a! Chcę znowu na was patrzeć, jak łowicie ryby. Chcę, żebyś mi wytłumaczył, jak to było możliwe. Dlaczego, Gresham? Dlaczego to musiał być Nate? Dlaczego?

Gresham chwycił ją w ramiona i przytulił mocno do siebie. Potem zaniósł ją na łóżko, położył na kołdrze i sam położył się obok niej, odgarniając delikatnie pasma włosów z jej zalanych łzami

policzków.

- Nie ma na to odpowiedzi, najdroższa Susan. Sama o tym wiesz. Zadajemy sami sobie tortury, pytając: dlaczego? - Przyciągnął ją do siebie i scałował łzy z jej oczu. - Jedyne, co możemy zrobić, to zaakceptować wolę Boga i żyć dalej.

Susan przytuliła się do niego, szukając pociechy w jego silnych ramionach i delikatnych pocałunkach.

- Jest mi bardzo zimno.

Noc była ciepła, ale ona drżała z zimna. Od chwili, kiedy wpadła do jeziora, stale odczuwała chłód.

Gresham naciągnął na nich kołdrę, trzymał ją blisko siebie i całował jej włosy, czoło, powieki, usta.

Susan leżała w jego ramionach, cicho płacząc, a jej ciało z wolna zaczęło powracać do życia. Pocałunki Greshama stały się bardziej namiętne. Były to pocałunki mężczyzny, który kocha kobietę i pożąda jej.

Susan zarzuciła mu ręce na szyję. Potrzebowała Greshama, a przede wszystkim potrzebowała wynurzyć się z martwego odrętwienia. Musiała wrócić do życia. Musiała uwierzyć, że warto jest żyć.

O świcie wiedziała już, że dzięki niemu odkryła na nowo swoją kobiecość, odkryła nowe życie.

Leżeli przepelnieni radosnym zaspokojeniem i obserwowali przebłyskujące przez firanki promienie wchodzącego słońca.

- Kocham cię, Susan.

- Wiem - powiedziała z uśmiechem. - Ja też cię kocham.

- Poślubisz mnie? Tak bardzo tego pragnę - szepnął, pochylając się nad nią.

W oczach Susan zabłyśły nagle łzy. Tak czekała na tę chwilę, tak o niej marzyła.

Spojrzała w jego ciemne oczy, nie mogąc zrozumieć, dlaczego kiedyś uważała, że on ma pospolity wygląd. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Był też bardzo dobrze zbudowany, silny i muskularny, czego przedtem w ogóle nie zauważała. Był czuły, inteligentny, miał prawy charakter. A ona go kochała.

- Nie, Gresham - powiedziała cicho. - Nie wyjdę za ciebie.

- Nie rozumiem. - Odrzucił kołdrę i gwałtownie usiadł w pościeli. - Czy to zbyt szybko po...?

- Nate też cię kochał - szepnęła. - To nie o to chodzi.

- Więc o co?

Susan przyciągnęła go do siebie i spojrzała mu w oczy. Przyszedł jej nagle na myśl telegram od urzędnika sądowego z Passion Creek w Kansas, który był odpowiedzią na jej naglący list. Telegram zawierał wiadomość, że świadectwo zgonu kapitana Bowiego Stone'a jest niedostępne. To sformułowanie było tak dziwne, że Susan pomyślała nawet, że Bowie pewnie żyje.

Ale to było niemożliwe. Odmowa, którą dawała Greshamowi, nie miała nic wspólnego z obawą, że może popełnić bigamię. Chociaż nie mogła do końca pozbyć się swoich wątpliwości...

czuła, że nie powinna myśleć o Bowiem ani o żadnym innym mężczyźnie, tylko o swoim ukochanym Greshamie.

- Teraz już coraz lepiej radzę sobie z gospodarstwem domowym, ale nadal niezbyt dobrze gotuję. Jest mnóstwo rzeczy, które niezbyt dobrze robię.

- Na litość boską, Susan. Nie będę zwracał uwagi na przypaloną żelazkiem koszulę czy kurz pod łóżkiem. Jeśli o to chodzi. .

- Zwracasz uwagę na przypalone koszule i na kurz pod łóżkiem. - Susan położyła mu palce na ustach.
- Z czasem stanę się lepszą gospodynią, ale nigdy nie nauczę się wbijać gwoździ ani budować domu.

- Pójdziemy na kompromis. Na pewno będziemy dobrym małżeństwem.

- Ale najważniejszym powodem, dla którego nie mogę wyjść za ciebie za mąż jest fakt, że ja ciebie potrzebuję.

- Susan, ja przecież tego pragnę. Chcę, żebyś mnie potrzebowała - powiedział ze zdumieniem.

- Bez ciebie nie byłabym zdolna przeżyć ostatnich dni. Ale chodzi mi o coś innego.

- Ja ciebie kocham i ty mnie kochasz, lecz nie możesz mnie poślubić, ponieważ mnie potrzebujesz. - Gresham przetarł dłonią oczy.

- Przez całe życie wierzyłam, że kobieta jest niczym, jeśli nie ma mężczyzny, który by ją chronił, dbał o nią i mówił jej, co ma robić i o czym myśleć. Już przestałam w to wierzyć. Fakt, że zostałam bez mężczyzny, pozwolił mi uwierzyć w siebie i w swoje możliwości. Uwierzyć, że potrafię sama dać sobie radę. Nie jest to łatwe, ale mogę to zrobić. Uczę się polegać na sobie i na swoich decyzjach. Nie chcę tego stracić.

Przez chwilę milczała.

- Po części pozostałam tą samą przerażoną kobietą, która potrzebuje opieki mężczyzny. -

Susan objęła go za szyję. -Kiedy wyjdę za ciebie, Greshamie Harcie, chcę wiedzieć, że robię to dlatego, że pragnę spędzić z tobą życie, a nie dlatego, że potrzebuję kogoś, kto by się mną zajął.

Teraz, kiedy opuściły mnie siły, byłoby mi bardzo łatwo stać się znowu słabą kobietą. Chyba oboje tego nie chcemy. Nie chcę opierać się wyłącznie na tobie, a ty też nie chcesz mieć takiej żony.

Potrzebuję czasu, aby stać się silniejszą.

- Czy mogę mieć nadzieję, że kiedyś mnie poślubisz? -spytał, gładząc ją po policzku.

- Mam nadzieję, że będziesz ponawiał swoją propozycję. -Susan uśmiechnęła się.

Ten poranek przyniósł jej nadzieję, że kiedyś może stać się szczęśliwa, że to szczęście może zmniejszyć jej ból po stracie Nate'a, który i tak nigdy jej nie opuści. To nie nastąpi szybko, ale dziś uwierzyła, że kiedyś nastąpi.

- Jak długo będę musiał czekać, żebyś przestała mnie potrzebować? Kilka tygodni?

Rok? Dziesięć lat?

- Myślę, że sama będę wiedziała kiedy. W tej chwili, mój najdroższy, bardzo cię potrzebuję.

Łzy zalśniły w jej oczach. Musiała wstać na spotkanie kolejnego pustego dnia.

Dobry Boże, czemu nie dała mu tego szczeniaka?

Gulliver County, Kansas

O świcie pojawił się na farmie Rosie Lem Sorrenson wraz z synami. Przyjechali wozem wyładowanym pniami drzew i gałęziami. O ósmej nad prowadzącą z miasta do farmy drogą unosił się tuman kurzu. Kilku chłopców miało pełne ręce roboty przy kierowaniu nadjeżdżających wozów na właściwe miejsca i pojeniu koni.

Wielebny Paulson przywiózł wędzone szynki i worki kukurydzy. Pani Paulson przejęła władzę nad kuchnią Lodishy i dyrygowała kobietami, przygotowującymi południowy i wieczorny posiłek. Wdowa James i stara panna Barlett wyruszyły na poszukiwanie worków w sąsiednich okręgach. Evaline Buckner i jej siostra Edie zajmowały się gromadką dzieci, których rodzice pracowali przy wznoszeniu barykady. Shotshi Morris i Acey James stanęli na czele ekipy, która miała kopać żwir w dalszej części strumienia. Wesole okrzyki powitały Clive'a Russela, który przywiózł dary Harolda: trzy beczułki whisky i jabłecznik. Burmistrz Bill miał wóz pełen tak potrzebnych taczek.

Trzeciego dnia wieczorem hektar pola Rosie zabezpieczony był barykadą. Ta w pośpiechu budowana zapora nie przedstawiała imponującego widoku, nie wiadomo też było, czy będzie skuteczna. Jednak wał zbudowany z szarych worków na ziarno oraz z worków zszytych z kolorowych szmat chronił pola od zewnątrz. Przestrzeń między workami wypełniona była gałęziami i kawałkami drewna.

Zastępca szeryfa, Carl Sands, podszedł do Rosie, kiedy wozy opuszczały farmę. Rozlegały się radosne, pełne nadziei głosy. Sands poprawił kapelusz i pas z rewolwerami i wykrzywił wargi.

- Czy myślisz, że ta mizerna zapora powstrzyma siedemset pędzących sztuk bydła? Jutro stado przejdzie przez nią jak burza. Wtedy ty i ten skurwiel, za którego wysłaś, przestaniecie być takimi bohaterami!

- Nie jesteśmy bohaterami. Staramy się tylko chronić swoją własność.

- Tak? Ja słyszałem coś innego. Jacyś głupcy opowiadają, że Stone chce ocalić miasto, ocalić każdą cholerną farmę po drodze. Niektórzy nie potrafią odróżnić prawdziwego bohatera od tchórza, który ma krew na rękach - powiedział Sands, podchodząc do swojego konia.

Nachmurzona Rosie patrzyła, jak siadał w siodle. Sands przypominał ładunek wybuchowy, który za chwilę miał eksplodować. Rosie doskonale wiedziała, że jego celem był

Bowie. Szeryf Gaine też dobrze o tym wiedział i starał się trzymać Sandsa jak najdalej od jej męża.

Po kolacji chodziła z Bowiem wzdłuż barykady.

- W południe widziałam jednego z poganiaczy. Siedział na koniu na szczycie pagórka -

powiedziała Rosie. - Zauważyłeś go? - Kiedy Bowie skinął potakująco głową, mówiła dalej.

-Może zobaczył, co robimy, i zmienili zamiar. Może nie będą przepędzać tędy stada.

- Ta zapora nie zatrzyma nawet stada kotów - powiedział Bowie i przyciągnął ją do siebie.

- Tak mówił Carl Sands. - Rosie przytuliła się do niego.

- Tym razem muszę przyznać mu rację, Ale lepiej było budować barykadę, niż siedzieć z założonymi rękami. Przynajmniej próbowaliśmy coś zrobić. Nie staliśmy z boku i nie czekaliśmy, co się wydarzy. Ale musisz być przygotowana na to, że ta zapora ich nie powstrzyma.

- Wiem.

Rosie wyslizgnęła się z jego ramion, zerwała kłos pszenicy i przyłożyła do policzka. Po chwili wyłuskała ziarno i nacisnęła je paznokciem. Było dojrzałe.

- W przyszłym roku - szepnęła, mając oczy pełne łez.

Przez ile lat obiecywała sobie, patrząc na zmarniałe zboże, że następne żniwa będą inne? W przyszłym roku zwycięży. W przyszłym roku, zawsze w przyszłym roku.

- Może w przyszłym roku będziesz uprawiać cytryny i pomarańcze w Kaliforni -

powiedział Bowie, poprawiając źle ułożony worek. - A może będziesz gdzieś na północy, tam gdzie jest chłodno.

Rosie otarła łzy rękawem i potrząsnęła przecząco głową.

- Złożyłam przysięgę na grobie Franka Blevinsa, że nie odejdę z tej farmy, dopóki nie będę miała dobrych zbiorów, i pokażę mu, jak niewiele był wart jako farmer. Nawet gdyby mi to zabrało resztę życia, Bowie, to chcę dotrzymać tej przysięgi. Gdybym odeszła stąd wcześniej, to oznaczałoby, że pogodziłam się z krzywdą, którą mi wyrządził.

- To nie jest prawda, Rosie.

- Jeśli jutro stracimy te zbiory... a może nam się uda je zachować - przerwała, szukając pociechy w tych słowach, co zwykle. - Zawsze jest następny rok. W przyszłym roku pokonam go.

Zwycięzę.

Bowie patrzył na nią, kiedy szła w kierunku domu. Po drodze zatrzymała się przy grobie Franka Blevinsa. Nie docierało do niego to, co mówiła, usłyszał tylko: w przyszłym roku.

W przyszłym roku Rosie będzie sama.

W szyscy, którzy posiadali strzelby i byli w odpowiednim wieku, aby umieć z nich korzystać, zjawili się o świcie na farmie Rosie. Podwójny rząd wozów otaczał stodołę. Nie przywieziono dzieci, które zostały w ratuszu pod opieką strwożonej panny Buckner, która spodziewała się zobaczyć stado

teksaskiego bydła na Main Street jeszcze przed zachodem słońca. Wszystko wskazywało na to, że nikt nie był pewny zwycięstwa.

Szeryf Gaine, burmistrz Bill i wielebny Paulson odbyli naradę i zdecydowali ustawić mężczyzn na samym końcu barykady, a kobiety w bezpiecznym miejscu, czyli bliżej domu.

Jednak było o wiele więcej kobiet niż mężczyzn, więc wiele z nich musiało zająć pozycję bliżej miejsca, gdzie, jak się spodziewano, pędzić będzie stado. Szeryf Gaine miał zapalić stos suchych gałęzi na znak, że należy uciekać z wyznaczonego stanowiska.

- Kiedy zobaczę, że stado jest na szczycie tego pagórka - wołał szeryf, stojąc na wozie -

i jeśli nie będzie ono zbaczać, to wtedy wszyscy uciekają jak najszybciej do stodoły i do domu! Przejście przez strumień nie osłabi ich pędu. Nie będziecie mieli wiele czasu na to, aby ratować swoją skórę. Kiedy będzie źle, szybko się zabierajcie. Nie potrzebujemy martwych bohaterów. Słyszysz mnie, Mabel Simpson? Tu nie będziesz miała do czynienia ze swoim starym Billem, który wraca z bani. Uciekasz do domu, słyszysz?

Wszyscy się roześmieli i napięcie trochę zelżało.

- Wczoraj wieczorem wysłałem jeźdźca na przespiegi. Nie mogę wam powiedzieć, kiedy stado się tu pojawi, lecz już ruszyło w naszym kierunku. Nie znam się na krowach, ale myślę, że będą tu koło południa.

- Zanim zajmiecie swoje miejsca - zaczął przemawiać burmistrz Bill, który też wszedł

na wóz - chcę wam tylko życzyć szczęścia. Niech was Bóg błogosławi. Jeśli nic więcej nam się nie uda, to przynajmniej ci kowboje z Teksasu zrozumieją, że zbaczając ze szlaku, pakują się w kłopoty. Przede wszystkim nie chcemy, żeby komuś stała się krzywda - dodał, patrząc na Mabel, swoją żonę.

Bowie przesuwając wzrokiem po zgromadzonych, dopóki nie dostrzegł Rosie, która z zaciętą twarzą trzymała dłonie na kaburach swoich rewolwerów. Patrzyli na siebie, kiedy wielebny Paulson odmawiał modlitwę. Po chwili Bowie zarzucił swój winchester na ramię i poszedł z Johnem Hawkinsem na wyznaczone miejsce.

Wszyscy czekali niecierpliwie. Słońce wznosiło się na niebie, było już bardzo gorąco.

Przeklinali w myślach porośniętą trawą wzniesienie, które zasłaniało widok. Aby uspokoić narastające napięcie, szeryf wysłał Carla Sandsa na wzgórze, by dał znać, kiedy ukaże się stado.

Szeryf patrzył, jak Sands przejeżdża przez strumień, a kiedy koń jego zastępcy był w połowie wzgórza, zbliżył się do B owi ego.

- To moja rada. Niech się pan trzyma z daleka od Sandsa. On tylko czeka na to, żeby wyładować na kimś swoją złość. Słyszysz mnie pan?

- Sands to pana problem, nie mój.

- To jest pana problem. Stone. Całe miasto o tym wie. Ja chcę tylko powiedzieć: nie dzisiaj. Zostawcie to. chłopcy, na inny dzień.

Bowie patrzył na szeryfa, który szedł wzdłuż barykady, rzucając słowa otuchy lub przestrogi stojącym tam ludziom.

- To przypomina mi kampanię w Dakocie - powiedział do Johna Hawkinsa, podając mu pojemnik z wodą. – Oczekiwanie jest najgorsze - dodał, biorąc od niego pojemnik i podnosząc go do ust.

Upał był coraz większy. Jacyś ludzie zaczęli się kłócić. Jedną z kobiet trzeba było odnieść do domu, prawdopodobnie doznała porażenia słonecznego. Niektórzy z oczekujących grali w karty, inni rozmawiali w małych grupkach.

- Jedna rzecz mnie ciekawi, Johnie Hawkinsie. W jaki sposób przestałeś być Indianinem? Jak może człowiek przestać być tym, kim jest, i nadal żyć?

John Hawkins usiadł na ziemi, wyciągnął nogi i oparł się o barykadę z worków.

- Ja też mam do ciebie pytanie, Bowie Stone. Co zyska motyl, jeśli będzie marzył o tych dniach, kiedy był gąsienicą?

Bowie milczał, patrząc poprzez pola pszenicy na bezkresną prerię.

Słyszał dźwięk trąbki, wzywający do siodłania koni, skrzyp kół, chrzęst siodeł i brzęczenie ostróg, kiedy jego pułk zbierał się do drogi. Pamiętał wszystkie postoje i obozy, pamiętał krwawe bitwy. Nawet długie zimowe miesiące, które spędzał na odległych placówkach, nie wydawały się teraz bezbarwne i nudne. Wojsko było jego światem, był to świat mężczyzn, koni i zrozumiałych obowiązków.

- Jedno życie się kończy, a inne zaczyna - powiedział John Hawkins.

- Ja chciałem mieć tylko tamto życie.

- Ale ono ciebie nie chciało. Tamto życie jest skończone. Teraz możesz zacząć nowe życie.

- Mój ojciec jest przewodniczącym komitetu w Wydziale do spraw Interioru. Mój brat był majorem w Czwartym Pułku Kawalerii. Ja skończyłem Akademię Wojskową w West Point.

Rodzina Stone'ów od samego początku służyła temu krajowi. Ja chciałem robić to samo.

- Kiedyś znałem człowieka, który potrafił dojrzeć zwierzynę tam, gdzie inni widzieli tylko trawę i skały - odezwał się John Hawkins po dłuższej chwili milczenia. - Na jego widok ludzie mówili: tu idzie Szary Dym, wielki myśliwy. Kiedy miał przemawiać, zawsze mówił na początku: jestem Szary Dym, myśliwy. Codziennie wyruszał na polowanie i codziennie przynosił mięso do wioski. Kobiety śpiewały pieśni na jego cześć, nie widziano nigdy tak wielkiego myśliwego. Kiedy jego oczy przykryła biała zasłona. Szary Dym nie mógł już zobaczyć żadnej zwierzyny. Siedział w swoim tipi i marzył o przeszłości. Odmawiał jedzenia, ponieważ nie dostarczał już kobietom mięsa.

- Mów dalej - ponaglił go Bowie, marszcząc brwi.

- To już koniec. Szary Dym umarł. Z głodu.

Bowie popatrzył na siedzącego na wzniesieniu Sandsa, który bawił się rewolwerem.

- Czy uważasz się wyłącznie za oficera kawalerii, kapitanie Bowie Stone? Jeśli tak jest, to myślę, że lepiej byłoby, gdybyś dał się powiesić.

- Niektórzy ludzie w tym mieście podzielają twoje zdanie.

- Zastępca szeryfa, Carl Sands, zabije cię któregoś dnia, ale myślę, że śmierć nie ma dla ciebie znaczenia. Kiedy Rose Mary weszła do twojego łóżka, miałem nadzieję, że płomień twojego życia się rozjaśni. Ale ty jesteś taki jak Szary Dym. Płomień twojego życia ledwie się tli.

- Kiedy patrzysz na mnie, Johnie Hawkinsie - Bowie roześmiał się gorzko - widzisz ducha. Człowieka, który powinien być martwy, a nie jest.

- Rose Mary uratowała ci życie. Ale tylko ty możesz je przeżyć.

- Ale jak żyć? - Bowie popatrzył na pola. - Żeby zostać farmerem, trzeba mieć prawdziwy zapał, aby móc przetrwać burze piaskowe, plagi szkodników, suszę i umieć znosić potwornie ciężką pracę. Farmer musi kochać swoją ziemię i umieć wykarmić rodzinę od zniw do zniw. Moim powołaniem jest wojsko, nie ziemia. Bez wojska nie widzę dla siebie przyszłości.

- Człowiek goni życie lub goni śmierć. Przyjmuje pożywienie albo głoduje. Będziesz nadal umierał, Bowie Stone, dopóki nie zdecydujesz się żyć.

Ziemia pod ich stopami lekko zadrżała. Z każdą chwilą wibracje przybierały na sile. Carl Sands zerwał się na równe nogi i coś krzyknął. Wskoczył na konia i pognął w dół.

- Chryste! - krzyknął, kiedy dojechał do barykady. - To stado rozciąga się aż po horyzont! Żaden cholerny cud go nie zatrzyma! Spieprzajcie stąd! Szybko!

Stojący najbliżej barykady słyszeli już tętent niezliczonej liczby kopyt, ziemia trzęsła się pod ich stopami, widzieli wyraźnie chmurę kurzu, którą wzbijało pędzące stado. Wzdłuż barykady zapanowała śmiertelna cisza.

Sands zmusił konia do skoku przez barykadę.

- Czyście postradali rozum?! - krzyczał. - Za trzy minuty siedemset byczków przejdzie przez to wzniesienie i stratuje was na miazgę!

Stojący na posterunku patrzyli na niego, potem wymieniali spojrzenia między sobą.

Mabel Simpson osłabła, oparta o barykadę.

- Jeśli chcecie tu zostać i dać się zabić, to wasza sprawa! - wrzeszczał Sands. - Ale ja mam więcej rozumu. – Skierował konia na pole pszenicy i pognął w kierunku domu.

Rosie stanęła przy Bowiem, w każdej ręce trzymała rewolwer. Patrzyła, blada jak ściana, na zbliżający się szybko obłok kurzu.

- On ma rację. To nie ma sensu.

- Wynoś się stąd, do cholery! - krzyknął Bowie. - Wróć do kobiet! - popchnął ją w bezpiecznym kierunku.

- Zostanę z tobą - powiedziała, przyklękając za barykadą. -Będą dziś mieli dużo martwych krów.

Ziemia trzęsła się pod ich nogami, ogłuszał łoskot kopyt zbliżającego się stada.

Wszystkie oczy skierowane były na szczyt wzniesienia, nikt nie zauważył, że szeryf Gaine rozpałił już stos gałęzi.

Brazowa fala przykryła wzniesienie, długie rogi połyskiwały w słońcu. Rozpętało się piekło.

Ludzie za barykadą stali jak sparaliżowani. Nikt się nie poruszył, nie ośmielił odetchnąć.

Patrzyli rozwartymi z przerażenia oczami na zbliżające się stado.

- Boże! Chryste, miej mnie w swojej opiece!

Bowie obrócił się, kiedy Lodisha chwyciła go z tyłu za koszulę. Trzymała w ręku żelazną patelnię, a jej czarne oczy były wielkie jak spodki. Rzucił okiem na Rosie, ale ona patrzyła z trwogą przed siebie. Jedyne John Hawkins odwrócił wzrok od zbliżającej się katastrofy i spojrział na niego.

Nie było już czasu na nic. Bowie przeskoczył przez barykadę i pobiegł w kierunku strumienia, strzelając do biegnących na przdzie krów. Jedna z nich upadła, potem następna.

Stado zbczyło trochę, ale już po chwili tratowało zastrzelone przez niego krowy.

- Bowie! - krzyknęła Rosie. - Ty cholerny idioto!

Patrzyła ponad barykadą, serce waliło jej w piersiach. Bowie biegł po zachodniej stronie wzniesienia, nie przestając strzelać. Chciał stworzyć dodatkową barykadę z martwych sztuk i skierować stado na wschód. Rosie wiedziała, że jeden człowiek nie zdoła zabić wystarczającej liczby krów, wiedziała, że Bowie nie ma jednej szansy na tysiąc, aby wyjść z tego żywy.

Wiedziała, że on zginie i że jest mu to obojętne.

Miotając przekleństwa, Rosie przeskoczyła przez barykadę i pobiegła za nim, strzelając do zbliżających się krów. Ktoś obok niej też otworzył ogień. Kątem oka zauważyła biegnącego obok Johna Hawkinsa, a potem Lodiszę, która potykając się w tumanach kurzu, waliła łyżką w patelnię i

wrzeszczała z całej siły.

Inni też ocknęli się z otępienia. Szeryf Gaine przeskoczył barykadę, za nim Mabel Simpson i pani Hodge. Wtedy ruszyli mężczyźni. Krzycząc, klnąc i strzelając na przemian, stu czterdziestu ośmiu wystraszonych farmerów zaatakowało pędzące stado.

Kurz oślepił Rosie, ledwie mogła utrzymać się na nogach na falującej ziemi. Przez chwilę widziała Bowiego, który ostrzeliwał brązową ścianę bydła, pędzącego w ich kierunku.

Dojrzała też wielobnego Paulsona, który podnosił z ziemi Lodishę. Po chwili oboje biegli już w stronę stada. Pani Hodge zatrzymała się na chwilę, aby przeładować swoją broń, i pobiegła dalej.

Rewolwery wyslizgiwały się ze spoconych dłoni Rosie, lufy były rozgrzane. Chmura kurzu zamknęła się ponownie, nie widziała więc, co się dzieje, ale czuła wszędzie zapach krwi.

Nie zdawała sobie sprawy, że najgorsze już było za nimi, dopóki nie usłyszała radosnych okrzyków. Stado skręciło na wschód.

Kiedy zobaczyła Bowiego, rzuciła mu się w ramiona, nie zwracając uwagi na przebiegające w niewielkiej odległości krowy. Dotykała jego pokrytej kurzem twarzy, aby się upewnić, że jest cały i zdrowy. Potem z całą siłą, na jaką potrafiła się zdobyć, uderzyła go w szczękę i podcięła mu nogi.

- Żebyś już nigdy nie ośmielił się popełnić takiego idiotyzmu! - krzyczała, stojąc nad nim.

Kiedy się podniósł, przytuliła się do niego z płaczem.

- Boże, myślałam, że zginiesz!

Zanim się zorientowała w jego zamiarach, przełożył ją przez kolano i dał jej łanie. Potem wziął ją w ramiona i mocno przytulił do siebie,

- Co się z tobą dzieje, u diabła? Czy postradałaś rozum, żeby iść wprost na pędzące stado? - Przywarł ustami do jej warg. - Chryste, Rosie! Kiedy zobaczyłem, jak biegniesz za mną, myślałem, że oboje zginiemy! Należy ci się coś lepszego, ty cholerna idiotko, niż śmierć pod krowimi kopytami!

Rosie popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Jesteśmy niezłą parą, prawda? - spytała i oboje roześmieli się głośno.

- Nareszcie - usłyszeli głos Lodishy. - Napędziliście nam niezłego strachu! Myśleliśmy, że już po was! Schodźcie z tego wzgórza, gdzie biegną krowy! Nie macie się z czego śmiać!

Kiedy Rosie znalazła się po drugiej stronie strumienia, gdzie kurz nie był tak gęsty, stanęła jak sparaliżowana. Lodisha miała rację. Nie było się z czego śmiać.

Stado skręciło na wschód, nie dotarło do farm leżących pomiędzy farmą Rosie i Passion Crossing, ale zmieniając kierunek wpadło wprost na jej pole, które było ogrodzone. Siatka nie była dostateczną

przeszkodą dla pędzącego bydła. Rosie stała nieporuszona. patrząc, jak ostatnie sztuki stada opuszczają jej pole i gnają na prerię. Cały hektar pola zryty kopytami pokrywała tylko słoma.

Szeryf Gaine stanął obok niej.

- Clive Russel szacuje, że straciła pani hektar, może więcej. Ale półtora hektara jest nietknięte. To o półtora hektara więcej, niż się spodziewałem.

Rosie patrzyła na stratowaną ziemię. Nie mogła wydobyć głosu.

Bowie siedział na barykadzie, z karabinem przewieszonym przez ramię.

- Co ma pan zamiar teraz zrobić? - skierował to pytanie do szeryfa.

- Pojadę za tymi poganiaczami w towarzystwie grupy ochotników. Szybciej niż za godzinę nie będą w stanie uspokoić stada. Aresztujemy tych chłopców, wsadzimy ich do paki na jakieś dwa tygodnie, a potem będą płacić karę. Nie będą mieli ani dolara zysku przez następne dwa lata. Kiedy ta wiadomość się rozejdzie, a o to już się sami postaramy, żadnemu szefowi poganiaczy nie przyjdzie nawet do głowy, żeby pędzić stado przez Passion Crossing.

Bowie zszedł z barykady i stanął przed szeryfem, krzyżując ręce na piersi.

- To bardzo pięknie brzmi, ale kiedy pan zaaresztuje tych skurwieli, to co z tego będzie miała pani Stone? Wydaje mi się, że wielu farmerów powinno być wdzięcznych za to, że to jej pszenica została stratowana, a nie ich.

- Nie zdziwiłbym się - odpowiedział szeryf - gdyby mieszkańcy tego miasta uznali, że część kary, którą zapłacą ci chłopcy, należy przekazać pani Stone w ramach rekompensaty.

- Tak powinni zrobić - przyznał Bowie.

Rosie spojrzała zgaszonym wzrokiem na grupy podekscytowanych ludzi, którzy gestykulowali zawzięcie, przekrzykując się wzajemnie. Nawet John Hawkins przechadzał się dumnie, a Lodisha uderzała łyżką w patelnię, prowadząc ich w stronę domu.

- Czy ktoś jest ranny?

- Jedna złamana ręka i trochę siniaków. Panna Levenson przestrelała sobie nogę, a jakiś idiota odstrzelił ucho Clemowi Zookowi. Nic poważnego - powiedział szeryf Gaine.

To był wspaniały dzień. Dzięki ci. Boże! - wykrzyknął wielebny Paulson, patrząc na stosy martwych krów. ciągnące się od wzniesienia aż po pole Rosie. - Dziękujemy ci, Boże, żeś dał nam zwycięstwo i że nikt nie odniósł poważnych ran. Dziękujemy ci też za to, że mamy tyle sztuk bydła do upieczenia na rożnie!

- Amen - dodał szeryf.

- Oni są tu! - krzyknął Shotshi Morris, wskazując Bowiego i Rosie.

Ludzie ruszyli w ich kierunku z wyciągniętymi rękami. Po chwili niesiono ich na ramionach w triumfalnym pochodzie w kierunku domu. gdzie już oprawiano krowę i szykowano rożen.

Zaczęto wyciągać z wozów przywiezione ze sobą produkty -półmiski jedzenia, prażoną kukurydzą, ziemniaki, fasolę. Kobiety, które tak niedawno strzelały z rewolwerów do pędzącego stada, obmyły teraz twarze i ręce w beczce z deszczówką i zabrały się do przygotowywania przyjęcia.

Synowie Sorrensona pojechali do miasta po dzieci i pannę Buckner. Acey James obiecał

zapłacić skrzypkowi, jeśli uda mu się jakiegoś znaleźć. Kilkunastu mężczyzn odjechało wraz z szeryfem w ślad za poganiaczami, grupa innych siadła pod topolami, racząc się jabłecznikiem i rozpamiętując wydarzenia dnia. Te opowieści stały się początkiem legendy o ich bohaterskich czynach i o mężczyźnie, który nazywał się Bowie Stone i który szedł na spotkanie pędzącego stada z takim spokojem jak na wieczorny spacer, oraz o jego żonie, która, strzelając z dwóch rewolwerów, szła za nim.

Rosie i Bowie byli tak oblegani, że nie mogli pomagać w przygotowaniach do uroczystości. Wszyscy chcieli uścisnąć ich dłonie, podziękować i mówić o tym dniu, który już został nazwany Dniem Długich Rogów. Stali, objęci, na frontowym ganku i nie mieli już siły zaprzeczać, że są bohaterami. Passion Crossing od dawna nie miało swojego bohatera, a jego mieszkańcy uważali, że potrafią osądzić, kto nim jest.

Wreszcie podano talerze pełne mięsa i zaczęto wznosić toasty. Rosie miała wtedy okazję podziękować pani Hodge za to, że postawiła całe miasto na nogi, oraz szeryfowi Gaine i burmistrzowi Billowi za zorganizowanie pomocy do wznoszenia barykad. Wszyscy wiedzieli jednak, że to nie oni są bohaterami dnia. Gdyby Rosie i Bowie Stone nie ruszyli do przodu, stado przeszłoby przez Passion Crossing. Wyznaczono by nowy szlak, który zrujnowałby kilkanaście farm i obsługujące ich mieszkańców sklepy.

Potem zaczęto się zastanawiać, jak ściągnąć martwe krowy z terenu i jak obdzielić nimi całą społeczność. Chłopcy przywieźli z miasta skrzypka, więc młodzież zaczęła tańczyć w świetle księżyca.

- Pani Stone? Czy mogę zamienić z panią kilka słów?

Roześmiana Rosie, która nie opuściła ani jednego tańca, wyszła z koła. Uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy zobaczyła Evaline Buckner.

- Ja... ja chcę panią przeprosić, pani Stone - zaczęła Evaline. nie podnosząc na nią oczu. Jej policzki były tak czerwone jak dawne kalesony Rosie, które napełnione żwirem leżały gdzieś na barykadzie. - Wtedy na tańcach... byłam zazdrosna i mówiłam rzeczy, których nie powinnam mówić. Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że nie wzięła pani sobie moich słów do serca. Proszę mi wybaczyć. Byłam wściekła, że jest pani ładniejsza ode mnie.

- Nie jestem ładniejsza od pani - powiedziała Rosie. Dzięki Evaline, Rosie spędziła w stodole swoją pierwszą noc z Bowiem. Nie miała do niej żalu. - Wiem, że wkrótce znajdzie pani męża.

- Tak pani myśli? - Twarz Evaline rozjaśniła się nagle.

Odwróciły głowy, kiedy ich uszu doszły gniewne okrzyki.

Skrzypek przestał grać, wszyscy patrzyli w stronę ogniska, rozpalonego pod topolami.

- Kogo nazywacie tchórzem? - krzyczał Carl Sands.

Odpowiedział mu Ciem Zook. Miał obandażowaną głowę i był już pijany.

- Wszyscy widzieli, jak uciekałeś do domu, ty tchórze. Nasze kobiety wbiegły na wzniesienie i strzelały do krów, a gdzie wtedy był ten niedojda, zastępca szeryfa? Siedział w bezpiecznym miejscu, kiedy prawdziwi mężczyźni i kobiety wykonywali swoje zadanie!

Sands rzucił się na niego z pięściami. Bowie i burmistrz Bill rozdzielili ich. Kiedy Sands zobaczył Bowiego, wyrwał im się z rąk.

- Tu macie tchórze! Stone uciekł przed bitwą z Indianami i zastrzelił nieuzbrojonego człowieka. Powinniśmy byli go powiesić!

- Uważaj, co mówisz, synu - wtrącił wielebny Paulson. -Przeczytaj sobie artykuł ze starego numeru „Rocky Mountain News”, który Clive Russel puścił w obieg wśród mieszkańców w zeszłym tygodniu. Wszyscy go czytali. Teraz już znamy prawdę o Stone Toes Gulch. Stone zrobił to, co zrobiłby każdy człowiek honoru. Czy strzelałbyś do kobiet i dzieci, nawet gdyby to byli Indianie?

- Może te artykuły są prawdziwe, a może i nie. Ale prawdą jest, że Stone zastrzelił

nieuzbrojonego mężczyznę! A może powinienem uznać, że sędzia Rivers skazał na szubienicę niewinnego człowieka?

- Cała prawda nie wyszła na jaw podczas procesu - powiedział wielebny Paulson. -

Wydaje mi się, że sędzia Rivers dał wiarę fałszywym świadkom. Omyłka zawsze może się zdarzyć. Ale nasze miasto teraz wie, że kapitan Stone jest prawdziwym bohaterem.

- Myślisz, że już otumaniłeś całe miasto, bohaterze? -W oczach Sandsa błyszczała nienawiść. - Nie wyrównałeś jeszcze rachunków ze mną.

- Powiedz kiedy, Sands - Bowie patrzył na niego zwężonymi oczami.

- Teraz też jest dobra pora!

Szeryf Gaine, który wrócił właśnie z miasta, wsadziwszy poganiaczy do aresztu, wysunął się do przodu.

- Chodź. Carl. Najwyższy czas, żeby iść się przespać. Tym razem stoisz po niewłaściwej stronie barykady. - Gaine popatrzył na otaczających go ludzi. - Nie ma tu nikogo, kto nie miał

ochoty na ucieczkę. Gdyby Rosie Stone i jej Indianin nie poszli w ślady Stone'a i nie wyszli przed barykadę, my wszyscy pobieglibyśmy w tę samą stronę co Carl.

- To właśnie mówił Ciem - zadrwił Lem Sorrenson. -Kobieta wyszła przed barykadę, a Sands uciekł.

Szeryf Gaine zrobił wszystko, co było możliwe, aby Carl Sands nie rzucił się Lemowi Sorrensonowi do gardła. Ogluszył swojego zastępcę uderzeniem pięści, przewiesił sobie przez ramię i zaniósł na wóz.

- Wydaje mi się, że to już koniec uroczystości. To był długi dzień. Czas ruszać do domu.

Po odjeździe ostatniego wozu Rosie, Bowie, Lodisha i John Hawkins poszli wzdłuż barykady, aby obejrzyć stratowane pole.

W bladym świetle księżyca przedstawiało okropny widok. Wiedzieli, że za jakiś czas porośnie trawą. Ale pszenica Rosie już nie odrośnie.

- W przyszłym roku - szepnęła Rosie przez łzy.

Chociaż tegoroczne żniwa nie przyniosą zysku, jednak sprzedaż pozostałej na polu pszenicy pozwoli Rosie z łatwością przetrwać zimę. Nie będzie miała jednak spodziewanej radości i satysfakcji z zaspokojenia potrzeby zemsty.

Nawet kiedy Cłem Zoom pożyczył im jedyną żniwiarkę McCormicka, jaka była w posiadaniu całego okręgu, Rosie nie potrafiła wykrzesać z siebie ani krzty entuzjazmu. Z takich zbiorów mogłaby cieszyć się w poprzednich latach. Teraz patrzyła tylko na kamień nagrobny Franka Blevinsa, mając świadomość, że poniosła porażkę.

Kiedy nie myślała o Blevinsie, martwiła się Bowiem.

Podczas Dnia Długich Rogów czuła się tak blisko z nim związana. Wspólnie stawili czoło śmierci i wspólnie świętowali zwycięstwo.

Jednak każde z nich przeskakiwało przez barykadę i biegło naprzeciw pędzącego stada z zupełnie innego powodu.

Rosie poszłaby za nim nawet do piekła, ponieważ tak bardzo go kochała, że wolałaby umrzeć razem z nim, niż żyć bez niego.

Bowie stanął naprzeciw gnającego jak oszalałe stada, ponieważ uważał, że jego życie nie ma sensu i nie dbał o to, czy spotka go śmierć. Kiedy Rosie zobaczyła jego twarz, która wyłoniła się przed nią w tumanach kurzu, wszystko zrozumiała. Wyglądał jak człowiek, którego oszukało jego przeznaczenie.

- Kocham cię - szepnęła sama do siebie.

Dzięki niemu Rosie zbudziła się z alkoholowego otępienia. Dzięki niemu przestała się bać luster i własnej kobiecości. Dzięki niemu przestała być traktowana przez innych z pogardą.

Zyskała sobie szacunek w miasteczku i sama zaczynała się szanować. Bowie nauczył ją, że można ufać mężczyźnie i pokochać go, że seks może być radosnym przeżyciem. Dzięki niemu wreszcie Rosie stawała się kobietą i akceptowała ten fakt.

Ale Bowie nie żywił do niej takiego samego uczucia jak ona i ten fakt bolał ją niewypowiedzianie.

Słyszała, jak mówił o sobie, że jest chodzącym duchem. I to była prawda. Nie miał w sobie iskry potrzebnej do życia. Kiedy myślał, że nikt na niego nie patrzy, przybierał obojętny wyraz twarzy, a w oczach miał pustkę.

Gdy Rosie usiłowała coś z niego wydobyć, mówił tylko, że nie ma dla niego przyszłości, a jego słowa sprawiały jej ból. Jego przyszłość była tu, na farmie. Mieli przecież siebie nawzajem. Jej to wystarczało, dlaczego jemu nie?

- Czy on mnie kiedyś pokocha, Johnie Hawkinsie? - spytała Indianina, który się zatrzymał koło niej.

- Honorowy czyn, jakiego dokonał, zniszczył jego wizję przyszłości. Żeby on powrócił do życia, Rose Mary, musi uwierzyć, że zasługuje na to, aby żyć i być szczęśliwym.

- Żaden inny mężczyzna nie zasłużył sobie tak bardzo na to, aby żyć i być szczęśliwym

- szepnęła Rosie przez łzy.

Tego dnia, kiedy zakończyli żniwa i siedzieli przy kolacji, Rosie nadal pogrążona była w smutnych myślach. Nie usłyszała tętentu wjeżdżających na podwórze koni, dopóki Carl Sands i dwóch jego kolegów nie zaczęli strzelać w powietrze i wzywać Bowiego do wyjścia z domu

- Powiesimy cię, Stone! Już nam nie uciekniesz! Umrzesz

dzisiaj, bohaterze!

Odjadą, jak nie będziemy zwracać na nich uwagi - powiedziała Rosie.

Obróciła się do okna i zobaczyła sylwetkę jeźdźca. Strzelanina nie ustawała ani na chwilę, kule uderzały w dach. Lodisha osunęła się na kolana i przyłożyła fartuch do ust.

- Zanosilo się na to już od dawna. - Bowie odłożył serwetkę i wymienił spojrzenie z Johnem Hawkinsem.

Jego zrezygnowany głos zwrócił uwagę Rosie. Nie rozumiała, co oznaczała wymiana spojrzeń z Johnem Hawkinsem, ale podejrzewała, że nie dotyczyły one wyłącznie Carla Sandsa.

Chwyciła go za rękę.

- Nie pójdziesz tam!

- Im zależy tylko na mnie - powiedział Bowie, patrząc poważnym wzrokiem na Johna Hawkinsa. - Rosie nie ma z tym nic wspólnego.

John Hawkins skinął głową.

- Akurat! To, co dotyczy ciebie, dotyczy również mnie. - Rosie zerwała się od stołu i poszła za nim do frontowych drzwi.

- Mówię poważnie, Rosie. Zostań tu.

Kiedy zobaczyła jego twarz, zaprzestała protestów. Oparła się o framugę i patrzyła, jak Bowie schodzi z ganku. Podniósł ręce do góry, żeby Sands widział, że nie jest uzbrojony.

Jeden z przyjaciół Sandsa rozpalil ognisko w pobliżu topoli, a sam Sands z drugim towarzyszem jeździli po oświetlonym księżycem podwórzu, strzelając do gwiazd i wykrzykując pijackie pogroźki. Kiedy Bowie ukazał się na ganku, Sands zawrócił konia i zaczął ostrzeliwać schodki.

- Nie boisz się kul, Stone? Masz rację. Kula zbyt szybko zakończyłaby życie tak wielkiego bohatera jak ty. Zabijemy cię powoli, żebyśmy wszyscy mogli się tym nacieszyć.

- Wynoś się z naszej ziemi! - wrzasnęła Rosie. Chciała podbiec do Bowiego, ale John Hawkins przytrzymał ją mocno.

- Jesteś pijany, Sands. Wracaj do miasta. Spotkamy się innym razem.

Bowie nie dostrzegł sznura, który nagle rzucono w jego stronę. Kiedy pętla zacisnęła się mu na szyi, Sands ruszył koniem, ściągając Bowiego ze schodków ganku i wlokąc go przez podwórko w kierunku rozpalonego ogniska. Wszystko nie trwało dłużej niż kilka sekund.

- O Boże, gdzie są moje rewolwery? - Rosie chciała wbiec do domu, ale John Hawkins trzymał ją w

stalowym uścisku.

- To nie jest twoja walka, Rose Mary - powiedział spokojnym głosem.

- Oni chcą go powiesić! - krzyczała, usiłując się wyrwać. Jeśli Sands zabije Bowiego, ona również umrze. - Puść mnie, do cholery! Musimy mu pomóc.

- Nie.

Rosie patrzyła w kierunku ogniska, nie przestając płakać i walczyć z Johnem Hawkinsem. Sands zsiadł z konia i przerzucił sznur przez konar drzewa. Sznur ześlizgnął się.

Spróbował ponownie i podniósł Bowiego na nogi.

- Bowie! O Boże! John Hawkins, błagam cię! Puść mnie, proszę! Nie wiesz, co robisz.

Musisz mnie puścić. Jeśli cokolwiek dla ciebie znaczę, to mnie puść! Ja mogę mu pomóc!

- Kapitan Bowie Stone musi sam podjąć decyzję - powiedział John Hawkins i przytrzymał ją jeszcze mocniej.

Bowie patrzył obojętnym wzrokiem na poczynania Sandsa, nie reagował na jego pijackie okrzyki i obelgi jego kompanów.

- To mi bohater! Popatrzcie tylko, chłopcy. Stoi tu jak tchórz i czeka, żeby zakosztować sznura!

Bowie patrzył na zawieszony na gałęzi sznur z obojętną ciekawością. Taki los wyznaczyło mu przeznaczenie. Za dziesięć minut nie będzie już spoglądał w pustkę swojej przyszłości, nie będzie cierpiał, że zhańbił swoje nazwisko, nie będzie słyszał potępiających słów ojca, nie będzie miał poczucia winy w stosunku do Susan i Nate'a.

Nie będzie też Rosie.

Nawet nie miał czasu, żeby się z nią pożegnać.

Obrócił głowę i zobaczył ją na ganku, płaczącą, krzyczącą i usiłującą się wyzwolić z dłoni Johna Hawkinsa.

Rosie Mulvehey nie była mu nigdy dana na zawsze. Była tylko przelotną pociechą na drodze do takiej właśnie chwili. I tak musiałby ją opuścić. Sznur Sandsa uwolni go od bólu ostatecznego pożegnania, uwolni Rosie od rozpacz z powodu jego zdrady.

Rosie Mulvehey pojawiła się w jego życiu jak spadająca gwiazda, która rozświetliła jego duszę. Zanim zasłużył na jej ufność, już stawała w jego obronie. Wierzyła w niego. Dla niego toczyła ze sobą trudną walkę, żeby się zmienić. I niczego nie żądała w zamian.

Rosie akceptowała go takiego, jakim był - niedoskonałym, wypalonym w środku człowiekiem. I

kochała go.

W zamian za jej miłość i ufność on pozwalała, aby trzech pijani mężczyźni powiesili go na jej oczach i robi to dlatego, że tak bardzo lituje się nad sobą, że nie widzi, dlaczego warto byłoby żyć.

Pogardzał sobą za to.

Inni mężczyźni odchodzili z wojska i rozpoczynali nowe życie, mężczyźni, którzy nie posiadali rodziny, którzy byli inwalidami czy stracili wzrok, byli w o wiele gorszej sytuacji niż on. Jakim on jest mężczyzną, jeśli nie potrafi ponieść konsekwencji swoich czynów i przyjąć na siebie swoich zobowiązań? Jeśli nie potrafi cieszyć się każdym dniem, danym mu przez Boga? Czy rzeczywiście chciał zakończyć życie, ponieważ nie spełniło ono jego oczekiwań?

Czy miał umrzeć na oczach Rosie Mulvehey? Czy tak Bowie Stone pojmował odwagę?

Aby być godnym takiej kobiety jak Rosie Mulvehey, mężczyzna powinien chwycić życie pełnymi garściami i składać u jej stóp.

Ogarnął go wstyd, połączony z wściekłością. Wiedział, że ona go kocha, ale nie zrobił

nic, aby stać się godnym jej miłości ani godnym szacunku we własnych oczach.

- Zwiąż mu ręce z tyłu - powiedział Sands do jednego ze swoich pomocników. -

Przyprowadź swojego konia - rozkazał drugiemu - i posadź Stone'a w siodle.

Poddanie się śmierci byłoby ucieczką. Poza Stone Toes Bowie nigdy jeszcze nie uciekł

z pola bitwy. Miał pełne prawo zabrać swoich ludzi ze Stone Toes Gulch. Będąc teraz świadomy konsekwencji, zrobiłby tak ponownie. Również w takich samych okolicznościach nie wahałby się przed tym, aby zabić Luthera Radisona.

Zacisnął zęby. Przez cały czas opłakiwał przeszłość. Wydawało mu się, że zachowałby się inaczej, gdyby można było cofnąć czas. Ale to nie była prawda. Bowie nie żałował niczego.

Gdyby zachował się inaczej, straciłby do siebie szacunek.

Patrzył na płaczącą Rosie, która nadal usiłowała się wyrwać Johnowi Hawkinsowi.

Nadszedł czas, aby dowieść swojej żonie i samemu sobie, że jest równie odważny jak ona. Nadszedł czas. by odzyskać swoje życie.

Kiedy Rosie zobaczyła, że Bowie nie stawia oporu i nie zdradza ochoty do ucieczki, że stoi tam, patrząc obojętnie na wiszący nad nim sznur, oparła się bezsilnie o Johna Hawkins i zakryła twarz rękami. Nie chciała patrzeć, jak będzie umierał. Lodisha łkała głośno, zakrywając twarz fartuchem.

- To nie egzekucja. To samobójstwo!

- To dobrze - powiedział John Hawkins z uśmiechem, a jego palce wpiły się w ramiona Rosie. - Kapitan Bowie Stone już podjął decyzję.

- Co?

Rosie podniosła głowę i otarła zapłakane oczy, usiłując przebić wzrokiem unoszący się z ogniska dym.

Podczas kiedy ona widziała go już martwym. Bowie zrzucił pętlę z szyi i złamał szczękę mężczyźnie, który usiłował związać mu ręce. Pod topolami rozpętało się piekło.

- Puść mnie, Johnie Hawkinsie! - krzyczała Rosie, a oczy jej pałały. - Muszę mu pomóc. Ich jest trzech.

- Nie wygląda na to. żeby kapitan potrzebował naszej pomocy, kochanie - usłyszała uszczęśliwiony głos Lodishy.

Bowie trzymał w rękach gałąź, którą wytrącił broń z ręki Sandsa. Rewolwer znalazł się w potoku. Koledzy Sandsa rzucili się na niego z tyłu.

Rosie chciała wziąć udział w tej walce, chciała pobiec do niego. Ale w głębi duszy zgadzała się z Johnem Hawkinsem. To była walka Bowiego, musiał sam ją rozegrać.

Przepelniała ją radość. Bowie zdecydował się żyć. Będzie teraz innym człowiekiem, będzie cieszyć się życiem i zacznie myśleć o przyszłości.

On zwycięży! - krzyknęła Lodisha, wymachując gwałtownie rękami.

Walka ta mogłaby wydawać się nierozstrzygnięta, ale trzy osoby stojące na ganku nie miały żadnych wątpliwości co do jej wyniku. Bowie walczył jak szatan. Jego furia skierowana była nie tylko przeciwko Sandsowi i jego pomocnikom, ale przeciwko sądowi wojennemu, niesprawiedliwemu wyrokowi i stanowi własnego umysłu, co nie było niczym innym jak oznaką słabości. Bowie Stone przebudził się wreszcie. Zacięta walka pod topolami była tego najlepszym dowodem.

Rosie, John Hawkins i Lodisha pili kawę na ganku, zachęcając go gromkimi okrzykami.

Na koniec Bowie był jedynym uczestnikiem tej bójki, który jeszcze stał na nogach.

Zrobił z trudnością krok do przodu, ale za chwilę zgiął się, łapiąc gwałtownie powietrze, krew zalewała mu twarz. Miał podbite, opuchnięte oczy, porozcinane wargi, może nawet pęknięte żebro.

- Czy teraz możemy mu pomóc? - spytała Rosie, patrząc na Johna Hawkinsa, gotowa biec w stronę topoli.

- Jeśli Bowie Stone będzie potrzebował pomocy, to wie, gdzie jej szukać.

Po chwili odpoczynku Bowie przeciągnął kolejno swoich przeciwników do ich koni, przerzucając

ich bezwładne ciała w poprzek siodeł. Klepnął konie po zadach, aby ruszyły z miejsca, po czym zagasił piaskiem ognisko.

Rosie patrzyła, jak konie mijają ganek, kierując się na drogę. Jeśli ktoś w Passion Crossing nie położył się jeszcze spać, zobaczy trzech pobitych do nieprzytomności mężczyzn, którzy zapewne długo będą pamiętać tę wyprawę.

Bowie kuśtykał w stronę ganku, trzymając się za nadwyrężony nadgarstek.

- Jezu Chryste! - wykrzyknęła Lodisha, widząc jego poranioną twarz i zakrwawioną koszulę. - Zaraz przyniosę apteczkę.

Rosie zbiegła z ganku i gwałtownym ruchem zarzuciła mu ręce na szyję. Po tej bójce wyglądał tak samo jak w dniu ich ślubu. Jediną różnicą był brak brody, która upodabniała go do jeża.

- Kocham cię - powiedziała ze łzami w oczach.

Miała nadzieję, że on jej powie to samo, myślała, że zdecydował się żyć również dla niej.

- Rosie - powiedział tylko, tuląc ją mocno do siebie.

Jego niski głos pełen był cierpienia, którego nie potrafiła zrozumieć. Ale trzymał ją w objęciach, byli razem.

- Potrzebne mi jest mydło, woda i trochę spirytusu - powiedział Bowie. - Potem chcę się znaleźć razem z tobą w łóżku. Później będę spał przez dziesięć godzin, chyba że chcesz, abym coś zorał albo zasadził.

Rosie roześmiała się głośno i objęła go ramieniem, pomagając mu wejść na schodki.

Niektórzy mężczyźni nie mogli wymówić tych słów. Musiała zawierzyć swojemu sercu.

-Bowie zachowywał się teraz zupełnie inaczej. Był energiczny i zdecydowany, co ogromnie cieszyło Rosie. Długo czekała na tę zmianę. Sam zajmował się wszystkim. Oddał

Clemowi Zookowi kosiarkę McCormicka i nie zważając na swoją poranioną twarz, pojechał do miasta i przywiózł Rosie należne jej od poganiaczy pieniądze. Przedtem to Rosie musiała się martwić o wszystko. Było to dziwne, a jednocześnie wspaniałe, że Bowie przejął wszystkie obowiązki.

Po tej bójce zaszły w nim również inne zmiany, które przerażały Rosie i przyprawiały ją o bezsensowność.

Ich życie intymne było wspaniałe, noce długie i namiętne. Bowie kochał ją z taką czułością, że łzy napływały Rosie do oczu. W ciągu dnia co chwila brał ją w objęcia i przytulał

do siebie.

Jednak każdego dnia oddalał się od niej coraz bardziej, zamykając się w sobie. Czasami, kiedy patrzył na nią, w jego oczach był taki smutek, że w Rosie zamierało serce.

Coś wisiało w powietrzu.

Rosie wściekła była na siebie za swoje głupie przeczucia, ale w głębi duszy wiedziała, że coś się wydarzy. Lodisha i John Hawkins też to czuli. Patrzyli na Bowiego i wymieniali niepewne spojrzenia.

Kiedy Bowie postanowił odwieźć pszenicę do miasta, Rosie pojechała razem z nim, aby wynegocjować cenę u pośrednika.

- Jesteś dziś bardzo milczący - zauważyła, przysuwając się do niego na wozie. Jej szeroka spódnica zakrywała kolana Bowiego, czuła ciepło jego ciała. - O czym myślisz?

- Kiedy będziesz zajęta u pośrednika, ja muszę wstąpić do biura telegrafu - powiedział, nie patrząc na nią.

Rosie uniosła brwi. Przez te wszystkie miesiące, kiedy byli razem, Bowie Stone nigdy nie wysłał ani nie otrzymywał żadnych wiadomości.

- Do kogo chcesz wysłać telegram? - Nie mogła powstrzymać się od tego pytania.

Kiedy odwrócił się do niej, Rosie zabrakło tchu z przerażenia. Był bardzo blady, miał

zapadnięte policzki, nawet jego oczy nie były już niebieskie, przybrały szary odcień. Miała przed sobą głęboko nieszczęśliwego człowieka.

- Porozmawiamy o tym wieczorem.

- O co chodzi? Czy jesteś chory? Nie chcę czekać do wieczora. Powiedz mi zaraz!

Ale Bowie nie odezwał się. Dojechali do miasta i Bowie zatrzymał wóz obok wielu innych, również wyładowanych ziarnem. Wziął ją za rękę i zaczął przesuwając palcem po zgrubieniach na jej dłoni.

- Bowie? Co się stało? Wiem, że coś się stało.

- Chcę ci coś powiedzieć i chciałbym, żebyś zapamiętała moje słowa.

Rosie poczuła, że coś ją ściska za gardło. Przez ostatnie pół godziny siedziała obok niego, zastanawiając się nad tym, co mogło być powodem jego rozpacz, usiłując zgadnąć, co chciał jej powiedzieć wieczorem.

- Czy to jest to, co chciałeś mi powiedzieć później?

- To jest to, co chcę ci powiedzieć teraz. - Bowie ścisnął jej dłoń. - Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Rosie, i już chyba nie spotkam. Podziwiam cię z całego serca.

Jesteś silna, odważna, hojna i czuła. Dbasz o innych ludzi w niespotykany sposób - mówił, patrząc na ich złożone dłonie,

- Przerażasz mnie, Bowie.

- Nigdy cię nie zapomnę. Gdziekolwiek będę, cokolwiek będę robił, będziesz zawsze ze mną. Nie chciałem tego, ale cię pokochałem. Chcę, żebyś o tym pamiętała i wierzyła, że cię kocham.

Rosie patrzyła na niego. Od miesiący marzyła o tym, aby usłyszeć te słowa. Nie przypuszczała, że usłyszy je wśród gromady ludzi i handlowego zgiełku.

Tym bardziej nie przypuszczała, że ogarnie ją przerażenie, kiedy usłyszy te wyczekiwane przez siebie słowa.

- Nie - szepnęła, kiedy Bowie pomagał jej zejść z wozu. -Chcesz odjechać?

- Nie wiem, jak długo będę w biurze telegrafu. Kiedy sprzedasz pszenicę, jedź do domu. Ja wrócę pieszo.

Wokół nich słychać było przekleństwa ludzi ładujących ciężkie worki, rżenie koni, okrzyki mężczyzn, donośne głosy pośredników, którzy wykrzykiwali ceny. Ale Rosie nie słyszała tego.

- Nie możesz odjechać! Nie będziemy mieli zysku z tych zniw!

Ale w tej chwili zemsta przestała być ważna. Pszenica też nie była ważna. Łzy płynęły jej po policzkach, lecz nie zwracała na to uwagi.

- Tyle wspólnie przeszliśmy! Pokochałam cię i ty też mnie kochasz. Bowie, nie możesz mnie zostawić! Proszę cię, nie rozumiem, co się dzieje!

- Muszę ci coś powiedzieć - wyznał, trzymając ją za rękę. -Jak to usłyszysz, będziesz zadowolona, że się mnie pozbyłaś.

- Nigdy!

- Porozmawiamy dziś wieczorem. - Patrzył jej w oczy smutnym wzrokiem. - Proszę cię, Rosie. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem.

Obrócił się szybko i skierował na Main Street.

Rosie oparła się o wóz, usiłując złapać oddech. Miała uczucie, że zaraz zemdleje.

Bowie nie może jej opuścić. Ona jest jego żoną. Nie pozwoli mu odejść. Ale wiedziała, że on odejdzie. Odczuwała straszny ból w piersiach, czarne płatki latały jej przed oczami. Nie mogła ustać na nogach.

- Pani Stone? - Poczwała czyjąś rękę na łokciu. – Może powinna pani zejść ze słońca.

Spojrzała nie widzącym wzrokiem na stojącego obok niej Clema Zooka i upadła zemdlona.

Po wysłaniu telegramu do Alexandra Dubage'a Bowie przeszedł przez ulicę i wszedł do baru Harolda, aby tam czekać na odpowiedź. Stał przy kontuarze obok pojemnika na cygara, w miejscu, gdzie nie mógł widzieć swojej twarzy w lustrze. Nie zniósłby tego widoku.

- Cześć, Stone - powiedział Shotshi Morris, patrząc na zmasakrowaną twarz Bowiego. -

Zastępca szeryfa Sands opuścił nasze miasto. Chce spróbować szczęścia w Denver. Nie powiedział, pod jaki pociąg się dostał, ale to chyba ten sam pociąg, który potrącił ciebie.

Wyglądasz okropnie, chłopcze.

Bowie nalał sobie kieliszek whisky i wypił go jednym haustem.

- Ona będzie potrzebować pomocy. Morris. Może zacząć tu przychodzić.

Zdumiony Shotshi przysunął się do niego. Zanim zdążył się odezwać, w drzwiach stanął chłopiec z biura telegrafu i zawołał Bowiego.

- Za chwilę przyjdę - powiedział Bowie i zwrócił się znowu do Shotshiego, patrząc mu prosto w oczy. - Jeśli ona się załamie, to niech ktoś ją podtrzyma. Ona już zaszła za daleko, żeby teraz stracić to wszystko.

- O czym ty, u licha, mówisz?

- Zrób to. I powiedz innym. Pomóżcie jej powstrzymać się od alkoholu.

Bowie przeszedł przez ulicę i wszedł do biura telegrafu. Oparty o ścianę czytał długą depeszę, którą przysłał mu Alexander Dubage.

Doznał tak silnego szoku, że trudno mu było utrzymać się na nogach. Usiadł i ponownie przeczytał telegram. Musiał go przeczytać trzy razy, zanim wszystko zrozumiał. Oparł się o ścianę i zamknął oczy.

Jego ojciec zmarł. Susan i Nate mieszkali w Wyoming, w miejscowości, której nazwy nigdy przedtem nie słyszał. W domu, w którym się wychował, mieszkali obcy ludzie. Sprawy spadku po senatorze nie były jeszcze zakończone. Jego osobisty majątek był nienaruszony, ale ta sprawa go nie interesowała. Jego ojciec zmarł.

Przez cały czas Bowie wyobrażał ich sobie w Waszyngtonie, prowadzących swoje zwykłe życie. Może czasem o nim myśleli, a może nie. Widział ich zastygłych w czasie, aż do chwili, kiedy on sam postanowi im się ujawnić.

Widział teraz wysoką sylwetkę ojca, dumnego i pewnego swoich racji mężczyzny.

Niezdedydowaną Susan. która lubiła się bawić. Nate'a, który dopiero zaczął chodzić, kiedy Bowie widział go ostatni raz.

Bowie oparł głowę na rękach. Ta wiadomość wprawiła go w stan odrętwienia. Jego ojciec umarł, a Susan i Nate mieszkali w Wyoming. To było niezrozumiałe.

- Chcę wysłać drugi telegram do tego samego adresata -powiedział.

Rosie sprzedawała swoją pszenicę w stanie całkowitego ośpienia. Patrzyła bez zainteresowania, jak pośrednik waży worki, i zaskoczyła go, godząc się na pierwszą podaną cenę.

Jakie znaczenie mogły mieć pieniądze, kiedy świat się kończył? Czy cokolwiek miało teraz znaczenie?

Było już późne popołudnie, kiedy dostała pieniądze do ręki. Wsiadła na wóz i pojechała na Main Street, zatrzymując się przed biurem telegrafu. Zobaczyła Bowiego, który opierał się o ścianę z kapeluszem głęboko nasuniętym na oczy. Potem skierowała wzrok na bar Harolda i zaczęła bezwiednie przetykać ślinę.

Zbliżało się coś przerażającego i chociaż nie mogła sobie wyobrazić nic gorszego niż to, że Bowie ją opuści, wiedziała, że jest coś więcej i że to ją zniszczy. Radość z faktu, że Bowie wyznał jej swoją miłość, nie wypełni rozpaczy po jego odejściu.

Kiedy Bowie wyszedł na ulicę, widziała, że mimo opalenizny był bardzo blady. Kiedy zawołała go, spojrział na nią niewi-dzącym wzrokiem, ale po chwili wsiadł na wóz i siedział

milczący, z zamkniętymi oczami.

- Nie możesz odejść - szepnęła.

Nie odezwał się. Rosie zebrała lejce i wóz mszył. Starła się myśleć o czym innym.

Nie załatwiła żadnych spraw w mieście. Nie kupiła sobie kapelusza, który widziała na wystawie sklepu pani Hodge, Nie kupiła Johnowi Hawkinsowi kieszonkowego noża, ani Lodishy niemieckich czekoladek, o których marzyła od chwili, kiedy dowiedziała się, że są w sklepie panny Crandall. Nie kupiła Bowiemu nowych butów, które miały być niespodzianką dla niego.

- Proszę cię, Bowie - odezwała się wreszcie, nie mogąc znieść tego okropnego milczenia. - Powiedz mi coś.

- Mój ojciec umarł. Nie mógł znieść myśli o sądzie wojennym i szubienicy. Zabił go skandal.

- Czy jesteś tego pewien?

Rosie odczuła nagłą ulgę. Wraz ze śmiercią ojca nie będzie już miał żadnych zobowiązań w Waszyngtonie i nie odejdzie od niej.

- Mogłem to wyczytać między wierszami - powiedział, patrząc na niebo. - Sam chciałem powiedzieć senatorowi o Stone Gulch. On by tego nie zrozumiał i nie wybaczyłby mi, ale chciałem mu to wszystko opowiedzieć i wytłumaczyć, dlaczego tak się zachowałem.

Chciałem, żeby wiedział, dlaczego musiałem zabić Luthera Radisona. Chciałem mu powiedzieć, że go podziwiam.

- Przykro mi, że twój ojciec nie żyje - powiedziała Rosie. - Ale to znaczy, że nie musisz wyjeżdżać.

- Zawsze ci mówiłem, że będę musiał wyjechać, Rosie. Zostałem do końca żniw, tak jak ci obiecałem.

Kiedy wóz wtoczył się na podwórze, John Hawkins stał obok stodoły. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na ich twarze i bez słowa zaczął wyprzęgać Ivanhoe'a.

- Nie - powiedziała Rosie, kiedy Bowie chciał pomóc jej przy zsiadaniu.

Nie chciała, żeby jej dotykał. Coś jej mówiło, że jeszcze nie dowiedziała się najgorszego.

Nic do siebie nie mówiąc, poszli w kierunku prerii.

Bowie zatrzymał się, aby popatrzeć na farmę. Zachodzące słońce otulało zniszczone budynki różowożłotym światłem.

- Powiedz mi wreszcie - zażądała Rosie.

Bowie rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym ponownie skierował wzrok na farmę.

- Mówiłem ci już o moim bracie, Nathanie. Jako dzieci byliśmy nierozłączni.

Uwielbiałem Nathana, zawsze go chciałem naśladować. On był dobrym, porządnym człowiekiem.

Rosie stała kilka kroków od niego, otulając się szczelnie szalem, chociaż wieczór był ciepły.

- Zginął w wypadku, kiedy wywrócił się powóz? - spytała.

Nie rozumiała, dlaczego mówi teraz o bracie i do czego miała prowadzić ta rozmowa.

Wiedziała jednak, że będzie to coś okropnego.

- To był głupi wypadek. Nathan wielokrotnie ryzykował życie w walce, a zginął w zderzeniu powozów, pięć kilometrów od domu. Umarł po kilku dniach okropnych ciepień.

Bowie włożył ręce do kieszeni i utkwiał wzrok w odległej linii horyzontu.

- Przed śmiercią powiedział mi o kobiecie, którą kochał. Mieli zamiar się pobrać.

Rosie opuściła głowę i zacisnęła mocno pięści. Przez jej ciało przebiegało drżenie.

Wstrzymała oddech.

- Ta kobieta była w ciąży. Nathan był zrozpaczony, wiedział, że jego śmierć zniszczy jej życie i życie nienarodzonego dziecka. Błagał mnie, abym poślubił Susan i dał jej nasze nazwisko. Obiecałem mu, że będę się opiekował Susan i jej dzieckiem tak, jakby było moim własnym.

- Och, Boże.

Pod Rosie ugięły się nogi. Usiadła na ziemi.

- Mam żonę i syna. Po sądzie wojennym napisałem do Susan, że już nie będę stale przebywał poza domem. Że rozpoczniemy nowe życie. Potem przyszła ta sprawa z Lutherem Radisonem i... wiesz, co było dalej. Nate jest synem mojego brata, Rosie - dodał po chwili milczenia. - Jest teraz w tym wieku, że potrzebuje ojca. Przysiągłem Nathanowi, że będę ojcem dla jego syna.

- Susan - szepnęła Rosie. Dlaczego wymienił imię tej kobiety? Kiedy poznała jej imię.

Susan stała się rzeczywistą postacią.

- To nie było prawdziwe małżeństwo. Na początku Susan była zrozpaczona po śmierci Nathana, byliśmy sobie zupełnie obcy. Wyjechałem do wojska na Zachód, abyśmy mogli oboje ochłonać, zanim rozpoczniemy wspólne życie. Kiedy skończyłem tam służbę, zaciągnąłem się ponownie. W forcie nie ma miejsca dla rodzin. Nie zajmowałem się wcale Nate'em. Teraz muszę to naprawić. Muszę to zrobić ze względu na Nathana i ze względu na chłopca.

- Ty sukinsynu! - Gdyby Rosie miała przy sobie rewolwer, zastrzeliłaby go. - Miałeś już żonę, kiedy się ze mną żeniłeś!

- Wiele razy o tym myślałem. - Bowie przesunął ręką po twarzy. - Kiedy stałem pod szubienicą, byłem pogodzony ze śmiercią. Potem ty i szeryf Gaine rzuciliście mi linę ratunkową i uchwyciłem się jej. Stałem tam z pętlą na szyi, wiedziałem, że za kilka minut umrę i nagle dostałem szansę. Nie myślałem wtedy o konsekwencjach, nie myślałem o tym, czy mam prawo się ożenić, aby uratować życie. Zanim mogłem pozbierać myśli, byliśmy już małżeństwem.

- Powinieneś być mi o tym powiedzieć!

- Wtedy to nie miało znaczenia. Potrzebowałaś pomocy przy żniwach i to ci się ode mnie należało. Zawsze wiedziałem, że będę tu tylko przez jakiś czas. Na początku nie wydawało się możliwe, żeby mogły być między nami inne relacje niż między pracodawcą i pracownikiem. Miałem spłacić swój dług, pomagając ci osiągnąć zysk z plonów, i wrócić na Wschód.

Rosie siedziała na ziemi, drżąc na całym ciele. Robiło jej się na przemian zimno i gorąco. Nie była mężatką. Nigdy nią nie była. To wszystko było oszustwem. Ta noc w stodole, jego czułe słowa, ich długie noce, pożądanie i miłość... to wszystko opierało się na kłamstwie.

Zerwała się z ziemi i rzuciła na niego, bijąc go, drapiąc i kopiąc.

- Kochałam cię! - krzyknęła. - Dla ciebie przestałam pić, zaczęłam się ubierać, przestałam kłąć i palić. Dla ciebie zmieniłam całe swoje życie, a ty przez cały czas wiedziałeś, że mnie opuścisz i wrócisz do niej!

- To, co zmieniłaś w swoim życiu, zrobiłaś dla siebie - powiedział Bo wie, łapiąc ją za rękę. - Nie można się zmienić dla kogoś. Skrzywdziłem cię, Rosie, i będę tego żałował do końca życia. Ale ty zrobiłaś to wszystko dla siebie!

Rosie próbowała mu się wyrwać, obrzucając go najgorszymi wyzwiskami, jakie przysły jej do głowy. Wreszcie uwolniła rękę z jego uścisku.

- Jesteś taki sam jak Blevins! - krzyczała przez łzy. - On używał siły, a ty kłamliwych czułych słówek! Nie ma żadnej różnicy między wami! Obaj wykorzystaliście mnie, a ty w dodatku odrzuciłeś!

Rosie zakręciła się w miejscu, podniosła spódnicę i rzuciła się w stronę domu. Dlaczego nie pozwoliła, aby go powiesili?

Bowie wrócił do domu dopiero po zapadnięciu ciemności.

Passion Crossing było małym miastem, wszyscy jego mieszkańcy dobrze się znali. Zanim poranny pociąg pokona jedną trzecią drogi do Denver, wszyscy będą wiedzieli, że mąż Rosie opuścił ją i w dodatku wcale nie był jej mężem. Pocieszał się tylko myślą, że wszyscy dobrze pamiętają Dzień Długich Rogów i że będą pomagać Rosie.

Wiedział, że duma pozwoli jej przeżyć te najgorsze dni po wybuchu skandalu. Jeśli nie zacznie znowu pić, to nie będzie obnosić się ze swoim bólem po całym mieście. Poza tym była wspaniałą, piękną kobietą. Znajdzie się w końcu jakiś inny mężczyzna. Na myśl o tym, że Rosie może dzielić łóżko z innym, ogarnęła go dzika zazdrość, a dłonie same zacisnęły się w pięści.

Kiedy Bowie wszedł do kuchni, Lodisha i John Hawkins popatrzyli na niego oskarżycielskim wzrokiem. Lodisha nie zaproponowała, że opatry mu twarz poranioną paznokciami Rosie. John Hawkins założył ręce na piersi i obrócił się do ściany.

Bowie przeszedł przez kuchnię w milczeniu, myśląc o tym, że będzie mu ich bardzo brakowało, prawie tak bardzo, jak bardzo będzie mu brakowało Rosie. Zastukał do drzwi małej sypialni, w której Rosie już od dawna nie sypiała.

- Jeśli nie otworzysz drzwi, to je wyłamie.

- Idź do diabła!

Drzwi były cienkie i łatwo ustąpiły pod naciskiem jego ramienia.

Rosie siedziała na łóżku z rewolwerem w ręku. Zdjęła już spódnicę i halki, miała teraz na sobie brązowe kalesony

- Musimy porozmawiać - powiedział.

Przepełniało go poczucie winy. Porównała go do Franka Blevinsa, a on nie miał nic na swoją obronę.

- Wypchaj się, Stone. I nie podchodź do mnie.

Usłyszał świst kuli koło ucha. Po chwili rozległ się trzask kuchennych drzwi. Lodisha i John Hawkins usunęli się z linii ognia.

- Do przyszłego tygodnia mój adwokat powinien już uregulować moje sprawy majątkowe. Poleciałem mu, aby wysłał dużą sumę pieniędzy na twoje konto bankowe w Passion Creek. Za tydzień będziesz miała największe konto w całym zachodnim Kansas.

- Czy myślisz, że uspokoisz swoje sumienie, dając mi pieniądze? Jak prostytutce? Nie potrzebuję twoich pieniędzy! - wrzasnęła Rosie, celując w sprzączkę paska na brzuchu Bowiego.

Dopiero w ostatnim momencie skierowała rewolwer w bok. - Nienawidzę cię, Stone!

Chciałabym, żeby rozbił się pociąg, którym będziesz jechał, i żebyś zginął! Żebyś smażył się w piekle! - Szybko wytała łązy i wycelowała rewolwer w jego pierś. - Czy ją kochasz?

- Mówiłem ci już, że Susan i ja nawet dobrze się nie znamy.

- Czy myślałeś o niej za każdym razem, kiedy się ze mną kochałeś?

- Na litość boską, Rosie. Dla mnie jest to równie trudne jak dla ciebie. Czy myślisz, że chciałem, żeby tak się stało? Gdyby nie Nate, to nigdy bym cię nie opuścił. Kocham cię!

Rosie zestrzeliła mu z głowy kapelusz. Kula przeszła tak blisko, że czuł, jak podnoszą mu się włosy na głowie.

- Spałeś z nią, prawda?

- Nigdy nie żyliśmy jak mąż z żoną. - Bowie patrzył na nią w milczeniu, nie mogąc znieść rozpacz, która widniała w jej oczach. - Nie rób tego - powiedział wreszcie.

- Nie masz prawa mówić mi, co mam robić! - warknęła Rosie, posyłając w jego kierunku kolejną kulę.

Kiedy zabrakło jej naboju, rzuciła w niego rewolwerem i ukryła twarz w dłoniach.

- Chcę cię zabić! Ale nie mogę tego zrobić! Wykorzystałeś mnie! Oszukałeś i zdradziłeś!

Byłam cholerną idiotką, że zawierzyłam mężczyźnie!

Bowie kopnął rewolwer, który wpadł pod łóżko, potem zbliżył się do niej i usiadł na brzegu

materaca. Rosie skuliła się, żeby być jak najdalej od niego.

- Wiem, że mi nie uwierzysz, ale ja ciebie nie wykorzystywałem. Kocham cię. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

- Ale skrzywdziłeś mnie! O. Boże, jakie to straszne!

- Kocham cię, Rosie, jak nigdy jeszcze nie kochałem żadnej kobiety. Tylko obietnica, którą dałem Nathanowi, kiedy umierał, zmusza mnie do tego, abym cię opuścił. Tam jest dziecko, które uważa mnie za swojego ojca. Nie mogę go zawieść. Dałem słowo.

Rosie patrzyła na niego, a łzy spływały jej po policzkach. Nagle rzuciła się, szlochając, w jego ramiona. Bowie poczuł nagłą nienawiść do Susan. żałował, że się z nią ożenił, miał pretensje do Nathana, że tego żądał. Czuł taki ból w piersiach, jakby trafiły go wszystkie strzały Rosie.

- Przykro mi - powiedział, wiedząc, jak niewiele te słowa znaczą. Gładził ją po włosach i po mokrej od łez twarzy. -Chciałbym, żeby wszystko potoczyło się w inny sposób.

- Kocham cię, Bowie. Proszę, nie opuszczaj mnie!

- Ja też cię kocham, Rosie, Ale nie mam wyboru. Pocałował ją i delikatnie wyzwolił się z jej objęć.

- O Boże!

- Nigdy cię nie zapomnę, Rosie Mulvehey. Twój obraz pozostanie ze mną do końca życia.

Słyszał jeszcze jej łkanie, kiedy schodził z ganku na podwórze.

Jeszcze raz popatrzył na farmę w świetle księżyca. Na stodołę, budynki gospodarcze, pastwisko, dom, pola, na kamień nagrobny Franka Blevinsa i topole przy strumieniu. W tym ponurym miejscu zostawia swoje serce.

Czuł na sobie wzrok Lodishy i Johna Hawkinsa, kiedy skręcał na drogę, która prowadziła do miasta.

Pociąg do Denver odjeżdżał o świcie.

Owl Butte, Wyoming

Napijesz się jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. Zaraz powinien przyjechać dylizans. Susan była tak roztrzęsiona, że po kolejnej filiżance mocnej

kawy pani Adler wyskoczyłaby chyba ze skóry.

Chociaż dobrze wiedziała, że to drażni Greshama, nie mogła się powstrzymać, aby nie wyrzucić znowu przez okno jadalni pani Adler. Nerwowo zaciskała palce na wyszywanym woreczku, w którym były telegramy od Alexandra Dubage'a i od Bowiego.

Gresham odsunął od siebie tacę z nietkniętym śniadaniem i zburzył ręką włosy. Miał

brudne okulary. Po raz pierwszy, od czasu kiedy go poznała, miał przekrzywiony krawat i zmiętą koszulę.

- I co dalej? Ten sukinsyn podnosi się nagle z grobu i zabiera cię do Waszyngtonu? A gdzie, do jasnej cholery, był przez te wszystkie miesiące?

- W Passion Crossing, w Kansas. Wiesz o tym.

W tej rozmowie dzielili się fragmentami wiadomości, które powtarzali już sobie wiele razy podczas tego ostatniego, straszliwego tygodnia. Spędzali całe godziny nad tymi dwoma depeszami, zastanawiając się nad każdym słowem, starając się czytać między wierszami i zastanawiając się nad wszystkim, nie mówiąc o tym, co ich obchodziło najbardziej. O ich wspólnej przyszłości.

- Czy w Kansas nie ma papieru i atramentu? Jeśli z jakiegoś powodu Stone nie mógł sam do ciebie napisać, to mógłby to zrobić ktoś za niego i zawiadomić cię, że on żyje! To jest dowód braku sumienia i poczucia przyzwoitości. Pozwolił ci wierzyć, że umarł. Pozwolił, aby jego ojciec wyrzucił cię na ulicę bez grosza przy duszy! I naraził na takie cierpienia! A przez cały czas ten skurwiel gdzieś sobie spokojnie żył!

- Nie znamy jeszcze jego historii - powiedziała Susan, dotykając jego ramienia. - Musiał

być jakiś powód, dla którego Bowie pozwolił nam uznać się za zmarłego.

- Bronisz go? - Gresham rzucił jej oskarżycielskie spojrzenie.

- Mówię tylko, że musiał być jakiś powód. Proszę cię, Gresham. To wszystko jest już i tak wystarczająco trudne.

- A czy może być gorzej? - Gresham wyrzucił ręce do góry. - Może przez cały czas myślałaś, że on żyje? Czy dlatego nie chciałaś mnie poślubić? Bo wierzyłaś, że on wróci do ciebie?

- Chyba oboje podejrzewaliśmy, że Bowie żyje - powiedziała Susan, opuszczając nisko głowę. - Oboje wiedzieliśmy, że coś musi się kryć za tym, że Gulliver County nie przysłała świadectwa zgonu. - Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem. - Jeśli chcesz wiedzieć, czy czuję się związana z Bowiem, to muszę powiedzieć, że tak. Kiedy tamtego wieczoru wyjawiałeś mi prawdę o Stone Gulch, ja ci opowiedziałam o swoim małżeństwie. Bowie ocalił moją reputację, dał Nate'owi nazwisko. Jest oczywiste, że czuję się z nim związana.

- Och. Boże - szepnął Gresham. łapiąc się za włosy.

- Ale to nigdy nie było...

- Przestań. Nie mogę tego słuchać. - Gresham zdjął okulary, rzucił je na stół i ukrył twarz w dłoniach. - Stone może ci dać tak wiele rzeczy, których ja nie mogę. Służbę, duży dom, modne stroje. Nie będziesz się musiała martwić o pieniądze. On może ci zapewnić takie życie, na jakie zasługujesz i jakiego pragniesz.

- Proszę cię, Gresham - szepnęła Susan.

Myśl o spotkaniu z Bowiem tak ją wyprowadzała z równowagi, że nie potrafiła zebrać myśli. Ile razy spojrzała na Greshama, zalewała ją fala rozpacz.

Na myśl o tym, że może go już nigdy nie zobaczyć, zamierało jej serce. Gresham był jej przyjacielem, kochankiem i powiernikiem, jedyną osobą, która w nią uwierzyła. Ta wiara dodawała jej sił. Nie mogła sobie już wyobrazić, że mogłaby żyć bez niego.

Ale była żoną Bowiego Stonę'a. Jeśli Bowie zechce ją zabrać z Owls Butte, to będzie miał do tego pełne prawo.

- Och, Gresham. Tak bardzo jesteś mi potrzebny - szepnęła, przyciskając chusteczkę do zapłakanych oczu. - Do pewnego stopnia jestem tą samą przerażoną kobietą, która wysiadła z dyliżansu podczas burzy śnieżnej i która potrzebowała męskiego wsparcia. Nie chciałam wyjść za ciebie, dopóki nie zyskam pewności, że potrafię sama dawać sobie radę i że będę taką żoną, jakiej pragniesz i jakiej potrzebujesz. Moje niezdecydowanie nie miało nic wspólnego z Bowiem. Kiedy poczuję się zupełnie niezależna, wtedy... - Susan opuściła głowę, z trudem powstrzymując łkanie.

Nigdy nie wyjdzie za mąż za Greshama Harte'a. Bowie żył. Musiała się pogodzić z tym faktem. Za pół godziny pojawi się w Owls Butte. Jeszcze nie mogła w to uwierzyć. Te dwa telegramy wywróciły jej świat do góry nogami. Co będą mieli sobie do powiedzenia, czego on oczekuje?

- Ten cholerny dyliżans już tu jest - powiedział Gresham przez zaciśnięte zęby.

Susan zacisnęła dłonie, patrząc na szybko zbliżający się obłok kurzu. Dyliżans zatrzymał się przed hotelem pani Adler.

Jej mąż przyjechał.

Susan nie miała siły wstać z krzesła. To był trzeci, najgorszy dzień jej życia. Śmierć Nathana, śmierć

Nate'a, a teraz zmartwychwstanie Bowiego.

Chciała rzucić się w ramiona Greshama i błagać go, aby coś zrobił. Ale on nie mógł nic zrobić. Żadne z nich nie mogło nic zrobić.

- Obiecałeś, że nie będziesz interweniować - szepnęła tylko.

- Kocham cię, Susan. - Ciemne oczy Gresharna pałały. -Nie mogę stać z boku i pozwolić, żeby on cię zabrał! Rozumiem, że musisz z nim porozmawiać, ale...

Patrzyli przez okno. Z dyliżansu wysiadał właśnie pierwszy pasażer, tęga kobieta z czerwoną twarzą, a za nią siwowłosa mężczyzna.

- Muszę już iść - powiedziała Susan.

Nie mogła złapać tchu, coś ją ścisnęło w piersiach. Powstrzymała się, aby nie poprawić kapelusika na głowie i nie obciągnąć swojego krótkiego letniego żakiecika, ponieważ Gresham nie spuszczał z niej oczu.

Gresham pomógł jej wstać i pogładził po policzku.

- Jutro rano spotkamy się w moim biurze - przypomniał jej zdławionym głosem.

- Pamiętam o tym. - Susan nie odrywała wzroku od widocznego przez okno dyliżansu.

- Jeśli on ci na to pozwoli.

- Nie jestem już takim tchórzem jak przedtem. Powiedziałam, że przyjdę jutro do twojego biura i na pewno tam będę.

- On pewnie spędzi noc w twojej chacie.

Susan popatrzyła na niego, a jej twarz oblał silny rumieniec. Oboje myśleli już o tym, ale nie poruszali tego tematu.

- Niech to szlag trafi! - Gresham gwałtownym mchem założył okulary. - Przepraszam cię.

Ja tylko... chciałbym coś rozwalić albo kogoś zabić. Stone nie ma do tego prawa, ale w rzeczywistości ma wszelkie prawa. Jesteś przecież, do cholery, jego żoną!

Susan zagryzła wargi. W jej obecności Gresham Harte zawsze zachowywał się poprawnie i nigdy nie kłął.

- Wiesz, że cię kocham - powiedziała, nie zwracając uwagi na to, że ludzie siedzący przy innych stolikach patrzą na nich ciekawie.

- I dlatego to stało się grecką tragedią!

- Nawet jeśli... - Susan dotknęła palcami jego warg, ale nie mogła mówić o rozstaniu. -

Zobaczymy się jutro. Obiecuję.

Zmusiła się do przejścia przez jadalnię. Kiedy stanęła na werandzie, serce jej mocno biło.

Zobaczyła Bowiego w momencie, kiedy wysiadał z dyliżansu. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Wydawało jej się przez chwilę, że widzi Nathana. Bowie miał na sobie ciemne spodnie i bawełnianą marynarkę, która, jak zwykle, była trochę na niego za wąska w ramionach. Nigdy jeszcze nie widziała go w kowbojskim kapeluszu, ale dobrze w nim wyglądał. Przenikliwie niebieskie oczy w jego opalonej twarzy były oczami Nathana.

Nie, to nie był Nathan. Ani dorosły Nate. Tym mężczyzną był Bowie.

Susan zrozumiała nagle, dlaczego uważała, że ich małżeństwo może być dobre. On był

bardzo podobny do mężczyzny, którego pokochała. Poza tym, nie miała wyboru. Bowie był jej zbawcą. Wyszła za niego za mąż w historycznej euforii, błogosławiąc ziemię, po której stąpał, za to, że nie ujawnił jej stanu nawet przed swoim ojcem.

Susan stała na werandzie, a Bowie obojętnie przesunął po niej wzrokiem. Nie poznał jej.

Może pani Winters miała rację. Może rzeczywiście teraz trzymała się prosto i inaczej wyglądała.

Bowie nie widział jej też w żałobie ani w prostym, niewyszukanym ubraniu. Nie widzieli się od przeszło roku. Chociaż Susan była jego żoną od pięciu lat, mogła policzyć na palcach tygodnie, które spędzili w swoim towarzystwie.

Zacisnęła drżące ręce i zeszła powoli ze schodków werandy, wiedząc, że Gresham obserwuje ją przez okno. Podeszła do Bowiego. Zapomniała już, że jest taki wysoki.

- Bowie?

Dopiero teraz dojrzała ślady na jego twarzy, świadczące niezbitnie o niedawnej bójce.

- Susan? - Bowie zdjął kapelusz i uśmiechnął się z przymusem. - Przepraszam, ale...

Zmieniłaś się.

Patrzyli na siebie w niezręcznej ciszy. Bowie wyglądał teraz na dojrzałego, pewnego siebie mężczyznę. Z jego twarzy zniknął wyraz poprzedniej arogancji. Był szczuplejszy, bardziej muskularny. Wyglądał raczej jak żołnierz, a nie oficer. Jego opanowany, a jednocześnie ożywiony wzrok nie był wzrokiem człowieka, który uciekł spod szubienicy. Susan uznała te zmiany za pozytywne. Był człowiekiem, który przeszedł przez ogień i wyszedł z niego silniejszy i bardziej pewny siebie.

Zaczęła się teraz zastanawiać, jakie zmiany Bowie widzi w niej. Czy jest zdziwiony jej prostym

strojem, nie mającym nic wspólnego z ostatnim krzykiem mody? Czy razi go fakt, że Susan patrzy mu prosto w oczy? Czy usłyszy w jej głosie, że jest teraz bardziej pewna siebie?

Czy dostrzeże jej nową samodzielność? Nic dziwnego, że jej nie poznał.

- Czy przywiozłaś Nate'a, czy zobaczę go później? - spytał, nie patrząc na nią.

- Nate nie żyje - powiedziała cichym głosem, spuszczać oczy.

Za każdym razem, kiedy wymawiała te słowa, łzy napływały jej do oczu. Tak trudno było w to uwierzyć.

Kiedy wreszcie podniosła wzrok, Bowie stał, zaciskając szczęki, i patrzył na góry.

- Nie wiedziałem o tym - odezwał się wreszcie, - Dubage nie zawiadomił mnie. Przykro mi, Susan.

Susan nie pomyślała o tym, aby zawiadomić adwokata o śmierci Nate'a. W końcu kiedyś by to zrobiła. Dopiero od dziesięciu dni mogła normalnie funkcjonować, dopiero teraz opuściło ją to okropne odrętwienie.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wskazała gestem stojącą nieopodal bryczkę.

- Wynajęłam bryczkę. Myślałam, że będziesz chciał pojechać na cmentarz. Zawsze tam jeżdżę w sobotę rano.

- Jak to się stało? - spytał Bowie, biorąc ją pod ramię i prowadząc do bryczki.

Susan nie patrzyła w kierunku hotelu. Na myśl o Greshamie ogarniała ją rozpacz.

Bowie wziął lejce i spytał ją o kierunek jazdy. Kiedy znaleźli się na przedmieściu, Susan opowiedziała mu przerywanym głosem o obchodach święta Czwartego Lipca nad jeziorem.

- To było straszne - powiedziała na koniec, dusząc się od łkań. - Nate był całym moim życiem.

Jechali w milczeniu.

- Mam mnóstwo pytań - odezwał się wreszcie Bowie. - Myślę, że ty też.

- Tak. - Susan mięła w palcach chusteczkę. - To wszystko jest takie trudne... może łatwiej nam będzie mówić o przeszłości.

Bowie skinął głową i zsunął z czoła swój kowbojski kapelusz.

- Wiesz już na pewno o Stone Toes. Ale co wiesz o sprawie Luthera Radisona?

- Nie mogę uwierzyć, że mógłbyś zastrzelić nieuzbrojonego człowieka. Moja przyjaciółka czytała sprawozdania w gazetach. Byłyśmy przekonane, że przyjaciele Radisona kłamali w sądzie. - Susan

rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego nie zostałeś powieszony. Gazety doniosły, że wyrokowi sądowemu stało się zadość. Nie rozumiem też, dlaczego nie zawiadomiłeś nikogo, że żyjesz.

- Wyjaśnię ci tę sprawę. - Susan widziała, że Bowie silnie zaciska szczęki. - Ale najpierw... senator dał mi słowo, że będzie się opiekował tobą i Nate'em podczas mojej nieobecności. A z depeszy Dubage'a dowiedziałem się, że mój ojciec was wydziedziczył. -

Bowie obrócił się w jej stronę. - Czy to prawda, że wyrzucono cię z domu z czterdziestoma dolarami?

Susan patrzyła przez siebie. Przewidywała to pytanie i przez całą noc zastanawiała się, jak ma na nie odpowiedzieć. Czy ma mówić prawdę?

- Twój ojciec wiedział, że Nate i ja jesteśmy wymienieni w twoim testamencie jako pierwsi spadkobiercy – zaczęła ostrożnie. - Wtedy nikt się nie mógł spodziewać, że mogą być trudności z otrzymaniem świadectwa zgonu i przeprowadzeniem postępowania spadkowego. -

Przerwała i odetchnęła głęboko. - Twój ojciec był przekonany, że nie ma potrzeby zostawiać majątku Nate'owi i mnie, ponieważ będziemy mieli po tobie spadek, który zapewni nam dostatnie życie. Jego decyzję należy więc uznać za zupełnie zrozumiałą.

Bowie odczuł ogromną ulgę. Wyprostował się na bryczce i pokiwał głową.

- Kiedy się o tym dowiedziałem, myślałem, że... ale twoje tłumaczenie jest racjonalne.

Bowie przeprowadził konia przez ozdobną, żelazną bramę cmentarza i przywiązał go w cieniu sosny, jedyne drzewa, jakie tam rosło. Z zachmurzoną twarzą patrzył na lśniące w słońcu kamienie nagrobne.

- Czy wiatr stale tu wieje?

- Przeważnie. - Susan oparła się na jego ramieniu, wysiadając z bryczki. - Trzeba trochę czasu, aby przyzwyczać się do Wyoming. Ale jest tu bardzo pięknie. - Susan podniosła oczy na odległe wierzchołki gór. - Na wiosnę zbocza gór pokryte są kwiatami. -

Podeszła do małego nagrobka i położyła na nim bukiet kwiatów. ~ Nate kochał Wyoming.

Miał tu wiele swobody, mógł łowić ryby i rzucać lassem, wszystko go fascynowało.

Bowie schylił się nad kamieniem. Czytał napis i patrzył na wrytego pod imieniem Nate'a małego spaniela.

- On lubił zwierzęta?

- Tak. - Susan odwróciła się, żeby nie widział wyrazu bólu na jej twarzy. - Tego pieska wyrył przyjaciel.

- Prawie go nie znałem - powiedział po chwili Bowie. - Zawiodłem Nathana i zawiodłem jego syna.

- Nate był podobny do was obu - powiedziała Susan. - Ciemnowłosa, z niebieskimi oczami, z brodą, która znamionowała upór. Był wszystkiego ciekaw i niczego się nie bał. Tak jak ty i Nathan. Chciał iść do West Point, kiedy dorośnie, i zostać oficerem.

Susan uklękła przy grobie i wyrwała zielsko spomiędzy kamieni. Jej ból nie był już tak przejmujący, ale na pewno nigdy jej zupełnie nie opuści.

Bowie kołysał się na obcasach, bezwiednie zaciskając pięści.

- Jak umarł mój ojciec? To ten skandal go zabił, prawda?

- Nie - zaprzeczyła Susan, podnosząc głowę i patrząc mu w oczy. - Twój ojciec był

dumny z ciebie, z tego, co zrobiłeś w Stone Toes Gulch. Miał zamiar złożyć protest przeciwko wyrokowi sądu wojennego. Żądał wznowienia śledztwa. - Bowie patrzył na nią, tak bardzo chciał uwierzyć w jej słowa. - Twój ojciec rozumiał, dlaczego musiałeś zastrzelić Luthera Radisona. Ani przez chwilę nie wierzył, że jego syn mógłby popełnić morderstwo. Te sprawy nie były przyczyną śmierci twojego ojca. On umarł, kochając cię i wierząc w ciebie.

Bowie odwrócił się, skrzyżował ręce na piersi i stał ze wzrokiem wbitym w odległe góry.

- Myślałem, że senator będzie mną pogardzać za to, że zhańbiłem nazwisko. Myślałem, że przywiązuje większą wagę do pozorów. Uważałem, że myśl o jego niezadowoleniu będzie mi towarzyszyć aż do grobu.

- Senator bronił cię przed wszystkimi - szepnęła Susan. Bóg jej wybaczy, że zrobiła z senatora takiego ojca, jakim powinien być.

- Nie chcę cię obrazić, Susan, ale czy ty mówisz prawdę?

- Tak - potwierdziła, idąc ze spuszczoną głową w kierunku bryczki. - Powiem ci, jak jechać do mojej chaty - szepnęła, siadając w bezpiecznej odległości od niego.

-Chaty?

- Tak. Chata z bali, jeden bardzo mały pokój - powiedziała, odwracając głowę w kierunku grobu Nate'a. - Lubię ją.

- Zawsze sobie wyobrażałem cię w wielkim domu, pełnym służby. Przepraszam, że tak ci się przypatruję, ale bardzo się zmieniłaś.

- To prawda.

- Dlaczego przyjechałaś do Wyoming?

Opowiedziała mu o ogłoszeniu Greshama i o tym, jak odrzucił jej propozycję, kiedy dowiedział się, że jest wdową po oficerze i ma małe dziecko. Nie oszczędzając Bowiego, a tym bardziej siebie, mówiła o tym, jak błagała Greshama, żeby ją poślubił.

- Byłam w sytuacji bez wyjścia. Nie miałam pieniędzy, żadnych umiejętności, tylko dziecko, któremu musiałam zapewnić jedzenie. Nie wiedziałam, jak i czy zdołam przetrwać.

- Nie zdołam wyrazić, jak jest mi przykro, że ty i Nate znaleźliście się w takiej sytuacji. -

Bowie ścisnął kurczowo lejce, aż zbieleły mu nadgarstki. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że coś takiego mogłoby się zdarzyć.

- Pan Harte znalazł dla mnie drogę wyjścia.

Opowiedziała mu o swoim spotkaniu z Henriettą Winters w County Creek i o swoich uczniach, a jej głos brzmiał coraz bardziej pewnie.

- Więc jesteś nauczycielką.

- Uwielbiam uczyć. Nigdy nie przyszło mi przedtem do głowy, że mogłabym wpływać na czyjeś życie albo że mogłabym zasługiwać na szacunek i zaufanie. - Nawet teraz przepełniał ją podziw, że zdołała tego dokonać. - Przed twoją... śmiercią... spędzałam czas na błahostkach, myślałam o następnym balu, o nowym fasonie sukni. Kiedy mieszkałam w Waszyngtonie, nie miałam nigdy własnego zdania ani żadnego własnego pomysłu na życie. Marnowałam je, sama o tym nie wiedząc. Teraz wiem, że moja praca jest potrzebna. Moje życie nie zawsze jest łatwe, czasem jest mi ciężko. Ale znalazłam swoje miejsce. Prowadzę proste życie i jestem z niego zadowolona.

Przejechali obok Owls Butte i skręcili na drogę, prowadzącą do chaty Susan. Widać już było wieżyczkę szkoły, która odcinała się bielą na tle granatowego nieba.

Kiedy Susan patrzyła na tę wieżyczkę, zawsze wspominała Nate'a, który nie mógł

dosięgnąć do sznura, aby uruchomić dzwonek. Pocieszała go, że szybko dorośnie i będzie mógł

wzywać dzieci na lekcje.

- Cieszę się, że nie zostałeś powieszony. Ale jak to się stało?

- Jest taki przepis w Gulliver County, w Kansas - zaczął Bowie, patrząc prosto przed siebie - który mówi, że kobieta może ocalić skazańca, jeśli się zgodzi go poślubić. Rose Mary Mulvehey skorzystała z tego przepisu i uratowała mi życie. Ożeniłem się z nią.

Susan oniemiała ze zdziwienia. Tyle przypuszczeń wysuwali razem z Greshamem, aby wyjaśnić tę sprawę, ale nie przyszło im nigdy do głowy, że Bowie mógł ocalić życie, zawierając małżeństwo.

- Jak mogłeś ożenić się z panną MuWehey. kiedy już miałeś żonę?

- W tamtej chwili nie myślałem o tobie ani o twoim synku. Dzięki małżeństwu można było uznać, że mojemu wyrokowi stało się zadość. Nie myślałem o konsekwencjach, Susan. Po prostu to zrobiłem.

- Myślę, że każdy by tak postąpił na twoim miejscu - powiedziała.

Nie mogła potępić go za to, że skorzystał z możliwości ocalenia życia.

- Potem nie mogłem już odejść. Szeryf wysłałby za mną pogoń. Musiałem też odpłacić Rosie za ocalenie mi życia. Aby spłacić ten dług, musiałem zostać tak długo, aby zasiać jej zboże i zakończyć żniwa.

. - To dlatego panna MuWehey zgodziła się poślubić skazańca? Chciała mieć robotnika do pracy w polu? - spytała Susan, patrząc na niego z ciekawością.

- Gdybym zawiadomił ciebie i senatora, że żyję, musiałbym się przyznać również do tego, że popełniłem bigamię. - Bowie rzucił jej szybkie spojrzenie. - Obarczyłbym ciebie i senatora następnym skandalem, a Rosie nie miałyby swoich plonów. Uważałem wówczas, że ty i Nate jesteście pod dobrą opieką. Wydawało mi się, że mogę odwdzińczyć się Rosie, nikogo zanadto nie krzywdząc.

Susan myślała teraz o tym, jak po śmierci senatora została zupełnie sama, o swoim przerażeniu i rozpacz, kiedy wyrzucono ją z domu z niewielką sumą pieniędzy. A przez ten czas Bowie był mężem innej kobiety.

- Opowiedz mi o swojej drugiej żonie.

- Nie mogę opisać Rosie - powiedział po dłuższym milczeniu, skracając bryczką w podwórzu. - Mam ją przed oczami, ale nie potrafię ci wytłumaczyć, jaka ona jest. Powiem tylko tyle. Dopiero dwa tygodnie temu Rosie dowiedziała się o tobie i o dziecku. Tylko ja jestem odpowiedzialny za wyrządzoną ci krzywdę. Rosie nie miała z tym nic wspólnego.

- Czy ona umie gotować i wbijać gwoździe? - Susan wiedziała, że jest to bardzo głupie pytanie, ale tak bardzo ciekawa była Rosie.

- Nie widziałem - Bowie roześmiał się serdecznie - żeby Rosie gotowała cokolwiek poza kawą. A czy potrafi wbijać gwoździe? Tak! Rosie Mulvehey potrafi przeciągnąć cały pas ogrodzenia szybciej i lepiej niż jakikolwiek mężczyzna. Sama podkuwa konia, rąbie drewno, orze. Jest prawdopodobnie najlepszym strzelcem w Gulliver County.

Susan nie odrywała od niego wzroku. Kiedy Bowie mówił o Rose Mary Mulvehey, na jego twarzy malowały się różne uczucia. Miłość, podziw, rozpacz. Uczucia, które Susan widziała w oczach Greshama.

- Kochasz ją - powiedziała cichym głosem.

- Moje małżeństwo z Rosie jest nieprawomocne - powiedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Mam przede wszystkim zobowiązania w stosunku do ciebie, Susan. - Bowie głęboko wciągnął

powietrze. - Dałem słowo Nathanowi.

Susan podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Powiedz mi, Bowie. Gdybyś wiedział wcześniej, że Nate.. , że Nate oszedł... czy byłbyś tu teraz?

- Nie - powiedział po długim milczeniu. - Gdybym o tym wiedział, prawdopodobnie pozwoliłbym, abyś nadal myślała, że nie żyję. - Popatrzył na nią. - Ale teraz gotów jestem przyjąć swoje obowiązki.

Susan przypomniała sobie wyraz jego oczu, kiedy mówił o Rose Mary Mulvehey.

- Bowie... czego się spodziewałeś, przyjeżdżając do Owls Butte?

- Kiedy byłem w Denver, zleciłem pośrednikowi kupno czterdziestu hektarów ziemi na hodowlę koni w Oregonie. Mam nadal swoje kontakty z wojskiem w Waszyngtonie. Kawaleria zawsze potrzebuje koni. Myślę, że hodowla koni da mi zadowolenie.

- Chciałeś zabrać Nate'a i mnie do Oregonu? - Czyli jak najdalej od Passion Crossing, Kansas, pomyślała Susan. - Czy proponujesz mi, abym pojechała z tobą do Oregonu?

- Złożyłem przysięgę Nathanowi i tobie. Obiecałem, że się tobą zajmę - powiedział

beznamiętnym głosem.

- Mam w chacie lemoniadę - zaproponowała Susan. zsiadając z bryczki przed domem.

Jej twarz rozjaśniła się nagle uśmiechem. Bowie uważał, że jego obowiązkiem jest wyratować ją i wyrwać z jej ponurej egzystencji. Myślał, że ona potrzebuje jego opieki. Nie wie jeszcze, jak bardzo się zmieniła.

- Potem pokażę ci moją klasę.

- Chętnie ją zobaczę - powiedział uprzejmie.

Susan zatrzymała się na małym ganku, spojrzała mu w oczy i jej serce zabiło radośnie.

Mówiąc o Rosie Mulvehey, Bowie wzbudził w niej niejasną nadzieję.

- Chciałabym opowiedzieć ci o Greshamie Harcie.

- Czy to do niego przyjechałaś do Wyoming?

- Gdyby nie Gresham Harte, to po śmierci Nate'a postradałabym zmysły. To Gresham wykuł jego nagrobek.

I tyle jeszcze dla niej zrobił. Pomógł jej odnaleźć siebie, doprowadził do tego, że stała się inną

osobą.

Bez Rose Mary MuWehey opowieść Bowiego byłaby połowiczna. Równie niekompletna byłaby jej opowieść bez Gre-shama Harte'a.

Słońce chowało się już za górami, a oni jeszcze chodzili po porośniętej drobnymi krzewinkami okolicy, nie przestając rozmawiać. Czuli się ze sobą tak swobodnie, jak nigdy przedtem.

Susan opowiedziała mu o zebraniu rady miejskiej. Opisywała swoich uczniów i pracę nad nimi. Mówiła też o synku i tym tragicznym pikniku nad jeziorem. I o Greshamie Harcie. Wyznała mu, że sama omal nie popełniła bigamii. Nie chciała jednak wychodzić za mąż tylko dlatego, że potrzebowała opieki mężczyzny. Długo tłumaczyła swoje racje, a Bowie słuchał, nie oceniając i nie komentując jej słów.

Bowie zapoznał ją z kłopotami farmera, wspominał o Dniu Długich Rogów i o tym, jak zastępca szeryfa chciał go powiesić na topoli. Doprowadzał ją do wybuchów śmiechu, kiedy opowiadał obrazowo o Rosie. Lodishy i Johnie Hawkinsie. Susan wydawało się, że są jej bliskimi znajomymi.

- Podoba mi się Lodisha i John Hawkins. I bardzo podziwiam twoją Rosie - powiedziała. -

Ona jest wyjątkowa.

- Ty też, Susan. - Bowie patrzył na nią swoimi niebieskimi oczami, oczami Nathana i Nate'a. - Jesteś niezwykłą kobietą. Niewłaściwie cię oceniałem.

- Myślę, że dobrze mnie oceniałeś - uśmiechnęła się Susan. - Ale ta kobieta umarła, kiedy ty zostałeś skazany na szubienicę. To dziwne, ale twoja śmierć była najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przydarzyć. Nie było ciebie, więc musiałam nauczyć się stać na własnych nogach i budować nowe życie dla Nate'a i dla siebie. - Susan popatrzyła w kierunku Owls Butte. - Tu jest mój dom, Bowie. Mam tu wielu dobrych przyjaciół. Należę do tego miejsca. Nate jest tu... i Gresham. Nie mogłabym stąd wyjechać.

- Czy przyjmiesz radę od nowego przyjaciela? - spytał Bowie.

Susan patrzyła na niego i nagle przyszło jej do głowy, co by się mogło wydarzyć, gdyby nie było Rosie Mulvehey i Greshama Harte'a, a oni spotkaliby się teraz po raz pierwszy w życiu. Czowała, że Bowie myślał o tym samym.

- Z zastrzeżeniem, że nie będę musiała się do niej zastosować - odpowiedziała z uśmiechem. - Teraz ja sama podejmuję decyzje - dodała, zatrzymując się przy leżącym obok szkoły głazie.

- Potrzeba bycia z kimś jest nieodłączna od życia. Jeśli już nikogo nie potrzebujemy, to jesteśmy samotni, w najgorszy możliwy sposób. Nie możesz utożsamiać tej potrzeby z koniecznością posiadania męskiej opieki. To nie to samo. Życie jest krótsze, niż nam się wydaje. Nie odwlekaj tego, co w głębi duszy uznajesz za słuszne.

- Cieszę się, że przyjechałeś - powiedziała Susan. - Zawsze żałowałam, że tak mało się znaliśmy i że

nie miałam okazji, aby ci podziękować, że dochowałeś mojej tajemnicy i ocaliłeś mnie od zguby. Zawsze będę ci za to wdzięczna. Jestem ci również wdzięczna, że nie zawiadomiłeś mnie, że żyjesz.

-Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. - Nie jestem dobrą kucharką

- dodała, biorąc go pod ramię. - Ale mam przygotowaną kolację.

Gresham wjechał galopem na podwórko, zatrzymał konia, wznosząc tumany kurzu i rozejrzał się szybko.

A to sukinsyn! Spacerują pod rękę, a Stone patrzy na nią, jakby Susan była cukierkiem, który on zaraz zje. Ten łajdak przyciskał mocno jej rękę do piersi, gotów do dalszej akcji.

Gresham zaklął. Przewidział to. Każdego oficera kawalerii, z którym kiedykolwiek miał

styczność, cechowały gładkie maniery i niebywała arogancja. Oni wszyscy uważali, że każdy osadnik na Zachodzie ma obowiązek dać im wszystko, czego zażądają. Każda spódniczka do nich należała.

Ale Bowiemu Stone'owi nie uda się powrócić z zaświatów i rościć sobie praw do kobiety Greshama Harte'a. Stone wyzbył się tego prawa, kiedy jego żona włożyła po nim żałobę, a on nie pomyślał nawet, co się z nią dzieje. Nie zasługiwał na taką kobietę jak Susan.

Gresham zeskoczył na ziemię, złapał strzelbę i ruszył w kierunku szkoły. Kiedy zobaczył

Stone'a, podniósł strzelbę do ramienia i podszedł bliżej, aby mieć pewność, że jego strzał będzie celny.

- Gresham!

- Odsuń się. Susan. Zabiję tego łajdaka. Nie zabierze mi ciebie. Przyzwyczailem się już do myśli, że jesteś wdową.

- Kim ty, u diabła, jesteś?! - krzyknął Bowie, kładąc rękę na rewolwerze.

- Jestem człowiekiem, który karmił twoją żonę i opiekował się nią, kiedy ty udawałeś trupa w Kansas. Jestem człowiekiem, który pochował Nate'a i oblał jego śmierć łzami. Ty ich porzuciłeś, Stone. Niewart jesteś tej kuli, która cię dosięgnie. Powinieneś umrzeć wtedy, kiedy był na to czas. Na litość, Susan, odsuń się.

- Gresham, ty wariacie! - Susan wybuchnęła śmiechem. -Odłóż strzelbę. Chcę, żebyś poznał mojego męża, Bowiego Stone'a. Bowie, to jest Gresham Harte, mężczyzna, za którego wyjdę za mąż.

Stone zawahał się przez chwilę, potem zdjął rękę z rewolweru. - Susan powiedziała mi, że jest pan prawnikiem. Chcielibyśmy skorzystać z pana usług przy przeprowadzeniu rozwodu.

Rozwody są legalne w Wyoming, prawda?

- Rozwód - wyjąkał Gresham. - Tak, mogę wam załatwić rozwód.

Patrzył na Bowiego nieprzytomnym wzrokiem. Przygnał tu, zaślepiiony wściekłością, gotów zabić człowieka, po raz pierwszy w swoim życiu. A teraz jego ofiara chce skorzystać z jego usług? Nie mógł się tak łatwo przestawić. Susan podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

- Bowie zaproponował korzystny układ majątkowy - powiedziała z uśmiechem. -

Będziemy mieli dość pieniędzy, aby wykończyć dom, i wystarczający dochód do końca życia.

- Nie potrzebuję pieniędzy tego drania!

- Pieniądze należą do Susan. - Bowie patrzył na niego zmrużonymi oczami. - Ma prawo do majątku Nathana, więc go jej przekazuję. Odziedziczyłaby te pieniądze, gdyby miała ślub z Nathanem. Sama zadecyduje, co z nimi zrobić.

- Panowie - powiedziała Susan, stając pomiędzy nimi. Policzki jej pały. - Znaleźliśmy się w trochę niezręcznej sytuacji. Może kiedyś wiedziałam, jak się należy zachować w takich okolicznościach, ale nie pamiętam tego. Mam w domu gulasz i placek. Za dziesięć minut kolacja będzie na stole. Myślę, że jesteśmy cywilizowanymi ludźmi i możemy razem usiąść do stołu.

Susan szła w kierunku swojej chaty, a Gresham patrzył za nią. Ta dziwna sytuacja odebrała mu mowę. Miał usiąść do kolacji z mężem kobiety, którą chciał poślubić. O czym, na litość Boga, będą ze sobą rozmawiać we troje? Zaklął z cicha.

- Czy będzie pan jeszcze potrzebował swojej strzelby? - spytał Stone.

Gresham nie był zbyt pewny, że nie. Wciąż miał ochotę zabić Bowiego Stone'a. Stone zsunął kapelusz z czoła i mszył w kierunku domu.

- To nie było prawdziwe małżeństwo, Harte.

Podczas kolacji, której żadne z nich nie tknęło, Susan i Bowie prowadzili swobodną rozmowę o ludziach, których znali, i o różnych wydarzeniach z przeszłości. Susan zebrała jedzenie ze stołu i naląła wszystkim kawy. Dopiero wtedy Gresham uświadomił sobie, że rozmowa, której się przysłuchuje, jest rozmową przyjaciół, a nie kochanków. Nie opuszczała go zazdrość - przecież byli mężem i żoną. Nie był pewien, czy ma wierzyć temu, co Stone powiedział mu na podwórku.

- Susan? Przejdziesz się teraz ze mną? - spytał Bowie. Rzucił okiem na Greshama. -

Proszę nam wybaczyć.

Gresham mógł tylko patrzeć, gotując się ze złości, jak Stone wyprowadza Susan na dwór.

Jeśli będzie chciał ją wykraść, to Gresham będzie go ścigał na kraniec świata.

- Jaka gorąca noc - powiedziała Susan, biorąc Bowiego pod rękę. - Przykro mi, że kolacja była nieudana. Gresham nigdy tak niegrzecznie się nie zachowuje. Zawsze jest uroczym towarzyszem.

Jednak Susan nie uważała tej kolacji za nieudaną. Było to nowe, podniecające doświadczenie.

Cieszyło ją, że Gresham tak wyraźnie zabiegał o jej względy, rzucając Bowieemu wrogie spojrzenia.

- Kocham go, Bowie. Będzie nam dobrze razem.

- Dobrze urządziłaś sobie życie - powiedział, patrząc na światła miasteczka. - Ciesz się tym.

Susan przytuliła się do jego ramienia.

- Mówisz mi: żegnaj. Prawda?

Zrobiło jej się nagle przykro, że on odjeżdża. Mieli sobie jeszcze tyle do powiedzenia.

- Cieszę się, że masz Rosie. Szkoda, że jej nigdy nie poznam. Życzę wam wiele szczęścia.

- Wcale nie jest pewne, że Rosie będzie chciała mieć mnie - powiedział, kładąc dłoń na jej rękę. W świetle księżycy widać było wyraźnie ślady zadrapań na jego twarzy. - Równie dobrze może mnie zastrzelić.

- Na pewno będzie cię chciała - uśmiechnęła się Susan. - Będziecie mieli wspaniałe życie w Oregonie.

Kiedy szli do bryczki. Susan zauważyła stojącego w drzwiach chaty Greshama.

- Przykro mi, że sprawiłem ci tyle bólu. Tak bardzo żałuję, że nie byłem razem z Nate'em i nie mogłem go poznać - powiedział Bowie, trzymając ją za rękę.

- Ja też żałuję - szepnęła. - On był podobny do ciebie i do Nathana. Na pewno byście się pokochali.

Susan objęła go i przytuliła czoło do jego piersi. Stali tak przez chwilę, potem Bowie wsiadł do bryczki.

- Już nigdy się nie zobaczymy, prawda? - szepnęła Susan.

Patrzyli na siebie, wreszcie Bowie ruszył w kierunku Ols Butte.

Susan szła za bryczką aż do drogi.

Kiedy poczuła rękę Greshama na swoich ramionach, oparła się o niego.

- Nigdy się tak naprawdę nie poznaliśmy. To takie smutne.

- Jeśli chcesz pojechać z nim, to nie jest za późno. Mam tu konia.

- Greshamie Harcie. - Susan obróciła się w jego stronę. - Czasem potrafisz doprowadzić człowieka do rozpacz. Kocham cię, ty idioto. Nigdy nie kochałam żadnego mężczyzny tak bardzo, jak kocham cię. Chociaż w tej chwili nie rozumiem dlaczego. Nie odezwałeś się ani słowem, a teraz się

dąsasz.

- Co? Ja nigdy się nie dąsam. A co, u diabła, miałem mówić? Niech pan nie rozmawia ze swoją żoną? To jest kobieta, z którą się ożenię? I jak mogłaś mu powiedzieć, że wreszcie zdecydowałaś się wyjść za mnie za mąż, kiedy mnie jeszcze o tym nie poinformowałaś?

- Czy wycofujesz swoją propozycję?

- Oczywiście, że nie, Ale chciałbym wiedzieć, co on takiego powiedział, że zmieniłaś swoje zamiary.

Susan zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w brodę.

- Patrzyłam na tę sprawę niewłaściwie. Potrzeba bycia z kimś nie musi być oznaką słabości. A ja ciebie potrzebuję, Gresham. Potrzebuję twojej zachęty i twojej cierpliwości.

Chcę cię kochać i wiedzieć, że ty mnie kochasz. Potrzeba mi twojej siły i dobroci, i twojej wiary w przyszłość. Chcę rozpoczynać każdy dzień, wiedząc, że ty jesteś częścią tego dnia, częścią mnie samej. Potrzebuję też, żebyś mnie nauczył wbijać gwoździe.

- Susan, kocham cię nad życie, ale czasem doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Uśmiechnęła się do niego takim uśmiechem, że zapragnął wziąć ją w ramiona i zanieść na łóżko. Kiedy patrzyła na niego, wdzięczny był losowi, że spotkał ją na drodze swojego życia.

Stali objęci, patrząc na drogę, dopóki bryczka Bowiego Stone'a nie rozplynęła się w mroku. Potem Gresham zaniósł ją do chaty i położył na łóżku. Chciał, by zapomniała, że istniał

w jej życiu inny mężczyzna poza nim.

Guliwer County, Kansas

Rosie osunęła się na schodek ganku, ściskając w ręku depesze. Kiedy przeczytała ostatni telegram, łzy zalśniły jej w oczach. Przepęłniała ją niewysłowiona radość.

- Och, dziękuję ci, Boże! - wykrzyknęła, patrząc na niebo, przepęłniona dziką radością. -

Dziękuję!

Trzymając depesze w zębach, szukała pieniędzy w kieszeniach spodni, aby dać je chłopcu, który przyjechał konno i przywiózł jej te radosne nowiny.

- Dziękuję ci, Johnny Kravatz! - dodała, wręczając mu kilka monet.

- Dobre nowiny, pani Stone? - uśmiechnął się piegowaty wysłannik.

- Wspaniale! Kapitan Stone wraca do domu!

Bowie wracał, przyjeżdżał, aby ją stąd zabrać. Nie starała się ukryć łez, które spływały jej po policzkach. Nagle poczuła się słabo, nogi się pod nią ugięły. Szybko łapiąc oddech, uchwyciła się słupka ganku.

- Czy będzie odpowiedź, pani Stone?

- Tak! Jak tylko znajdziesz się w mieście, powiedz pani Paltz, żeby wysłała telegram do kapitana Stone'a. Niech napisze, że mu wybaczam i nadal go chcę. Niech napisze, żeby przyjeżdżał

najbliższym pociągiem!

Rosie zapomniała nawet, żeby dać zakurzonemu chłopcu szklankę wody do przepłukania gardła. Upewniwszy się, że już mocno stoi na nogach, pognała do kuchni.

- Lodisha! Bowie po nas przyjeżdża! Wszyscy pojedziemy do Oregonu. Gdzie jest John Hawkins? Muszę mu powiedzieć, żeby zaczął pakować nasze rzeczy. Mamy tyle do zrobienia!

- Czy nie mówiłam, że kapitan wróci? - Na czarnej twarzy Lodishy ukazał się szeroki uśmiech. - Nigdy w to nie wątpiłam. Możesz teraz wylać whisky z tej flaszki, którą chowałeś w swoim pokoju. Już nigdy nie będziesz jej potrzebować!

Ogarnięta szalem radości, Rosie nie myślała o butelce, którą kupiła następnego dnia po wyjeździe Bowiego. Wielokrotnie była bliska skorzystania z niej, ale nie zrobiła tego.

Bóg jeden wie, jak bardzo tego pragnęła. Tej nocy, kiedy Bowie odszedł od niej, szarpało ją uczucie zazdrości i rozpacz po straconej miłości. Wydawało się jej, że ból po stracie tego, co kochała najbardziej na świecie, może złagodzić tylko whisky.

Od tamtej nocy trzymała butelkę pod łóżkiem, na wypadek gdyby nie mogła dłużej znieść udręki po stracie Bowiego.

Ale jej nie otworzyła. Może jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że to była tylko jej walka, która nie miała nic wspólnego z Bowiem Stone'em.

Może wspomnienia pijackich wyczynów, potwornego kaca i smród więziennej celi były zbyt upokarzające. Może miło jej było, że zyskała szacunek dla samej siebie. Nie było ważne, co powstrzymało jej rękę, Rosie dziękowała teraz niebu, że tak się stało.

Kiedy John Hawkins i Lodisha zasiedli przy kuchennym stole, Rosie z rozjaśnioną twarzą odczytała im głośno wszystkie depesze.

- Ja i John Hawkins mamy jechać z Ivanhoe'em pociągiem do Oregonu? - zmarszczyła się Lodisha. - Gdzie jest Oregon?

Po wyjaśnieniach Rosie John Hawkins skinął głową, wyrażając swoją aprobatę.

- Hodowla koni to dobra rzecz. Takie życie da zadowolenie kapitanowi Bowiemu Stone'owi. I nam też. Słyszałem już o tym Oregonie i o tym oceanie.

- Bowie pisze, że szybko do was dołączymy. Przyjedzie tu po mnie.

- A co kapitan zrobił z tą inną żoną?

- Nie wiem - odparła Rosie. - Najważniejsze, że on do nas wraca!

Może Susan umarła, może nie chciała już znać Bowiego. A może Bowie się rozmyślił.

Chociaż Rosie była tego szalenie ciekawa, będzie mogła się wszystkiego dowiedzieć dopiero za tydzień.

- Mamy tyle do roboty! - powiedziała, rozkładając depesze na stole, aby dokładnie przestudiować plany podróży, a Lodisha i John Hawkins oglądali bilety na pociąg.

- Nigdy przedtem nie jechałam koleją. - Lodisha była podniecona, jej czarne oczy błyszczały. - Chyba będę musiała mieć nowy kapelusz. Jak wygląda dom w Oregonie? Czy jest tam dobry piec kuchenny?

- Nie wiem. - Rosie roześmiała się. - Bowie pisze tylko, że do tej posiadłości należy dom. Chce, żebyś razem z Johnem Hawkinsem przygotowała go na nasz przyjazd. Pisze, że będziemy tam mieszkać, dopóki nie zbudujemy własnego domu.

- Ja pojedę wagonem towarowym, razem z Iyanhoe'm - zdecydował John Hawkins. -

Kiedy mamy wyjechać?

Rosie przeczytała ponownie podane w depeszy instrukcje i obejrzała bilety. Złapała się za głowę.

- Wyjeżdżacie jutro! Nie zdążysz kupić sobie nowego kapelusza, Lodisha. Możesz wziąć jeden z kapeluszy mamy. -Ogarnęła ją nagła panika. - Musimy się pakować!

- Co mamy zabrać?

Wszyscy troje rozejrzeli się po kuchni i po saloniku.

- Nic - powiedziała po chwili Rosie i wszyscy się roześmieli. - Weźcie tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Resztę zostawimy na pożarcie myszom.

Po szybkiej kolacji John Hawkins poszedł do stodoły, aby spakować uprząż Ivanhoe'a i trochę ubrań. Lodisha związała swoje ulubione garnki w tobołek i zaczęła prasować suknię i żakiet na podróż pociągiem.

Rosie, nie mając nic innego do roboty, wyszła na oświetlone księżycem pola.

Nie mogłaby zasnąć tej nocy. Bowie wracał do domu. Jej serce przepełnione było miłością. Trudno było myśleć o tym, co powinna zrobić, zanim Bowie zabierze ją do Oregonu.

Odda krowy, świnię i kury. Panna Raven chętnie przyjmie jej książki do nowo otworzonej biblioteki. Wielebny Paulson przekaże najbardziej potrzebującym jej narzędzia rolnicze.

Chodziła po ściernisku, które było równie brązowe jak otaczająca je preria. Zatrzymała się, aby popatrzeć na farmę. Dom i budynki gospodarcze przedstawiały smutny widok, nawet w świetle księżyca. Już nie będzie musiała się martwić zapadającym się kurnikiem ani obłazącą z farby stodołą. Dom też był przechylony, a dach nie przetrzymałby pewnie zimy.

Nic się nie zmieniło od tego dnia, kiedy Rosie przyjechała tu z matką bryczką Franka Blevinsa. Farma była wtedy równie ponura. Przez piętnaście lat to miejsce było tylko punkciem na otaczającej go prerii, suchym, nieurodzajnym kawałkiem ziemi, na którym bujnie krzewiła się tylko ostra trawa. Było odpowiednie dla zajęcy i piesków preriowych, ale nie nadawało się pod uprawę.

Oczy Rosie zatrzymały się na odległym zarysie nagrobka Franka Blevinsa.

Nie pokonała go. Nie miała okazji, aby nacieszyć się zemstą.

Blevins na pewno śmieje się w swoim grobie.

Ivanhoe opierał się, nie chcąc wejść do pociągu. Po wielu okrzykach zachęty, głaskaniu i poklepywaniu wreszcie udało się Johnowi Hawkinsowi wprowadzić go na rampę i do boksu w towarowym wagonie. Ivanhoe drżał ze strachu.

- Uspokoi się. Ja z nim będę - powiedział John Hawkins.

Na twarzy starego Indianina nie było widać żadnych emocji. Cokolwiek myślał o zmianie w swoim życiu, nie wyrażał tego słowami. Godził się z tym, co niosło życie. Może będzie mu się podobać w Oregonie i znajdzie tam miejsce dla siebie.

Rosie potrząsała jego ręką, jakby zegnali się na zawsze. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję, wprawiając go w zażenowanie. John Hawkins dał jej szpon orła na szczęście i wszedł do wagonu.

Rosie pobiegła teraz wzdłuż pociągu do wagonu pasażerskiego. Jego wąskie wnętrze było już zatłoczone. Pasażerowie siedzieli ściśnięci na drewnianych ławkach.

Lodisha częstowała już jedzeniem młodą kobietę i dwójkę jej mizernych dzieci.

- Jak długo starczy ci jedzenia, kiedy już je rozdajesz, przed odjazdem pociągu? - spytała z uśmiechem Rosie, poprawiając kwiaty na słomkowym kapeluszu Lodishy.

Usłyszały gwizd lokomotywy. Rosie ucałowała policzek Lodishy.

- Adwokat, który nazywa się Milbome, będzie na was czekał i zawiezie was na miejsce.

My przyjedziemy za tydzień.

Lodisha uchwyciła się drewnianej ławki. W jej oczach widać było nerwowe podniecenie.

Rzuciła Rosie szybkie spojrzenie.

- Jest coś, o czym nie rozmawialiśmy jeszcze, kochanie, ale znam twoją tajemnicę. Nie utrzymasz sekretu przed Lodisha.

- O czym ty mówisz? Nie mam żadnej tajemnicy. - Rosie zmarszczyła brwi.

- Mówię o tym - Lodisha dotknęła brzucha Rosie - że będziemy mieć dziecko. -

Uśmiechnęła się do młodej matki, która siedziała naprzeciwko. - Długo na to czekaliśmy.

Oniemiała Rosie wpatrywała się w Lodishę, zastanawiając się jednocześnie, czy to jest możliwe.

- Będę miała dziecko! - krzyknęła tak głośno, że do wagonu wpadł zaniepokojony konduktor.

- Czy pani jedzie, czy zostaje na miejscu? - spytał konduktor, patrząc na nią niechętnym wzrokiem.

Rosie wyjrzała przez okno. Peron powoli przesuwał się przed jej oczami. Szybko wyskoczyła z wagonu.

Stała, patrząc na odjeżdżający pociąg. Kiedy nie mogła już dojrzeć dymu z lokomotywy, poprosiła wielebnego Paulsona, aby odwiózł ją na farmę i zabrał stamtąd wszystko, co uzna za przydatne dla swoich biednych parafian.

Kiedy wielebny Paulson odjechał wyładowanym wozem, Rosie usiadła na schodkach ganku. Myślała o tym, jak powie Bowiemu o dziecku.

Po dwóch tygodniach bólu i niepewności życie przyniosło jej szczęście, którego już nie oczekiwała.

Brakowało jej tylko jednej rzeczy.

Wieczne podmuchy wiatru poruszały gałęziami topoli i szeleściły w trawie na prerii.

Farma pogrążona była w ciszy. Słysząc było tylko wiatr, czasem skrzypnięcie deski. Nie było Lodishy ani Johna Hawkinsa, wszystkie zwierzęta zostały już rozdane.

Rosie zbudziła się z niespokojnego snu i poszła do kuchni, aby napić się wody. Świtało.

Kamień nagrobny Franka Blevinsa wylańiał się powoli z mroku. Rosie wyszła na podwórze i skierowała wzrok na pobielone kamienie, które otaczały grób Blevinsa. Wszędzie panowała cisza. Rosie drżała, chociaż mimo wczesnego poranka było już bardzo ciepło.

- Teraz jesteś tylko ty i ja - szepnęła, podchodząc do grobu. - Wiatr, preria i pola.

Lekki podmuch wiatru poruszył jej rozpuszczonymi włosami. W szeleście liści i suchej trawy słyszała przerażający śmiech.

Zamknęła oczy i skrzyżowała ręce na piersi. Frank Blevins odniósł zwycięstwo. Ona wyjedzie z tej farmy pokonana. To znaczy, że musi pogodzić się z tym, że śmiertelnie pobił jej matkę i że ją gwałcił.

Popatrzyła na ściernisko. Omal nie odniosła nad nim zwycięstwa. Czy Blevins wiedział o tym? Gdyby nie przepęd bydła, zemsta byłaby dokonana.

Gdyby miała jeszcze jedną szansę... potrzebowała tylko jeszcze jednych zbiorów. Była pewna, że w następnym roku ta obrzydliwa farma dałaby wspaniałe zbiory.

Ale jej już tu nie będzie. Ogarnęła ją nagła panika. Jak może wyjechać, nie dokończywszy porachunków z Blevinsem? Jak może pogodzić się z tym, co on jej zrobił?

To nie było możliwe.

Przez wiele lat jedynym celem jej życia była zemsta. Ona dodawała jej siły. Nie mogła stąd teraz odejść, kiedy tyle już poświęciła. Nie mogła odejść i zostawić zwycięskiego Franka Blevinsa.

Bowie ją zrozumie. Bowie ją kocha, zgodzi się na jeszcze jedno żniwa. W następnym roku Rosie pokona Franka Blevinsa. Bowie zrozumie, że nie mogą jechać do Oregonu, zanim Frank Blevins nie zostanie ukarany.

Rosie spojrzała na zaróżowiony świtem horyzont i jęknęła głucho.

Ale w następnym roku może być susza, burze piaskowe, tornada, plaga szkodników lub inne nieszczęścia. Następny rok znowu nie przyniesie zwycięstwa. Ona i Bowie będą do końca życia harować na kawałku nieużytków.

- Nienawidzę twojej podłej duszy! - krzyknęła w stronę grobu Franka Blevinsa. -

Gdyby nie ty, mogłabym wyjechać z tego piekła! Nawet gdyby mi to zabrało resztę życia, przysięgam, że cię pokonam! Zwycięzę! - wołała, a łzy spływały jej po policzkach.

Bowie tego nie zrozumie. Nie zostanie tu do następnego roku. do następnych żniw.

Kiedy dowie się, że Rosie nie może jechać z nim do Oregonu, że nie może opuścić grobu Franka Blevinsa. dopóki nie odniesie nad nim zwycięstwa, odjedzie. Będzie cierpiał, że ją zostawia, ale odjedzie.

A ona zestarzeje się przy ciężkiej pracy i będzie koić swój ból za pomocą whisky. Bez Bowiego, słuchając wiatru, mając przed oczami tylko prerię i grób Franka Blevinsa, na pewno zacznie znowu pić. Będzie brudasem w łachmanach, będzie żyła tylko oczekiwaniem następnego roku i nadzieją zwycięstwa nad zmarłym.

- Och, Boże!

Z wyrazem przerażenia w oczach uczyniła krok do tyłu. Blevins miał jeszcze nad nią niszczycielską władzę. Zatrwał jej umysł, przyciągał do siebie, oddalając od tego, co kochała.

- Nie - szepnęła, cofając się powoli. - Już dosyć. Nie oddam ci mojej przyszłości. Nie!

Rosie rozejrzała się dokoła. Musiała wyzwolić się spod jego władzy na zawsze. Ale jak?

Zrobiło jej się niedobrze na myśl, że chociaż przez chwilę myślała o tym, że pozwoli Bowiemu odjechać. Bowie Stone był jedyną dobrą rzeczą, jaka spotkała ją w życiu. On był jej miłością, jej życiem, jej przyszłością.

Rosie wbiegła do domu. Do tego domu ze skrzypiącymi zawiasami i okropnymi wspomnieniami.

Wróciła ze zwitkiem płonących gazet w ręku. Drżącymi rękami dotykała płomieniem świeżej farby, okrążała ogniem ten zniechęcony dom.

Wreszcie wystrzelił wysoki płomień, a słupy czarnego dymu uniosły się ku niebu. Rosie stanęła i patrzyła na pożar domu.

Nagle usłyszała swoje imię, ktoś ją wołał z daleka. Obróciła się, osłaniając oczy przed wschodzącym słońcem.

Daleko na prerii wypatrzyła samotnego jeźdźcę, nisko pochylonego na grzbiecie konia, który galopował w jej stronę.

- Bowie! - Okrzyk z trudnością wyrwał się z jej ściśniętego gardła. - To on! Och, mój Boże, to on!

Rosie uniosła nocną koszulę powyżej kolan i biegła przez prerię, uciekając od płonącego domu i od przeszłości. Biegła przez spaloną słońcem prerię do swojej przyszłości, do męż-

czyzny, którego kochała nad życie. Ostre kamienie raniły jej stopy, a sucha trawa drapała nogi.

Oślepiły ją łzy.

- Bowie! Bowie!

Zeskoczył na ziemię i podbiegł do niej. Poczowała uścisk jego silnych ramion i bicie jego serca.

- Kocham cię! Kocham cię! - wołała, płacząc i śmiejąc się na przemian.

Przyciągnęła jego głowę i całowała go w usta, nie mogąc się od niego oderwać.

- Rosie! - Bowie trzymał ją w stalowym uścisku i całował jej czoło, powieki i policzki. -

Tak bardzo za tobą tęskniłem!

Rosie objęła rękami jego biodra i stała z czołem przytulonym do jego piersi. W uścisku ramion swojego męża, słuchając bicia jego serca, czuła, że jego miłość otula ją bezpieczną zasłoną.

Trzymając się w objęciach, patrzyli na płonący dom. W powietrzu wirowały iskry, kawałki spalonego drewna, kawałki przeszłości. Płomień oświetlał nagrobek Franka Blevinsa, który po chwili ponownie pogрузzył się w cieniu.

Wreszcie Rosie zrozumiała swój błąd. Niepotrzebne jej były dobre plony, aby pokonać Franka Blevinsa i zemścić się za jego czyny. Potrzebna jej była miłość, która nigdy nie stała się udziałem Franka Blevinsa. Kochać i być kochaną było największą zemstą.

Odwróciła głowę od płonącego domu, zostawiając przeszłość za sobą, i uniosła usta ku wargom Bowiego, a w jej oczach zalśniły łzy szczęścia. Przyłożyła jego rękę do swojego brzucha.

- Mam dla ciebie cudowną wiadomość - powiedziała z radosnym uśmiechem.

Następny rok już nadszedł. Zwyciężyła.